

Stephen Frey

Depozyt

Prolog

Listopad 1963

Naprawdę nazywała się Mary Thomas. Wiedziała jednak, że producenci filmowi z Hollywood nie zwrócą uwagi na kogoś o tak pospolitym nazwisku. Po prostu nie mają zbyt dużo czasu na wczytywanie się w listę osób, biorących udział w zdjęciach próbnych. Dlatego występowała pod pseudonimem jako Andrea Sage.

Urodziła się na Manhattanie. Po ukończeniu Uniwersytetu Nowojorskiego wyjechała z miasta. Chciała uciec przed tyranią ojca, który nalegał, aby jedy-naczka poszła w jego ślady i robiła karierę na Wall Street. Jednak jej zdaniem akcje i obligacje nie były warte tego, by poświęcić im całe życie. Pierwszego dnia po ukończeniu studiów wymknęła się z luksusowego mieszkania rodziców na Upper East Side. Z konta, które założyli jej dziadkowie w prezencie na dzieci-nięte urodziny, podjęła wszystkie pieniądze. Wzięła taksówkę na lotnisko La Guardia i kupiła bilet do Los Angeles, miasta, które dawało szansę takim jak ona; szansę na sławę należną gwiazdzie filmowej. Była młoda i piękna. Miała dwadzieścia jeden lat. W tym wieku łatwo uwierzyć, że świat stoi przed tobą otworem.

Pół roku po ucieczce ku wolności, na pokładzie odrzutowca linii Pan Am, przyszedł czas na podsumowanie. Jej kariera nie rozwijała się tak, jak to sobie wyobrażała. Uroda zapewniła jej parę epizodycznych ról w niskobudżeto-owych produkcjach. Ponieważ uważała, że nie ma czym pochwalić się przed ro-dzicami, nie napisała do nich. Nie zadzwoniła nawet do matki, która od pół roku nie wiedziała, czy córka żyje. Dziewczynę zaczęły dręczyć wyrzuty su-mienia.

Wyjątkowo chłodna i deszczowa jesień zmieniła Los Angeles z sanktuarium

słońca w przygnębiającą ziemię skazańców. Andrea pracowała w Beverly Hills Bistro jako kelnerka. Żeby nie myśleć o przykrew perspektywie powrotu do domu i spojrzeniu w oczy triumfującemu ojcu, wzięła parę dni wolnego. Krótki urlop postanowiła spędzić w słonecznym Teksasie. Chciała odetchnąć od ciasnej kawalerki z oknami wychodzącymi na tyły chińskiej restauracji. Wybrała Teksas, bo

7

nigdy tam nie była. Poza tym, będzie miała okazję na własne oczy zobaczyć człowieka, któremu udało się podbić serca wszystkich Amerykanów.

Andrea przymknęła jedno oko i spojrzała przez obiektyw kamery Bell & Howell. Kupiła ją wczoraj. Teraz zaś, na chwilę przed rozpoczęciem uroczystości, chciała ją wypróbować. Stała przy niewysokim drzewie, metr od lustrzanej ściany, w której odbijał się basen. Przeniosła oko kamery na prawo, gdzie

po drugiej stronie ulicy, przed wejściem do wysokiego budynku, falował tłum. Panoramicznym ujęciem zjechała w lewo i sfilmowała chodnik, który przechodził w szerokie przejście podziemne, daleko, na końcu placu. To pewnie będzie trasa przejazdu prezydenta.

Kiedy filmowała przejście podziemne, usłyszała pomruk tłumu po drugiej stronie ulicy. Skierowała kamerę z powrotem na prawo. W oddali zobaczyła światła nadjeżdżającej kolumny samochodów. Chcąc zrobić ujęcie ludzi stojących przed wejściem do gmachu po drugiej stronie ulicy, jeszcze raz skierowała obiektyw na ulicę Elm. Tym razem kamera lekko drżała w jej ręku. Andrea wzięła głębszy oddech, żeby uspokoić nie wiadomo skąd biorący się niepokój. Zaczęła filmować czarną błyszczącą limuzynę z otwartym dachem, która powoli skręcała z ulicy Houston w lewo, wchodząc w pole widzenia kamery. Ustawiła ostrość na mężczyznę na tylnym siedzeniu, pewnego swojej siły oddziaływania na ludzi. Kiedy limuzyna dojechała do miejsca, gdzie stała Andrea, dziewczyna ruszyła razem z samochodem. Udało się jej zrobić zbliżenie mężczyzny, który ręką pozdrawiał tłum. Nie wiadomo dlaczego nigdzie nie widziała tajnych służb, które powinny czuwać nad bezpieczeństwem przejazdu.

Usłyszała pojedynczy huk, jak gdyby w pobliżu ktoś odpalił fajerwerk, a zaraz potem następny. Mężczyzna z limuzyny pochylił się do przodu, uniósł ręce do twarzy. Nie przerywając filmowania, Andrea zaczęła biec ulicą. Jak przez mgłę widziała, że wyprzedza dziewczynkę w czerwonej spódniczce i białym sweterku. Wyczuła, że tłum dookoła ogarnęła nagle panika, jakby do ludzi dotarło, że dzieje

się coś strasznego. Na dźwięk trzeciego strzału Andrea przystanąła.

Wtedy rozległ się czwarty strzał. Był zdecydowanie głośniejszy, zabrzmiał jak wybuch. Mężczyznę w limuzynie gwałtownie odrzuciło do tyłu, a nad jego głową utworzyła się aureola z czerwonej mgiełki. Bezwładnie przechylił się na bok. Widać było odsłonięty mózg, cały zalany krwią.

W tłumie rozległy się histeryczne krzyki. Ludzie uciekali na wszystkie strony. Jednak Andrea nie dała się porwać tej fali paniki. Była spokojna, nie przery-

wała filmowania. Czuła się tak, jakby nie dotyczyły jej te straszne wydarzenia. Była bezpieczna, schowana za szkłem obiektywu. Filmowała żonę mężczyzny, która wstała i chciała sięgnąć po odstrzelony kawałek czaszki leżący na bagażniku. Ale jeden z ochroniarzy energicznie wepchnął ją z powrotem na siedzenie. Limuzyna przyspieszyła i skierowała się w stronę szpitala Parkland. Andrea odprowadziła pojazd kamerą do momentu, aż zniknął z pola widzenia, po czym zrobiła zbliżenie miejsca, w którym jeszcze przed chwilą unosiła się czerwona mgiełka,

8

utworzona z drobinek rozbryzganej krwi. Widziała przez obiektyw, jak ludzie biegli w kierunku trawnika i płotu.

Nagle obraz w obiektywie zamienił się w czarną plamę. Silne dłonie wyrwały Andrei kamerę z rąk i gwałtownie pchnęły dziewczynę na ziemię. Poczowała ostry ból w plecach.

- Nie ma pan prawa traktować mnie w ten sposób - krzyknęła.

- Owszem, mam - warknął mężczyzna. - A teraz zjeżdżaj stąd.

- Proszę mi oddać kamerę! - wykrzyknęła.

- Powiedziałem, zjeżdżaj!

Andrea zerwała się na nogi i schwyciła kamerę, chcąc ją wyrwać z rąk napastnika. Odepchnął ją tak silnie, że znowu wylądowała na ziemi.

- Daję ci ostatnią szansę - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Zjeżdżaj stąd albo cię aresztuję.

Wystarczyło jedno spojrzenie w stalowoszare oczy mężczyzny, żeby Andrea powróciła do realnego świata. W jednej sekundzie podjęła decyzję: trzeba stąd uciekać. Miała wrażenie, jakby znalazła się w gnieździe szerszeni. Zdała sobie sprawę, że nic nie wskóra dalszymi protestami. Oczyszczyła dłonie i kolana z trawy.

Podniosła się i rzuciła do ucieczki, wtapiając się w tłum. Kiedy w końcu odważyła się obejrzeć, mężczyzny, który brutalnie wyrwał jej kamerę z filmem dokumentującym zabójstwo prezydenta Kennedy'ego, już tam nie było.

1

Listopad 1998

Parkiety największych nowojorskich domów maklerskich to przerażające miejsca. W ogromnych salach wypełnionych biurkami zawsze panuje hałas. Wystrój wnętrza jest zupełnie pozbawiony domowego ciepła. Ludzie, którzy siedzą za biurkami, są agresywni, niecierpliwi, zdolni do wszystkiego. Ich zadanie pole-

ga na obracaniu ogromnymi sumami nie swoich pieniędzy. Sprzedają i kupują ogromne ilości akcji, obligacji i innych papierów wartościowych. Siedzą jeden obok drugiego przy długich, wąskich, zestawionych ze sobą biurkach, przypominających stoły w stołówce. Każdy z nich ma przed sobą dwa podstawowe narzędzia pracy - telefony i komputery, które bez przerwy wyświetlają najnowsze informacje o rynku. Na podstawie tych informacji i podpowiedzi otrzymywanych przez telefon handlowcy w sekundę podejmują decyzje o inwestycjach. Najczęściej dysponują z góry ustalonym przez kierownictwo limitem dolarowym. Cza-

sem zdarza się, że go przekraczają. Ich jedynym godnym zaufania sprzymierzeńcem jest kofeina. Najbardziej obawiają się wrzodów żołądka i swoich czterdziestych urodzin. Bardzo często zdarza się, że któryś z nich traci panowanie nad sobą. Ludzie zatrudnieni w domach maklerskich pracują w nieustannym stresie. Częstym argumentem w sprzeczkach, choć nikt się do tego nie przyzna, staje się przemoc. Ich życie prywatne po prostu nie istnieje. To przeklęta praca. Jednak jest powód, dla którego tam pracują. W ciągu roku mogą zarobić więcej pieniędzy niż inni przez całe życie.

Cole Egan bacznie wczytywał się w informacje wyświetlane na trzech stojących przed nim monitorach. Chciał się dowiedzieć, jakie decyzje zapadły w Waszyngtonie, na spotkaniu Komitetu Rezerw Federalnych. Gdyby urzędnicy federalni złożyli oświadczenie, które jeszcze do wczoraj wydawało się Cole'owi nieprawdopodobne, liczby zmieniłyby się w ciągu paru chwil i zaczęłyby się prawdziwe szaleństwo. Wygłoszenie tego oświadczenia sprawiłoby, że należące do rządu akcje, którymi dysponował Cole, zaczęłyby spadać na łeb na szyję.

11

Przewodniczący i zarządcy lokalni najpotężniejszego banku centralnego zbierali się co sześć lub co osiem tygodni za zamkniętymi drzwiami wspianalej sali konferencyjnej w Waszyngtonie. Ustalali kurs walut w Stanach Zjednoczonych. Większość spotkań nie kończyła się żadną interwencją Banku Federalnego. Kursy walut zmieniały się w sposób naturalny zgodnie z potrzebami zbytu i skupu, wynikającymi z tego, jak handlowcy kupowali i sprzedawali obligacje swoim klientom i firmom. Gdyby jednak Bank Federalny zmienił politykę zarządzania, kursy walut natychmiast zaczęłyby spadać bądź zwyżkować, zgodnie z kierunkiem i poziomem wyznaczonym przez Bank. Bank Federalny posiadał ogromną władzę.

Przed Cole'em leżały dwie klawiatury komputerowe. Dzięki nim miał najświeższe informacje z Reutera, Bloomberg'a i z Internetu - to znaczy, że miał natychmiastowy dostęp do wszystkich danych, jakich potrzebuje makler pod koniec

lat dziewięćdziesiątych. Jednak żadne z tych źródeł informacji nie mogło mu dostarczyć tego, czego potrzebował w tej chwili. Chciał wiedzieć, o czym rozmawia się w sali konferencyjnej rady banków rezerwy federalnej, tworzącej bank centralny Stanów Zjednoczonych. Zapewne żaden z maklerów nie miał dostępu do takich informacji.

Cole spojrzął za okno, na drapacz chmur po drugiej stronie Piątej Alei. Czekanie wykańczało go, ale starał się, aby nikt tego nie zauważył. Wczoraj jeden z urzędników niższego szczebla z Rady Banków Rezerwy Federalnej napomknął, że komisja być może podniesie kursy, aby powstrzymać nagły wybuch inflacji. Cole przez cały ostatni miesiąc nosił się z przekonaniem, że Rada nie podniesie kursów. Na tym przekonaniu oparł wszystkie swoje działania. Gdyby kursy wzrosły, nawet nieznacznie, w ciągu sekundy straciłby miliony dolarów. Rentowność papierów wartościowych, którymi dysponował, obniżyłaby się znacznie. Z takiej sytuacji nie ma dobrego wyjścia, bowiem rynek, przewidując oświadczenie Rady Banków, już zaczął działać na niekorzyść Cole'a. Gdyby zaś teraz rozpoczął sprzedaż papierów wartościowych, jego klienci straciliby na tej transakcji ogromne sumy.

Cole odetchnął głęboko. Jeśli sprawdzi się ten czarny scenariusz, kierownicy światowej siedziby zarządu domu maklerskiego Gilchrist, siedzący w obitych pluszem pokojach na najwyższym piętrze budynku, zanim eksplodują ze złości, zbiegną na dół i wyrwą mu serce. Wiedział, że nie może liczyć na ich współczucie. Zacisnął powieki. Mimo że otaczały go dziesiątki ludzi, był skazany na samotność.

Gilchrist & Company był potężnym domem maklerskim, konkurującym z takimi liderami rynku, jak Goldman Sachs czy Morgan Stanley i Merrill Lynch. Domy te zajmowały się pomnażaniem kapitału wielkich korporacji i rządów na całym świecie. Rywalizowały ze sobą również w handlu akcjami i obligacjami na własny rachunek, starając się w ten sposób osiągnąć roczne zyski sięgające miliardów dolarów. W firmie Gilchrist zatrudnieni byli tylko najzdolniejsi,

staran-

nie wyselekcjonowani pracownicy. Do tego domu maklerskiego stale ściągano, oferując lepsze wynagrodzenie, nową siłę roboczą z innych firm na Wall Street.

12

W firmie Gilchrist zatrudniano najbardziej obiecujących absolwentów renomowanych uczelni. Jeśli się sprawdzili, oferowano tym młodym szczęśliwcom rzecz nie do pogardzenia - zarobki rzędu kilku milionów dolarów rocznie. Jednak była to pułapka. Rok strat kierownictwo jeszcze tolerowało, ale błędne decyzje podejmowane dwa lata z rzędu wystarczały, aby wylądować na zasiłku.

W ciągu pierwszych paru lat pracy w firmie Gilchrist Cole nieźle sobie radził w obracaniu rządowymi papierami wartościowymi. Co prawda nie udało mu się rozbić banku, ale świetnie rozegrał parę singli i dubli - w domach maklerskich przyjęło się sporo takich sportowych powiedzeń. W rezultacie na początku każdego roku otrzymywał solidną premię. Styczniowe czeki Cole'a zwykle opiewały na sumę kilkuset tysięcy dolarów. Cole wiedział, że ci, którym udało się rozbić bank, dostawali dziesiątki milionów dolarów. Mimo to nie narzekał. W gruncie rzeczy nikt nie kręci nosem na czeki z sumami o sześciu zerach. A już na pewno nie chłopak z robotniczej rodziny, z małego miasteczka nad jeziorem.

Niestety ostatnio nie szło mu w pracy za dobrze. W zeszłym roku firma straciła przez jego działania dwadzieścia milionów dolarów. Teraz kończył się jeszcze gorszy rok. Wyleją go i wszyscy o tym wiedzieli.

- Jak leci, stary? - wyrwał go z zamyślenia głos wiecznie zadowolonego z siebie Lewisa Gebauera, który odezwał się do sąsiada, a równocześnie lustrował wzrokiem mijającą ich dziewczynę w obcisłej mini.

- W porządku, Lewis - odparł szorstko Cole, rzucając koledze przelotne spojrzenie i znowu wrócił do swoich monitorów.

Gebauer był mężczyzną korpulentnym, prawie łysym, o bladej twarzy, która od lat nie widziała słońca. Krawaty i koszule zawsze miał utyłane jedzeniem. Mimo takiego wyglądu uważał się za bardzo atrakcyjnego i zawsze był gotów

poderwać każdą kobietę, która pojawiała się w jego polu widzenia. Powszechnie go nie lubiano, ale odniósł błyskotliwy sukces, handlując papierami rządowymi. W ciągu ostatnich pięciu lat, kupując i sprzedając trzydziestoletnie rządowe obli-

gacje zadłużeniowe, zarobił dla Gilchrist i Spółki ponad trzysta milionów dolarów. Aby nie dał się podkupić konkurencji, dostał sześćdziesiąt z tych trzystu milionów dolarów, jakie zarobił dla firmy Mieszkał z trzecią żoną w pięknej willi w Connecticut. Tę dwudziestosześcioletniąplatynowąblondynkę poznał w pubie na Manhattanie i ożenił się z nią dwa dni później.

- W porządku, Lewis - powtórzył Cole.

- Na pewno? - Gebauer wyjął z pudełka kubańskie cygaro. Przeszmuglował je do Nowego Jorku przez lotnisko Kennedy'ego, gdy wracał z wycieczki do Paryża.

- Słyszałem coś innego. - Gebauer lubił znęcać się nad kimś, kto już swoje oberwał. Traktował to jako rozrywkę. Coś się przynajmniej działo.

Cole od pierwszego dnia pracy był zmuszony do siedzenia obok Gebauera. Zdążył więc go znienawidzić, jak wszyscy zresztą. Gebauer, znudzony popołudniową ciszą starał się, jak co dzień, wywołać sprzeczkę. Dzięki temu czas płynął mu szybciej. W takim przypadku należało samemu przystąpić do ataku.

13

- To dziwne, że jeszcze coś słyszysz przez ten wosk, który zatyka ci uszy.

Po przeciwnej stronie biurka rozległ się głośny śmiech. Cole był szybki w kontrataku. Nie należało go lekceważyć.

- Doszły mnie słuchy, że zaciągnąłeś spory kredyt, kupując mieszkanie na poddaszu na Upper West Side. - Gebauer uśmiechnął się szyderczo. Nie miał ochoty się poddawać. - I podobno nie dostałeś premii od czasu prezydentury George'a Busha. Reasumując, jesteś mocno do tyłu ze spłatą kredytu. - Gebauer niedawno dowiedział się o tym od faceta z brzydką blizną przecinającą policzek.

Cole próbował się skoncentrować na pracy i zignorować Gebauera. Jednak



cyferki zaczęły mu skakać przed oczyma. Skąd, do diabła, Gebauer mógł wiedzieć o braku premii i o kredycie? O tym, że nie dostał w zeszłym roku premii, wiedzieli tylko kierownicy z Gilchrist. A o tym, że kupił mieszkanie, nie wspomniał nikomu z pracy. Jeszcze raz spojrzął na Gebauera. Cole zdał sobie sprawę z tego, że ostatnio za każdym razem, kiedy wracał do pracy po przerwie na wypicie coca-coli, papiery na jego biurku były poprzekładane. To pewnie sprawa Gebauera.

- Nasz kogucik z ostrym języczkiem coś dziś niezbyt rozmowny - radośnie zapał Gebauer.

Jeden z handlowców z drugiej strony biura wstał, jakby się chciał przeciągnąć. W rzeczywistości sprawdzał, jak Cole, ukryty za monitorami, zareagował na atak Gebauera. Dom maklerski jest miejscem, w którym wrze od plotek. Twarz Cole'a pozostała niewzruszona. Trudno ocenić, czy strzał Gebauera był celny.

- Słyszałem też, że twoja ukochana ma ten sam problem, co ja, kochaneczku  
- Gebauer kontynuował pewny swego po tym, jak Cole zamilkł. - Podobno woli dziewczynki, jeżeli wiesz, co mam na myśli - rzekł, uśmiechając się lubieżnie. Prawa ręka Cole'a zacisnęła się w pięść. Prawym sierpowym mógł go zno-kautować i pewnie otrzymałby za to owacje na stojąco od wszystkich pracowników parkietu. Już miał się odwrócić, żeby zadać cios, ale w tym momencie zaczęła mrugać lampka kontrolna jednej z jego dziesięciu linii telefonicznych. Postanowił zapomnieć o Gebauerze. Nie jest tego wart. Nacisnął świecący przycisk i chwycił słuchawkę.

- Halo!

- Kto mówi? - usłyszał chłodny głos.

- Cole Egan - odpowiedział, starając się, aby jego głos zabrzmiał uprzejmie. Zdarzało się, że kierownicy z Gilchrist dzwonili tylko po to, żeby sprawdzić, jak

szybko maklerzy podniosą słuchawkę.

- Jakie jest pańskie drugie imię? - ciągnął głos.

- Sage - odparł zniecierpliwiony Cole. Powinien skupić się na tym, co za chwilę wydarzy się na rynku, a tu ten telefon. - Jakie to ma znaczenie?

- Jestem znajomym pańskiego ojca.

Długo oczekiwane oświadczenie urzędników federalnych uderzyło jak woda, burząca wszystkie tamy. Wybuchło zamieszanie, rozległy się podniesione głosy,  
14

zamówienia rzucano do kilku słuchawek naraz. Wszyscy usiłowali albo skorzystać z ogłoszonej informacji, albo zabezpieczyć się z powodu wzrostu kursów narzuconych nagle przez bank centralny. Jednak Cole nic nie słyszał. Nie dociera-

ło do niego nic, oprócz tego, co lodowaty głos mówił o jego ojcu:

- Mam dla pana złą wiadomość. Pański ojciec nie żyje.

Wiadomość zaszokowała Cole'a, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to bardzo zasmuciło - odparł buntowniczo. Widział ojca zaledwie parę razy w życiu. Po śmierci matki jego wychowaniem zajęła się ciotka i wuj. Był przekonany, że ojciec nigdy go nie chciał.

- To mnie nie interesuje - obojętnie stwierdził głos w słuchawce. - Moje zadanie, które wykonuję na zlecenie agencji, polega na przekazaniu panu tej informacji i na dostarczeniu koperty, która czeka na pana w recepcji. Do widzenia, panie Egan. - Połączenie zostało przerwane.

- Hej, Egan! - dotarł do niego krzyk jednego z handlowców po drugiej stronie biurka. - Dzwoni facet z Merrill Lynch. Mówi, że chce kupić od ciebie trochę tych pięcioletnich papierów. Mówi, że to najlepszy moment, i żebyś sprzedawał teraz.

- Nicki na trzeciej linii! - rozległ się inny głos.

Cole wiedział, że nie powinien odchodzić od biurka. Ale nie miał wyboru. Ta koperta to pewnie jakaś wiadomość od ojca. Coś, co dotyczyło jego rodziny, było ważniejsze od całej reszty.

- Powiedźcie im, że oddzwonię! - krzyknął przez ramię, rzucił słuchawkę i pobiegł do recepcji, która znajdowała się za drzwiami w drugim końcu poko-

ju. Omal nie wpadł na asystentkę niosącą tacę z kawą wbiegł do pomieszczenia, gdzie znajdowała się recepcja, i zatrzymał się. Jak zawsze roilo się tu od gości. Spojrzał badawczo na ich twarze, próbując zapamiętać je na przyszłość. Drzwi prowadzące na parkiet zamknęły się i odcięły go od panującego tam hałasu.

- Cześć, Cole - Anita Petrocelli uśmiechnęła się do niego ciepło zza wielkiego biurka. Pochodziła z Queens, dzielnicy Nowego Jorku. Jej słabość do Cole'a była tak ewidentna jak pieprzyk, który zdobił jej górną wargę.

Zawsze uważała Cole'a za bardzo atrakcyjnego mężczyznę. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał surowe rysy, mocny nos i wydatną brodę. Falujące, smolistoczarne włosy odcinały się na tle świeżo wyprasowanej, śnieżnobiałej bawełnianej koszuli i doskonale harmonizowały z onyksowymi spinkami. Włosy miał krótko przystrzyżone. Taka fryzura była wyraźnym odstępstwem od konserwatywnej mody panującej na parkiecie w Gilchrist. Gdy się uśmiechał, na policzkach pojawiały się dołeczki. Wyglądał wtedy ponętnie i tajemniczo, jak gdyby coś ukrywał. Trzy dziurki w lewym płatk ucha wskazywały na buntowniczą młodość. Oczy miał ogromne, stalowoszare, okolone długimi, gęstymi rzęsami - nigdy nie widziała równie seksownych.

Kilka razy zaprosił ją na lunch. Podczas rozmowy, w swobodnej atmosferze, z dala od pracy, przekonała się o jego wstręcie do konformizmu i do chęci wyróżniania się dla samej zasady bycia innym niż reszta. Zauważyła również, że Cole

15  
lubi ryzyko. Stale się o coś zakładał. Jeżeli wygrywał, nigdy nie brał pieniędzy.

Po prostu kochał ryzyko. Wydawało się to jej niesamowicie podniecające. Wiedziała, że innym kobietom też to się podobało. Był naprawdę niezłym materiałem na narzeczonego.

Anita ucieszyła się bardzo, kiedy dowiedziała się, że Cole do dwudziestego dziewiątego roku życia z nikim nie chodził. Słyszała plotki, że ma na stałe dziewcz-

czynę. Jednak, obserwując go, trudno się było tego domyślić. A ponieważ nie nosił obrączki, uznała go za pierwszorzędnny cel swoich zabiegów. Wstydliwie przyznawała się sama przed sobą że nawet gdyby był żonaty, to wcale by jej to nie przeszkadzało. Nie kryła przed nim, że ją pociągał. On jej zachowanie komentował zawsze tak samo - że nie zasługuje na taką dziewczynę. Zdawała sobie sprawę z tego, że była to delikatna próba ostudzenia jej zapałów, ale nie przeszkadzało jej to dalej flirtować. Jak mówi przysłowie - kropla draży skałę. Ona „drażyła” już dosyć długo.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała trzepocząc rzęsami.

- Nie ma gdzieś tu przesyłki na moje nazwisko?

- Tak. Ja jestem przesyłką dla ciebie. - Położyła łokcie na biurku, oparła brodę o dłonie i znowu zatrzepotała rzęsami. - Byłam na Greenwich Village i kazałam sobie wytatuować twoje nazwisko w bardzo intymnym miejscu...

- Anita, ja mówię na serio - przerwał jej Cole.

- Widzę, że jesteś dziś mało zabawny. - Spojrzała na biurko. Zwykle uśmiechał się do niej, mówił jakiś komplement dotyczący fryzury czy ubrania. - Och, rzeczywiście, jest coś do ciebie. - Wręczyła mu sporą szarą kopertę z wydrukowanym jego nazwiskiem.

- Kto to przyniósł? - zapytał Cole.

Anita wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Kurier zostawił to pewnie wtedy, kiedy nie było mnie przy biurku. Nawet nie wiedziałam, że jest dla ciebie jakaś przesyłka.

Zanim skończyła mówić, Cole odwrócił się na pięcie i skierował do małej sali konferencyjnej przy recepcji. Wydęła usta. Zwykle był taki uprzejmy.

Cole wszedł do sali konferencyjnej, zamknął za sobą drzwi, rozerwał kopertę i wysypał jej zawartość na stół. Była tam kartka z wydrukowanym tekstem, jakiś oficjalny dokument i kluczyk, który zabrzączał, uderzając o blat stołu.

Schował kluczyk do kieszeni, po czym przeczytał karteczkę. Proszono go, by umieścił w „New York Times” nekrolog zawiadamiający o śmierci ojca. Druga

sprawa związana była z kluczykiem. Miał pójść natychmiast do banku Chase, parę budynków od siedziby Gilchrist, i odebrać zawartość skrzynki depozytowej.

Cole przyjrzał się dokumentowi z koperty. Był to akt zgonu ojca. Pół roku temu Jim Egan pojawił się bez uprzedzenia w recepcji Gilchrist. Właśnie wtedy Cole widział ojca po raz pierwszy od czasu ukończenia szkoły średniej. Ojciec zabrał syna na lunch - kanapkę, chipsy i colę w barze na Czterdziestej Siódmej ulicy. Rozmowa się nie kleiła. Ojciec Egan nie miał nic do powiedzenia na temat swojej nieobecności w życiu syna. Spotkanie skończyło się dziwnie mocnym uści-

16  
skiem dłoni przed budynkiem Gilchrist. Cole zaproponował, że oprowadzi ojca po firmie, ale on zdecydowanie odmówił, po czym bez zbędnych słów odwrócił się i zniknął w tłumie spieszących na lunch ludzi.

Cole gapił się w akt zgonu ojca. Boże, gdyby wiedział, że to było ich ostatnie spotkanie! Miał tyle pytań, które męczyły go tak długo. Mógłby również powiedzieć coś, co miałyby dla ojca jakieś znaczenie.

2 -

2

Cole włożył kasetę do odtwarzacza wideo i wygodnie usiadł w jednym z foteli, ustawionych przed panoramicznym ekranem telewizora. Znajdował się w sali telewizyjnej na ósmym piętrze, dwa piętra niżej niż parkiet. Sali tej używano podczas prezentacji działalności Gilchrist, aby wywołać odpowiednie wrażenie na inwestorach. Było pięć po piątej i parkiet już opustoszał. Jednak Cole na wszelki

wypadek zamknął się od środka na klucz.

W skrzynce depozytowej znalazł tylko kasetę wideo. Nie dostał w spadku milionów ani papierów wartościowych, ani cennej biżuterii. Zresztą niczego takiego nie oczekiwał. Według ciotki Cole'a, jedynej siostry ojca, dobra materialne

nigdy nie interesowały Jima Egana. Cole rzucił okiem na odległą ścianę. Stał

przy

niej regał pełen kaset wideo ze starymi prezentacjami. Spojrzał przez okno. Był koniec jesieni i na dworze zrobiło się już ciemno. Zaraz dowie się, jakie jest to

przesłanie zza grobu. Ojciec pewnie zechce wytłumaczyć, dlaczego zaniedbywał syna przez całe życie. Albo spróbuje obudzić w nim współczucie.

Pierwsza scena z filmu przedstawiała słoneczny dzień w jakimś parku. Kamera zjechała na ulicę, po której przemieszczała się kawalkada samochodów. Obraz wydawał się Cole'owi dziwnie znajomy. Z przymrużonymi oczyma wpatrywał się w zgromadzony tłum, motocykle i limuzynę. Kawalkada przybliżyła się i Cole rozpoznał pasażerów limuzyny - kabrioletu. To był Kennedy i Connally, obydwaj z żonami. Prezydent, siedzący na tylnym siedzeniu, pozdrawiał tłum ręką. Obok prezydenta siedziała pani Kennedy, ubrana w różowy kostium i kapelusik w tym samym kolorze. Gubernator Connally siedział vis-a-vis Kennedy'ego. No oczywiście, to kopia słynnego filmu Zaprudera. Ten film był materiałem dowodowym w sprawie o zabójstwo Kennedy'ego.

Cole nie przerywał oglądania, ale po paru chwilach z niedowierzaniem potrząsnął głową. W filmie Zaprudera prezydent siedział od strony filmującej go kamery. Tutaj było całkiem odwrotnie. Gubernator Connally też powinien znajdować się bliżej filmującego. Abraham Zapruder filmował z drugiej strony placu Dealey Cole'owi serce zaczęło mocniej bić. To nie był film Zaprudera.

18

Limuzyna toczyła się dalej, a obraz zaczął lekko drgać, jak gdyby osoba filmująca biegła, chcąc się zrównać z pojazdem. Nagle prezydent gwałtownie pochylił się do przodu; kula ugodziła go z tyłu, w plecy. Uderzenie spowodowało, że rozstawił łokcie na zewnątrz, a jego dłonie znalazły się na karku. Była to nie-

kontrolowana reakcja nerwowa na uszkodzenie kręgosłupa. Kamera poruszała się równo z samochodem. Ciało Kennedy'ego zeszywniało w bezruchu. Connally, którego też dosięgła kula, w ogóle nie zwracał uwagi na prezydenta. Nagle

obraz przestał podrygiwać, jak gdyby osoba filmująca zaniechała biegu obok limuzyny. Wtedy padł strzał rozrywający z porażającą siłą głowę Kennedy'ego.

- Boże - jęknął Cole. Film tak nim wstrząsnął, że prawie zapomniał o dzisiejszej stracie siedmiu milionów dolarów.

Ludzi na ekranie ogarnęło szaleństwo. Zaczęli rozbiegać się we wszystkich kierunkach. Kamera odprowadziła oddalającą się limuzynę, po czym powoli wróciła na miejsce, w którym padł śmiertelny strzał. Tłum biegł na drugą stronę ulicy

w kierunku trawiastego wzniesienia. Nieoczekiwanie ekran stał się czarny.

- Koniec - powiedział Cole na głos.

To jednak nie był koniec. Na ekranie telewizora pojawiła się czyjaś twarz w dużym zbliżeniu.

- Jezu Chryste - wyszeptał Cole, przesuając się do przodu, na krawędź fotela. Ujrzał twarz ojca. Była dużo młodsza niż ta, którą widział pół roku temu,

kiedy siedzieli naprzeciw siebie w czasie lunchu. Nie ulegało jednak wątpliwości,

że to Jim Egan. Na ekranie znowu zapanowała ciemność.

Cole klęknął przed telewizorem, przewinął kasetę i zaczął oglądać jeszcze raz.

Tym razem w zwolnionym tempie. Na klęczkach, z twarzą parę centymetrów od ekranu, wpatrywał się intensywnie w obraz. Co chwila zatrzymywał kasetę, by za moment puścić ją znowu. Przyglądał się niemal każdej klatce. W pewnym momencie zauważył lufę karabinu nad płotem. Później pojawił się nad nim obłoczek dymu,

a głowa prezydenta odskoczyła do tyłu, w kierunku kamery, i rozpękała się.

Karabin

zniknął za niewysokim płotem, a prezydent przechylił się w kierunku pani Kennedy. Wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy. Potem limuzyna odjechała. Tłum wpadł w panikę. Przez chwilę na ekranie panowała ciemność, potem pojawiła się rozszluszczona twarz ojca, aż wreszcie zapadła całkowita ciemność.

Cole nie mógł przełknąć śliny. Zupełnie zaschło mu w ustach. Przewinął taśmę do momentu, w którym na ekranie pojawił się obłoczek dymu nad płotem, i zatrzymał ją. Wpatrywał się w obraz jak zahipnotyzowany, z oczami utkwionymi w karabin. Czy była to postać słynnego Funkcjonariusza? Na paru fotografiach, zrobionych tuż przed zabójstwem, zwracano uwagę na mglistą postać człowieka w mundurze policjanta, stojącego za płotem na porośniętym trawapagórku. Postać zauważyli zwolennicy teorii spiskowej, tak zapaleni do swojej idee fixe, że na zdjęciach potrafiliby pewnie dopatrzeć się wszystkiego, co świadczyło o tym, że oprócz szaleńca, który oddał strzał z karabinu Mannlichera z okna na szóstym piętrze Biblioteki Szkoły Teksańskiej, istniał jeszcze ktoś inny.

Cole dotknął ekranu telewizora w miejscu, gdzie za płotem zobaczył lufę. Nigdy nie przekonywała go teoria spiskowa. Trudno podejrzewać, że istniał jakikolwiek spisek, jeśli po tylu latach dochodzenia w sprawie zabójstwa Kennedy'ego nie znaleziono na to żadnych dowodów. Zachowanie milczenia przez tyle lat nie było zgodne z naturą ludzką. A przecież ta kasetka świadczyła o istnieniu spisku. Stanowiła niepodważalny dowód na to, że podejrzania, które przez kilkadziesiąt lat nie dawały spokoju wielu ludziom, były słuszne. Była dowodem na to, że tamtego listopadowego dnia John F. Kennedy wjechał w swojej limuzynie na plac Dealey, gdzie czekała na niego zasadzka. Dowodem na to, że Lee Harvey Oswald nie działał sam, o ile w ogóle miał coś wspólnego z tym zabójstwem.

Odtwarzacz zaj ęczał, a kasetka powoli ruszyła dalej. Kiedy na ekranie pojawił się ojciec, Cole zatrzymał obraz. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz Jima Egana, zapominając o bożym świecie. Wreszcie potrząsnął głową nacisnął



przycisk magnetowidu. Przewinął kasetę do początku, wyjął ją odtwarzacza i włożył do nie podpisanego pudełka.

W 1964 roku magazyn „Life” zapłacił Abrahamowi Zapruderowi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za prawa do filmu obrazującego zabójstwo Kennedyego. Ile media zapłaciłyby dziś za coś, co nie tylko dokumentowało sam fakt zabójstwa, ale przede wszystkim było dowodem na to, że strzał padł ze wzgórza? Ile zapłaciliby za dowód na to, że spisek istniał? Cole gotów był się założyć, że co

najmniej parę milionów. A może więcej. Może dużo więcej.

Nagle zaczęły mu się trząść ręce. Rozwiązałyby to wszystkie jego problemy. Stanowiłoby odpowiedź na jego modlitwy.

Kiedy Cole wstał, żeby wyłączyć telewizor, kątem oka zauważył, że ktoś porusza klamką z drugiej strony drzwi. Ciarki przeszły mu po plecach. Zdrętwiały ze strachu utkwiał wzrok w klamce. Przypomniał sobie, że w drodze powrotnej z banku miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Gałka drzwi przekręciła się w prawo. Ktoś pchnął drzwi do środka. Zasuwka uderzyła o metal zamka, ale drzwi nie otworzyły się. Były zamknięte od środka.

- Słucham - zawołał Cole ochryple. Zdał sobie sprawę, że wiele osób chciałoby, żeby kasetą została pokazana publicznie, ale niektórym będzie zależało na tym, aby nigdy nie ujrzała światła dziennego. Ci drudzy zrobią wszystko, aby nie dopuścić do jej ujawnienia. - Pracuję nad prezentacją. Proszę przyjść później.

- Jestem z obsługi - usłyszał kobiecy głos ze słowiańskim akcentem. - Muszę tu posprzątać.

Cole spojrzął na zegarek. Było dwadzieścia po piątej. Zwykle sprzątaczkі zaczynały pracę dużo później, przynajmniej na parkiecie.

- Chcę tylko odkurzyć dywan. To zajmie chwilę - nalegała kobieta.

Cole zawahał się.

- Dobrze - odparł.

Wstrzymując oddech, podszedł cichutko do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał.

Po czym cofnął się o krok, przekręcił zamek i otworzył drzwi na oścież.

Przed nim stała ciemnowłosa kobieta, obok niej plastikowy kubeł na śmieci na kółkach. Kiedy Cole zrobił krok do przodu, kobieta wsunęła rękę pod papierowe ręczniki leżące na pokrywie kubła, po czym, słysząc głosy nadchodzących ludzi, obejrzała się nerwowo. Spojrzała w twarz Cole'a, po czym utkwiała wzrok

20  
w kasecie wideo, którą trzymał w dłoni. Cole'owi zdawało się przez chwilę, że spod papierowych ręczników wystaje coś, co wygląda jak lufa pistoletu.

Zza rogu korytarza wyszło czterech młodych mężczyzn, głośno się śmiejąc.

Cole rozpoznał w nich handlowców z działu zajmującego się papierami Gilchrist.

Uniósł rękę w geście pozdrowienia.

- Witam, panowie - odezwał się już opanowany.

- Cześć, Egan - odrzekł mężczyzna idący na czele. W ręku też trzymał kasetę wideo.

- Co tam macie? - zapytał Cole, wskazując na kasetę.

- Jeden koleś z naszego działu ma w ten piątek wieczór kawalerski. Postanowiliśmy się przygotować psychicznie do tego wydarzenia. - Wcale nie był zбитy z tropu, chociaż pozostali uśmiechali się wstydliwie, kiedy wyszło na jaw, że idą

oglądać film porno. - Dołączysz się?

- Nie, ale dziękuję za zaproszenie. - Cole wyminął ich i skierował się na klatkę schodową.

Handlowiec z kasetą zwrócił się do sprzątaczk:

- A ty, kochanie? Może ty chcesz się do nas przyłączyć?

Kobieta zignorowała pytanie. Odprowadziła wzrokiem Cole'a, który otwierał drzwi na klatkę schodową.

Cole, zamiast iść na górę, na parkiet, pędem skierował się na dół, przeskakując co drugi stopień. Musiał się stąd natychmiast wydostać. Próbuując przeskoczyć cztery schodki naraz, wylądował na ścianie. Prawie nie poczuł bólu przeszywającego lewe ramię. Odepchnął się i ruszył dalej. Może pod ręcznikami nie było żadnego pistoletu? Uznał jednak, że w tej chwili lepiej było zachować przesadną

ostrożność, niż ryzykować życie.

Zatrzymał się dopiero na parterze, przed drzwiami do wyjścia ewakuacyjnego, które prowadziło do głównego holu siedziby Gilchrist. Kobieta na górze mogła współpracować z większą grupą ludzi. Mogła ich już powiadomić, żeby czekali na niego za tymi drzwiami. Cofnął się i otarł pot z czoła. Nie wiedział, co ma dalej

robić. Schody skończyły się. W budynku nie było piwnicy, przez którą mógłby się wymknąć przez nikogo nie zauważony. Spojrzał do góry. A gdyby tak wrócić na któreś z wyższych pięter i stamtąd zawiadomić policję? Obecność pracowników, bo ktoś musiał jeszcze zostać, uniemożliwiłaby napaść.

Kogo jednak chciał oszukać? Kasetę, którą przed chwilą obejrzał, mogła rozpętać międzynarodową burzę. Najpewniej wznowiono by śledztwo w sprawie zabójstwa Kennedy'ego. Jeżeli komuś naprawdę zależało na zdobyciu tej kasety, zabicie paru osób stojących na drodze nie stanowiłoby żadnego problemu. Kobieta udająca sprzątaczkę mogłaby bez wahania zabić ich wszystkich, żeby zdobyć kasetę. Zresztą co powiedziałby policji? Że sprzątaczką o dziwnym akcencie mierzyła do niego z pistoletu? Nowojorscy gliniarze wyśmialiby go.

Parę pięter wyżej trzasnęły drzwi i rozległy się kroki. Ktoś schodził na dół.

Pozostało mu już tylko jedno wyjście. Cole gwałtownie otworzył drzwi i wbiegł do holu. Roilo się tu od ludzi, którzy, chcąc dojechać do domu po długim dniu pracy, czekali na taksówki, metro lub autobusy. Tworzyli jednolity tłum niczym

21  
nie wyróżniających się ludzi. Jednak Cole natychmiast zwrócił uwagę na jedną twarz. Prosto na niego szedł jakiś mężczyzna. Nie zwracał uwagi na potracanych po drodze ludzi. Kiedy Cole zjawił się w recepcji, aby odebrać kopertę od ojca, ten typ już tam siedział z „Wall Street Journal” w ręku. Cole zauważył go, kiedy Anita dowcipkowała o tatuażu na intymnej części ciała. Był to dobrze zbudowany, wysoki, barczysty mężczyzna o jasnej karnacji. Miał różowe policzki. O tym, że nie był młody, świadczyły tylko głębokie kurze łapki wokół oczu i bruzdy wokół

ust. Na głowie miał strączki blond loków, o żółtym odcieniu.

Cole odwrócił się i popędził przez hol. Kiedy spojrzął za siebie, chcąc sprawdzić, czy żółtowłosey idzie za nim, wpadł na młodą kobietę. Jej torebka upadła na marmurową posadzkę i wysypała się z niej cała zawartość. Kobieta wrzasnęła, ale Cole nie zwrócił na to uwagi. W końcu udało mu się precyzyjnie do wyjścia, depcząc przy tym po nogach jakiegoś mężczyzny. Wzdrygnął się, czując mroźne, listopadowe powietrze. Był w samej koszuli, bez płaszcza. Na pewno się rozchoruje. Z ust szła para. Cole rozejrzał się wokoło, po czym biegiem ruszył na połud-

nie, Piątą Aleją. Minął bank Chase, z którego podjął dziś depozyt. Na Czterdziestej

Drugiej ulicy przedarł się w sam środek tłumu czekającego na światłach i wpadł na

zakorkowaną sześciopasmową jezdnię.

Kierowca autobusu zauważył go w ostatniej chwili. Szarpnął ogromną kierownicą w lewo i wcisnął hamulec. Autobus wpadł na kilka znaków drogowych i przewrócił hydrant. Ludzie idący chodnikiem zdążyli uciec.

Cole dotarł do samego środka szerokiej jezdni. Słyszał hałas wody wytryskującej z hydrantu i uderzającej o autobus, krzyki przechodniów, którzy znaleźli się

w zasięgu tego potoku, ale nie odwracał głowy. Nie mógł stracić ani sekundy.

Nagle dotarł do niego piskliwy odgłos klaksonu, uskoczył błyskawicznie, przyciskając do piersi kasetę. Odbił się od przedniej szyby taksówki i ciężko wylądował

na ziemi. Następny nadjeżdżający samochód osobowy skręcił gwałtownie i uderzył w ciężarówkę. Oszołomiony Cole podniósł się na kolana, szukając wzrokiem blondyna po drugiej stronie skrzyżowania. Żółtowłosey zniknął.

Cole wstał, otrzepał się i pobiegł Piątą Aleją. Ludzie rozstępowali się, żeby na nich nie wpadł, a on, przerażony, rozglądał się za jakimś policjantem. Jednak nie widział żadnego w pobliżu. Mimo że nie zauważył blondyna, instynktownie

czuł jego obecność. Rozejrzał się w lewo, w prawo i nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Gwałtownie skręcił w prawo i wbiegł na schody największej filii Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Budynek składał się z dwóch skrzydeł, ale miał tylko kilka

pięter wysokości. Po obu stronach szerokich schodów frontowych pilnowały wejścia dwa imponujące kamienne lwy. Cole minął ludzi niosących książki. Zwolnił trochę przed obrotowymi drzwiami. Strażnik siedzący po lewej stronie zatrzymał na Cole'u podejrzliwy wzrok, ale on minął go bez wahania. Skręcił w prawo. Schodami, przeskakując co drugi stopień, dotarł na drugie piętro. W miejscu, gdzie schody

skręcały o dziewięćdziesiąt stopni, spojrzął za siebie. Po blondynie nie było śladu.

Potruchtał przez hol na drugim piętrze do schodów prowadzących na trzecie i znowu pognął na górę. Kiedy dotarł na ostatnie piętro, ruszył prosto przed sie-

22

bie, po czym skręcił w prawo, do katalogów. Stamtąd skierował się do głównej sali czytelników. Była ogromna - miała wielkość boiska do koszykówki. Wypełniały ją setki osób siedzących za drewnianymi stołami, pogrążonych w lekturze.

Uderzył go stęchły zapach tysięcy starych książek stłoczonych na półkach i zasłaniających całe ściany. Zawahał się przez chwilę, po czym śmiało podszedł do zachodniej ściany, przykląkł i z dolnej półki wyciągnął parę atlasów. W to miejsce włożył kasetę, stawiając ją pod tylną ścianką półki, po czym z powrotem włożył atlasy. Mniej więcej w środku sali zauważył wolne miejsce. Usiadł na drewnianym, wyprofilowanym krześle. Od czasu, kiedy wszedł do czytelników, nie spuścił wzroku z drzwi wejściowych na dłużej niż na parę sekund. Ale blondyn się w nich nie pojawił.

Młoda kobieta studiująca wypłowiła strony starego wydania „New York Timesa” podniosła na niego wzrok. Wróciła do lektury, ale po chwili znowu na

nego spojrzała. Cole doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że rękaw jego białej koszuli zdobi strużka krwi, a na twarzy wystąpiły mu kropelki potu.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała kobieta.

- Jak najbardziej - odpowiedział Cole, nie odrywając wzroku od drzwi wejściowych. - Właśnie skończyłem prawo i czeka mnie egzamin na adwokaturę. To kosztuje sporo nerwów.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie, nie wiedząc, co myśleć o człowieku w zakrwawionej koszuli i o twarzy zlanej potem. Wreszcie wzięła archiwalne wydanie „Timesa”, torebkę i przesiadła się. Od niedawna mieszkała w tym mieście. Ostrzegano ją że pełno tu wariatów.

Cole spojrzał na drzwi. Blondyn wciąż się nie pojawiał. Rzucił okiem na półki, gdzie ukrył kasetę, i z powrotem skupił się na drzwiach. Blondyna nie było.

Cole pochylił się, ukrywając pod stołem zakrwawioną rękę. Wyjął z mankietu onyksową spinkę. Podwinął rękaw i przyjrzał się skaleczeniu. Nie było poważne. Zaczął uciskać drugą ręką miejsce nad raną. Po kilku minutach krew powinna zakrzepnąć.

Ani na chwilę nie oderwał wzroku od wejścia. Może rzeczywiście dał się ponieść wyobraźni? Sprzątaczką z pistoletem! Blondyn ścigający go po Piątej Alei! Teraz, gdy o tym myślał, wydawało mu się to całkowicie absurdalne. Roześmiał się i pokręcił głową. Jęknął, bo ruch głową spowodował skurcz mięśni szyi. Nie dość tego, że sam cierpiał, to jeszcze naraził miasto na paręset tysięcy dola-

rów strat. A wszystko przez wybujałą wyobraźnię. Do diabła z tym! Miał kasetę z zabójstwem Kennedy'ego - kasetę, będącą dowodem istnienia spisku. Miał w ręku wszystkie atuty. Za pieniądze, jakie dostanie za kasetę, mógłby nawet zrekomensować miastu straty. To oczywiście w drugiej kolejności, jak tylko spłaci kre-

dyt na mieszkanie. Ale skąd Gebauer dowiedział się o tym kredycie? No i trzeba uregulować długi, jakie poczynił z powodu braku szczęścia w kasynie. Zostanie

mu pewnie parę milionów.

Kaseta oznaczała miliony dolarów, na których parę osób na pewno chciałoby położyć łapy.

23

Wyprostował się na krześle. Ktoś mógł wiedzieć o tej kasecie i przez lata czekać na otwarcie depozytu. Obsługa w Chase była bardzo skrupulatna i sprawdzała tożsamość klientów. Mieli jego zdjęcie i podpis. Dopiero gdy upewnili się, że to on, pozwolili mu otworzyć skrzynkę. Nawet jeżeli ktoś wiedział o kasecie, musiałby być upoważniony do jej odebrania.

Cole roześmiał się. Chyba rzeczywiście poniosła go wyobraźnia. Jeszcze raz upewnił się, że blondyn nie wszedł do sali. Cole przesiedział tu jakieś piętnaście

minut. Nie zauważył nic podejrzanego. Ostatni rzut oka na salę. Wstał niepewnie i, nie wyciągając kasety z kryjówki, pokuśtykał do drzwi. Miał spuchniętą prawą kostkę. To ten nieszczęsny wypadek, kiedy wpadł na taksówkę na rogu Piątej i Czterdziestej Drugiej.

Pięć minut później zjechał windą na pierwsze piętro i zszedł po schodach prowadzących do drzwi biblioteki. Minał śpiące po obu stronach kamienne lwy. Zamachał ręką na taksówkę.

3

Micki Anderson była piękną, wysoką dziewczyną. Kaskada jedwabistych, złotych włosów spływała jej na ramiona. Miała piękną twarz - szczupłą zmysłową rozświetloną wielkimi, szmaragdowymi oczami. Do tego delikatny nos, pełne usta i nieskazitelną jasną cerę. Ciało miała wysportowane, ale nie pozbawione krągłości. Wyglądała jak doskonały produkt rasy skandynawskiej. W Nowym Jorku takich idealnych kobiet nie brakuje. Można je spotkać na każdej ulicy, są wszędzie, podobnie jak restauracje, taksówki i gołębie.

Pół roku temu Nicki wyprowadziła się z rodzinnego Duluth w stanie Minnesota. Pojechała do Nowego Jorku z zamiarem rozpoczęcia kariery modelki na wybiegach Manhattanu. Spełnienie tego marzenia kosztowało jej niezbyt boga-

tych rodziców większość oszczędności. Potraktowali jednak córkę jako świetną inwestycję, lepszą niż inwestycje giełdowe. Wierzyli, że córka podbije świat mody i zdobędzie sławę jako dziewczyna z okładek. A wtedy zwróci im wszystko z nawiązką.

Nicki odwiedziła kilka najlepszych agencji, ale wszędzie odsyłano ją z kwitkiem. Rodzicom nie napomknęła o tych porażkach ani słowem. Wiedziała, że przysporzyłoby to im siwych włosów. Dwa miesiące temu zaczęła się w końcu w niewielkiej agencji modelek. Miała przed sobą trudną drogę, ale nadzieja jej nie opuszczała.

Cole zajął miejsce w przytulnej kafejce „Emilio”, na uboczu Upper West Side. Obydwoje z Nicki lubili tam wpadać po pracy.

- Cześć, tu jestem - zawołał, kiedy weszła. Zmysły miał wyostrzone. Co chwila rozglądał się dookoła, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi.

- Cześć, Cole. - Nicki przechyliła się nad małym, porysowanym stolikiem.

Ujęła twarz Cole'a w dłonie i delikatnie pocałowała go w policzek. Zawsze witała się z nim w ten sposób, od czasów, kiedy obydwójce byli dziećmi, w Duluth.

Uwielbiał to, bo wiedział, że takie powitanie zarezerwowane jest wyłącznie dla niego. Nawet w stosunku do przyjaciół zachowywała się z rezerwą.

25

- Świetnie wyglądasz - przywitał ją Cole. Miała na sobie luźny sweter i wyblakłe džinsy. Podobał mu się ten bezpretensjonalny styl amerykańskiej dziewczyny.

- Dzięki. - Usiadła i dokładnie mu się przyjrzała. Na jej twarzy pojawiło się zaniepokojenie. - Co ci się stało?

Ukradkiem spojrzął w dół, na rękę, przestraszony, że spod bandaża i granatowego swetra, który kupił po drodze, sączy się krew. Ale nie, nic nie było widać.

- Co masz na myśli?

- Wyglądasz, jakbyś wracał z wojny. Włosy rozczochrane, zlany potem, trzęsą ci się ręce. Nigdy nie widziałam cię w takim stanie. Co się stało?

- Wszystko w porządku - zapewnił. Przecież nie powie jej o szaleńczym bie-



gu przez ulicę ani o tym, że ma rozcięte ramię. Nie było sensu martwić jej wytwo-  
rami jego chorej wyobraźni. Opowie o wszystkim, ale dopiero wtedy, gdy sprzeda kasetę.

- Kolejny ciężki dzień na Wall Street?

- Tak - odpowiedział szybko, nie myśląc o tym, co mówi.

- Och, Cole - Nicki nie poddawała się - wiem, że praca na parkiecie jest stresująca, ale przecież codziennie jakoś sobie z tym radzisz. Musiało się coś stać.

- Jacyś faceci usiłowali okraść mnie na Broadwayu, kiedy tu szedłem. Nie chciałem ci o tym mówić, bo wiem, że przed wyjazdem nasłuchiłaś się o tym, że Nowy Jork to miasto występku. Ale to nic wielkiego.

- Ukradli ci marynarkę? - Wskazała na sweter, uśmiechając się. Cole zawsze nosił marynarkę.

- Dlaczego? Bo jestem w swetrze? - Zmusił się do uśmiechu i poruszył się sztywno na krześle. - W Gilchrist nie działało dziś ogrzewanie. Dlatego włożyłem sweter - skłamał. - Zapomniałem przebrać się przed wyjściem.

- Zawsze w pracy masz zapasowy sweter?

- Otóż tak, mój Sherlocku Holmesie. - Czasami była dociekliwa jak policjant. A kiedy coś ją zaintrygowało, za wszelką cenę musiała uzyskać satysfakcjonujące wyjaśnienie. Próbował zmienić temat. - A tobie jak minął dzień?

- Świetnie. - Odrzuciła do tyłu włosy. - Miałam dziś dyżur w knajpie w czasie lunchu i grzecznie obsługiwałam stoliki, po południu poszłam na parę godzin do siłowni. A kiedy wróciłam do domu, pod drzwiami czekało paru facetów.

- Poważnie?

Przerwało im pojawienie się kelnera, przepasanego białym fartuchem, z długimi włosami związanymi w kucyk.

- Dobry wieczór. Mam na imię Jimmy. Czy zamawiają państwo coś do picia?

- Dla mnie kieliszek merlota - zdecydowała Nicki, uśmiechając się do tego śmiesznego, niskiego i chudziutkiego mężczyzny, który miał włosy tak długie,

jak ona.

- Ja poproszę colę. - Cole nawet nie spojrzął na kelnera.

- Za chwilę podam - rzucił na odchodnym Jimmy.

- Cola? Od kiedy to pijesz ziółka po pracy? Bo nie przypominam sobie, żebyś po ciężkim dniu na parkiecie nie wypił czegoś mocniejszego.

26

- Dziś nie mam ochoty na alkohol. - Nie powinien ani na chwili tracić kontroli, chociaż dobra, mocna szkocka whisky pewnie dobrze by mu zrobiła. I na rozkołatane nerwy, i na nieustanny ból ramienia. - Lepiej powiedz mi o tych face-

tach, którzy czekali na ciebie na klatce.

- Nie czekali na mnie, tylko na ciebie.

- Jak wyglądali? - Cole starał się zachować spokój.

- Jak gangsterzy.

Zamknął oczy.

- Przestań.

- Cole, ja nie żartuję. Mieli na sobie błyszczące marynarki, byli poobwieszani złotem, w przeciwsłonecznych okularach. A już zapadł zmrok. Chcieli rozmawiać z tobą. Powiedziałam im, że nie wrócisz prędko. Stwierdzili, że zaczekają. Jednak kiedy wychodziłam teraz z domu, nie było ich. Byli wobec mnie bardzo uprzejmi, ale kobieca intuicja podpowiada mi, że to tylko pozory. A w ogóle to skąd wiedzieli, że mieszkam u ciebie?

- Czy któryś z nich miał kręcone blond włosy? - Cole zdawał sobie sprawę, że to pytanie znowu rozbudzi podejrzenia Nicki, ale musiał je zadać. - Prawie żółte?

- Nie, obydwaj byli brunetami.

Kelner postawił przed nimi czerwone wino i colę.

- Czy mogę przyjąć zamówienie? - zapytał.

- Nie zajrzeliśmy jeszcze do karty. Zechce pan poczekać parę minut.

- Oczywiście. - Jimmy odwrócił się i podszedł do pary przy stoliku obok.

- Oczekiwałeś wizyty blondyna o kręconych włosach? - Głos Nicki lekko zadrżał, jakby zaczęła się denerwować.

- Nie. - Cole podniósł szklankę do ust i jednym haustem wypił pół zawartości. Miał pragnienie.

- To skąd pomysł, że jeden z nich powinien mieć kręcone blond włosy? - nie dawała za wygraną.

- Po co te wszystkie pytania? - Cole specjalnie udał irytację, aby zakończyć to przesłuchanie.

- Bo się o ciebie martwię - usłyszał w odpowiedzi. - Czy ci faceci z klatki schodowej mają coś wspólnego z tym wydarzeniem sprzed paru tygodni?

Cole westchnął ciężko. Parę miesięcy temu, po ciężkim dniu w pracy, wybrał się na drinka z kolegą z działu obrotu akcjami wewnętrznymi. Wieczór skończyli na Brooklynie w nielegalnym kasynie pod nazwą „Blue Moon”. Cole słyszał, że w Nowym Jorku istnieją lokale dla hazardzistów, ale nigdy wcześniej do takiego miejsca nie trafił. „Blue Moon” był prywatnym klubem. Można tam było grać w kości, pokera, oczko. Skąpo odziane kelnerki roznosiły darmowe drinki. Lokal przypominał ekskluzywny klub w Las Vegas czy Atlantic City, z jednym wyjątkiem: „Blue Moon” był całkowicie kontrolowany przez mafię, która oferowała kredyt każdemu, komu nagle w trakcie gry zabrakło gotówki. Oczywiście po to, żeby hazardzista nie przerywał gry. A jeżeli potem mieli kłopot ze ściąganiem długu, gotowi byli wpakować klientowi kulkę w łeb.

27

Przez parę ostatnich miesięcy Cole był stałym bywalcem „Blue Moon”. Dwa, trzy razy w tygodniu brał taksówkę i jechał przez East River, by przy grze w kości uwolnić się od stresu po nieudanym dniu na giełdzie. Wystarczyło raz zapukać i stare, piwniczne, rozwalające się drzwi otwierały się ze skrzypieniem. Jeden krok i z ubogiej brooklyńskiej ulicy dostawał się człowiek w świat tandetnego zbytku. Kamery śledziły każdy twój krok po schodach pełnych śmieci. Jeżeli by-

leś dobrym klientem, ludzie obserwujący cię na ekranach dawali sygnał ochroniarzom pilnującym wejścia, żeby cię wpuszczli. Cole'a zawsze wpuszczano, był mile widzianym klientem; sporo tu zostawił.

Przed dwoma tygodniami ludzie z „Blue Moon” definitywnie zażądali od Cole'a spłaty pięciu tysięcy dolarów. Była to niewielka część kredytu, który tam

zaciągnął, wynoszącego w sumie sto tysięcy dolarów. Była późna noc, a on miał w portfelu dokładnie tyle, ile trzeba na taksówkę do domu na Manhattan. Nie mógł skorzystać z bankomatu, bo już przekroczył limit wypłaty dziennej. Zresztą i tak miał na koncie tylko parę dolarów. Ostatnio żył od wypłaty do wypłaty.

Byczki, które go otoczyły w bocznej sali „Blue Moon”, nawet nie zamierzały tego słuchać. Chcieli pieniędzy. Nicki była jedyną osobą na którą mógł liczyć.

Wiedział, że zawsze trzyma w domu trochę gotówki, a gdyby to nie wystarczyło, może podjąć z karty ATM. Godzinę później Nicki przyjechała na Brooklyn z uzbieranym tysiącem dolarów. Faceci zgodzili się na tysiąc, ale dali Cole'owi do zrozumienia, że będzie dla niego lepiej, jeśli wkrótce pojawi się z czterema tysiącami.

W drodze powrotnej, w taksówce, Cole zaproponował Nicki, żeby nie płaciła za następny miesiąc wynajmowania mieszkania, co wynosiło dokładnie tysiąc dolarów. I będą kwita. Zaakceptowała tę propozycję i do tej pory nie wspomniała o całej sprawie. Miał nadzieję, że zapomniała o tym zajściu.

- Przepraszam cię za tamto - wymamrotał, potrząsając głową. - Naprawdę, jest mi przykro.

- Nic się nie stało. Po prostu martwię się o ciebie. - Jej głos stał się miękki i pełen troski. - Tylko o to mi chodzi.

- Nic mi nie jest.

Nicki wiedziała, co kryje się za takimi słowami. Cole zawsze tak mówił, kiedy zaczynał się nad sobą uzalać.

- Nic ci nie jest? A więc pan Cole Egan znowu niczego od nikogo nie potrzebuje?

- Nie zaczynaj - ostrzegł ją żartobliwie. - Chciałem ci dziś...
- Co chciałeś? - Czują, że to miało być coś ważnego. - Coś chciałeś powiedzieć?
- Nie, nic. - Przez moment zamierzał powiedzieć jej o śmierci ojca, ale sam jeszcze nie przyzwyczał się do tej myśli. Potrzebował więcej czasu.
- Po prostu, jak zwykle, nie przyjmujesz żadnej pomocy. To pewnie taka męska duma.
- Przecież dwa tygodnie temu pożyczyłem od ciebie tysiąc dolarów - przypomniał Cole.

28

- Nie mam na myśli pomocy finansowej. Mówię o czymś dużo ważniejszym. Mówię o wsparciu drugiej osoby na której możesz polegać, kiedy masz zły dzień, kiedy coś się dzieje.

- Mhm. - Cole odwrócił wzrok.

Nicki wolno sączyła czerwone wino.

- Cole, nie znoszę przekazywać złych wiadomości, ale dostałeś dziś list z firmy kredytującej twoje mieszkanie. Był napis „Pilne”, więc pozwoliłam sobie otworzyć. Nie przez wścibstwo. Po prostu pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć, co w nim jest.

- No i co tam było?

- Chcą natychmiastowej spłaty kredytu. Jeśli nie, grożą sprawą sądową.

Cole podrapał się w głowę, uśmiechnął się z przymusem i skinął na kelnera.

- Jednak poproszę o wsparcie. - „Małe, ale wysokoprocentowe wsparcie” - pomyślał. - Jimmy, szkocka z lodem - krzyknął do kelnera, stojącego w drugim końcu kafejki.

Jimmy udał się do baru i szybko wrócił z napojem.

- Proszę bardzo.

Cole wziął szklanekę z rąk kelnera. Może to nie najlepszy pomysł, ale do diabła z tym. Kiwnął głową do Nicki i wzniosł toast:

- Za tworzenie historii.

- Co to za toast? - zapytała.

- Uniwersalny.

Nicki pokręciła głową.

- Nie wiem, jak ty to robisz.

- O co ci chodzi? - zapytał, stawiając szklankę na stoliku.

- Jesteś w poważnych kłopotach finansowych, a sprawiasz wrażenie, jak gdyby to cię w ogóle nie martwiło. Nie wiem, jak możesz zachowywać taki spokój.

Obydwoje zawsze byli wobec siebie szczerzy. Zwierzali się sobie nawzajem ze wszystkich kłopotów. On opowiadał jej o długach w kasynie, nie spłaconym kredycie, pustym koncie w banku i fatalnych perspektywach w Glichrist. Ona mówiła mu o swoich problemach ze znalezieniem agencji.

- Nicki, za sto lat nikt nawet nie będzie wiedział, że tu byliśmy.

- Gdzie, w „Emilio”? - Na jej twarzy odmalowało się zaciekawienie. - Co to ma do rzeczy?

- Nie chodzi mi o „Emilio”.

- Aoco?

- O „tutaj” w ogólniejszym sensie. - Uśmiechnął się szeroko; na policzkach pojawiły mu się dołeczki. - Nikt nie będzie wiedział, że istnieliśmy na tej ziemi.

Tym razem Nicki zamrugła oczami rozdrażniona.

- Teraz już jestem pewna, że coś jest nie tak, skoro masz taki wisielczy nastrój.

- Nie całkiem rozumiem.

- Chodzi mi o to, że za każdym razem, kiedy dzieje się coś złego, popadasz w egzystencjalną melancholię. To twój patent na to, żeby uciec od problemów.

29

- To nieprawda - zaproponował, po czym łyknął szkockiej.

- Codziennie wszystko stawiasz na jedną kartę i nigdy nie oglądasz się za siebie - ciągnęła wykład Nicki, nie zwracając uwagi na protest. - Wygrana nie ma dla ciebie żadnej wartości, jeżeli nie zaryzykowałeś. A ponieważ nikt nie wie,

czy

ten dzień nie jest naszym dniem ostatnim, uważasz, że wszystko należy postawić na jedną kartę, bo i tak, kiedy odejdziemy, nie pozostanie po nas żaden ślad. To jest właśnie filozofia, „kuszenia losu”, „pójścia na całość”, która zainfekowała twój umysł. Zawsze taki byłeś. - Nicki bawiła się serwetką. - Przyjdzie czas, że to cię zgubi.

- Nie ma mowy. - Cole, nie spuszczać z niej wzroku, napił się whisky.

Boże, jakaż ona piękna. - Wszystko będzie dobrze. - Jeżeli tylko kasetka jest na swoim miejscu - pomyślał.

Nicki pokręciła głową.

- Wiesz, Cole, ty uwielbiasz dramatyczne sytuacje, z których, zdawałoby się, nie ma wyjścia, a ty jednak zawsze wychodzisz z nich cało. Zwycięstwo ma tym słodszy smak, im mniej było szans na wygraną. Zresztą sam mi to powiedziałeś, pamiętasz? W Święto Czwartego Lipca, przed twoim wyjazdem do Nowego Jorku, na pokazie sztucznych ogni nad jeziorem. - Uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy. - Sam wiesz, że jesteś wariatem.

- Tego bym o sobie nie powiedział.

- Niestety wiem, że mam rację. A na dodatek masz skłonność do autodestrukcji.

- Ja zaś uważam, że ukończyłaś za dużo kursów psychologicznych.

Nicki podniosła kieliszek do ust, ale po chwili zaczęła mówić dalej:

- To wszystko wina twojego przeklętego ojca - ciągnęła, ignorując uwagę Cole'a. - Gdyby po śmierci twojej matki nie zostawił cię pod opieką wujostwa, byłbyś

normalnym, przystosowanym do życia człowiekiem. - Zawahała się i uśmiechnęła przekornie. - Tak, tak, nie byłbyś takim wariatem. - Roześmiała się, pochyliła się

nad stołem i cmoknęła go w policzek. - Ale gdyby ojciec nie wysłał cię do Duluth,

nigdy byśmy się nie spotkali. A ty nie miałbyś w sobie tego straceńczego

ryzykanc-

twą, które tak się podoba kobietom.

Cole wpatrywał się w nią intensywnie. Była piękna i inteligentna. Niesamowicie go pociągała. Zawsze to czuł. On też jej się chyba podobał. Jednak nigdy nie doszło między nimi do niczego, nawet kiedy sprowadziła się do Nowego Jorku. Po prostu razem mieszkali. Jej rodzina była w Duluth sąsiadami jego wujostwa. Kiedy przyjechała do Nowego Jorku, on - jak dawniej - odgrywał wobec niej rolę starszego brata. Miał chronić niewinną dziewczynę z Midwestu przed niebezpieczeństwami wielkiego miasta. Ona dokładała się do mieszkania, płaciła tysiąc dolarów miesięcznie. Jej obecność motywowała Cole'a do spłacenia tego mieszkania.

Cole sęczył whisky. Być może właśnie to była przyczyna. Może obydwójce obawiali się tego związku ze względu na przeszłość. Nie chcieli zniszczyć wspólniejszej przyjaźni. Być może chodziło też o to, że ona była od niego młodsza aż o pięć lat. Zawsze uważał ją za młodszą siostrzyczkę. Kiedy zaczynał studia, była

30

jeszcze dzieckiem. Jednak teraz chyba są w takim wieku, że ta różnica nie ma znaczenia. Cole uśmiechnął się pod nosem.

Jeszcze jeden łyk szkockiej.

- Pójdźmy dziś na randkę - nieoczekiwanie złożył śmiałą propozycję. Umawiali się już wcześniej, ale zawsze było to w większym gronie. - Tylko ty i ja. Nicki patrzyła na kogoś przy barze. Słyszając słowa Cole'a, uśmiechnęła się nerwowo.

- Chyba się przesłyszałam.

- Pójdźmy razem na randkę - powtórzył. - Na prawdziwą randkę, nie przyjacielskie spotkanie.

- A zwolnisz mnie z opłat za wynajęcie mieszkania? - zapytała przebiegle.

Po czym rozejrzała się dookoła, czy nikt tego nie usłyszał, jak gdyby sama się zdziwiła, że zażartowała w taki sposób.



- Oczywiście że nie. Jedna randka nie zwalnia ze zobowiązań finansowych.

- W takim razie dziękuję bardzo! - roześmiała się głośno i złapała go za ramię.

Ból przeszył całą rękę, aż do barku. Nie udało mu się powstrzymać jęku i natychmiast cofnął rękę. Chwyliła go dokładnie w zranione miejsce; nie potrafił ukryć bólu.

- Wszystko w porządku? Przepraszam.

- Nic mi nie jest, Nicki - powiedział spokojnie. - Co z naszą randką? Mam dziś jeszcze pewną misję do spełnienia, ale możemy się umówić później. - Ból powoli ustępował.

Wbiła wzrok w stolik.

- Umówiłam się już z Marią.

Cole sięgnął po drinka. Maria też była modelką prawie tak ładną jak Nicki.

Razem stanowiły uderzająco piękną parę. Od czasu przyjazdu do Nowego Jorku Nicki zaprzyjaźniła się z tylko jedną osobą - Marią. Przez ostatnie dwa miesiące prawie się nie rozstawały. Dziwny układ. Kiedy byli we trójkę, Maria odnosiła się

do niego chłodno, z dystansem. Zaś w stosunku do Nicki była bardzo opiekuńcza.

Zmarszczył czoło. Ten drań, Lewis Gebauer, zrobił dziś idiotyczną uwagę o ukochanej Cole'a, która rzekomo woli dziewczynki. Musiało mu chodzić o Nicki i Marię. Cole pokręcił głową. To niemożliwe. No, ale Gebauer wiedział też o tym, że Cole nie dostał premii, i o kredycie na mieszkanie. A w zeszłym tygodniu, kie-

dy Cole rano szedł pod prysznic, natknął się na Marię. Powiedziała, że spała na kanapie w salonie, a teraz szła do pokoju Nicki pożegnać się przed wyjściem.

Wydała mu się jednak jakaś zdenerwowana.

Nagle Cole zauważył za oknem żółtą, kędzierzawą głowę przechodnia. Zerwał się z krzesła i pobiegł do drzwi. Jednak kiedy wyjrzał na ulicę, po przechod-

niu nie było już ani śladu.

- Co się dziś z tobą dzieje? Zachowujesz się, jakby coś cię ugryzło.

Cole odwrócił się. Za nim stała Nicki, która też wyszła z kawiarni.

- Wszystko w porządku? - Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

- Tak, w porządku - powiedział, głowiąc się, jak teraz ma się jej wytłumaczyć.

31

- Dlaczego wybiegłeś?

- Zdawało mi się, że to szedł Mick Jagger - wyjąkał. - Chciałem poprosić go o autograf. Dla ciebie. Ale okazało się, że to nie on.

- Cole, nie przepadam za Rolling Stonesami. Są trochę przedpotopowi, więc nie jestem zawiedziona, że to nie był on. - Nie całkiem wierzyła Cole'owi, ale uznała, że nie warto sobie zawracać tym głowy. - W każdym razie to miło, że o mnie pomyślałeś.

- To dobrze.

- Cole?

- Tak? - Spojrzał jej w oczy. Była tak młoda i niewinna, a przy tym miała w sobie tyle ciepła. Krwiożerczy świat modelek nie zepsuł jej, przynajmniej na razie. Była tą samą śliczną dziewczynką którą pamiętał z Duluth.

- Cieszę się, że zaprosiłeś mnie dziś na randkę - powiedziała miękko. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek to zrobisz.

- Więc idziesz?

Skinęła głową.

- Oczywiście. Zadurzyłam się w tobie na zabój, kiedy miałam dziesięć lat.

Ileż łez wtedy wylałam. Od tego czasu jest tylko gorzej. Bardzo mi na tobie zale-

ży. To między innymi dla ciebie przyjechałam do Nowego Jorku.

- Dlaczego wcześniej nie dałaś mi tego do zrozumienia? Oszczędziłabyś mi sporo stresu. - Roześmiał się głośno, z ulgą. - Męczyło mnie to od czasu, kiedy się sprowadziłaś.

- Chyba jestem nieśmiała. - Zawahała się. - I nie mogłabym znieść myśli, że mi odmówiłeś.

- Ja miałbym tobie odmówić! A co z Marią?

- Nie ma problemu. Zadzwoń do niej i odwołam spotkanie. Miała przyjść do mnie po kolacji. - Nicki spojrzała na zegarek. - Pewnie zastanę ją jeszcze w domu, na Village.

- Zadzwoń do niej na komórkę - zaproponował Cole.

Nicki potrząsnęła głową.

- Maria nie nosi ze sobą komórki. Ma na ten temat takie samo zdanie, jak ja.

Nie chce być uchwytna zawsze i wszędzie. Nie cierpię ludzi, którzy idą chodnikiem albo siedzą w metrze z telefonem przy uchu.

Cole pokiwał głową. Nicki nie potrzebowała telefonu komórkowego, żeby zaimponować innym.

Nicki ujęła twarz Cole'a w swoje dłonie.

- Pocałuj mnie.

- Teraz?

- Tak. Jednak chyba nie jestem aż tak nieśmiała. Może...

Cole nie pozwolił jej skończyć. Objął jej szczupłą talię ramionami, przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie. Tak długo skrywane uczucie wybuchło nagle i gwałtownie na chodniku w Nowym Jorku, daleko od spokojnego Duluth, gdzie się zaczęło. Wreszcie oderwał się od niej. Nigdy żaden pocałunek nie sprawił mu większej przyjemności.

32

- Nicki, teraz muszę załatwić pewną sprawę, ale to nie potrwa długo. Usiądź przy barze i zaczekaj tu na mnie.

- Zaczekam w domu.

- Nie!

Spojrzała na niego zdziwiona, że tak gwałtownie zareagował na jej słowa.

- Dlaczego nie?

- Wolę, żebyś została w „Emilio”. - Tym razem mówił o wiele spokojniej. -

Kawiarnia jest bliżej miejsca, do którego muszę iść. Tak będzie szybciej.

- Chciałam włożyć na siebie coś ładnego.

Cole przesunął palcami po jej długich blond włosach, i przyciągnął ją do siebie.

- Wyglądasz zachwycająco - wyszeptał do ucha Nicki. - Bądź taka dobra i zaczekaj tutaj.

O dziewiętnastej dwadzieścia pięć, parę minut przed zamknięciem biblioteki, młody człowiek, który sprawiał wrażenie pochłoniętego lekturą Encyklopedii świata, wstał z za długiego stołu i schował do plecaka zeszyt z notatkami. Plecak zarzucił na ramię i spokojnie zbliżył się, do zachodniej ściany. Był niewysoki, na

głowie miał naciśniętą na oczy baseballówkę drużyny New York Yankees.

Kiedy dotarł do regału, ukląkł i wyciągnął parę atlasów z półki. Delikatnie położył je na podłodze i wyjął ukrytą tam kasetę wideo. Kasetę wrzucił do plecaka, po czym rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Wstał z kolan i odszedł niespiesznie. Nie pojechał na dół windą tak jak zrobił to Cole. Wolał zejść po schodach, by móc obserwować wszystko dookoła.

Szedł na dół, rytmicznie kiwając głową i cicho pogwizdując, jak gdyby wczuwał się w piosenkę, której słuchał na walkmanie. Ale uważny obserwator zauważyłby, że klawisz „PLAY” nie był wciśnięty. W słuchawkach nie było żadnego dźwięku, ponieważ musiał zachować szczególną czujność.

Nie przyszło mu do głowy, że strażnik będzie chciał obejrzeć kasetę. Kasety wypożyczone z biblioteki były specjalnie oznaczone. Rozejrzał się nerwowo, czy nikt go nie obserwuje. Nie zauważył niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Strażnik włożył kasetę do pudełka i wrzucił ją z powrotem do plecaka. Chłopak uśmiechnął się pod daszkiem swojej jankeskiej czapeczki, zapiął zamek kurtki, chwycił plecak i opuścił budynek. Kiedy minął kamienne lwy, skręcił w prawo, później z Piątej Alei znowu skierował się w prawo, w Czterdziestąulicę.

Szedł

nią aż dotarł do parku Bryant. Właściwie był to spory skwer, okolony wysokimi wiązami, których szpaler zaczynał się z tyłu biblioteki i ciągnął aż do Szóstej Alei. W letnie wieczory park wypełniony był ludźmi, którzy przychodzili oglądać występy komików i muzyków. Ci ostatni występowali na scenie wzniesionej w za-

chodniej części parku. Dziś, w chłodny jesienny wieczór, nie było tu żywej duszy.

Panował mrok. Młodzieniec w baseballówce przebiegł przez trawnik. Zaczęło mżyć, ale był już prawie w domu.

Kiedy dotarł do końca parku, poszedł skrótem przez polankę zarośniętą bluszczem i niskimi drzewami. To był błąd. Cios metalowym prętem w tył głowy zgru-

3 - Depozyt

33

chotał mu czaszkę, która zapadła się w głęb razem z kawałkami skóry i włosów. Upadł na pierś. Ręce wyrzucone do przodu kurczowo zacisnęły się na kłęczach bluszczu. Zdołał przeczołgać się parę centymetrów do przodu, zanim z żalonym jękiem zamknął oczy na zawsze. Agent Graham leżał bez ruchu, ściskając w dłoniach mokre, zielone liście.

Blondyn nawet nie zdjął mu z ramion plecaka. Pochylił się nad ciałem, odpiął sprzączki, włożył ogromne dłonie do środka i wydobył pudełko z kasetą. Otworzył je. Z kieszeni skórzanego płaszcza wyjął latarkę, nie zwracając uwagi na to, że ktoś mógłby go zauważyć. A stał nad martwym człowiekiem. Zapalił latarkę, by przyjrzeć się kasecie. Wąskie usta rozciągnęły się w uśmiechu, odsła-

nając szparę po wybitej dolnej jedyńce. Zgasił latarkę, schował ją do kieszeni płaszcza. Zamknął pudełko i przycisnął je do piersi. Odwrócił się i zniknął we mgle.

4

Jeń generał Avery Zahn, zastępca dyrektora Agencji Wywiadowczej Obrony Narodowej, siedziałwnieco za małym jak na jego rozmiary, foteliku pod drzwiami Gabinetu Ovalnego. W młodości grał w drużynie koszykówki Amerykańskiej Akademii Wojskowej. Mimo że miał teraz pięćdziesiąt pięć lat, zachował szczupłą sylwetkę z lat młodzieńczych. Był wysoki i miał charakterystyczne, odstające prawie pod kątem prostym uszy. Te uszy stanowiły przedmiot niekończących się żartów. Jednak Zahn nie przejmował się dowcipami na swój temat. Nauczył się

przyjmować upokorzenia ze stoickim spokojem, a nawet stało się to dla niego bodźcem do zdobywania kolejnych szczebli w karierze wojskowej.

Drzwi Gabinetu Ovalnego uchyliły się nagle i ukazała się w nich głowa Erica Walsh, szefa biura prezydenta.

- Czekamy na pana - Walsh tonem głosu podkreślił, kto tu jest ważny.

Zahn sztywno skinął głową i wstał. Walsh był typem karierowicza, nosił drogie garnitury i błyszczące krawaty, a swoje BMW parkował tuż pod drzwiami zachodniego skrzydła Białego Domu. Był niski i drobny. Ciemne włosy miał zawsze doskonale ostrzyżone, na nosie okulary w szylkretowej oprawce. Nie krył samozadowolenia. Zahn, wchodząc do gabinetu, skłonił głowę - nawyk wieloletniego oddawania honorów. Musiał tolerować Walsh, skoro chciał się widzieć z prezydentem.

Richard Jamison, prezydent Stanów Zjednoczonych, rozmawiał przez telefon. Wskazał Zahnowi czarne krzesło po lewej stronie wielkiego biurka. Było to krzesło przewodniczącego, z jakimś mottem wyrytym złotymi literami na oparciu.

Walsh usiadł po prawej stronie prezydenckiego biurka. Jamison stał, patrząc w ogromne okno. Słońce już zaszło, było ciemno. Jamison czarował kogoś po drugiej stronie linii. Zahn nie znosił Walsh w tym samym stopniu, w jakim lubił Jamisona. Lubił go nie dlatego, że przypadł mu do gustu, ale dlatego, że po prostu

nie wypadalo inaczej. Prezydent osobiście mianował Zahna zastępcą szefa Agen-

35  
cji Wywiadowczej Obrony Narodowej. W rezultacie kariera wojskowa Zahna rozkwitła na nowo. Zahn wiedział, dlaczego prezydent spośród wielu zasłużonych kandydatów wybrał właśnie jego, ale nie przejmował się tym. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Jamison był wysokim, opalonym, lekko siwiejącym na skroniach mężczyzną. Miał wygląd i maniery gwiazdora. Był niezwykle elokwentny, choć nie zawsze do końca szczerzy. Zahn wzruszył ramionami. Pewnie bez tego żaden polityk nie

odniesie sukcesu.

- Dziękujemy za poparcie, senatorze - Jamison kończył uprzejmie rozmowę.

- Proszę pozdrowić Alice i dziewczynki. - Kiwnął kilka razy głową uśmiechając się do słuchawki. - Dobrze, do widzenia. - Uśmiech nagle zniknął. Prezydent odłożył słuchawkę na widełki i spojrzał na Walsha. - Eryku, nasz przyjaciel, senator z Michigan to nadęty bufon.

Walsh zasłonił dłonią usta, aby ukryć uśmiech. Podczas kameralnych spotkań w Gabinetcie Owalnym Jamison nie przebierał w słowach. Jaskrawie kontrastowało to z obrazem prezydenta stworzonym dla opinii publicznej.

- A jego żona jest brzydka jak noc - Jamison mrugnął do Walsha. - I jeśli mam dobre informacje, w czasach studenckich była pucharem przechodnim.

Tym razem Walsh nie krył śmiechu.

Zahn bezmyślnie bawił się beretem, który trzymał na kolanach. Śmiech Walsha wyrwał go z zamyślenia. Podniósł głowę i zobaczył, że prezydent utkwił w nim wzrok.

- Witaj, generale - odezwał się prezydent jowialnie.

- Dzień dobry, panie prezydencie. - Zahn był niemal pewien, że kiedy tylko opuści Gabinet Owalny, prezydent i Walsh zaczną sobie stroić żarty z jego uszu. Nie szkodzi. W końcu to za sprawą Jamisona jego kariera wojskowa zaczynała nabierać realnych kształtów.

- Jak się pan miewa, generale? - zapytał prezydent.

- Dobrze.

- Widzę, że jest pan jak zwykle rozmowny.

Walsh znowu zachichotał.

Zahn poczuł się nieswojo. Poruszył się na krześle. Poczuł, że pot zaczyna mu spływać po plecach.

- Do rzeczy. - Jamison złożył ręce na blacie biurka i głośno przełknął ślinę.

Zahn zawsze zachowywał się tak, jakby połknął kij od szczotki. Nie można było oczekiwać, że nagle przerodzi się w lwa salonowego.

Kątem oka Zahn zauważył, że kiedy prezydent zmienił ton, Walsh też spo-

ważniał.

- Proszę o sprawozdanie z operacji „Śnieżyca” - szorstko polecił prezydent.

- Szczególnie interesują mnie postępy z ostatniego tygodnia.

- Oczywiście, panie prezydencie - Zahn odzyskał pewność siebie. Skończyła się bezsensowna gadanina, w której nigdy nie był mocny. Teraz mógł przedstawić wyniki swojej pracy. - Dziś wieczorem dostaniemy to, czego szukamy. Nasz informator, o którym wspomniałem, przekazał mi, że dziś wczesnym popołudniem

Cole Egan udał się do filii Banku Chase na Manhattanie, na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Trzeciej ulicy, i wyjął zawartość depozytu. Mamy podstawy, aby sądzić, że tego właśnie szukamy.

Prezydent rozsiadł się na krześle. Przez chwilę w zamyśleniu gryzł końcówkę złotego pióra firmy Cross.

- Czy jest pan tego pewien, generale? - Prezydent najwyraźniej był zdziwiony, że sprawa została zakończona tak szybko. Trzeba przyznać, że Zahn działa efektywnie. Dobrze, że właśnie jemu powierzono kierowanie tą akcją.

- Tak, panie prezydencie, jestem pewien.

Prezydent pochylił się nad biurkiem.

- Zdaje pan sobie sprawę, jak ważna jest dla mnie ta akcja.

- Tak, panie prezydencie. - W obecności prezydenta Zahn zachowywał się jak tresowany piesek.

Dłuższa chwila ciszy świadczyła o tym, że prezydent przyjął do wiadomości zaskakująco dobrą wiadomość. Zahn zaczął się lekko kiwać na krześle. Było to niekontrolowane zachowanie, które świadczyło o tym, że Zahn ma zamiar dodać, jego zdaniem, dowcipny komentarz.

- Ironia losu. - Zahn zarechotał. - Prawda, panie prezydencie? Mam na myśli całą tę sprawę.

Prezydent zmrużył oczy.

- Rzeczywiście - syknął. Nie miał ochoty wysłuchiwać takich uwag.

Walsh pokręcił głową. Jakimż idiotą jest ten Zahn.



Zahn żałował, że zdobył się na ten komentarz.

- Generale, mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Poinformowałem mojego współnika, że to, czego szukamy, niedługo znajdzie się w naszych rękach. Był zadowolony z takiego obrotu sprawy. - Jamison pogroził Zahnowi palcem. - I wolałbym, żeby się nie rozczarował - dodał z pogrózką. - Nie możemy sobie na to pozwolić.

- Rozumiem, panie prezydencie. - wykrztusił Zahn.

- To dobrze. Proszę zawiadomić mnie natychmiast, jak tylko zdobędzie pan tę rzecz. Może pan dzwonić do Walsh'a o każdej porze dnia i nocy. - Jamison wskazał na szefa swojego biura. - To wszystko, panie generale.

- Tak jest. - Zahn podniósł się i opuścił gabinet. Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

- Co pan na niego ma? - zapytał Walsh z przebiegłym uśmiechem, błakającym się w kącikach ust. - Dlaczego jest tak przerażony?

Prezydent wstał z krzesła. Odwrócił się, spojrzął w mrok za oknem.

- Generał Zahn pochodzi ze znamienitej, ale bardzo konserwatywnej rodziny z południa. Od dwustu lat mieszkają w Charleston, w Południowej Karolinie. - Jamison rozluźnił jaskrawoczerwony krawat. - Wszyscy mężczyźni są tam dżentelmenami, a panie damami.

- Co z tego? - przerwał mu zniecierpliwiony Walsh. Był jedynym człowiekiem w Waszyngtonie, któremu uchodził na sucho tak impertynencki ton wobec prezydenta.

37

- Rzecz w tym, że generał raz w miesiącu zdradza swoją żonę. To jeszcze nie wszystko. Każdemu zdarza się skok w bok. Jednak generał robi to z dziewiętnastoletnim kadetem z Cytadeli. Miałby się z czego tłumaczyć przed śmietanką towarzyską w Charleston.

Walsh pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Posiadając taką informację, można manipulować człowiekiem.

- Tak, a on nawet nie zadaje żadnych pytań. - Jamison odwrócił się gwałtow-

nie od okna.

- A więc dlatego poinformował go pan o szczegółach. - Jamison często nie ujawniał motywów swojego postępowania, nawet szefowi swojego biura. Teraz stało się jasne, czym kierował się prezydent przy awansie Zahna.

- Do diabła, dlatego właśnie mianowałem go zastępcą dyrektora Agencji Wywiadowczej Obrony Narodowej, i dlatego uczyniłem go odpowiedzialnym za tę akcję. Nasz przyjaciel przygląda się bacznie postępom w sprawie. Gdybym powierzył tę misję komuś innemu, zasypano by mnie pytaniami. Z Zahnem mogę mówić otwarcie. Jestem pewien, że będzie milczał jak grób. Współpraca z ukrytymi homoseksualistami ma pewne zalety, a szczególnie z tymi, którzy majążony i dzieci.

- Hmm. Myśli pan, że musimy kontynuować tę akcję?

- Nie mam cienia wątpliwości - odpowiedział prezydent z przekonaniem. -

Wie pan, jak bardzo mi zależy na drugiej kadencji, a nie mam wystarczającego wsparcia finansowego, w każdym razie takiego, jakie będzie miał mój rywal. Nie mam też czasu na spotkania przy kawie i kolacje. Poza tym w dzisiejszych czasach trzeba bardzo uważać, skąd pochodzą pieniądze. Nie mogę też liczyć na to, że uda mi się zdobyć dostateczne fundusze, aby wygrać reelekcję. - Jamison usiadł

na krześle. - Potrzebuję głosów, Eryku. A to, co robimy, zapewni mi ogromne poparcie. Tak jak to było za pierwszym razem, w 1960 roku. - Jamison przypomniał sobie uwagę Zahna o ironii losu. Generał nawet nie podejrzewał, jak bardzo miał rację.

- Ale to pan sprawuje urząd - szukał argumentów Walsh. - Trzymając ten kurs, z pewnością wygra pan reelekcję w przyszłym roku.

- Niech pan to powie Jimmy'emu Carterowi albo George'owi Bushowi - powiedział cicho prezydent z oczami utkwionymi w blacie. - Zresztą teraz już nie mogę zmienić zdania. Mój przyjaciel byłby niezadowolony.

Walsh z rezygnacją pokiwał głową.

- Już jesteśmy razem w łóżku, więc nic się nie stanie, jak będziemy się ko-

chać - dodał prezydent.

- Pewnie tak - zgodził się Walsh.

Prezydent podniósł na niego wzrok, starając się zmienić temat.

- Jak poszły dzisiejsze przesłuchania na stanowisko prokuratora generalnego?

Walsh machnął ręką jakby przeganiał muchę.

- Ach, ci senatorzy z komitetu! Wytknęli jej niedociągnięcia w protokole z obserwacji kasyn, jaki sporządziła wówczas, kiedy była zastępcą prokura-  
38

tora generalnego w New Jersey. Ale w końcu dadzą jej poparcie. Mamy te głosy. Za parę dni na pewno otworzymy szampana i wzniesiemy toast za jej nominację.

Prezydent uśmiechnął się.

- To dobrze. - Wszystko szło zgodnie z planem. Jego przyjaciel będzie zadowolony.

5

Tuż przy wejściu, w holu głównym, na parterze, za długim biurkiem siedział strażnik. Ubrany był w prosty, jasnoszary garnitur - oficjalny mundurek personelu ochrony w Gilchrist & Company. Pod marynarką, w skórzanym futerale, miał pistolet, trzydziestkęósemkę. Kiedyś ludzie ci byli funkcjonariuszami policji

nowojorskiej, dziś pracowali jako ochroniarze. Nigdy się nie uśmiechali. Rzadko zamienili słowo z kimś z cywilnego personelu firmy. Ze swoich obowiązków wywiązywali się bez zarzutu.

Cole wpisał się do księgi rejestru wchodzących do budynku Gilchrist poza godzinami pracy. Uniósł w górę kartę identyfikacyjną ze zdjęciem. Strażnik sztyw-

no skinął głową. Cole podszedł do wind. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Kiedy znów zaprowadził Nicki do „Emilio”, pocałował ją na pożegnanie, złapał taksówkę i przyjechał tu, do Gilchrist. Jak tylko skończy to, co miał

tutaj

zrobić, wróci do „Emilio”. Cole uśmiechnął się do siebie. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu będą razem. Dziś w nocy powiedzą sobie w końcu tyle rzeczy. Rzeczy, które zawsze chcieli powiedzieć, ale nigdy tego nie zrobili.

Winda zatrzymała się na ósmym piętrze. Na korytarzu panował półmrok. Cole wyszedł z windy i drzwi zamknęły się za nim. Otoczyła go niczym nie zmacona cisza. Tylko ledwie dosłyszalnie brzęczały nie zgaszone jeszcze lampy jarzeniowe. Przeszedł przez szklane drzwi prowadzące do biur, skręcił w prawo. Długim korytarzem skierował się do sali telewizyjnej, tej samej, w której dziś po południu obejrzał kasetę.

Zatrzymał się nagle w połowie drogi. Zdawało mu się, że jakiś cień poruszył się w końcu korytarza. Zmrużył oczy. Znowu coś się poruszyło. Głośno przełknął ślinę. Okazało się, że to miga zepsuta żarówka. Zachowaj spokój - powiedział do siebie. - Nie pozwól, żeby zapanował nad tobą strach.

Znowu zaczął iść, ale co chwila oglądał się za siebie. Wreszcie dotarł do sali telewizyjnej. Wchodząc do środka, przycisnął włącznik światła. Pewnie podszedł do rzędów kaset stojących na półkach i sięgnął po jedną z nich. Kiedy już miał ją

w ręku, uśmiechnął się. Trzymał kasetę, którą dziś wyjął z depozytu w Chase. Ta, 40

którą ukrył na półkach Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, była fałszywa. Znajdowała się na niej jakaś stara prezentacja, przygotowana przez jednego z pracowników Gilchrist. Jeżeli ktoś go wtedy śledził, pewnie widział, jak wkładał kasetę

za atlasy. Jeżeli zabrał kasetę schowaną za atlasami, musiał się bardzo rozcza-  
roczaro-

wać, że nie ma na niej sceny zabójstwa Kennedy'ego.

Cole włączył telewizor i wideo. Włożył kasetę do odtwarzacza. Chciał się upewnić, czy nikt nie zamienił kasy. Prawie natychmiast na ekranie pojawiła

się

prezydencka limuzyna, skręcająca w lewo przed wejściem do budynku. Cole odechnął z ulgą. Pomysł, żeby schować kasetę tutaj, a wyjść z inną podmienioną przyszedł mu do głowy w momencie, kiedy sprzątaczką upierała się, żeby ją natychmiast wpuścić. Opuszczając salę zauważył, jak wpatrywała się w kasetę, którą nazwał taśmą z Dealey Pod taką nazwą miał ją przedstawić jutro mediom, kiedy rozpocznie przetarg. Był przekonany, że tamta kobieta nie wpadłaby na to, żeby sprawdzić wszystkie kasety w sali, ale wolał się upewnić.

Oparł się plecami o ścianę. Od kilku godzin czas włókł mu się niemiłosiernie. Teraz, kiedy znowu miał w ręku kasetę, wszystko zaczynało nabierać tempa. Ogarnęło go poczucie wszechogarniającego zmęczenia, był wyczerpany, fizycznie i psychicznie. Z pewnością poczuje się lepiej, kiedy Fox zaproponuje mu w zamian za kasetę dziesięć milionów. A wydobrzeje zupełnie, kiedy ABC będzie chciało przebić tę sumę.

Odtwarzacz wypluł kasetę. Cole włożył ją do plastikowego pudełka. Wyłączył sprzęt i skierował się do drzwi. Jeżeli ktoś go śledził w drodze do biblioteki,

na pewno zabrał już stamtąd kasetę i zdażył się też zorientować, że został oszuka-

ny. Cole postanowił zachować ostrożność. Dzisiejszą noc zamierzał spędzić w hotelu „Marriott Marquis”. Dla Nicki też wynajmie pokój. W tej chwili jego mieszkanie nie było najbezpieczniejszym miejscem. Blondyn, który go śledził na Piątej Alei, z łatwością mógł zdobyć jego adres, skoro udało się to paru osiłkom w czar-

nych okularach. Trudno liczyć na to, że dozorca nie wpuści do domu ludzi poszukujących filmu, który może zmienić bieg historii. Jutro o tej porze będzie już po

wszystkim. Interes stulecia z mediami zostanie ubity. Gra będzie skończona, zarówno dla tych, którzy nie chcą dopuścić do ujawnienia kasety, jak i dla tych, którzy sami by chcieli na niej zarobić.

Cole zgasił światło i wyszedł na korytarz. Omal nie zderzył się z niewysokim, ciemnowłosym mężczyzną. Twarz tego człowieka przecinała szeroka, brzydka blizna, która zaczynała się u nasady nosa, przechodziła przez lewy policzek i

koń-

czyła się w okolicach żuchwy. Zanim mężczyzna zrobił jakikolwiek ruch, Cole, niewiele myśląc, uderzył go prawą pięścią w twarz. Odruch ten uratował mu życie. Mężczyzna przewrócił się. Kiedy Cole przeskakiwał nad nim, nieznajomy próbował go złapać za nogi. Cole pobiegł do klatki schodowej, którą już raz dziś uciekał. Usłyszał trzask drzwi nad

sobą i szczęk odbezpieczanej broni.

W kilka sekund Cole pokonał parę pięter. Nie przewidział takiej wersji wydarzeń. Cały czas był śledzony. Sprzątaczką, blondyn i ten facet z blizną. Wszyscy chcieli jednego - taśmy z Dealey. Kula świsnęła tuż obok niego, wyszczerbia-

41  
jąc metalową poręcz. Cole schylił głowę i uskoczył do drzwi. Jeszcze parę kroków i znajdzie się w opustoszałym holu.

Strażnik leżał twarzą do podłogi w kałuży krwi. Cole rzucił tylko okiem na ciało, kiedy przebiegał przez hol. Chryste, ci ludzie gotowi są na wszystko! W

co  
on się, do diabła, wplątał?

Opanował go gniew, kiedy pomyślał o ojcu. Przecież Jim Egan musiał zdawać sobie sprawę z tego, co czeka spadkobiercę, który odbierze tę kasetę. Musiał wiedzieć, że istnieją ludzie, którzy zrobią dosłownie wszystko, żeby dostać

taśmę  
z Dealey Pewnie dlatego wymyślił taki sprytny sposób na przekazanie jej synowi. Kiedy Cole wypadł na Piątą Aleję, usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi, prowadzących na klatkę schodową. Mężczyzna z blizną zaczął strzelać przez hol. Rozległ się brzęk tłuczonych szyb. Cole schylił się instynktownie i skierował w

le-

wo, ale zauważył idącą w jego kierunku kobietę. Była to ta sama kobieta, która w stroju sprzątaczkę czekała na niego pod salą telewizyjną. Teraz nie miała na sobie fartucha w kolorze niezapominajek. Była ubrana na czarno, od stóp do głów. Cole odwrócił się i rzucił się w przeciwnym kierunku. Biegł na południe Piątą Aleją w stronę Trzydziestej Ósmej ulicy. Przebiegł na drugą stronę i skierował

się na wschód. Pokonując mroczną uliczkę, chciał dostać się na aleję Madisona. Przez chwilę biegł Trzydziestą Dziewiątą ulicą. W ciągu dnia przetaczałyby się wtedy tłumy, ale teraz nie było tu żywej duszy. Potknął się o schodki prowadzące do jakiegoś domu. Pudełkiem z kasetą rozbił mleczną żarówkę nad drzwiami wejściowymi i zamarł w bezruchu, w ciemności, z plecami przyciśniętymi do ściany. Starał się oddychać jak najciszej.

Stał tak pod drzwiami jakieś dziesięć minut. Stopniowo odzyskiwał oddech. Był pewien, że kobieta musiała zostać daleko z tyłu. Swego czasu był rozgrywanym w uniwersyteckiej drużynie piłki nożnej w Minnesocie. Od tego czasu minęło już siedem lat, ale miał nadal świetną kondycję. Wciąż był szybki. Niemożliwe, żeby ta kobieta dotrzymała mu kroku.

Wreszcie się wychylił. Nie zauważył nic szczególnego. Zrobił więc krok do przodu, przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął biec z powrotem do alei Madisona. Tam złapie taksówkę, zabierze Nicki z „Emilio”, zadzwoni anonimowo pod 911, żeby zawiadomić policję o zabójstwie ochroniarza w Gilchrist, i bezpiecznie uda się do jakiegoś hotelu, w którym można zapłacić gotówką. Wolał nie ryzykować używania karty kredytowej. Więc to nie będzie „Marriott”. Jeśli będzie płacił gotówką nic mu nie grozi. Hotele, w których nie wymagano karty kredytowej, nie należały do najprzyjemniejszych miejsc na świecie. Ale na tęjednąnoc, dla bezpieczeństwa, można się poświęcić. Kurczowo przycisnął do piersi taśmę z Dealey. Była cenniejsza niż szczerze złoto.

Kobieta stała dokładnie naprzeciw Cole'a. W rękę ścisnęła wycelowany w niego pistolet. Zatrzymał się nagle, parę kroków od niej, nie mogąc uwierzyć, że to ona. Omal się z nianie zderzył. Rozejrzał się dookoła, panicznie przerażony, ale

teraz nie mógł już nic zrobić.

Za kobietą pojawił się zdyszany facet z blizną. Klepnął ją po ramieniu i wskazał na plastikowe pudełko z taśmą, które Cole dzierżył w dłoni. Powiedział jej coś

42

do ucha, po czym podszedł do Cole'a i chwycił taśmę, próbując wyrwać mu ją z rąk. Cole jednak nie zwolnił uścisku. Mężczyzna chwycił mocniej i wyrwał mu pudełko.

- Myślałeś, że ci się uda, co? - odezwał się do Cole'a. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

Cole nie odpowiedział.

- Pewnie, że tak - mężczyzna odpowiedział sobie sam. - Ale nawet gdyby udało ci się teraz uciec, dorwalibyśmy cię, jak tylko wróciłbyś do mieszkania. Wyleciałbyś w powietrze jak rakieta - powiedział wciąż uśmiechnięty. Po czym zwrócił się do kobiety. - Zastrzel go.

Cole instynktownie schylił głowę i zakrył twarz rękami. Padł na ziemię i przetoczył się. Usłyszał strzał, ale nie poczuł bólu. Może nie od razu czuje się ból

-

pomyślał i przeturlał się za zaparkowany na chodniku samochód.

Spojrzał na ulicę. Zobaczył blondyna biegnącego z pistoletem wycelowanym w faceta z blizną, który rzucił się do ucieczki. Biegł w kierunku alei Madisona. Cole zauważył, że kobieta leży na chodniku. Z dziury w czole sączyła się krew. Pistolet wypadł jej z ręki i leżał obok wyprostowanych palców dłoni. Nagle wszystkim

ucichło. Dwaj mężczyźni zniknęli za rogiem.

Cole opuścił swoją kryjówkę za samochodem i pognął na zachód, w kierunku przeciwnym do tego, w jakim pobiegli obaj mężczyźni. Po chwili dotarł do Piątej Alei i zatrzymał taksówkę.

Parę minut później samochód z piskiem opon zatrzymał się przed kawiarnią „Emilio”. Cole wepchnął banknot dziesięciodolarowy w plastikową szczelinę



między przednim i tylnym siedzeniem taksówki i pobiegł do drzwi wejściowych.

- Gdzie jest kobieta, którą zostawiłem tu jakieś czterdzieści minut temu? -

Cole krzyknął do barmana zajętego przygotowywaniem drinka.

- Słucham? - Barman nawet nie podniósł na niego wzroku.

- Była tu ze mną kobieta, miała na mnie poczekać - powtórzył Cole, wskazując na stolik, przy którym siedzieli. - Zanim wyszedłem, prosiłem, żeby ją pan zatrzymał, dopóki nie wrócę.

Barman w końcu podniósł wzrok. Skończył mieszanie drinka.

- Jak wyglądała?

- Wysoka, piękna blondynka. Na pewno zapamiętał pan jej twarz...

- W porządku. Tak, teraz pamiętam.

- No i gdzie, do cholery, ona jest?

- Wyszła przed chwilą. - Barman dał znak Jimmy'emu, że drinki są gotowe.

- Co?

- Wyszła. Próbowala dzwonić do przyjaciółki, ale nie zastała jej w domu.

Wspomniała, że umówiły się u niej w mieszkaniu. - Barman wskazał na drzwi. -

Więc wyszła spotkać się z tą przyjaciółką. Prosiła przekazać, że zobaczycie się...

- Proszę o aparat telefoniczny.

- Słucham?

- Ten - krzyknął, wskazując na bezprzewodowy telefon, leżący przy kasie na ladzie.

43

- Jasne. - Barman wziął słuchawkę i rzucił ją Cole'owi.

Po paru sekundach informacja podała mu numer do recepcji domu. Wystukał go na słuchawce. Nikt się nie zgłaszał, w końcu odezwała się automatyczna sekretarka.

- Niech to szlag! - Cole rzucił słuchawkę barmanowi. Odwrócił się i wybiegł z „Emilio”.

Czerwone i pomarańczowymi światła rytmicznie omiatały twarz Cole'a. Sta-

nał na chodniku przed swoim domem. Czekwały tam dwie karetki pogotowia i trzy niebiesko-białe policyjne krążowniki szos, poustawiane w przypadkowy sposób. W pięciopiętrowym budynku mieszkało parę setek ludzi, w tym wielu starszych, do których mogłoby przyjechać pogotowie, ale Cole miał straszne przeczucie. Powoli pokuśtykał do przodu. Każdy krok kosztował go wiele wysiłku. Wydawało mu się, że to wszystko sen. Był potwornie zmęczony. Miał spuchniętą kostkę, ale nie czuł bólu. Nie odrywał wzroku od drzwi frontowych.

- Hej, kolego, dalej nie wolno. Najpierw musimy wynieść ofiarę. - Postawny policjant zastąpił Cole'owi drogę.

Cole spojrzał na niego.

- Ofiarę?

- Tak. - Policjant poświecił latarką po ciemnym niebie. - Był wybuch w mieszkaniu na poddaszu. Jedna młoda kobieta jest poważnie ranna. Nie wolno nikomu wchodzić, dopóki sanitariusze jej nie wyniosą.

- Młoda kobieta? - wyszeptał w odrętwieniu Cole.

- Tak.

- Wie pan, które to było mieszkanie?

- Co?

- W którym mieszkaniu była ta eksplozja? - zapytał Cole głośniejszym drżącym głosem.

- Nie wiem - zniecierpliwiał się policjant. - Hej, musisz się cofnąć. - Zauważył, że w kierunku wejścia zmierza kolejny mieszkaniec, i poszedł, aby go zatrzymać. Cole zobaczył przez szybę, że w holu sanitariusze niosą nosze przykryte białym prześcieradłem. Przedarł się przez grupkę gapiów.

- Hej, kolego! - krzyknął policjant. - Stój!

Jednak Cole biegł dalej. Kiedy dopadł do noszy, serce mu zamarło. Bandaże na głowie nie pozwalały rozpoznać twarzy, ale wydawało mu się, że rozpoznał pierścionek na bezwładnej dłoni. Stanął jak wryty i obydwoma rękami złapał się za głowę.

- Jezu, co jej jest?

Sanitariusze ponuro pokręcili głowami. Unieśli nosze i ułożyli je w karetkce.

- Cole!

Odwrócił się i natychmiast ogarnęło go oszałamiające poczucie ulgi. To była Nicki. Udało się jej przedrzeć przez blokadę policyjną.

Spojrzała na rękę opadającą z noszy, na dłoń z pierścionkiem.

44

- Maria! - krzyknęła, rzucając się do karetki.

Cole powstrzymał ją. Sanitariusze zamknęli drzwi i karetka odjechała na sygnale. Objął bardzo mocno Nicki, a ona wtuliła się w niego, łkając.

- Już dobrze, kochanie - powiedział, chcąc ją uspokoić. Wciąż jeszcze czuł ulgę, że to nie Nicki wyniesiono na noszach.

- Nic nie jest dobrze - załkała.

Pokiwał głową bo nic na to nie mogli poradzić.

- Chodźmy - ponaglił ją delikatnie.

- Dokąd? - zapytała przez łzy.

- Zabieram cię do domu.

6

William Seward przez ostatnie czterdzieści lat był profesorem historii na uniwersytecie w Wirginii. Teraz, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, prowadził tylko jedno zajęcia, w semestrze letnim. Był to zaawansowany kurs na temat wojny domowej czy, jak Seward wołał ją nazywać, „wojny północnej agresji”. Seward nie miał żadnych innych obowiązków, przynajmniej wobec Uniwersytetu imienia Jeffersona.

Listopad miał się ku końcowi. Z drzew opadły już wszystkie liście. Profesor patrzył przez okno salonu. Do jego domu zbliżył się właśnie srebrny sedan, taki, jakiego używają wyżsi urzędnicy państwowi. Powoli mijał nagie drzewa. Wjechał na brukowaną drogę prowadzącą do małej doliny, na którą wychodziło okno drewnianego domu profesora. Domek otoczony był gęstym zagajnikiem dębowym. Stał mniej więcej w połowie zbocza niewysokiej góry. Stąd do Charlottesville, gdzie mieścił się uniwersytet, było zaledwie kilka kilometrów drogą na

za-

chód. Najbliższy dom znajdował się o kilometr stąd. Seward mógł tu w całkowitym spokoju poświęcić się nauce, jak również kierować ściśle tajną operacją amerykańskiego rządu, operacją „Śnieżycą”.

Seward odszedł od okna i włączył płytę ze spokojną muzyką symfoniczną. Działała kojąco na nerwy. Lubił zwłaszcza mało znanych, nie docenianych kompozytorów. Zresztą mógł słuchać tego, czego chciał, bo mieszkał sam. Nie miał żony ani dzieci. Jediną jego rodzinę stanowili nieliczni już dalsi krewni.

Seward był wysokim, kanciastym mężczyzną o przerzedzonych, białych jak mleko włosach. Twarz miał życzliwą kąci bladych ust poprzecinane mimicznymi zmarszczkami. Z wiekiem szpakowate brwi stały się krzaczaste, a dolne zęby wykrzywiły się do przodu. Był to skutek tego, że uparł się i nie pozwolił dentyście

wyrwać zębów mądrości, w obawie przed szkodliwymi efektami ubocznymi znieczulenia. Obydwa kolana miał sztywne od artretyzmu. Chodząc, wspierał się na lasce. Mówił aksamitnym głosem, z uroczym akcentem z Wirginii. Ostatnio zapominał słowa i od czasu do czasu myliły mu się nazwiska studentów. Pracownicy wydziału byli przekonani, że profesor stoi na krawędzi zniedołężnienia star-

46

czego. Jednak ci, którzy tak sądzili, mylili się, i to bardzo. Oczy Sewarda za oku-

larami w drucianej oprawce płonęły jasno, a umysł pracował jak u dwudziestolatka. Oznaki starości były udawane. Po człowieku, który wszedł w ósmą dekadę życia, ludzie oczekiwali, że będzie mu brakowało słów, że będzie mylił nazwiska, a Seward miał wyglądać na przeciętnego profesora w podeszłym wieku.

Gdy srebrny sedan wtoczył się pod frontowe drzwi, Seward siedział przy kominku na wielkim, obitym skórą krześle. Silnik przestał pracować. Chwilę później zastukano mocno w grube, drewniane drzwi.

- Proszę wejść - rzucił oschle i oparł łaskę o poręcz krzesła.

Komandor John Magee wszedł do środka, skłonił głowę, zamknął drzwi i usiadł

na krześle naprzeciw Sewarda.

- Dzień dobry, komandorze - przywitał go gospodarz.

- Dzień dobry - odpowiedział krótko komandor.

Magee miał trzydzieści dziewięć lat, metr sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ciemne włosy i ciemne oczy. Dzięki systematycznym ćwiczeniom utrzymywał doskonałą kondycję i wysportowaną sylwetkę. Rumiana twarz usiana była bliznami po trądziku, a od nasady nosa aż do żuchwy przecinała ją szeroka blizna.

Kiedyś był oficerem marynarki. W młodym wieku, mając trzydzieści sześć lat, uzyskał stopień komandora. Teraz pracował dla Williama Sewarda z elitarnej jednostki

sił specjalnych CIA. Przeszkolono go we wszystkim, od pirotechniki do broni biologicznej. Okazywał się niezwykle skuteczny we wszystkich powierzanych mu zadaniach. Miał 164 IQ, co z dumą podkreślał przy każdej okazji.

- Jak się pan miewa, sir? - zapytał Magee.

Seward wyczuł lekką ironię w tym, jak Magee wymówił słowo „sir”.

- Dziękuję, komandorze - odpowiedział spokojnie, nie dając poznać po sobie irytacji. Młody komandor uważał, że Sewarda za długo trzymają na tym stanowisku. Wiedział to od prywatnych informatorów z Pentagonu, o których Magee nie miał pojęcia. Ale to nie brak szacunku ze strony młodziaka tak bardzo zirytował profesora. Chodziło o coś znacznie poważniejszego.

Przez czterdzieści lat Seward pilnował się, żeby nie nawiązywać żadnych bliższych stosunków z sześcioma poprzednikami, pracującymi na stanowisku, które teraz

piastował Magee. Im więcej miał dla nich przyjacielskiego sentymentu, tym trudniej było mu potem pogodzić się z „nieszczęśliwymi wypadkami”, jakimi wcześniej czy później kończyła się ich kariera zawodowa. Mimo wszystko, w większości przypadków Seward nie potrafił się oprzeć nawiązaniu pewnej nici sympatii. Magee różnił się od poprzedników. Zachowywał się w tak agresywny sposób, że Seward wręcz z utęsknieniem czekał na dzień, w którym spotka go „nie-

szczęśliwy wypadek”. Magee miał irytujący zwyczaj podkreślania, że jest nieomylny, wszytkowiedzący. Przy każdej, najbardziej błahej okazji chwalił się swoją wiedzą czy dotyczyło to taktyki walki powietrznej, czy materiałów wybuchowych i umiejętności przewidywania ludzkich zachowań. Seward obawiał się, że ta jego pewność siebie może stać się przyczyną jakichś kłopotów. Jednak bezpośredni przełożony komandora, generał Avery Zahn, twierdził uporczywie, że Magee jest najlepszy w swojej specjalności.

47

Ostatnie wydarzenia potwierdziły, że intuicja nie myliła Sewarda. Sposób działania podczas ostatniej akcji, wczoraj w nocy na Manhattanie, omal nie doprowadził do katastrofy.

- Jak się jechało drogą numer 29? - Seward zadał pytanie z pewnym wahaniem w głosie. Miał nadzieję, że w odpowiedzi na tak obojętne pytanie Magee nie zacznie wygłaszać peanów na własną cześć.

- Podróż z Waszyngtonu zajęła mi dwie godziny i dwadzieścia minut - odpowiedział Magee. - Oczywiście nieraz jeździłem tą trasą ale dziś po raz pierwszy dokładnie zmierzyłem czas. Zanim wyjechałem, napisałem na kartce, ile czasu powinno mi zająć dojechanie tutaj. Zapisałem, że dwie godziny dwadzieścia trzy minuty. Pomyliłem się tylko o minutę.

- To interesujące. - Seward wzniosł oczy do góry. Magee znów zaczął się licytować z samym sobą.

- Tak. Widzi pan, posiadam niezwykłą wrodzoną umiejętność określania upływu czasu. Chryste, to się dzieje nawet w czasie snu. Nigdy nie muszę prosić o budzenie w hotelu, nigdy nie używam budzika w domu. Zawsze budzę się dokładnie o godzinie, którą wcześniej ustaliłem. To podświadomość. Mój umysł działa na kilku poziomach równocześnie. Myślę, że moje uzdolnienia miały ogromny wpływ na moją karierę zawodową którą zacząłem przecież w tak młodym wieku. To, że mój umysł rejestruje rzeczy, których nawet nie jestem w pełni...

- Dziękuję, komandorze Magee - rzekł Seward. Magee nawet nie starał się

ukryć, jak bardzo jest niezadowolony z tego, że mu przerwano, ale Seward nie zwrócił na to uwagi. - Przejdźmy do rzeczy. Ma pan tę kasetę?

Magee z ponurą miną otworzył aktówkę, wyjął z niej kasetę i położył na dzielącym ich stoliku z klonowego drewna.

- Zdobyłem ją wczoraj w nocy, na Trzydziestej Dziewiątej ulicy, na odcinku między aleją Madisona a Piątą Aleją.

Seward odetchnął z ulgą kiedy zobaczył leżącą przed nim taśmę. Zbyt wiele uwagi poświęcił tej operacji. Gdyby nie udało się zdobyć tej kasety, trzydzieści pięć lat jego pracy poszłoby na marne.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, co pan zrobił zeszłej nocy? - zapytał, nie mogąc opanować złości.

Magee zeszywniał. Nigdy wcześniej nie słyszał Sewarda mówiącego tym tonem. Poza tym był zupełnie zaskoczony, przecież misja zakończyła się sukcesem.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi?

Seward zacisnął zęby.

- Miał pan zdobyć film bez narażania życia Cole'a Egana. Zignorował pan moje polecenia.

- Zdobyłem dla pana ten przeklęty film - warknął Magee. Chryste, miał już dosyć składania raportów temu trzęsącemu się ze starości głupcowi. Chyba nadszedł czas, żeby wrócić do CIA. - Skąd pan wie, że narażałem życie Cole'a Egana?

- Wczoraj w nocy ktoś przestrzelił okna w budynku Gilchrist. A mieszkanie pana Egana wyleciało w powietrze. Przy okazji zginęła przypadkowa młoda kobieta, niejaka Maria Cooper. - Seward jeszcze mocniej zacisnął zęby. - Domy-

48

ślam się, że ten wybuch był przygotowany dla Cole'a Egana. To dość wyraźne ślady przemocy nie sądzi pan? I zbyt powiązane z pana bytnością na Manhattanie, żeby mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do sprawcy.

Magee niepewnie poruszył się na krześle.

- Pan po prostu musiał użyć siły, prawda? - zapytał Seward z pogardą. Magee był jednym z tych psychopatycznych fanatyków przemocy, których Seward

miał już okazję poznać. - Pan musiał zabić, bo panu wszystko wolno. - Magee rzeczywiście mógł zabijać bez żadnych konsekwencji. Rząd przyznał mu do tego prawo. - To pan strzelał do Cole'a Egan, kiedy gonił go pan w siedzibie Gilchrist wczoraj w nocy. I to pan podłożył w jego mieszkaniu ładunek wybuchowy, prawda? - Seward zażądał odpowiedzi, ale Magee milczał. Seward zauważył, że na jego ustach pojawił się chytry uśmieszek. - A co z ludźmi, którzy z panem pracują? - dopytywał się Seward.

- Catherine nie żyje - powiedział obojętnie Magee. - Jakiś idiota rzucił się na nas z pistoletem, zaraz potem, jak zabraliśmy taśmę Eganowi.

- Co takiego? - Sewardowi nagle zabrakło powietrza, a serce zaczęło mu walić jak młotem.

- Jakiś mężczyzna zastrzelił Catherine. Na szczęście, udało mi się go zgubić. To była bardzo zła wiadomość.

- Jak wyglądał? - zapytał Seward.

- Wiem na pewno, że miał kręcone, żółte włosy.

- A więc był blondynem.

- Gdybym chciał powiedzieć, że był blondynem, powiedziałbym tak. Blondyn to zbyt ogólne pojęcie. Istnieje zbyt wiele odcieni blond. Ten człowiek miał włosy koloru żółtego.

- Co z resztą ludzi? - zapytał Seward, ignorując arogancką uwagę Magee. Magee pokręcił głową.

- Nie znaleźliśmy agenta Grahama. Przypuszczam, że również nie żyje.

- Niech to lichy! - Seward uderzył pięścią w stół. - Schrzanileś sprawę, Magee.

Magee chciał już odpowiedzieć, że mogą go zwolnić, ale nie zrobił tego.

Uznał, że lepiej zachować spokój.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, w co byśmy się wpakowali, gdyby coś się stało Eganowi? - Seward wpadł w furię. - A jeśli sprawy w Kolumbii potoczą się inaczej, niż sądzymy? - Seward nie przewidywał, żeby miały się pojawić jakieś komplikacje, ale Jim Egan był przecież człowiekiem nieprzewidywalnym. - Jedno



jest pewne - Cole Egan musi żyć.

- Przykro mi. - Dumny Magee zdobył się tylko na taką odpowiedź. - Powiedział pan, że zależy nam tylko na taśmie. - Wskazał na kasetę leżącą na stoliku.

-

Cole Egan okazał się sprytnym facetem, więc na wszelki wypadek podłożyłem mu materiał wybuchowy w domu. Gdyby nie udało się nam zdobyć kasety, nie dostałby jej też nikt inny. Oczywiście nie wiedziałem, że była tam jakaś kobieta.

- Czyżby? - Seward aż się zagotował. Dobrze wiedział, że komandora nie obchodziła śmierć tej młodej kobiety. - Na szczęście udało nam się przekonać nowojorską policję, że to był wypadek.

4 - Depozyt

49

- To dobrze. - Magee był pod wrażeniem umiejętności Sewarda manipulowania ludźmi. Może nie doceniał tego człowieka.

- A co z tym tłustym facetem z parkietu w Gilchrist? - zapytał Seward. - Lewis Gebauer, o ile dobrze pamiętam.

- A co miałoby być?

- Coś podejrzewa? Czy to też spaprałeś?

- Przedstawiłem mu się jako prywatny detektyw pracujący dla firmy w której Egan zaciągnął kredyt na mieszkanie. Gebauer to idiota. Niczego nie podejrzewa. Chciałby dopiec Eganowi. Nienawidzą się nawzajem. Zresztą Gebauera łatwo znienawidzić.

Podobnie jak ciebie - pomyślał Seward i zapytał:

- Czy ten Gebauer może się nam jeszcze na coś przydać?

Magee rozumiał, że od jego odpowiedź zależy wyrok śmierci albo uniewinnienie.

- Tak, o ile będzie pan chciał mieć pod ścisłą obserwacją Egana. - Znaczyło to, że dni Gebauera były policzone.

- No dobrze. - Seward powiedział to bardziej do siebie niż do Magee'ego.

Powoli się uspokajał. - Dziś w nocy wyjeżdża pan do Kolumbii, komandorze.

- Jestem gotowy.

- Mam nadzieję, że nie czeka nas tam żadna niespodzianka.

- Też mam taką nadzieję, sir.

Seward znowu wyczuł ironię w głosie Magee'ego. Wziął laskę, kasetę, sztywno podniósł się z krzesła i kuśtykając wyszedł z salonu. W drzwiach zatrzymał się z pewnym wahaniem.

- Życzę miłej podróży, komandorze - powiedział, po czym zamknął za sobą drzwi, minął hol i wszedł do gabinetu.

Magee pokręcił głową i wstał z krzesła. Co za palant z tego Sewarda. Musiał jechać samochodem aż pięć godzin, żeby słuchać takich bzdur. Magee wziął ak-tówkę i skierował się do wyjścia.

Seward obserwował przez przyciemnione okno gabinetu, jak Magee idzie do rządowego srebrnego sedana, siada za kierownicą i odjeżdża. Odprowadził samochód wzrokiem, aż zniknął za lasem, po czym przeniósł spojrzenie na generała Avery'ego Zahna, który siedział vis-a-vis na krześle.

- Słyszał pan wszystko? - zapytał, wciąż kipiąc złością.

Zahn wskazał ręką ekran telewizyjny w rogu gabinetu. Obserwował całą rozmowę dzięki kamerze z mikrofonem, umieszczonej między kamieniami, z których zbudowany był kominek w salonie.

- Tak, słyszałem.

- Komandor Magee przekroczył swoje kompetencje w Nowym Jorku. Uprzedzałem pana, że tak będzie. Mógł wszystko spieprzyć. Wciąż może.

- Jednak zdobył ten film - zwrócił uwagę Zahn.

- Zgoda - przytaknął Seward - ale komandor Magee dostał specjalny rozkaz, żeby nie robić krzywdy Cole'owi Eganowi. Gdyby coś mu się stało, moglibyśmy wpaść w prawdziwe tarapaty.

50

- Proszę się uspokoić - upierał się przy swoim Zahn. - Komandor zrobił tylko to, co musiał.

- Dlaczego moglibyśmy wpaść w tarapaty? - Do rozmowy włączył się niski mężczyzna, siedzący na kanapie. Miał szorstki głos, jakby cierpiał na zapalenie krtani.

Seward spojrzał na niego. Mimo niepokąźnego wzrostu człowiek ten emanował jakąś naturalną siłą nie wynikającą z posiadanej władzy. Nie był wojskowym i Zahn nie potrafił wytłumaczyć sobie jego obecności w gabinecie.

- Bardzo możliwe, że istnieje kopia taśmy - odezwał się Seward, nie czekając na przyzwolenie Zahna, by ujawnić tę informację. Seward był niemal pewny, że taka kopia istniała. Po tylu latach obserwowania Jima Egana Seward mógł go o to podejrzewać. - Jim Egan był inteligentnym człowiekiem. Zrobienie kopii to żaden problem. W tej chwili jedynym naszym tropem jest Cole Egan. Bez niego znowu zaczniemy się poruszać po omacku.

Niski mężczyzna zagryzł wargi, starając się przetrwać tę nieoczekiwaną wiadomość.

- Jim Egan mógł komuś przekazać oryginał - zauważył Zahn, wyraźnie niezadowolony z tego, że Seward ujawnił tę informację. - Jednak nie zrobił tego. Oczy Sewarda zwęziły się, kiedy utkwiał spojrzenie w generale. A więc prezydent nie powiedział Zahnowi wszystkiego.

- Owszem, zrobił - rzekł cicho.

- To coś nowego. - Zahn pochylił się na krześle do przodu, a niski mężczyzna przeniósł uwagę na Sewarda.

- Osiem lat temu pewna kobieta dostarczyła oryginalny film cywilnemu pracownikowi CIA, który mieszkał w tym samym co ona budynku - wyjaśnił Seward. - Powiedziała, że znalazła kasetę na strychu domu, w którym mieszkał jej ojciec. Robiła tam porządki po jego śmierci.

- To znaczy, że mamy oryginał? - wtrącił się Zahn. A więc jednak prezydent nie wtajemniczył go we wszystko.

Seward skinął głową.

- Dlaczego ta kobieta dała taśmę pracownikowi CIA? - zainteresował się niski mężczyzna. - Dlaczego nie sprzedała jej? Dostałaby ogromne pieniądze.

Seward uśmiechnął się.

- Bardzo trafne pytanie. Sam bym ją to zapytał, ale nie dano mi takiej szansy. Niestety parę godzin po przekazaniu filmu kobieta zginęła w wypadku samochodowym na obwodnicy Capital Beltway

- Myśli pan, że dostała film od Jima Egana? - zapytał Zahn. Seward przytaknął kiwnięciem głowy.

- Skąd to przypuszczenie? - dociekał niski mężczyzna.

- Sprawdziłem tę kobietę. Jej ojciec wcale nie umarł. Żył i nie był w żaden sposób powiązany z zabójstwem Kennedy'ego.

- To o niczym nie świadczy - nie poddawał się Zahn. - Może trafiła na kasetę w jakiś inny sposób i po prostu zrobiła to, co uważała za stosowne. Może Jim Egan nigdy nie miał tej kasety.

- Jim chciał, żebym myślał, iż pozbył się filmu - powiedział cicho Seward. - Jestem pewien, że kazał tej kobiecie przekazać kasetę pracownikowi CIA, który

51

zresztą był moim bezpośrednim podwładnym w operacji „Śnieżyca”. Już nie żyje.

- Seward na moment pochylił głowę. - Zginął w wypadku, wracając z wyjazdu służbowego. Jim musiał się w jakiś sposób dowiedzieć, kim jestem i kto jest moim współpracownikiem. Był sprytny. - Seward zrobił przerwę. - Jestem pewien, że kobieta, która dostarczyła kasetę, nie zginęła przypadkiem. To Jim Egan ją zabił.

- Coś podobnego! - Tego było za wiele dla Zahna. - Po co miałby to robić?

- Nie chciał, aby się przed kimś wygadała. Żadna informacja, czy choćby plotka, nie mogła dotrzeć do opinii publicznej. Film miał pozostać w ukryciu aż do tej chwili.

Niski mężczyzna kiwnął głową.

- Myśli pan, że Jim Egan mógł zrobić więcej kopii na kasetach wideo? - zapytał zachrypniętym głosem.

- Tak myślę - brzmiała jednoznaczna odpowiedź. - Wszystko przewidział.

Wiedział, że jest pod stałą obserwacją.

- Czy są jeszcze jakieś problemy? - próbował ustalić niski mężczyzna. Seward miał najwyraźniej pełniejsze informacje niż Zahn, więc próbował wyciągnąć jak najwięcej z profesora.

- Jest jeszcze sprawa Kolumbii - dodał Seward.

- Wystarczy, panie Seward - przerwał mu Zahn. - Poradzimy sobie z tą sprawą jeżeli zajdzie taka konieczność. Myślę, że trochę pan dramatyzuje.

- No, dobrze. - Steward sztywno skinął głową. Jeżeli Zahn chce tak to rozegrać, proszę bardzo. W końcu jest generałem.

- Obejrzyjmy kasetę - zarządził Zahn.

Seward posłusznie podszedł do odtwarzacza wideo, stojącego na półce pod telewizorem, i włożył kasetę do środka. Oglądał oryginał wiele razy i ciekaw był,

jak oni zareagują na ten szokujący dokument.

7

Rzeka Lassiter bierze początek w dziewiczych lasach północnej części stanu R Wisconsin i płynie w głębokich dolinach porośniętych strzelistymi sosnami, aż w końcu wpada do jeziora Superior, położonego sześćdziesiąt kilometrów na wschód od miasteczka Duluth w stanie Minnesota. Rzeka jest rwąca, o kamienistym dnie i stosunkowo krótka - od źródła do ujścia ma czterdzieści osiem kilometrów. Dostęp do niej jest trudny, możliwy tylko po ciężkiej przeprawie przez gęsty las. Są tu też dwa małe mosty, własność okręgu Oswego.

Poza miasteczkiem Hubbard, przez które Lassiter przepływa, na całej jej długości tylko z rzadka pojawia się jakieś domostwo prześwitujące między drzewami. Na obu brzegach rzeki wybudowano zaledwie dwanaście posiadłości, które od późnej wiosny przez całe lato roją się od ludzi, na stałe mieszkających w pobliskich metropoliach - Minneapolis i w stolicy stanu, St. Paul. Wille rzadko są zamieszkiwane od października do marca i stoją zasypane śniegiem.

W miasteczku Hubbard, piętnaście kilometrów na południe od ujścia Lassiter do jeziora Superior, jest stacja benzynowa ze starą przerdzewiałą reklamą Esso, restauracja, motel, kilka skromnych, ocieplonych podwójnymi ścianami

drewnianych domków i miejsce, gdzie można się zrelaksować przy piwie, czyli „Kra Bar”. Mieszkańcy Hubbard, głównie rolnicy i drwale, nie wykazują specjalnej sympatii w stosunku do przyjezdnych. Nawet jeśli są to amatorzy wędkarstwa, którzy przyjeżdżają latem nad Lassiter, by skorzystać z jednego z najlepszych akwenów do połowu pstrąga kanadyjskiego, a przy okazji wydać trochę pieniędzy na pokoje w motelu, jedzenie w restauracji i alkohol w „Kra Bar”. Jest to miejscowość położona na uboczu, zapomniana przez Boga i ludzi, ale mieszkańcy, wśród których jest nieco Indian Chippewa, wolą aby takim pozostało.

Błyszcząca, zielona kanadyjka nabrała prędkości na Diabelskim Nurcie, tuż przed prawie kilometrowym odcinkiem rzeki nazwanym Dużym Jeziorem, w miejscu, gdzie Lassiter rozlewa się na szerokość ponad stu metrów i raptownie zwalniała bieg.

Kajakarze, którzy zdecydowali się na przepłynięcie rzeki, a jest ich niewielu, w tym miejscu mają prawo poczuć lęk. Diabelski Nurt to dziki odcinek do białości spienionej na progach wody. Łatwo stracić panowanie nad kajakiem. Jednak Cole bez wahania płynął do pierwszego progu. Znał rzekę jak własną kieszeń. Przez lata nauczył się rozpoznawać, co jest pod powierzchnią wody patrząc na wiry i na to, jak rozkłada się światło. Na tej rzece się wychował. Razem z rówieśnikami, z którymi stracił kontakt po przeniesieniu się do Nowego Jorku, spędzał czas, łowiąc ryby na muszki, polując i pływając kajakiem. Dawni przyjaciele nie potrafili zrozumieć, jak można porzucić

dziewicze lasy Minnesoty i północnego Wisconsin, żeby żyć w mieście zbrodni,  
gdzie

najbliższy skrawek natury jest oddalony o godziny jazdy. Według nich żadne  
pienią-

dze nie mogą zrekompensować takiej straty. Kiedy Cole manewrował kajakiem na  
najwyższym progu, pomyślał, że może mieli rację.

Na spienionym nurcie Cole tak kierował dziób kanadyjki, żeby ominąć ostre  
skały i zatopione kłody. Wreszcie wyminął ogromny głaz po prawej burcie i wy-  
płynął na spokojne wody Dużego Jeziora. Wyciągnął z wody ociekające wiosło,  
położył je wzdłuż burty i pozwolił kajakowi dryfować swobodnie z nurtem. Chciał  
odpocząć i porozkoszować się spokojem jesiennego popołudnia. Jedyne dźwięk,  
jaki słyszał, to oddalający się huk spienionej wody i krzyk orła, który,  
zirytowany

wtargnięciem intruza na jego teren, poderwał się z gałęzi uschniętej brzozy.

Nie-

bo było bezchmurne, błękitne, a kiedy słońce skryło się za horyzontem, w powie-  
trzu dał się wyczuć zapach odległego ogniska.

Na wodzie zrobiło się chłodno. Cole zapiął zamek wełnianej kurtki. Spojrzał  
na ciemną ścianę sosnowego lasu, wznoszącą się po obu stronach rzeki, i ciężko  
westchnął. Oficjalna wersja wydarzeń była taka, że to Wydział Przeciwpożarowy  
Miasta Nowy Jork był odpowiedzialny za eksplozję w jego mieszkaniu, w której  
zginęła Maria Cooper. Jednak Cole wiedział, że to nieprawda.

- Do diabła! - zawołał i jego głos odbił się echem między drzewami. Śmierć  
Marii to była jego wina.

W czasie lotu z Nowego Jorku do Minnesoty pocieszał Nicki, jak umiał. Była  
nieutulona w bólu. Nie mogła darować sobie tego, że w recepcji zostawiła klucz  
dla Marii i przez to stała się winna śmierci przyjaciółki. Cole powtarzał jej w  
kół-

ko, że to nie jej wina i że nie mogła zrobić nic, żeby nie dopuścić do tragedii.

Nie

wspomniał jej jednak o taśmie z Dealey ani o swej szaleńczej ucieczce ulicami Manhattanu, nie mówiąc już o człowieku z bliźną który, wrywając mu kasetę z rąk, z szatańskim uśmiechem wyznał, że podłożył ładunek wybuchowy w jego mieszkaniu. Cole nie chciałjeszcze bardziej straszyć Nicki. Poza tym był przekonany, że nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego, kiedy dowie się prawdy. Całkiem słusznie obwini go za śmierć Marii.

Cole pokręcił głową. Powinien był przed wyjściem z „Emilio” skontaktować się z kimś z administracji budynku, żeby portier nie wpuścił nikogo do jego miesz-

kania. Uderzył pięścią w burtę kanadyjki ze szklanego włókna. Tym razem z gałęzi nisko pochylonej nad wodą poderwało się do lotu stado przestraszonych wróbli. Patrzył, jak odlatują. Tak bardzo chciałby cofnąć czas.

Ptaki znikły w oddali. Cole podniósł wiosło i powoli skierował się do brzegu.

Wczoraj, po porannym locie z Nowego Jorku, na lotnisku w Minneapolis wynajęli z Nicki samochód. Droga do Duluth zajęła im cztery godziny. Chciał na parę

54 dni zabrać Nicki z Manhattanu, a sam też musiał odetchnąć. Potrzebował trochę czasu na pogodzenie się z faktem, że ojciec nie żyje, że stracił taśmę z Dealey, i że z jego powodu zginęła Maria. Nie udałooby mu się tego dokonać na zatłoczonym parkiecie, w towarzystwie wścibskiego Lewisa Gebauera, w dodatku mając na głowie ostatnie straty na giełdzie. Był niemal pewien, że teraz, kiedy stracił

kasetę, w Nowym Jorku nic mu nie groziło. Jednak postanowił zostawić to wszystko na parę dni i zregenerować się nad rzeką którą kochał, a nie w mieście, którego nienawidził.

Kanadyjka wślizgnęła się w małą zatoczkę. Cole wycelował dziób między dwie skały na brzegu. Piętnaście metrów stąd, w głębi ładu, znajdowała się polan-

ka przystosowana do obozowania. Był tam kamienny grill; stary stół, zrobiony przez rodzinę właścicieli tego odcinka rzeki. Ktoś, kto nie znał terenu,



przepłynąłby

obok, nic nie zauważywszy, ale Cole był tu już wiele razy podczas poprzednich wycieczek.

Zeskoczył z kanadyjki na ląd. Przycumował łódkę do pochylonej nad wodą gałęzi drzewa, po czym ukląkł, podniósł z ziemi kamyk i rzucił go do wody. Patrzył, jak w miejscu, gdzie wpadł kamyk, pojawiły się koncentryczne okręgi. Wczoraj wieczorem Nicki i jej rodzice wybrali się na obiad do wujostwa. Po obiedzie Cole poszedł z Nicki na spacer. Prawie się do siebie nie odzywali.

Nicki

była wciąż zbyt pogrążona w smutku, nie miała ochoty nic mówić. Cole odprowadził ją do domu i tylko cmoknął w policzek na dobranoc. Przez okno dużego pokoju obserwowała ich matka Nicki, która zdążyła wrócić do domu. Cole stał jeszcze jakiś czas pod drzwiami. Zastanawiał się, czy kiedyś zdoła powiedzieć Nicki, co naprawdę zdarzyło się na Manhattanie.

O szóstej rano załadował kanadyjkę na dach starego, przeżartego rdzą samochodu, który wuj trzymał w garażu, i wyjechał w kierunku źródła Lassiter. Chciał uciec, być sam, jak kiedyś, w dzieciństwie, kiedy czuł żal, że został porzucony przez ojca. Lassiter, tak jak przed laty, będzie najlepszym schronieniem przed ludźmi.

Pokonał dziś górny odcinek rzeki, a jutro przepłynie dolny. Noc zamierzał spędzić w namiocie rozstawionym w obozowisku. Za parę dni, kiedy dzięki rzece odzyska siły, wróci do Duluth i, jeśli potrafi, powie Nicki prawdę. A potem wróci

na Manhattan, by stawić czoło długom hazardowym i stratom na giełdzie. Teraz po prostu chciał być sam.

Popatrzył na ciemny las. Kiedyś był to jego jedyny azyl, miejsce święte, ale teraz nie mógł się uwolnić od myśli, że nawet tu zacieśnia się wokół niego pętla.

Wrócił do łodzi, pochylił się i wyciągnął ortalionową torbę z namiotem, przerzucił ją przez ramię i poszedł na polankę, gdzie miał zamiar spędzić noc.

Na drewnianym piknikowym stoliku, przed mężczyzną o blond włosach, leżał pistolet kaliber czterdzieści cztery, lufą skierowany w wejście do namiotu.

Szare

światło poranka przedzierało się przez gąszcz sosnowych gałęzi. Na linii

horyzontu

pojawiło się słońce. Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na jaśniejące między drze-

55

wami niebo. Boże, jakąż to głusza. Pewnie nie ma żywej duszy w promieniu kilkunastu kilometrów. Roztarł dłonie, żeby się rozgrzać, po czym przecesał palcami włosy i uśmiechnął się do siebie. Na Cole'a Egana czeka niespodzianka.

- Nie ruszaj się.

Kiedy blondyn usłyszał za plecami spokojny głos, a na karku poczuł zimną stal, zamarł w bezruchu.

- Ręce do góry. - Cole zawsze zabierał ze sobą na te wyprawy pistolet, ale pierwszy raz w życiu mierzył do człowieka. - No, żeby nie musiał powtarzać!

- Spokojnie, chłopcze. - Mężczyzna powoli unióśł dłonie. - Nie zrób jakiegoś głupstwa.

- Lepiej będzie, jeśli ty nie zrobisz głupstwa. To ty masz pistolet przytknięty do głowy. Jeden niepotrzebny ruch i pomalujemy te pnie drzew dookoła na czerwono. Najpierw będę strzelał, a potem zadawał pytania.

- Doskonale - stwierdził spokojnie blondyn. - Tylko że jedyna nabita broń to ta, która teraz leży przede mną. Wczoraj w nocy wyjąłem z twojej zabawki wszystkie naboje. Kiedy byłeś w objęciach Morfeusza.

Cole zaczął powoli obniżać pistolet, aż lufa znalazła się między łopatkami blondyna.

- Naprawdę?

- Tak. A teraz odłóż tę zabawkę, zanim zrobisz sobie krzywdę. Usiądziemy i porozmawiamy spokojnie, bo tylko o to mi chodzi.

- Trzy dni temu gonileś na Trzydziestej Dziewiątej ulicy, na Manhattanie, męż-

czyznę z blizną na twarzy. Przedtem strzałem w głowę zabiłeś kobietę. Wcześniej tego dnia chciałeś dopaść mnie, na Piątej Alei. Chyba rozumiesz, że nie mam zamiaru odkładać broni, grzecznie się przedstawić i wymieniać uprzejmości.

- Przedstawiać mi się nie musisz. Nikt o tobie nie wie tyle co ja, Cole'u Sage Ega-

nie. - Mężczyzna spojrział przez ramię. - A wtedy na Czterdziestej Drugiej nie musiałeś

się rzucać pod ten autobus. Zgadzam się, miało to w sobie pewien dramatyzm, ale było

zupełnie niepotrzebne. Gdybyś zechciał wtedy ze mną porozmawiać, oszczędziłbyś sobie

sporo bólu i kłopotów. - Potarł ręką podbródek. - I paru innym ludziom.

Cole zamknął oczy, zapominając o pistolecie. Maria nie żyła i nic już tego nie zmieni. A jak Nicki dowie się o wszystkim, nigdy mu nie wybaczy.

Blondyn poczuł, że lufa odsunęła się od jego pleców. Krótka chwila nieuwagi przeciwnika wystarczyła. Jednym zręcznym ruchem chwycił ze stołu swoją czterdziestkęczwórkę, odwrócił się i mocno przytknął pistolet do policzka Cole'a.

- Synu, jestem zawodowcem. Utrzymuję się z zabijania ludzi. Więc lepiej ze mną nie zaczynaj - wycedził przez zaciśnięte zęby. - A teraz rzuć pistolet.

Cole głośno przełknął ślinę. Ten człowiek był szybki jak kobra.

- Może i jesteś zawodowym mordercą - powiedział cicho - ale jeżeli chodzi o śledzenie ludzi w lesie, to sporo musisz się nauczyć. Wczoraj wiedziałem, że ktoś

mnie śledzi. Ptaki były zbyt niespokojne. Powinieneś poznać tutejsze warunki.

Trzeba

płynąć środkiem rzeki, wtedy nie będziesz płoszyć ptaków i zwierząt. A one nie zdradzą twojej obecności. - Spojrzął z ukosa na pistolet przytknięty do jego twarzy.

- W twoim pistolecie nie ma ani jednego naboju, dobrze o tym wiesz. Potrafisz

chyba odróżnić ciężar pistoletu załadowanego i z pustym magazynkiem. Za to w moim są naboje. - Podniósł pistolet na wysokość piersi stojącego naprzeciw mężczyzny po czym skierował lufę w niebo i wypalił, aby udowodnić swoje słowa.

- Jezu! - Blondyn padł na ławkę przy stole, kompletnie zbity z tropu.

- Nocowałeś przed Diabelskim Nurtem na małej polance na zachodnim brzegu - kontynuował Cole, a echo wciąż powtarzało dźwięk strzału. - Nie mogłeś zrobić nic bardziej przewidywalnego. Rozładowałem twoją broń. Zabrałem ci całą amunicję. A ty chrapałeś. - Cole roześmiał się, odebrał blondynowi jego czterdziestkęczwórkę i odrzucił przed wejście do namiotu. - Nie sądzę jednak, żebyś przyszedł tu, aby mnie zabić. Gdyby o to chodziło, próbowałbyś mnie zastrzelić wczoraj w nocy, kiedy myślałeś, że jestem w namiocie. Ale ty nawet nie podszedłeś do mojego obozowiska.

- Świetnie. - Blondyn zaklaskał w dłonie. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Podoba mi się to. Masz klasę, synu.

- Dziękuję. Chciałbym jednak wiedzieć, kim właściwie jesteś.

- Nazywam się Bennett Smith. - Blondyn wyciągnął do niego prawicę.

Cole nie miał ochoty ścisnąć mu ręki. Przeszedł na drugą stronę stolika i usiadł na ławce.

- Pamiętam cię - powiedział. - To ty siedziałeś trzy dni temu w recepcji.

Miałeś w rękę „Wall Street Journal”, kiedy przybiegłem z parkietu. To ty dostarczyłeś kopertę na recepcję, prawda?

- Tak, to ja.

Cole zauważył, że Smithowi brakowało dolnej jedyńki, co sprawiało, że mówiąc lekko seplenił. Na to charakterystyczne seplenienie zwrócił uwagę już wtedy, kiedy Smith zadzwonił i zapytał o drugie imię Cole'a.

- I zrobiłeś to na prośbę mojego ojca?

- Tak, zrobiłem to na jego prośbę. - Smith odpowiadał szybko, niskim głosem.

Cole zauważył ciekawą rzecz. Smith patrzył mu prosto w oczy niezależnie od tego, czy mówił, czy słuchał. Większość ludzi słuchając patrzy w oczy swemu rozmówcy, ale kiedy sami mówią odwracają wzrok. Z doświadczenia Cole wie-

dział, że człowiek zachowujący się tak jak Smith nie jest szczerzy. Smith patrzył mu prosto w oczy i tylko od czasu do czasu zerkał w bok. Najpierw w lewo, później w prawo. Zawsze tak samo, niezależnie od tego, czy mówił, czy słuchał. Wyglądało to tak, jakby w każdej chwili spodziewał się nieznanego napastnika.

- Skąd znasz mojego ojca? - zapytał Cole.

- Pracowaliśmy razem. Przez ostatnich trzydzieści sześć lat widywaliśmy się prawie codziennie.

Cole poczuł nagle podniecenie. Może Bennett Smith potrafi odpowiedzieć mu na wszystkie dręczące go pytania dotyczące ojca?

- Powiedziałeś przed chwilą że dostarczyłeś kopertę na recepcję w Gilchrist na prośbę mojego ojca. Ale kiedy zadzwoniłeś do mnie na parkiet, powiedziałeś, że wiadomość i kopertę dostarczasz na „zlecenie agencji”. Co miałeś na myśli?

Smith uśmiechnął się.

- Masz świetną pamięć do szczegółów, tak jak twój ojciec.

57

- Zadałem ci pytanie.

- I jego cierpliwość. - Smith pokręcił głową. - Albo raczej jej brak. Byłbyś doskonałym materiałem dla genetyków.

- O czym ty mówisz?

- Pewnie spotkałeś swojego ojca parę razy w życiu, zgadza się?

- Tak.

- Stanowisz jego wierne odbicie, jeżeli chodzi o zachowanie, chociaż jesteś przystojniejszy od niego. Mam wrażenie, że spotkałem jego bliźniaka. - Smith przerwał na chwilę i rozejrzał się na boki. - Nigdy go nie poznałeś, a jesteś do-

kładnie taki, jak on. To naprawdę dziwne. - Smith lekko przechylił głowę na bok.

- Lubisz hazard? - Uśmiechnął się szeroko. - Masz czasem nieodpartą potrzebę zakładania się o różne głupstwa?

Cole nie odpowiedział.

- Wiedziałem! - Smith uderzył pięścią w stół, kiedy zobaczył wyraz twarzy

Cole'a. - Twój ojciec zachowywał się tak samo. To była jego jedyna słabość.

Cole odłożył pistolet na ławkę przy stole.

- Panie Smith, cały czas mówi pan o moim ojcu w czasie przeszłym. Czy on naprawdę nie żyje?

- Naprawdę, synu - Smith odpowiedział krótko.

Cole poczuł ukłucie w piersi, a do oczu napłynęły mu łzy.

- Kiedy to się stało? - zapytał ochryple.

- Czterdzieści siedem dni temu. Na początku października.

- Gdzie?

- W górach Kolumbii, niedaleko miasteczka Zaraza. To małe miasteczko w południowej części kraju.

- Czy masz absolutną pewność, że on nie żyje?

- Co do tego nie ma wątpliwości.

Cole wzdrygnął się. Musiał zaakceptować fakt, że Jim Egan naprawdę nie żyje. Jednak, mimo wszystko, chciał się o nim dowiedzieć jak najwięcej.

- Opowiedz mi nim. Jakim był człowiekiem? Co robił?

Po raz pierwszy Smith odwrócił wzrok od niego i zaczął gapić się na stół.

- To tajemnica państwowa.

- Pracował dla rządu?

- Tak.

- I nie masz zamiaru powiedzieć mi nic więcej.

- Nie wolno mi, naprawdę.

- Więc po jaką cholere przywlokłeś się tu za mną? - Cole nagle wpadł we wściekłość.

Na twarzy Smitha pojawił się grymas. Zmarszczki w kącikach oczu i ust zrobiły się bardziej widoczne.

- Chciałem się dowiedzieć, co było w skrzynce depozytowej.

- Dlaczego nie wzięłeś klucza i nie sprawdziłeś? Przecież pewnie sam włożyłeś do koperty świadectwo zgonu. Na pewno przeczytałeś wiadomość. Może nawet sam ją napisałeś. A klucz był w kopercie.

- W banku Chase zażądali ode mnie dokumentu tożsamości i złożenia zgodnego z wzorem podpisu. Twój ojciec tylko ciebie upoważnił do odebrania depozytu. Twoje zdjęcie i podpis wziął od ciotki.

- Sądzę, że bez trudu pokonałbyś takie przeszkody - odparł Cole.

- Może masz rację, ale szanowałem twojego ojca i podziwiałem go. Był to człowiek o żelaznym charakterze, odważny i oddany temu, co robił. Razem spędziliśmy wiele trudnych chwil i nieraz ratował mi życie. Był moim przyjacielem. Jednak to ciebie wyznaczył, to ty miałeś otworzyć depozyt. Obiecałem mu, że na wypadek jego śmierci dostarczę ci tę kopertę. I dotrzymałem obietnicy.

Po raz pierwszy głos Smitha zdradził jakieś uczucie.

- Dlaczego nie dałeś mi tej koperty zwyczajnie, do ręki, w recepcji? Po co ta cała komedia?

- Też na prośbę twojego ojca. - Smith rozejrzał się w lewo i w prawo, tym razem dwukrotnie. - Miałem dostarczyć ci kopertę w taki sposób, żeby nikt tego nie zauważył. Wiedziałem, co miał na myśli.

- Ale nie oszczędłeś od razu.

- Tak.

- Dlaczego?

- Twój ojciec napomknął, że po odebraniu zawartości ze skrzynki możesz potrzebować pomocy.

Pewnie liczyłeś na walizkę z pieniędzmi - pomyślał Cole.

- Nie powiedział ci, co było w depozycie? - zapytał Cole z niedowierzaniem.

- Nie. - Smith wysunął do przodu dolną szczękę i Cole'owi wydało się, że drgnął.

- Dlaczego chciał, żebyś dostarczył mi kopertę dopiero po jego śmierci?

- Nie wiem. Mówiłem ci, że nie miałem pojęcia, co mogło być w skrzynce.

- Kim byli ci ludzie w Nowym Jorku? Kobieta, którą zastrzeliłeś, i mężczyzna z blizną?

- Nie wiem - upierał się Smith. Jednak Cole miał wrażenie, że jego różowe

policzki zarumieniły się jeszcze bardziej.

- Nie wierzę ci! To jakaś kolejna gra?

Smith podniósł do góry dłoń.

- Spokojnie, synu. To nie jest żadna gra. Mogę się tylko domyślać, kim byli ci ludzie, ale niczego nie jestem pewien. - Przenikliwie patrzył Cole'owi w oczy.

- Jeżeli się nie mylę, to pewna teoria, którą wysnuliśmy wspólnie z twoim ojcem, jest prawdziwa. A teraz powiedz mi, co było w depozycie?

Cole powoli tracił panowanie nad sobą.

- Mów dalej o moim ojcu.

- Powiem, choć nie powinienem tego robić. Jednak przedtem muszę się dowiedzieć, co było w depozycie.

Cole milczał dłuższą chwilę. Nie miał żadnego powodu, żeby ufać temu człowiekowi, ale Bennett Smith był jedyną osobą która mogła odsłonić tajemnice jego ojca.

- W depozycie była kasetka wideo - wyznał w końcu.

59

- A co było na tej kasecie?

Cole znowu się zawahał.

- Zabójstwo prezydenta Kennedy'ego.

- Czy znasz tak zwany film Zaprudera? - zapytał Smith.

- Tak, widziałem tamto nagranie i zapewniam, że to był inny film.

Smith uniósł brwi.

- Czy kasetka z depozytu ukazuje zabójstwo w innym świetle?

- Tak - przyznał Cole ściszoneg głosem.

- Był jeszcze jeden snajper. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

- Tak - potwierdził Cole.

- Stał za płotem, na trawiastym pagórku?

- Tak.

- Jezu! - szepnął Smith. - Nic dziwnego, że cię śledzili. Miałeś cholerne



szczęście, że nie zabili cię przy odbieraniu kasety. I że pojawiłem się w odpowiednim momencie. Domyślałam się, że ten facet na Trzydziestej Dziewiątej ulicy zabrał ci właśnie tę kasetę. Już jej nie masz, prawda?

- Nie, nie mam - przyznał załamany Cole. - Więc powiesz mi, kim byli ci ludzie?

Smith wepchnął język w szczelinę po brakującym zębie.

- Boże, to wszystko zaczyna nabierać sensu.

- Co zaczyna nabierać sensu? Cholera, mów!

- Dobrze, zasługujesz na to, żeby wiedzieć. - Smith spojrzał w lewo, bo zaczął krzyczeć orzeł, ten sam, na którego Cole zwrócił wczoraj uwagę, że jest taki

wystraszony. - Opowiem ci całą historię. Może nie powinienem, ale opowiem. -

Pokręcił głową. - Dranie - mruknął.

- Mów - ponaglił go Cole.

Smith przetarł usta wierzchem dłoni.

- W 1963 roku twój ojciec i ja byliśmy policjantami w Dallas i razem wynajmowaliśmy mieszkanie. Mieliśmy po dwadzieścia lat i około roczny staż pracy. Dwudziestego drugiego listopada wybraliśmy się na plac Dealey, żeby zobaczyć uroczysty przejazd prezydenta, udającego się z Love Field do Trade Mart, gdzie miał zjeść obiad. Obydwaj mieliśmy poprzedniej nocy służbę do czwartej rano. Byliśmy zmęczeni, ale chcieliśmy zobaczyć Kennedy'ego. Wszyscy chcieli. Zaparkowaliśmy na ogromnym parkingu za trawiastym pagórkiem. Mieliśmy jeszcze sporo czasu. Wzdłuż trasy metra doszliśmy do szerokiego przejścia podziemnego, a stamtąd na most nad torami, po zachodniej stronie placu. Stanowił doskonały punkt obserwacyjny. - Smith przełknął ślinę. Wyglądało na to, że niechętnie sięga do tych wspomnień. - Kawalkada samochodów dotarła do ulicy Main, skręciła w prawo, w ulicę Houston, po czym w lewo, w ulicę Elm, gdzie znajdował się budynek biblioteki szkolnej. Limuzyna prezydenta przyspieszyła po wyjściu z ostrego zakrętu w ulicę Elm. I wtedy zaczęło się. - Smith znowu przełknął ślinę. - Pierwszy strzał był bardzo głośny, ale nie potrafiliśmy

ustalić,

z jakiego kierunku padł. Wokół placu wszędzie wznosiły się budynki, co sprawiło, że powstało ogromne echo. - Smith miał nieobecny wyraz twarzy. - Wciąż

60

pamiętam, jak twój ojciec krzyknął: „Słyszałeś to?”. Potwierdziłem. Pamiętam też, że nie patrzyliśmy sobie w oczy, kiedy rozmawialiśmy. Byliśmy zbyt zafetowani, rozglądaliśmy się za snajperem. Automatycznie zaczęliśmy robić to, czego nas uczono w szkole policyjnej.

- Co się zdarzyło później? - Cole słuchał jak zakłęty, widząc jedynie twarz mężczyzny siedzącego naprzeciw.

- Potem padł drugi strzał, jeszcze głośniejszy.

- Magiczna kula - podpowiedział Cole.

- Ja języczę dziewczęcą kulę- powiedział Smith. - Zakłada się, że została wystrzelona z szóstego piętra biblioteki, przebiła Kennedy'ego, roztrzaskała żebro i nadgarstek gubernatora Connally'ego, po czym utkwiała w jego udzie. Ta kula, którą w szpitalu w Parkland wydobyto z nogi Connally'ego, wyglądała tak, jak gdyby nigdy jej nie wystrzelono. Straciła mniej niż trzy procent swojego normalnego ciężaru, czyli niecałe 0,2 grama. Wiele kul wystrzeliłem w swoim życiu, z różnej broni, i zapewniam cię, że takie rzeczy nie zdarzają się, kiedy kula roz-

trzaskuje dwie kości. Taka kula powinna wyglądać jak kawałek przeżutej gumy. - Smith przerwał na chwilę.

- Co było dalej? - niecierpliwił się Cole.

- Hmm... - Smith znowu potarł podbródek. - Wtedy padł zabójczy strzał.

Zerwał czubek głowy prezydenta. Tak to przynajmniej wyglądało z miejsca, gdzie staliśmy. Naprawdę była to boczna część czaszki. Wyglądało potwornie.

Cole poczuł skurcz żołądka. Film z Dealey dokładnie ukazywał całe to okropieństwo.

- I co zrobiliście?

- Zdecydowaliśmy z twoim ojcem, że włączamy się do akcji. Nie byliśmy na służbie, więc mieliśmy na sobie cywilne ubrania. Wiedzieliśmy, że może to skomplikować sprawę, bo umundurowani policjanci nie będą wiedzieli, że jesteśmy przedstawicielami prawa, ale to nas nie powstrzymało. Chcieliśmy pomóc. Postąpiliśmy zgodnie z instynktem. Twój ojciec pobiegł torami w kierunku południowym, potem ulicą Commerce dostał się na plac. Ja skierowałem się na północ, w kierunku stacji metra. Kiedy dotarłem na koniec mostu, zobaczyłem mężczyznę biegnącego z miejsca, gdzie na porośniętym trawą pagórku stał płot. Niósł coś, co wyglądało jak skrzynka na narzędzia. Próbowałem go złapać, ale nie udało mi się. - Pokręcił głową. - Prawdopodobnie byłem o krok od zmiany biegu historii.

- Ja też - burknął Cole, przypominając sobie scenę, kiedy mężczyzna z bliźną wyrwał mu z ręki taśmę z Dealey. - To wtedy mój ojciec musiał zabrać komuś ten film.

Smith pokiwał głową.

- Nie komuś, synu. Zabrał go twojej matce. - Gdy Smith zobaczył konsternację Cole'a, dodał: - Młodej kobiecie, która nazywała się Andrea Sage.

W ten sposób Cole otrzymał odpowiedź na kolejne z dręczących go przez lata pytań. Wuj i ciotka przez wszystkie te lata utrzymywali, że nie znają nazwi-

ska panińskiego jego matki, że nie wiedzą o niej nic oprócz tego, że, zgodnie ze

słowami ojca, zmarła, kiedy Cole miał roczek. Twierdzili, że nigdy jej nie pozna-

61

li, a ojciec zerwał wszelkie kontakty z rodziną zaraz po sekretnym ślubie z tajem-

niczą kobietą. Wkrótce Jim Egan pojawił się po to, aby zostawić pod ich opieką rocznego Cole'a, i znowu zniknął bez śladu.

- Więc panięskie nazwisko mojej matki brzmi Sage?

- Tak - potwierdził Smith. - To dlatego zapytałem cię o twoje drugie imię, żeby mieć pewność, że to ty. Twoje drugie imię jest jej panięskim nazwiskiem. Twój ojciec twierdził, że nigdy nie powiedział o tym nikomu oprócz mnie. Chciałem być pewien, że rozmawiam z właściwym człowiekiem. Nie mogłem dopuścić do tego, aby koperta dostała się w niepowołane ręce. Później, na wszelki wypadek czekałem w recepcji, żeby zobaczyć, czy dostałeś kopertę.

Więc ciocia i wujek nie okłamywali go. Naprawdę nic nie wiedzieli o jego rodzicach. Zawsze podejrzewał, że coś przed nim ukrywają że może rodzice są na przykład kryminalistami.

- Dlaczego Andrea Sage nie była z wami, na moście?

- Wtedy jeszcze nie znała Jima. Spotkali się po raz pierwszy na placu Dealey, parę sekund potem, jak prezydent Kennedy został zastrzelony. Nie mieli okazji przedstawić się sobie. - Smith uśmiechnął się. - Boże, to wszystko zaczyna do siebie pasować.

- Co zaczyna pasować? - zapytał zniecierpliwiony Cole.

Smith oderwał ze stołu drzazgę, obejrzał ją dokładnie, po czym odrzucił za siebie.

- Parę dni po zabójstwie zgłosiła się na komendę główną policji w Dallas młoda, piękna dziewczyna i zeznała, że sfilmowała zabójstwo Kennedy'ego amatorską kamerą firmy Bell & Howell. Tą kobietą była Andrea Sage. Twierdziła, że film rzuci nowe światło na to, co się wydarzyło. Był jednak mały problem. Ktoś siłą wyrwał jej kamerę z rąk chwilę po tym, jak padły strzały. Po czym dodała coś,

co było prawdziwą rewelacją. Człowiekiem, który skonfiskował jej kamerę z filmem, był policjant z Dallas, Jim Egan.

- Co? Przecież nie wiedziała, że był policjantem. Mówiłeś, że nie byliście wtedy w mundurach.

- To prawda, nie zaprzeczam.

- Czy przedstawił się jej, kiedy zabierał jej film?

- Nie, nie zrobił tego. Andrea sama go zidentyfikowała. Oglądała w telewizji, jak Jack Ruby strzela do Lee Oswalda, i zauważyła twojego ojca stojącego w tle. Był w mundurze, kiedy wyprowadzano Oswalda. W telewizji puszczano te zdjęcia wiele razy i za którymś razem Andrea rozpoznała twarz twojego ojca. Odczekała jeszcze parę dni, bo była pewna, że policjant przekazał film odpowiednim władzom. Ponieważ jednak o niczym takim nigdzie nie wspomniano, zdecydowała się zgłosić sama.

- Przecież w żadnej książce, w żadnych dokumentach nie ma wzmianki o takim wydarzeniu - zauważył Cole. - Pamiętam, że był jakiś pilot z Alaski, który twierdził, że skonfiskowano mu kamerę, ale...

- Tak, było jeszcze paru innych - przerwał mu w połowie zdania Smith. - Wiem. Historią Andrei Sage nikt sienie zainteresował. Przede wszystkim dlatego

że nikt jej nie wierzył, nawet ci dziennikarze, którzy słyszeli o tej sprawie.

Twój ojciec kategorycznie wszystkiemu zaprzeczał. Andrea zaś nie budziła zaufania. Jako miejsce stałego zamieszkania podała adres hotelu w Dallas, odmówiła pokazania jakichkolwiek dokumentów tożsamości. Był to klasyczny przykład tego, że wierzy się człowiekowi o dobrej reputacji, strażnikowi prawa, a nie

kobiecie sprawiającej wrażenie, że zrobi wszystko dla rozgłosu.

- Jednak ona nie kłamała - powiedział niepewnie Cole.

Smith znowu wcisnął język w szczelinę między zębami i cmoknął.

- Najwyraźniej nie. - Zrobił dziwną minę. - Ale skąd wiesz, że twój ojciec zabrał komuś film? Mógł mu wpaść w ręce w jakiś inny sposób.

Cole zawahał się, czy nie powiedział już za dużo. Jednak Bennett Smith udzielał mu odpowiedzi na pytania, które męczyły go przez tyle lat, i za nic nie chciał

powstrzymać tego potoku informacji. - Na końcu taśmy z Dealey...

- Tak ją nazwałeś? - Smith znowu mu przerwał.

Cole kiwnął głową.

- Niewiarygodne. - Smith wyciągnął rękę i klepnął Cole'a po ramieniu.

Cole nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Co znowu?

- Twój ojciec też zawsze nazywał rzeczy. Nadał imię swojemu pistoletowi, odznace, butom. Nazywał wszystko. - Smith usiadł z powrotem na ławce, ale wciąż chichotał. - Mów dalej, przerwałem ci. Przepraszam.

Nagle Cole poczuł, że zaczyna odczuwać sympatię do Bennetta Smitha. Mimo że nazwał on siebie zawodowym zabójcą w co Cole nie wątpił ani przez moment, sprawiał

wrażenie człowieka honoru, który walczył o to, aby zapewnić innym bezpieczeństwo.

Smith rzeczywiście z zimnokrwiażabił tę kobietę na Czterdziestej Dziewiątej ulicy. Ale

gdyby tego nie zrobił, ona zabiłaby jego. To chyba wystarczy, żeby go polubić.

- Nie szkodzi - powiedział Cole. - A więc na końcu taśmy z Dealey, kiedy limuzyna odjechała i moja matka... - Cole ledwie wykrztusił te słowa. „Moja matka” zabrzmiało tak dziwnie. Zaczynał poznawać ją dopiero teraz, kiedy już nie żyła. - Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Smith nie należał do ludzi sentymentalnych, ale rozumiał, co dzieje się z tym chłopcem.

Cole odkaslnął i zaczął mówić dalej.

- Jak mówiłem, obraz na taśmie na sekundę staje się czarny, po czym ukazuje się twarz mojego ojca. Jest nieostra, ale nie ma wątpliwości, że to on. Pewnie podchodził do matki, aby odebrać jej kamerę.

Smith gwizdnął przez szczelinę w zębach.

- Jim naprawdę musiał mieć taśmę przez te wszystkie lata. Wiesz, to była jego kolejna cecha charakterystyczna. Potrafił dotrzymać tajemnicy i nikomu nie pisać

ani słówka, nawet mnie, swojemu najlepszemu przyjacielowi. - Smith po raz kolej-

ny dokonał rytualnego sprawdzania okolicy, po czym z powrotem zwrócił oczy na Cole'a. - Powiedziałeś jednak, że w depozycie była kasetka wideo, a nie film.

- Tak. Oglądałem ją na odtwarzaczu w Gilchrist, zaraz potem, jak odebrałem ją z banku Chase.

63

- W takim razie ojciec musiał skopiować film na kasetę wideo i prawdopodobnie podrasować obraz.

- Pewnie tak - zgodził się Cole.

Smith zmrużył oczy.

- To znaczy że wciąż musi gdzieś być oryginalny film.

- Na to wygląda. - Cole'a nie interesował film, bo prawdopodobieństwo odnalezienia go było zerowe. - A co potem stało się z moją matką?

Smith nie odpowiadał, rozmyślając nad czymś.

- Hej! - Cole uderzył dłonią w stół.

- Co? Ach, wybacz. - Smith przetarł oczy. - To była najdziwniejsza rzecz.

Andrea zgłosiła się do paru dziennikarzy, chcąc zainteresować ich swoją opowieścią ale oni mieli już wyrobione zdanie na jej temat. Uważali, że kłamie, że stara

się zrobić pieniądze na tym, co się wydarzyło. Przeszono się nią interesować.

Twój

ojciec na początku utrzymywał, że nienawidzi tej baby. Nazywał ją kłamczucha wariatką. Ja mu wierzyłem, no bo dlaczego miałoby być inaczej? - Smith roześmiał się. - Minęły dwa tygodnie i dowiedziałem się, że Jim i Andrea chodzą ze sobą. Tydzień później byli już po ślubie. Dowiedziałem się o tym, kiedy Jim wyprowadził się z naszego mieszkania i przeniósł się do Andrei. Myślałem, że będę teraz musiał sam ponosić koszty wynajęcia mieszkania, ale on mimo że się wyprowadził, wciąż płacił swoją połowę. Taki już był. Jeśli się czegoś podjął, wypełniał zobowiązania, bez względu na wszystko. Twierdził, że jedyne, co liczy się w życiu, to reputacja. I miał rację.

- Mój ojciec poślubił Andreę Sage, mimo że poszła na policję, donosząc na

niego?

- Tak.

- To bardzo dziwne.

- To jest jeszcze dziwniejsze, niż myślisz.

- Dlaczego?

- Naprawdę nie powinienem mówić już nic więcej.

- Mów - nalegał Cole.

Smith jednak wciąż się wahał.

- Proszę, Bennett. - Po raz pierwszy Cole zwrócił się do niego po imieniu. -

Muszę wiedzieć.

- Wiem, że musisz - powiedział, patrząc w kierunku Lassiter. Słońce pojawiło się już nad horyzontem i jasne promienie rozświetlały powierzchnię rzeki. -

O której powinniśmy wyruszyć? Chciałbym wybrać się z tobą w dół rzeki. Możemy porozmawiać, jak już dotrzemy do mety.

Cole skinął głową.

Ten Kolumbijczyk miał pewnie ze dwanaście lat. Był wychudzony, z gęstą czupryną prostych granatowoczarnych włosów, ubrany wyłącznie w brudne, porwane szorty i zabłoconą czapkę baseballową z napisem „Nike”. Ale ponieważ miał ciemnobrązową skórę, tropikalne słońce nie mogło zrobić mu krzywdy.

64

Komandor Magee truchtał za chłopcem, który wąską ścieżyną przedzierał się przez dżunglę. Szli już tak ponad dwie godziny i Magee zaczął się zastanawiać, czy te trzydzieści dolarów, które wcisnął do brudnej ręki chłopca, nie zostało wyrzucone w błoto.

- Jak daleko jeszcze? - Magee krzyknął po hiszpańsku do swojego małego przewodnika. Oprócz hiszpańskiego znał świetnie jeszcze francuski, niemiecki i rosyjski.

- Niedaleka droga w to miejsce - odpowiedział chłopiec łamaną angielszczyzną. I przez ramię radośnie uśmiechnął się do gringo. Pierwszy raz miał okazję mówić po angielsku.



Wkrótce dotarli do błotnistego brzegu rzeki. Magee zauważył na drugim brzegu ogromnego krokodyla, wygrzewającego się w słońcu. Krokodyl zaczął powoli sunąć i z pluskiem wskoczył do wody. Magee przez długą chwilę przyglądał się temu miejscu, próbując zapamiętać każdy szczegół. To pewnie tu odbyła się walka. Wreszcie zwrócił się do chłopca.

- Powiedziałeś, że tu jest grób.

- Tak. - Chłopiec wskazał ręką w dół rzeki i ruszył dalej.

Magee podążył za nim. Na ramieniu niósł łopatę. Parę minut później chłopiec przykucnął, pokazując ręką usypany z piasku kopczyk, na który padał cień prostego krzyża zbitego z dwóch gałęzi.

- Odsuń się! - zarządził Magee, rzucając na ziemię łopatę. Uklęknął i dotknął ręką ziemi.

- Pan szczęśliwy? - zapytał chłopiec. - Może da mi więcej dolarów?

Magee spojrzał na chłopca.

- Może. - Zmrużył oczy. - Jak wyglądał ten mężczyzna, który wykopał dół i zakopał ciało?

- To był duży człowiek. - Chłopiec pokazał, że miał szerokie ramiona, po czym wskazał na włosy. - Miał włosy takie jak słońce.

A więc to pewnie ten, który gonił go na Manhattanie - pomyślał Magee.

- Wracamy do wioski.

- Nie będzie kopania? - dopytywał się ciekawski malec.

- Nie.

Chłopiec zdziwił się, że tak długo szli przez dżunglę tylko po to, by później zawrócić. Słyszał jednak, że Amerykanie są dziwni, a ten, z blizną na policzku, pasował do tego opisu. Wzruszył ramionami.

- Okey

Kiedy chłopiec odwrócił się, Magee wstał, zza wojskowego pasa wyciągnął długi, ząbkowany nóż myśliwski i złapał chłopca za twarz. Wbił mu nóż głęboko w gardło, rozcinając szyję. Chłopiec upadł na ziemię i złapał się za gardło.

Jakiś

czas wił się na ziemi, a potem zastygł w bezruchu. Magee uśmiechnął się. Mógł po prostu przetrącić mu kark, ale wolał patrzeć na krew. Seward miał rację.

Zabi-

janie sprawiało mu przyjemność. A im więcej bólu zadawał ofierze, tym lepiej. Magee wyciągnął trzydzieści dolarów z kieszeni zabłoconych szortów chłopca, po czym podniósł ciało i wrzucił je do rzeki. Rozległ się głośny plusk. Po paru

5 - Depozyt

65

sekundach wynurzył się z wody krokodyl. W mgnieniu oka znalazł się przy martwym ciele. Magee spojrział w niebo. Wysokie chmury przynoszące popołudniowy deszcz zaczynały formować się nad szczytem gór od zachodniej strony. Dzięki krokodylom i deszczowi, który zmyje ślady krwi, niedługo po chłopcu nie będzie śladu.

Podniósł łopatę i zaczął kopać.

8

Kanadyjka podskoczyła i odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Cole znalazł się na progu, ale za pomocą zręcznych uderzeń wiosła i balansowania ciałem zdołał utrzymać się na spienionej wodzie. Kiedy przebył wszystkie stopnie, skierował łódź w wir przy brzegu i spojrział za siebie. Roześmiał się, gdy zobaczył, jak Bennett nie może utrzymać kontroli nad swoją kanadyjką. Nic mu nie groziło, bo rzeka w tym miejscu była stosunkowo płytka.

Cole rzucił na brzeg kotwicę, wychylił się z rufy i złapał łódź Bennetta. Na tym odcinku rzeki cała sztuka polegała na tym, aby pozwolić prądowi nieść się po płyciźnie.

- Dzięki - zawołał Bennett.

Cole uśmiechnął się.

- Polecam się na przyszłość.

Dziesięć minut później, na łądzie, pożywiali się kanapkami z mięsem indyka i sałatką ziemniaczaną które Cole zabrał z kuchni ciotki.

- Dobrze - pochwalił jedzenie Bennett, rozglądając się z pełnymi ustami. -

Wiesz, że nawet jest tu ładnie.

- Pięknie - poprawił go Cole. Był kolejny pogodny ranek. Na niebie żadnych chmur, temperatura sięgała plus dziesięciu stopni, co było dużo jak na tę porę roku w północnym Wisconsin. - A teraz, Bennett, oczekuję zapłaty za śniadanie.

- Tak?

- Wczoraj, przy namiocie, powiedziałeś mi, że ojciec ożenił się z Andrea Sage - przypomniał mu Cole. - I że to było dla ciebie dziwne, a później zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego.

- Niech ci będzie. - Bennett skończył żuć i przełknął. - Jakiś tydzień po ślubie twoich rodziców, udzielonym im przez sędziego pokoju, zaproszono nas, mnie i twojego ojca, na spotkanie. Przedstawiciele organizacji pod nazwą Agencja Wywiadowcza Obrony Narodowej, DIA, chcieli, żebyśmy natychmiast zaczęli dla nich pracować.

- Czym się zajmowała ta Agencja?

67

- Dokładnie tym, co wynika z nazwy. To grupa wywiadowcza, jedna z komórek Departamentu Obrony Państwa, utworzona w 1961 roku jako jedna ze służb Komitetu Połączonych Sztabów, mająca koordynować prace różnych działów wywiadu. W DIA zatrudnieni byli głównie cywile i, według słów ludzi, którzy przedstawili nam propozycję pracy, rzadko miały się zdarzać ściśle tajne akcje. Mieliśmy pracować głównie w biurze, zajmować się analizą problemów. Dyrektor DIA ma zawsze wysoki stopień wojskowy, jest generałem albo admirałem, odpowiada przed szefem CIA, Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Czy DIA nadal istnieje?

- Tak, naturalnie.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Nic dziwnego, mało cywili wie o Agencji. Nie trafia ona na pierwsze strony gazet, tak jak CIA.

Nieoczekiwanie nieobecność ojca w życiu Cole'a stała się w jakiś sposób wytłumaczalna. Uczucie żalu i goryczy trochę zmalało.

- Ojciec pracował dla DIA?
  - Tak. Już miesiąc po spotkaniu z przedstawicielami Agencji pracowaliśmy dla DIA. Nasi przełożeni w policji w Dallas bardzo nas namawiali, żebyśmy zgodzili się przejść do DIA. Wyglądało na to, że otrzymaliśmy propozycję nie do odrzucenia. Zawsze wydawało się nam to trochę dziwne.
  - Co wydarzyło się później?
  - Przeszliśmy przez trzy lata intensywnego treningu, a później wysłano nas na pierwszą misję. Dziesięciu naszych ludzi przedostało się do Kambodży, aby uwolnić sześciu pilotów. Według naszej informacji byli więzieni w dżungli, tuż przy granicy z Wietnamem Północnym. Misja była ściśle tajna. Oficjalnie nas tam nie było. Gdybyśmy nie wrócili, nikt by nas nie szukał.
  - Zaraz, zaraz, Bennett. Przed chwilą mówiłeś, że DIA nie miało wiele wspólnego z tajnymi misjami.
  - Oficjalnie nie. I to dawało wspaniałe możliwości, aby takie misje przeprowadzać.
  - A więc mój ojciec był agentem wywiadu, pracującym na rzecz rządu federalnego - powiedział głośno Cole, dumny z tego faktu.
  - Tak. Był agentem, i to bardzo dobrym. - Bennett chciał, żeby Cole był dumny z ojca i żeby go zrozumiał. - Po śmierci żony nie miał czasu na wychowywanie dziecka. Wysyłano nas na bardzo ważne i niebezpieczne misje. Byliśmy na Kubie, w Niemczech Wschodnich, nawet w Rosji. Wielu ludzi zawdzięcza życie twojemu ojcu. Naprawdę lepiej było dla kraju, że robił to, co robił, a wychowaniem ciebie zajmowało się wujostwo.
  - Czy zabił kogoś? - Cole ściszył głos. To nie było łatwe pytanie.
  - Cóż, praca dla wywiadu bywa niewdzięczna - dyplomatycznie odpowiedział Bennett.
- Cole zrozumiał i nie chciał wiedzieć więcej.
- A matka? Jak umarła?
- Bennett wiedział, że go to zaboli, ale musiał odpowiedzieć na pytanie.

- W 1970 roku mieszkali z ojcem niedaleko Fortu Dix w New Jersey. Byliśmy z ojcem na jednej z tajnych misji. Którejś nocy podczas naszej nieobecności, paru naćpanych hipisów włamało się do domu, żeby go obrabować. Myśleli, że nikogo tam nie ma. Przestraszyli się, kiedy zobaczyli twoją matkę, i zabili ją.

Na szczęście nie zrobili krzywdy tobie.

Cole zacisnął powieki. Nigdy nie zobaczy już swoich rodziców.

- Twój ojciec nie wiedział o śmierci żony aż do momentu, kiedy wrócił z misji do domu. To było miesiąc później. - Bennett kontynuował. - Miałeś niecały roczek. Do powrotu ojca zajmowała się tobą żona jednego z wojskowych. Kiedy ojciec wrócił, zabrał cię do wujostwa. Nie powinieneś obwiniać ojca za to, co się

wydarzyło. Znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Jego siostra była jedyną osobą która mogła mu pomóc. Jednak ojciec wiedział, że to nie zastąpi ci prawdziwych rodziców, i dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Ja go nigdy nie obwiniałem - powiedział Cole bez przekonania.

- Cieszę się, że to słyszę.

Cole podniósł wzrok na Bennetta.

- Powiedziałaś, że to było jedyne słuszne rozwiązanie.

- Aha.

- Dlaczego nie oddał mnie rodzicom mojej matki?

Bennett zagryzł dolną wargę.

- Podobno twoja matka miała nie najlepsze stosunki z własną rodziną. A do siostry twój ojciec miał całkowite zaufanie. Mówił, że jest cudowną kobietą. Nie wahał się z tą decyzją.

Cole pokiwał głową spojrzawszy na rzekę. Rzeczywiście, ciotka była cudowną kobietą.

- Dzięki, że powiedziałaś mi to wszystko, Bennett. I za uratowanie mi życia tamtej nocy. Powinienem był podziękować ci wcześniej.

Bennett machnął ręką.

- Żałuję tylko, że nie pojawiłem się tam wcześniej. Miałbyś teraz taśmę z Dealey

- Uśmiechnął się, jak gdyby wciąż bawiło go to, że Cole nadawał przedmiotom imio-

na, tak jak jego ojciec.

Cole westchnął ciężko.

- Ta taśma była jedyną rzeczą jaką ojciec zostawił mi w spadku.

- To bardzo cenny spadek.

- Tak sądzisz?

- Czy naprawdę za płotem na wzgórzu widać snajpera?

- Bez cienia wątpliwości. Obraz na początku trochę skacze, jakby moja matka filmowała biegnąc obok limuzyny, ale uspokaja się przed zabójczym strzałem.

Nie ma wątpliwości, skąd strzelano. Nad płotem widać strzelbę, a z lufy ulatuje chmurka dymu. I wtedy głowa prezydenta rozpada się.

- Nie miałeś wątpliwości co do autentyczności obrazu? - zapytał Bennett.

- Żadnych. Nie ma możliwości, żeby zmienić coś w tym filmie.

- To pewnie wart jest parę milionów.

Jakiś czas siedzieli bez słowa, zastanawiając się, co wydarzyłoby się, gdyby Cole'owi nie odebrano kasety.

69

- Myślisz, że ojciec przyznał się matce, że ma taśmę z Dealey? - zapytał Cole.

Bennett wierzchem dłoni otarł z ust okruszki.

- To dobre pytanie, ale nie znam odpowiedzi. Chyba się nie przyznał. Nie zdradził się z tym nawet przede mną, a przecież spędzałem z nim więcej czasu.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego ojciec tak szybko poślubił Andreeę Sage.

Przecież ona go oskarżyła o skonfiskowanie kamery filmowej, a on się tego oficjalnie wyparł. Bennett, czy to normalne, że tak śpieszyło mu się do małżeństwa?

- Nie - przyznał Bennett. - A dlaczego DIA zainteresowało się właśnie nami?

Cole spojrzał Bennettowi w oczy. W jego głosie usłyszał zapowiedź czegoś złego.

- Chcesz powiedzieć...

- Nic nie chcę powiedzieć. - Bennett ugryzł kanapkę, ale mówił dalej. -

Spytałeś mnie przed chwilą, kim byli ci ludzie na Manhattanie; mężczyzna, który zabrał ci kasetę, i kobieta. Powiedziałem, że nie wiem.

- Ale powiedziałeś też, że się domyślasz.

- Tak. - Bennett z uporem patrzył Cole'owi w oczy, jak gdyby wahając się, czy powiedzieć mu więcej. A potem zaczął mówić. - Słyszałem plotki na temat supertajnej operacji, prowadzonej przez DIA. Powiedziano mi, że biorący w niej udział mają specjalny znak pod paznokciem palca wskazującego na lewej ręce, ale nie wiem, czy można temu dać wiarę. W każdym razie celem tej operacji było zatarcie wszelkich ewentualnych śladów wskazujących na to, że zabójstwo prezydenta Kennedy'ego było wynikiem spisku.

Cole z niedowierzaniem zmrużył oczy.

- A więc spisek istniał?

Bennett pokręcił głową.

- Tego nie powiedziałem. Posłuchaj uważnie. Celem operacji było zatarcie wszelkich ewentualnych śladów wskazujących na to, że prezydent zginął w wyniku spisku.

- Jak można udowodnić, że coś nie istniało, jeżeli nie wiemy, czy istniało naprawdę? - To było kompletne szaleństwo.

- Zakładasz, że spisek istniał, potem robisz tyle hałasu wokół faktów, które trudno jest po tylu latach udowodnić, żeby prawda przemieszała się z przypuszczeniami i kłamstwami. Dzięki dezinformacji i propagandzie tworzy się kompletny mętlik. To klasyka strategii politycznej. Trzeba się upewnić, że żaden dowód na istnienie spisku, który mógłby się przebić przez ten chaos, nigdy nie dotrze do

opinii publicznej. Na przykład taka rzecz, jak twoja taśma z Dealey.

Cole zaczynał rozumieć, do czego prowadzi wyjaśnienie Bennetta.

- A więc ludzie biorący udział w tej operacji tworzyli nieprawdziwe historie, fabrykowali dowody dotyczące zabójstwa?

- Takie słyszałem plotki. Pomyśl, jak łatwo by było wplątać w tę sprawę mafię.

Wystarczyłoby zapłacić paru ludziom, żeby pod przysięgą zeznali, że widzieli Lee Harveya Oswalda z Davidem Ferrie i innymi przestępcami. Albo wmieszać w to FBI przez zeznanie, że ktoś widział Oswalda odbierającego jakąś przesyłkę

70  
od agenta w samochodzie FBI w Nowym Orleanie, parę miesięcy przed zabójstwem. Albo rzucić podejrzenie na Departament Obrony przez zwrócenie uwagi opinii publicznej, że jednym z pierwszych oficjalnych zarządzeń prezydenta Lyndona Johnsona było odwołanie rozkazu Kennedy'ego, dotyczącego wycofania wojska z Wietnamu. - Bennett był wyraźnie podniecony, mówił podniesionym głosem, wymachiwał rękami. - Chodziło pewnie o stworzenie tylu różnych teorii spisku, żeby żadna z nich nie wydała się wystarczająco przekonująca. Należało logicznie uzasadnić motywację każdej z grup, które mogły być zamieszane w zabójstwo. Znaleźć powód, dla którego każdemu mogło zależeć na śmierci Kennedy'ego.

- Ale po co to wszystko? Po co tyle zachodu?

Bennett roześmiał się.

- Jesteś za młody, żeby to zrozumieć.

- Co masz na myśli? - Cole był zbyt pochłonięty tymi rewelacjami, żeby obrazić się za protekcjonalny ton Bennetta.

- Nigdy nie przerażały cię słowa „żelazna kurtyna”, prawda? Urodziłeś się po kryzysie kubańskim, po Zatoce Świń. Może słyszałeś o tym, ale tego nie przeżyłeś. W szkole nigdy nie ćwiczyłeś chowania się pod ławkę na wypadek wybuchu bomby atomowej. To dla ciebie obce, prawda?

- Chyba tak - przyznał Cole. - Kiedy chodziłem do szkoły, prezydent Reagan określił Związek Radziecki jako imperium szatana. Jednak tak naprawdę było nam to obojętne. Uważaliśmy nawet, że to brzmi głupio.

- Właśnie. Musisz zrozumieć, że w roku 1963 widmo komunizmu znajdowało się w centrum uwagi. Ta kwestia przykuwała uwagę opinii publicznej. Zresztą rzeczywiście była to potencjalna bomba zegarowa. Po zabójstwie prezydenta Kennedyego najwyżsi przedstawiciele rządu wiedzieli, że jeżeli konserwatystom uda się



zbytńo podburzyć naród przeciwko Rosjanom albo Kubańczykom, może się roz-  
pętać prawdziwe piekło. Zdawali sobie sprawę, że jeśli okaże się, iż Związek Ra-  
dziecki albo Kuba mają coś wspólnego z zabójstwem, wybuchnie światowa wojna  
atomowa. Komuniści rzeczywiście byli uważani za czerwone diabły. Ludzie w na-  
szym kraju byli przekonani, że Związek Radziecki jest prawdziwym imperium sza-  
tana, którego celem jest zniszczenie za wszelką cenę amerykańskiego stylu życia.  
Rosjanie mogli użyć Kuby jako bazy militarnej. To załedwie sto czterdzieści  
kilo-

metrów od granicy Stanów. Mogli użyć Lee Harveya Oswalda i innych, aby zabili  
Kennedy'ego. Pamiętaj, że Oswald był jakiś czas w Mińsku i był członkiem Klubu  
Fair Play dla Kuby w Dallas. - Bennett zaakcentował słowo „klub”. - Korespondo-  
wał z wieloma znanymi komunistami. To są fakty. Kiedy prezydent Johnson zwró-  
cił się do przewodniczącego Sądu Najwyższego, Earla Warrena, z prośbą by stanął  
na czele komisji rewizyjnej, mającej rozpatrzeć materiały dotyczące zabójstwa  
Ken-

nedyego, ostrzegł go, że jeśli opinia publiczna zwróci się przeciwko Chruszczo-  
wowi albo Castro, może doprowadzić to do wybuchu wojny. Johnson powołał także  
komisję do spraw energii atomowej, która miała przewidzieć, ilu ludzi może  
zostać

zabitych podczas radzieckiego ataku atomowego. Komisja ta obliczyła, że co go-  
dzina ginęłoby czterdzieści milionów Amerykanów. Przeraziło to prezydenta. -

71

Bennett zmrużył oczy. - Raport komisji Warrena był oficjalną wersją zabójstwa.  
Propaganda DIA była nieoficjalna, ale dużo potężniejsza.

- Komu ludzie z DIA przekazywali wymyślone przez siebie historie o zabój-  
stwie? - zapytał nieśmiało Cole.

- Dziennikarzom, pisarzom... - Bennett uśmiechnął się blado. - Ten kraj ko-  
cha spiskową teorię dziejów. Tak było zawsze i tak będzie. Zaangażowani w opera-  
cję ludzie wiedzą to i potrafią wykorzystać. Najprawdopodobniej najpierw promo-  
wali teorię o mafii, po to, żeby zdecydowanie i jak najszybciej odwrócić uwagę

od

Związku Radzieckiego i Kuby. To było chyba najłatwiejsze z zadań. Robert Kennedy, popierany przez brata, bardzo podkreślał konieczność walki ze zorganizowaną przestępczością. O Oswaldzie i Rubym wiadomo było, że mieli kontakty z mafią. Ta teoria skutecznie odsuwała podejrzenia od Kubańczyków i Rosjan. Mijały tygodnie, miesiące, a grupa operacyjna DIA zaczęła nagłaśniać inne teorie. Do czasu, kiedy w 1978 roku zebrała się Wewnętrzna Komisja Śledcza, aby przeprowadzić dochodzenie w dwóch sprawach, zabójstwa Johna Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga, krążyło już tyle teorii, że nikt nie mógł się w tym połapać. Jeżeli

przyjrzyj

się świadkom, którzy zeznawali przed tą komisją na temat zabójstwa Kennedy'ego, zobaczysz, że wielu z nich nie zeznawało wcześniej, przed Komisją Warrena. I nagle teraz, po czternastu latach, przypomnieli sobie dokładnie wszystko, co się wów-

czas wydarzyło. A wielu z tych, którzy zeznawali wcześniej, tym razem diametralnie zmieniło zeznania. Dziennikarze i pisarze podchwycili teorię konspiracji.

Po-

patrz, ile książek powstało na ten temat. Gdyby zebrać to wszystko do kupy, okazałoby

się, że w spisek zamieszani byli wszyscy, od szefa Komitetu Połączonych Sztabów do J. Edgara Hoovera. Boże, znaleźli się nawet tacy, którzy oskarżają przybyszów z kosmosu, i są ludzie, którzy w to wierzą. Na przykład Jim Garrison, prokurator stanowy, próbował w spisek wrobić lokalnego biznesmena. Nieźle namącił.

- Mam wrażenie, że Garrison ujawnił sporo istotnych faktów.

Bennett energicznie pokręcił głową.

- Wszystkie jego oskarżenia to kupa śmieci.

- Może pracował na rzecz operacji?

- Mało prawdopodobne.

- Skąd, u diabła, tyle wiesz o tej operacji? - zapytał Cole podejrzliwie, spoglądając na palec wskazujący lewej dłoni Bennetta.

- Tak naprawdę, to nie wiem nic. Powiedziałem ci już, że to wszystko przypuszczenia. Twój ojciec i ja pracowaliśmy dla DIA, ale nie byliśmy zaangażowani w tę operację. Dochodziły do nas tylko jakieś plotki.

- To znaczy, że ty i ojciec nie byliście wtajemniczeni w żaden etap tej akcji?

- Cole spojrzał Bennettowi prosto w oczy.

- Tak, mówiłem ci już - odpowiedział Bennett, wytrzymując spojrzenie Cole'a

- W takim razie dlaczego ojciec zabrał kamerę Andrei Sage? Czy nie wiedział, że film może być dowodem na istnienie spisku?

- Pomyśl, Cole.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Cole był na siebie zły, że może rozczarować Bennetta Smitha.

72

- Gdyby twój ojciec zabrał kamerę Andrei Sage, bo był zaangażowany w akcję, znaczyłoby to, że operacja zaczęła się przed zabójstwem i DIA wcześniej wiedziało o tym, co ma nastąpić - wyjaśnił Bennett. - Idąc dalej tym tropem, doszlibyśmy do wniosku, że zabójstwo było częścią operacji. Zawsze sądziłem, że na placu Dealey było więcej snajperów i że istniał spisek. Ale nigdy nie wierzyłem, i nadal nie wierzę, że rząd federalny albo inna rządowa organizacja były zamieszane w zabójstwo. Może rząd prowadził akcję zacierania śladów po tym, co się stało, ale nie mógł sam zorganizować zamachu.

- Jednak przecież...

Bennett podniósł w górę swoją wielką dłoń.

- Wiem, co chcesz powiedzieć; że to naiwne. Ale zapewniam cię, synu, że nie jestem naiwniakiem. Jeżeli się ze mną nie zgadzasz, pomyśl o tym inaczej. Gdyby twój ojciec poświęcił trzydzieści pięć lat swojego życia szerzeniu zamieszania wokół zabójstwa, to dlaczego przekazał ci kasetę?

- Bo nie obawiamy się już tak bardzo reakcji Rosji - odpowiedział Cole. -

Ujawnienie filmu nie byłoby już groźne. Za życia nie mógł filmu ujawnić z przyczyn oczywistych. Szefostwo DIA nie pochwaliby go za to.

Bennett uśmiechnął się.

- Może ty nie masz obaw co do Rosji, ale jest mnóstwo ludzi w Departamencie Obrony i w CIA, którzy nadal widzą w niej poważne zagrożenie. To ty jesteś naiwny, jeśli myślisz, że Rosja już nam nie zagraża.

- Nie o to chodzi - nie poddawał się Cole. - Najważniejsze, że taśma z Dealey nie spowodowałaby dziś wojny światowej. Nawet gdyby ktoś udowodnił, że w spisek zamieszana była Rosja.

- Nie rozumiesz mnie, synu. Nie niszczy się tak nagle owoców trzydziestu pięciu lat pracy.

Cole jednak nadal nie był przekonany.

- Dlaczego więc ojciec natychmiast nie przekazał kamery swoim przełożonym w policji w Dallas?

Bennett pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Do wczoraj wcale nie byłem pewien, że zabrał jej tę kamerę. Myślałem, że Andrea mogła wymyślić całą tę historię. Wszyscy tak myśleli. - Bennett wzruszył ramionami. - A może twój ojciec zdał sobie sprawę z tego, jakie konsekwencje mogłoby mieć ujawnienie filmu? Może kiedy obejrzał film postanowił zrobić na nim interes? A może - co jest najbardziej prawdopodobne - zakochał się w twojej matce wówczas, kiedy ją zobaczył, i starał się ją chronić, bo gdyby ktoś uwierzył w to, że naprawdę nakręciła ten film, znalazłaby się w wielkim niebezpieczeństwie. Pamiętasz, jak po zabójstwie zaczęła się seria tajemniczych i okrutnych morderstw, które ludzie kojarzyli z zabójstwem Kennedyego? Pamiętasz dziwkę, która parę dni przed zabójstwem znalazła się w szpitalu i bełkotała coś o tym, że ktoś chce zabić prezydenta? Znalaziono ją martwą przy jakiejś odludnej ulicy. A Bowers, facet, który w dniu zabójstwa był w budce rozdzielczej metra, której okna wychodzą na trawiaste wzgórze? Zginął w tajemniczym wypadku samochodowym. Może twój ojciec bał się takiego finału? Jego

73

umiejętność przewidywania faktów, rozwoju sytuacji i skutków była niewiarygodna.

Cole poczuł, że wzruszenie ścisła mu gardło.

- Czy on naprawdę kochał... Czy kochał Andreę Sage? - Nie zdecydował się nazywać ją matką.

- Kochał ją nad życie, synu. Nieraz mi opowiadał, że się w niej zakochał od pierwszego wejrzenia. Andrea była prawdziwą pięknoscią, mówię ci. To po niej masz urodę, nie po ojcu. - Bennett zachichotał. - Była przy tym inteligentna. Twój ojciec nie przestawał o niej mówić. Nie należał do ludzi kierujących się uczuciami i Andrea była jedynym wyjątkiem. Nigdy tego nie żałował. - Bennett głęboko westchnął. - W dniu, kiedy dowiedział się, że została zamordowana, umarła część jego samego. Byłem wtedy przy nim. Jednak w końcu zdał sobie sprawę, że musi żyć dalej. Jedną z form powrotu do życia stało się zainteresowanie tobą za pośrednictwem twojej ciotki.

Cole patrzył na rzekę.

- Mówisz prawdę?

- Tak. Wiedziało tobie wszystko. O tym, że jesteś świetny w łowieniu ryb na muszki, że kochasz rzekę, że byłeś gwiazdą drużyny piłkarskiej na uniwersytecie w Minnesocie, a kiedy skończyłeś szkołę, że dobrze sobie radzisz na Wall Street. Dzwonił do ciotki co kilka tygodni z różnych dziwnych stron świata, żeby dowiedzieć się, jakie robisz postępy. I zawsze prosił o to, żeby nie zdradziła się z tym

przed tobą. Nie wiem, dlaczego tak mu na tym zależało. Może myślał, że tak będzie łatwiej. Może sądził, że po tak długiej przerwie znienawidziłeś go i nie chciałbyś z nim rozmawiać. W każdym razie opowiadał mi wszystkie szczegóły z tych rozmów. Czasem pewnie trochę koloryzował. - Bennett uśmiechnął się ciepło. - Słuchałem tego z wielką radością. Sam nie mam dzieci, więc interesowałem się tobą jak adoptowanym synem.

Oczy ich spotkały się na sekundę i obydwaj szybko odwrócili wzrok.

- Jak daleko stąd do ujścia rzeki? - zapytał Bennett po chwili ciszy.

- Jeszcze parę godzin. - Cole podniósł się z kamienia, na którym siedział. - Lepiej ruszajmy w drogę.

Bennett Smith wskazał ręką na napis na ścianie za barem: „Kra Bar”. Pod napisem widniał rysunek przedstawiający wielkiego, czarnego kruka, który w szponach trzymał metalowy pręt, zagięty z jednej strony. Bennett trącił łokciem Cole’a, który siedział na stołku obok i pił piwo.

- Dobry pomysł - powiedział, wskazując na szyld. - Kruk niosący żelazny łom. Kra-kra-kra. „Kra Bar”. To stąd ta nazwa.

Cole uśmiechnął się.

- To tak, jak w życiu - kontynuował Bennett. - Zawsze są dwie strony medalu. Zawsze jest zgadywanka. Ale założę się, że gdybyś zapytał właściciela, skąd wzięła się nazwa baru, za każdym razem opowiedziałby ci inną historię.

Cole zaśmiał się. Dziś Bennett dzielił się z nim takimi przemyśleniami przez całą drogę w dół rzeki. Co chwila wymyślał coś nowego. Cole uznał, że ten wysoki mężczyzna o imponującej posturze, z czupryną żółtych loków, wykazuje niezwykłą inteligencję. Nie była to inteligencja naukowca, ale prócz wysokiego IQ zawierała także takie cechy, jak szczerłość, uczciwość, wierność.

Okolo piątej, kiedy zaczynało się ściemniać, dopłynęli do ujścia Lassiter, która wpadała do jeziora Superior. Autostopem dostali się z powrotem do źródeł rzeki, żeby zabrać stamtąd samochody. Kolację zjedli w „Erdman Diner”, przy trasie stanowej numer 7, która łączy miasteczko Hubbard z resztą świata. Później udali się na drugą stronę ulicy, do „Kra Baru”, na drinka. Bennett okazał się

wspornym kompanem. Pomiędzy perłami mądrości, które rzucał od czasu do czasu, odpowiadał na pytania Cole’a, dotyczące Jima Egana i Andrei Sage. Im więcej alkoholu wypijał, tym więcej Cole wiedział o swoich rodzicach. A wszystko brzmiało jak piękna bajka. Wraz z każdą odpowiedzią na zadawane pytania, i z

każdym wypitym piwem, malała gorycz Cole’a z powodu swojego osierocenia.

- Zaczyna się robić tłoczno - zauważył podniesionym głosem Cole, gdy ktoś uruchomił szafę grającą. Było piętnaście po dziewiątej. Kiedy przyszli tu przed paroma godzinami, po zjedzeniu znakomitego gulaszu przyrządzonego na domo-

wy sposób w „Erdman Diner”, bar był pusty. Teraz wypełnił się miejscowymi  
75

z całego okręgu Oswego. Cole odwrócił się do Bennetta. - Wiesz, masz bardzo ciekawe podejście do życia. - Cole zdał sobie sprawę, że pod wpływem alkoholu również jemu język zaczął się plątać.

- To dla mnie komplement, synu - przyznał Bennett, puszczając do niego oko.

- I słusznie - zapewnił Cole.

Bennett skończył swoją whisky, ściągnął wzrokiem barmana o potarganych włosach i zamówił kolejną szklankę Jacka Danielsa dla siebie i piwo dla Cole'a.

- Nie zawsze jestem taki gadatliwy, ale dzisiaj, kiedy płynąłem z tobą rzeką czułem się tak, jakby twój ojciec był znowu obok mnie.

- Miło to słyszeć. - Te słowa wiele dla Cole'a znaczyły.

- Brakuje mi go.

- Mnie też.

- Ech, do diabła z tymi sentymentami. - Bennett postanowił zmienić temat.

Rozmowa zesłała na zbyt osobiste tory. - Wiesz, kiedy płynęliśmy, nie mogłem nadążyć za tobą na tych progach. Nie boję się trudności, ale parę razy musiałem szukać spokojniejszej wody. Gdybym płynął za tobą wywróciłbym się. Ojciec mówił, że wychowałeś się na tej rzece. Tak przynajmniej twierdziła jego siostra.

- Rzeczywiście, sporo czasu tu spędziłem. Kiedy byłem w szkole średniej, a później w college'u, przyjeżdżałem tu prawie na każdy weekend.

Barman przyniósł drinki i bez słowa zgarnął z baru dwudziestodolarowy banknot, który położył Bennett.

- Ludzie nie są tu zbyt przyjaźnie nastawieni do obcych - zauważył Bennett.

- Nie przejmuj się - uspokoił go Cole. Nigdy nie spotkała go żadna przykrość ze strony miejscowych. - Nie robią problemów. - Odsunął pustą szklankę i wziął do ręki następną dopiero co przyniesioną przez barmana. - Ale wiesz co,

nie odpowiedziałeś mi jeszcze na parę pytań, które ci zadałem nad rzeką.

Bennett nie dosłyszał jego słów, pochłonięty obserwowaniem młodej kobiety, która wyciągała do tańca swego partnera. Ubrana była w obcisłą bluzkę, dżin-sy i wysokie, kowbojskie buty. Wokół szczupłej szyi miała zawiązaną czerwoną bandanę.

- Coś mówiłeś? - zapytał spoglądając na Cole'a.

- Kiedy zadzwoniłeś do mnie do pracy, powiedziałeś, że dostarczyłeś koper-tę „na zlecenie agencji”. Ale tak naprawdę spełniłeś prośbę mojego ojca. Skąd pomysł z tą agencją?

- Widzisz, w DIA nie ma pojedynczych ludzi. Nauczono nas myśleć o sobie jako o części grupy. Tym razem po prostu przejęczyłem się. Zawsze tak mówiliśmy.

- Aha. - Cole łyknął piwa i też zaczął obserwować, jak młoda kobieta z czerwoną bandaną porusza się w rytm muzyki. Inne kobiety dołączyły do niej, ale ona była zdecydowanie najładniejsza i najlepiej tańczyła. - Bennett, powiedziałeś, że

zawsze podejrzewałeś, że na placu Dealey było więcej snajperów.

- Tak powiedziałem.

76

- Skąd takie przypuszczenie?

- Są trzy przesłanki: po pierwsze - dziewczyna kula, po drugie - ulica Houston i po trzecie - Jack Ruby. Jak ci mówiłem, nie wierzę, że kula, którą znaleziono, przeszła Kennedy'ego i Connally'ego. Oczywiście jedna kula mogłaby tego dokonać. Connally odwrócił się i obaj z prezydentem znaleźli się dokładnie na jednej linii strzału, tak jak to wynika z filmu Zaprudera. Jednak taka kula straciłaby

więcej niż 0,2 grama swojego ciężaru. Wynika z tego, że ktoś próbował manipulować faktami.

- Wspomniałeś o ulicy Houston - przypomniał Cole.

- Tak. Jeśli zabójca w budynku biblioteki był jedynym strzelcem, wystrzelił-



by w momencie, kiedy limuzyna zbliżała się do niego ulicą Houston, a nie wówczas, kiedy skręcała w ulicę Elm. Na ulicy Houston miał idealne pole ostrzału, a gdy samochód skręcał w ulicę Elm, osoba strzelająca z szóstego piętra bibliote-

ki musiałyby celować między gałęziami dębu. Oni czekali, aż Kennedy wjedzie na ulicę Elm, żeby wszyscy snajperzy mogli strzelić jednocześnie. Prezydent znalazł się w ogniu krzyżowym.

Bennett wyprostował się na stołku.

- A sprawa Jacka Ruby'ego to prawdziwa farsa. Nikt, choćby najbardziej wstrząśnięty zabójstwem prezydenta, nie zabijałby winowajcy przed kamerami telewizyjnymi, na oczach milionów ludzi. Stałem obok twojego ojca, kiedy wyprowadzali Oswalda z budynku policji w Dallas. Ruby wyskoczył i strzelił, zanim ktokolwiek zareagował. To było jak na pokaz. Taka akcja ma sens tylko wtedy, jeśli w ten sposób spłaca się komuś dług, a Ruby miał za co się odwdzięczać, i w dodatku jest się śmiertelnie chorym na raka, tak jak Ruby. Jestem przekonany,

że Ruby nie miał wyboru. Musiał robić to, co mu kazali. - Bennett znowu napił się whisky. - Wielu ludzi uważa, że skoro Jack Ruby nie wiedział, kiedy Oswald wyjdzie na zewnątrz, oznacza to, że nie popełnił morderstwa z premedytacją. Ja jednak myślę, że morderstwo było dokładnie zaplanowane, że była to egzekucja Oswalda. Jack Ruby miał wielu przyjaciół w policji w Dallas. Sam widziałem go parę razy na posterunku. Łatwo mógł się dowiedzieć, kiedy będą wyprowadzać Oswalda. Nie ma dwóch zdań.

- Ale Oswald poprosił, żeby pozwolono mu się przebrać - zauważył Cole. - Gdyby nie to, wyprowadzono by go na długo przed tym, zanim Ruby tam się dostał.

- Przeczytałeś to w jakiejś książce?

- Tak - z wahaniem odpowiedział Cole.

- Spróbujmy inaczej, z drugiej strony - powiedział Bennett. - A jeżeli było odwrotnie? Jeżeli jeden z policjantów zażądał w ostatniej chwili, żeby Oswald

zmienił ubranie?

- Żeby Ruby mógł się tam dostać?

- Właśnie. Widzisz, nie mamy pojęcia, skąd autor książki, którą przeczyta-  
łeś, czerpał informacje. Nawet jeżeli rzeczywiście miał najlepsze intencje, a  
prze-

cież wcale nie musiał ich mieć. Skąd mógł mieć pewność, że jego źródło było  
wiarygodne i nie wprowadzono go w błąd? A może informator autora mówił tak,  
77

jak mu kazano? Taka informacja mogła być zniekształcona przez wielokrotne  
przekazywanie jej z ust do ust. Nigdy nie poznamy prawdy.

Rzeczywiście, mogło tak być - pomyślał Cole.

- Jak myślisz, dlaczego sprawa zabójstwa Kennedy'ego wciąż budzi tyle  
emocji? - zapytał Cole.

Bennett spojrzał na szyld „Kra Baru”.

- Ponieważ nigdy w tym kraju nie zdarzyło się bardziej spektakularne zabój-  
stwo. Nie ma człowieka powyżej czterdziestki, który nie pamiętałby, co robił  
w chwili, kiedy usłyszał, że zastrzelono prezydenta. Ludzie nie pamiętają mo-  
mentu swych oświadczeń, ale pamiętają każdy szczegół chwili, w której dowie-  
dzieli się, że Kennedy nie żyje. Słyszeli tyle o zabójstwie, że uważają za  
jedno

z najważniejszych wydarzeń w historii. - Łyknął Jacka Danielsa. - To zabójstwo  
zakończyło dla nas wiek niewinności. Zaznaczyło koniec starej epoki. Od tamtej  
pory świat stoi na głowie. Narkotyki stały się codziennością. Wietnam napełnił  
nas goryczą. Zabito Martina Luthera Kinga i drugiego z Kennedy'ów. - Bennett  
wyliczał to na palcach. - I od tamtej chwili media już nie są dla nas obroną.

Za-

częło się skrupulatne informowanie, przekazywanie faktów z najmniejszymi de-  
talami. Idylla lat pięćdziesiątych odeszła na zawsze. Po strzale, który rozwalil  
głowę Johna Kennedy'ego, już nie mogliśmy przymykać oczy na rzeczywistość.  
Musielismy ją zaakceptować, bo znajdowaliśmy ją na pierwszych stronach wszyst-

kich gazet i w wiadomościach telewizyjnych. Najpierw morderstwo Kennedyego, później Oswalda. Umarł król, więc musiał umrzeć pachołek.

Cole czekał cały dzień na to, by zadać pewne pytanie.

- Czy nie sądzisz, że memu ojcu złożono propozycję wstąpienia do DIA po to, by mieć go pod stałą obserwacją? Bo zgodnie z tym, co mówiłeś, ojciec i ty nie byliście

zaangażowani w tę operację. Zakładając jednak, że rzeczywiście istniała, umieszczę-

nie ojca w DIA ułatwiało kontrolowanie wszystkiego, co robił. Może znaleźli się ja-

cyś wyżsi urzędnicy, którzy uznali, że wersja Andrei Sage jest prawdziwa?

Bennett potarł ręką usta, gapiąc się w szklankę z whisky. Po chwili pokiwał głową.

- Tak, twój ojciec też miał taką teorię. Doszliśmy do wniosku, że mnie wzięli przy okazji, bo wiedzieli, że jestem jego bliskim przyjacielem. Mogli założyć, że

Jim coś mi powiedział o filmie. Chociaż, jak już wiesz, nie zrobił tego.

- Mówisz, że ojciec zmarł w Kolumbii przed czterdziestoma siedmioma dniami?

- Tak, to prawda.

- Jak umarł?

Bennett pokręcił głową.

- Już ci mówiłem. Nic o tym nie mogę powiedzieć, bo jest to związane z misją która jeszcze trwa. Gdybym przekazał ci jakiegokolwiek szczegóły o jego śmierci,

oznaczałoby to narażenie życia innych ludzi. Chociaż, gdyby się okazało, że mamy rację, przestałoby mi zależeć na życiu tych ludzi.

- Jesteś pewien, że mój ojciec zginął w Kolumbii?

- Na sto procent. Sam wykopałem mu grób, niedaleko rzeki, i pochowałem go. Synu, wiem, że niełatwo ci się z tym pogodzić, ale nie masz innego wyjścia.

- W takim razie dlaczego świadectwo zgonu zostało wystawione w Teksasie? - Cole nie dawał za wygraną.

- Jak już wcześniej zauważyłeś, dla mnie załatwianie takich drobiazgów to pestka.

- No tak.

- W ogóle to istna ironia losu.

- Dlaczego?

- Kolumbia miała być naszą ostatnią misją. Po jej zakończeniu zamierzaliśmy odejść na emeryturę. - Bennett wsadził palec do szklanki i zamieszał. - Powiedz lepiej, jak ma się dziewczyna, którą przywiozłeś tu samolotem?

Cole spojrzał uważnie na Bennetta. Przecież nie wspomniał mu o Nicki ani słowem. Bennett zauważył zdziwienie Cole'a.

- Wywiad to moja praca, synu. Nie zapominaj. Wiem, że mieszkacie razem.

Wiem, że w twoim mieszkaniu był wybuch, w którym zginęła przyjaciółka tej dziewczyny. To zawsze jest takie okropne, kiedy ginie przypadkowy człowiek. Cole nie odezwał się.

- Zależy ci na Nicki, prawda?

Cole spuścił wzrok. Patrzył w swoją szklankę z piwem. Tak, zależało mu na niej, ale nigdy się do tego głośno nie przyznał. Może przydomek, Wielki Budowniczy, nadany mu przez Nicki dawno temu, w gruncie rzeczy mówił o nim prawdę. Cole wzdragał się na myśl, że tak mogło być. Nagle zdał sobie sprawę, że całe

życie pracował nad tym, żeby budować wokół siebie emocjonalne bariery. Po to, aby nikt nigdy nie mógł go zranić. Bezpieczniej samemu wszystkich od siebie odsunąć, niż dopuścić do tego, aby ktoś mógł cię skrzywdzić. Jeśli nawet wtedy ktoś cię porzuci, ból nie będzie tak dotkliwy.

- Tak, zależy mi na Nicki. To wspaniała dziewczyna. Jest nie tylko piękna, ale też inteligentna i taka otwarta. - Zacisnął powieki. - Znienawidzi mnie, kiedy

się dowie, że to przeze mnie zginęła jej przyjaciółka.

- Daj spokój, Cole. Przecież to nie ty podłożyłeś ładunek wybuchowy.
- Tak, ale powinienem był przewidzieć, że takie niebezpieczeństwo nam grozi. Powinienem był się upewnić, że nikt nie wejdzie do mieszkania.

Bennett postanowił zmienić temat.

- Powiedziałeś, że nigdy nie potępiałeś ojca za to, że cię zostawił u wujostwa. Czy naprawdę?
- Chyba nie. - Cole chciał coś jeszcze powiedzieć, ale ugryzł się w język.
- Co takiego, synu?
- Czuję się odrzucony. Nie chciała mnie najbliższa mi osoba. Ale jakoś sobie z tym radziłem. Poza tym, jak człowiek nie zna swoich rodziców, nie wie, jaki będzie w przyszłości. Inne dzieciaki patrzą na rodziców, widzą jak oni się zachowują i mogą wyciągnąć dla siebie wnioski na przyszłość. Ja nie miałem tej możliwości.
- Miałeś wujka.
- To co innego. Nie dziedziczy się po wuju.
- A może właśnie skorzystałeś na tym, że nie było przy tobie ojca. Nic ci nie sugerowało, jaki powinieneś się zachowywać. W ten sposób osiągnąłeś to wszystko.

79

Cole roześmiał się.

- O co ci chodzi? - zainteresował się Bennett.
- I cóż ja takiego osiągnąłem? - Popadł w sardoniczny nastrój. Najlepszy dowód na to, że alkohol zaczynał działać. - Jestem profesjonalnym bankrutem i...
- Co ty wygadujesz? - przerwał mu Bennett.

Cole napił się piwa. Pod wpływem alkoholu odprężył się wreszcie. Może Nicki miała rację? Może w pewnych sytuacjach należało szukać wsparcia u innej osoby?

- Przez pierwszych parę lat na parkiecie w Gilchirst rzeczywiście miałem pewne sukcesy. Nic zwalającego z nóg, ale wystarczyło, żeby przełożeni zauważyli to i wynagrodzili premią pod koniec roku. Myślałem, że robienie pieniędzy zawsze będzie przychodziło mi tak łatwo i kupiłem na kredyt ogromne mieszka-

nie. W tym okresie Manhattan przeżywał wielki boom na nieruchomości. Zaczę-  
łem prowadzić życie jak z bajki. Jednak nagle okazało się, że to wszystko nie  
jest

takie proste. W wyniku niespodziewanych zmian na rynku giełdowym straciłem  
mnóstwo pieniędzy. To się stało tak szybko. - Cole pstryknął palcami. - W ubie-  
głym roku nie dostałem premii i najprawdopodobniej nie dostanę jej też w tym  
roku. Każdy na Wall Street potwierdzi, że zarobki maklerów są niewielkie. Da się  
przeżyć tylko dzięki premiom. Teraz znalazłem się w takiej sytuacji, że nie zdo-  
łam spłacić kredytu. Mieszkania sprzedać nie mogę, bo tego, co uzyskałbym, nie  
starczyłoby na pokrycie kredytu. Moje karty kredytowe są wyczerpane. - Nie  
chciał już mówić Bennettowi o długach hazardowych w „Blue Moon”. - Ale, oczy-  
wiście, wszystko będzie dobrze. - W jego głosie zabrzmiała gorzka ironia.

- Są ludzie, którzy oddaliby życie, żeby pracować na Wall Street albo grać  
w drużynie piłkarskiej w college’u. Nie wiadomo, jak inaczej wyglądałoby twoje  
życie - stwierdził Bennett.

- Chciałem poznać mojego ojca. Tylko tyle. Ale teraz muszę o tym zapo-  
mnieć.

Bennett skończył drinka.

- Co powiesz na rundkę bilarda? - uśmiechnął się i podniósł do góry dziesię-  
ciodolarowy banknot, który barman wydał mu z dwudziestki. - Dziesięć dolców  
za zabawę z ośmioma kulkami.

- Nie jestem w tym zbyt dobry - powiedział Cole ponuro, jak gdyby bilard  
był ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę.

- Akurat ci wierzę. Idziemy.

- No dobrze - poddał się Cole. - Ale najpierw muszę zadzwonić. Chcę spraw-  
dzić, co u Nicki.

Bennett kiwnął głową i poszedł w kierunku jednego z trzech stołów bilardo-  
wych, które stały w drugiej części sali. Niemal zderzył się z młodą kobietą z  
czer-

woną bandaną na szyi. Uśmiechnęła się i uwiesiła się na ramieniu partnera, z

któ-

rym tańczyła. A on zaczął okręcać ją w piruetach. Bennett wrzucił dwie ćwierćdolarówki do otworu na monety w stole i kulki z hukiem wskoczyły do rynny pod stołem bilardowym. Bennett wyjmował je po jednej i ustawiał wewnątrz plastikowego trójkąta, który leżał na poplamionym piwem zielonym suknie, pokrywającym stół. Kiedy przyszedł Cole, stół był gotowy do gry.

80

- Co u niej słyhać? - zapytał Bennett.

- Nic nowego - odpowiedział Cole. - Wciąż jest załamana śmiercią przyjaciółki.

- Mogę to zrozumieć - powiedział Bennett. Wskazał na kije stojące pod ścianą. - Wybierz broń. Muszę cię ostrzec, że jako dziecko chciałem być albo przedstawicielem prawa, albo profesjonalnym graczem w bilard. Mogłem zrobić niezłe pieniądze z pomocą takiego kija.

- Zapowiada się, że to będzie dla mnie ciężka noc.

Trzy pierwsze kolejki Cole przegrał specjalnie, żeby podbić stawkę. Czwartą już wygrał.

- Nic nie mogę zrobić - mruknął Bennett, kiedy Cole wbił ósmą kulę. Wyciągnął portfel, odliczył banknoty i wyciągnął rękę, chcąc wręczyć pieniądze Cole'owi.

- Daj spokój, Bennett - roześmiał się Cole. - Nie chcę tych pieniędzy. Grałem dla zabawy i naprawdę świetnie się bawiłem. Poza tym jesteś doskonałym rozmówcą. - Położył dłoń na jego ramieniu. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ważne dla mnie jest to, czego się od ciebie dowiedziałem o rodzicach.

Bennett wciąż jednak trzymał wyciągniętą rękę z plikiem banknotów.

- Nie musisz mi płacić, Bennett - powtórzył Cole.

- Nonsens. Zawsze spłacam swoje długi. Obrażę się, jeżeli nie weźmiesz tych pieniędzy. - Wsunął banknoty do kieszeni koszuli Cole'a. - Gdzie, do diabła, nauczyłeś się tak grać?

- Tu i tam - odpowiedział skromnie Cole. - A co powiesz na jeszcze jedną rundkę? - Widział, że Bennett zbiera się do wyjścia, a chciał mu zadać jeszcze tyle pytań. - Wystarczy, że wbijesz ósmą kulę, stawiam sto do jednego.

- Nie ma mowy. Znowu przegram. Idę do domku kempingowego. Chcę się trochę przespać. - W drodze do miasteczka Bennett i Cole zatrzymali się i wynajęli
- na noc dwa domki kempingowe, pół kilometra od „Kra Baru”. - Jestem zmęczony.
- Wyciągnął rękę i uśmiechnął się. - To była przyjemność poznać cię, synu.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział Cole.
- Zapukam rano przed wyjazdem, żeby się pożegnać.
- Będzie mi miło. Bennett, zostaniemy w kontakcie, prawda?
- Oczywiście. Jeśli nie zastaniesz mnie pod waszyngtońskim numerem telefonu, który ci dałem, zostaw wiadomość na sekretarce. Oddzwonię, jak tylko będę mógł. Zawsze odsłuchuję wiadomości.
- Dobrze. Czy myślisz, że jestem bezpieczny? Czy teraz, kiedy nie mam taśmy z Dealey, ten facet zostawi mnie w spokoju?
- Myślę, że tak - odparł Bennett. - Jednak przez jakiś czas miej oczy i uszy otwarte.

Cole roześmiał się.

- To nie brzmi zbyt pocieszająco.
- I o to właśnie chodzi. - Bennett rozejrzał się po barze, szukając wzrokiem kobiety z czerwoną bandaną ale jej nie dostrzegł. - Może wrócisz ze mną na kemping?
- Nie, nie chce mi się spać. Mam ochotę zagrać jeszcze w bilard. Będę musiał się rozejrzeć za jakimś godnym siebie przeciwnikiem.

6 - Depozyt

81

- No to do zobaczenia rano. - Bennett odwrócił się i wyszedł, uśmiechając się w duchu. Już wcześniej wiedział, że Cole jest mistrzem w bilardzie.
- Do zobaczenia - zawołał Cole, przekrzykując muzykę. Patrzył, jak Bennett wychodzi. Kiedy zniknął za drzwiami, Cole oparł się o ścianę, wyciągnął z kieszeni
- koszuli plik banknotów i przeliczył. Równo sto dolarów. Uśmiechnął się. Może



uda-

łoby się tutaj wygrać tyle, żeby spłacić dług w „Blue Moon”? Jednak te pieniądze jutro rano odda Bennettowi, jeśli nawet trzeba będzie podzucić mu je do samochodu.

- Cześć, kowboju.

Cole podniósł wzrok. Stała przed nim młoda kobieta z czerwoną bandaną na szyi.

- Cześć.

- Zatańczymy?

Cole wzruszył ramionami.

- Czemu nie.

Dziewczyna chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą na parkiet. Przez następne dwadzieścia minut Cole obracał nią jak szmacianą lalkę. Wreszcie oparła się o niego całym ciałem, zdyszana.

- Muszę natychmiast usiąść - krzyknęła mu do ucha, kiedy zaczynał się następny kawałek. - Jesteś odlotowym tancerzem. - Wzięła go za rękę. - Postawisz mi drinka?

Z bliska nie była tak ładna, jak z daleka. Miała piękne blond włosy, ale nos zbyt zadarty, a oczy za szeroko rozstawione.

- Jasne - odpowiedział Cole. - Z przyjemnością. Jak masz na imię?

- Debby. Aty?

- Cole - odpowiedział w czasie drogi do baru. - Jesteś stąd, Debby?

- Tak - odpowiedziała. - Mieszkam niedaleko, za miastem.

Cole zauważył, że paru młodych facetów gapi się na niego. Pewnie są niezadowoleni z tego, że Debby przestała się nimi interesować.

- Czego się napijesz, Debby?

Godzinę później znaleźli się w domku kempingowym Cole'a. Cole po tańcu wypił jeszcze parę piw, mimo że i bez tego był pijany. Chciał usiąść za kierownicą

samochodu wuja, zaparkowanego przed „Erdman Diner”, ale Debby, która przez cały wieczór wypila tylko pół drinka, zaproponowała, że go podwiezie na kemping.

Cole oparł się o drzwi, a Debby przytuliła się do niego, całując go w brodę i w szyję.

- Chcesz mnie? - zapytała.

- Debby, ja... - Język miał jak z drewna i nie mógł skończyć zdania.

Położyła mu ręce na piersi i zaczęła rozpinąć koszulę.

- Jesteś na mnie napalony, prawda, kochanie?

Cole próbował ją powstrzymać, ale nie miał siły podnieść rąk. Wisiały bezwładnie, jakby były zbyt ciężkie. Nigdy nie reagował tak na alkohol. Nagle pokój zaczął wirować. Cole odepchnął Debby i wyciągnął przed siebie ręce, żeby czegoś się przytrzymać. Upadł na podłogę.

Debby pochyliła się nad nim. Włosy okalały jej twarz, ręce oparła na kolanach i chichotała. W końcu sama upadła na podłogę i rozciągnęła się jak długa pod drzwiami.

82

Kiedy jutro rano Bennett Smith otworzy drzwi, bardzo się zdziwi - pomyślał Cole. - Dziewczyna śpiąca na podłodze obok mnie po tym, jak opowiedziałem mu o Nicki. Dźwignął się i ukląkł.

- Debby, musisz iść do domu - wybełkotał. Udało mu się podnieść tylko na chwilę. Przechylił się do tyłu i runął na plecy. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

- Znalazłaś coś?

- Nie. - Kobieta trzęsła się z zimna. Postawiła kołnierz kurtki. Na szyi miała czerwoną bandanę.

- Przeszukałaś dokładnie cały domek?

- Tak - odpowiedziała urażona. - Miał mało rzeczy. Jedna torba i sprzęt kempingowy. - Marzyła o tym, żeby wrócić do domu i wleźć pod ciepłą kołdrę w swoim łóżku. - Szukałam prawie całą godzinę i nie nic znalazłam. A on ani drgnął. Wrzuciłam mu do piwa te dwie tabletki, które mi pan dał, i ledwie weszli-

śmy do domku, zaraz padł. Nie poruszył się nawet, kiedy wyjmowałam mu z kie-

szeni portfel, ani kiedy wkładałam go z powrotem.

Mężczyzna uśmiechnął się. Dawka, która dziewczyna wrzuciła Cole'owi do szklanki, powaliłaby słonia.

- W porządku.

- Mogę już iść?

Mężczyzna spojrzął na neon nad „Kra Barem”, wciąż świecący, mimo że było już po trzeciej rano, a parking przed barem opustoszał. Lepiej by było ją zabić, ale ktoś mógł ich widzieć razem. Poza tym dziewczyna nie miała pojęcia, o co chodziło, ani nie zadawała żadnych pytań. Była szczęśliwa, że może zarobić parę dolców.

- Tak, idź już. I pamiętaj, że nigdy nie spotkaliśmy się.

- Tak, tak. - Podbiegła do starego forda pikapa, wskoczyła do środka, zapuściła silnik i odjechała. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że otarła się o śmierć.

- Cole! Cole!

Krzyk wdzierał się w jego mózg, jakby przewiercała go wiertarka.

- Jezu! - jęknął Cole. Spróbował unieść głowę, ale ból był tak przeszywający, że opadł z powrotem na podłogę.

Bennett usiadł na solidnym krześle, stojącym przy nie używanym łóżku, i ugryzł jabłko.

- Wygląda na to, że wczoraj, kiedy wyszedłem, znalazłeś godnego przeciwnika - powiedział z pełnymi ustami.

- Tak. - Bolała go nie tylko głowa, ale też żołądek.

Bennett wrzucił ogryzek do kosza przy toalecie i uśmiechnął się.

- No i jak się czujesz?

- Nie wiem - wybełkotał Cole. - To prawda, że wypilem za dużo, ale nigdy w życiu tak się nie czułem. - Z ogromnym wysiłkiem ukląkł i wczołgał się na

83  
łóżko. - Mam w ustach dziwny smak, jakby czegoś chemicznego. Może piwo było zepsute?

Czujniki Bennetta natychmiast się włączyły.

- Co robiłeś, kiedy wyszedłem?

- Poznałem pewną dziewczynę.

- Jak wyglądała?

Cole przetarł oczy.

- Długie blond włosy, seksownie ubrana. Nie wiem, naprawdę nie pamiętam.

- Przyłożył do twarzy poduszkę. - Chyba zaraz będę wymiotował.

Bennett przypomniał sobie dziewczynę z czerwonoąbandaną Wstał z krzesła i zaczął ściągnąć Cole'a z łóżka.

- Wstawaj, synu. - Zlustrował wzrokiem pokój, ale trudno było rozpoznać, czy ktoś go przeszukiwał.

- Co, do diabła, robisz? - Cole opierał się, chciał zostać w łóżku.

- Sam powiedziałaś, że będziesz wymiotował. Im szybciej zwrócisz to, co się znalazło w twoim żołądku, tym lepiej. No, już.

- Bennett, proszę, zostaw mnie. Nienawidzę wymiotować. Już wolę cierpieć w ten sposób.

Jednak Bennett nie słuchał go. Zaprowadził Cole'a do malutkiej łazienki i kazał mu uklęknąć przed sedesem.

- Co może nam pomóc, żebyśmy wyrzucili z siebie to świństwo? - Bennett zaśmiał się szatańsko. - O czym trzeba pomyśleć?

- Co? - Cole czuł, że głowa mu pęka.

- Wymiotowanie to nie tylko czynność fizyczna. Ma również podłoże psychiczne. Co z jedzenia przyprawia cię o mdłości, synu?

- Daj mi spokój.

- Wątróbka?

- Nie!

- Surowe jajka? A do tego odrobina nieświeżego kurczaka, a może mięsko zabitej przez samochód sarny, która leżała tydzień na drodze? Czy też powinienes przypomnieć sobie kogoś rzygającego i przywołać w pamięci ten cudowny aromat?

- Niech cię szlag, Bennett! - Cole pochylił się nad toaletą i zaczął zwracać

truciznę.

10

Cole zatrzymał się na ułożonym z kamieni chodniku, który prowadził do drzwi wejściowych domu Andersonów. Dopiero teraz zauważył, w jak opłakanym stanie był ich skromny, składający się z trzech pokojów domek. Kiedy przywiózł tu Nicki, w zamieszaniu spowodowanym radosnym powitaniem nie dostrzegł tego. Pierwszy schodek był popękany i rozsypywał się, okiennice zaczęły gnić od wilgoci. Z drewnianych ścian odpadały płaty farby. Ojciec Nicki przez trzydzieści lat pracował w porcie w Duluth przy załadunku rudy żelaza, pszenicy i drewna na statki, które Wielkimi Jeziorami płynęły na Atlantyk, a potem do portów na całym świecie. Praca była ciężka i, niestety, kiepsko płatna, więc nie udało mu się dużo zaoszczędzić przez te lata. Zresztą większość oszczędności rodzice przeznaczyci na ułatwienie kariery córce - eleganckie ubrania, mieszkanie na Manhattanie. W rezultacie ucierpiał na tym ich dom.

Zamyślony Cole kopnął kamień leżący na chodniku. Nicki byłaby na niego wściekła, gdyby wyjaśnił jej, co zdarzyło się w Nowym Jorku. Nie wybaczyłaby mu, że wiedział o niebezpieczeństwie, ale nie uprzedził jej o tym, tylko kazał czekać w „Emilio”. Gdyby nie to, Maria może by nie zginęła. Kopnął następny kamień, tym razem mocniej, tak że wylądował na pożółkłej trawie. Dlaczego nic jej wtedy nie powiedział? Dlaczego postanowił milczeć?

- Cole!

Podniósł oczy w górę, skąd dobiegł go głos Nicki. Stała na szczycie schodów. Miała na sobie dżinsy i krótki sweterek, który odsłaniał jej płaski brzuch.

- Na tobie nawet sweter wygląda seksownie.

- Potrafisz prawić kobietom komplementy. - Nicki uśmiechnęła się do niego, schodząc po schodkach. Kiedy znalazła się przy nim, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Stęskniłam się za tobą.

- Ja też się za tobą stęskniłem. - Położył jej ręce na pośladkach. Tak dobrze było ją mieć blisko siebie.

- Chodź - szepnęła mu po chwili do ucha. Wzięła go za rękę i poprowadziła do domu. - Wejdzmy do środka.

85

Cole dał się poprowadzić przez korytarz do dużego pokoju. Nicki usiadła na kanapie w kwiaty, która stała naprzeciw starego telewizora, wbudowanego w szafkę. Cole przez chwilę zawahał się przed wejściem do pokoju. Miał dziwne poczucie winy, że jest z nią sam na sam.

- Chodź tu. - Nicki poklepała leżącą obok niej poduszkę. - Czemu stoisz jak słup soli?

- Sam nie wiem. - Rozejrzał się po pokoju. - Gdzie są twoi rodzice?

- Pojechali do miasteczka, na zakupy. Wrócą za kilka godzin. - Na jej ustach pojawił się łobuzerski uśmiech. - Dlaczego pytasz?

- Po prostu zastanawiałem się, gdzie mogą być.

Kiedy Cole usiadł, Nicki podwinęła pod siebie stopy, a kolana oparła o jego udo.

- Przydałoby ci się pójść do fryzjera - zauważyła, odgarniając mu z oczu kosmyki włosów.

Cole poczuł delikatny, cudowny zapach perfum, kiedy jej ręka zbliżyła się do jego twarzy.

- Co słyszeć? - zapytał.

- W porządku. - Nie przestała rozczesywać palcami jego włosów. - Jednak wciąż mi smutno - dodała cicho po chwili milczenia. - Przez te pół roku bardzo się

zaprzyjaźniłam z Marią. A to mi nie przychodzi łatwo. Zawsze byłam samotnikiem.

- Wiem, wiem. - Pod tym względem nie różnili się od siebie.

- Maria była dla mnie bratnią duszą. - Nicki mówiła dalej. - Podtrzymywała mnie na duchu, kiedy w Nowym Jorku nie wszystko szło po mojej myśli. Kiedy dostawałam te odmowne listy z agencji, ciągle mi powtarzała, że nie ma czym się martwić. Mówiła, że nie powinnam się poddawać, bo mam wszystko, aby zrobić karierę, i wcześniej czy później, jeżeli będę konsekwentna, uda mi się. Okazało

się, że miała rację. Tak dużo jej zawdzięczam. I tak bardzo mi jej brakuje.

- Nicki, ja...

- Nie mówmy już o tym - Nicki przerwała mu stanowczo. - Nie chcę myśleć o smutnych rzeczach. Spędziłam już wystarczająco dużo czasu na smuceniu się. Teraz chcę być szczęśliwa. - Pocałowała go w policzek. Jej usta przywarły do jego twarzy na tak długo, że trudno było ten pocałunek zaliczyć do przyjacielskich gestów. - Jak udała ci się wycieczka na Lassiter? Odpocząłeś?

- Tak, bardzo. - Uśmiechnął się. - I dużo się dowiedziałem.

Nicki zrobiła zdziwioną minę.

- Czego się tam mogłeś dowiedzieć?

Cole popatrzył jej w oczy.

- Mój ojciec nie żyje.

- O, Boże! - Objęła go i delikatnie przytuliła. - Tak mi przykro, Cole.

- Dziękuję. - Poczul na swojej piersi bicie jej serca. - Ale już jest w porządku. - Cole w końcu pogodził się z tym faktem.

- Jak się dowiedziałeś o jego śmierci? - zapytała, odsunawszy się od niego.

- Nad rzeką spotkałem starego przyjaciela ojca. Nazywa się Bennett Smith. To on mi o wszystkim powiedział.

- Nie uważasz, że to trochę dziwne? To, że spotkałeś go tam, nad rzeką?

86

- Bennett mnie szukał i znalazł - powiedział Cole spokojnie.

- I okazało się, że twój ojciec cały czas mieszkał w tej okolicy?

Cole zamiast odpowiedzi cmoknął ją w policzek. Na wiadomość o śmierci ojca spojrzała na niego z takim smutkiem w pięknych, szmaragdowych oczach. Nagle poczuł, że tak bardzo chciałby mieć zarówno jej ciało, jak i jej miłość. Zapragnął zburzyć te wszystkie bariery, które uporczywie wznosił wokół siebie. Chciał nauczyć się polegać na niej i pozwolić jej polegać na sobie. Może to nowe uczucie zrodziło się w nim, bo zdał sobie sprawę z tego, że jest teraz zupełnie sam na świecie. A może w chwili, kiedy patrzył w wymierzoną w siebie lufę na Trzydziestej Siódmej ulicy, kiedy za chwilę miał paść zabójczy strzał, zdał

sobie

sprawę, że w życiu są ważniejsze rzeczy niż to, żeby nikomu nie pozwolić zranić swoich uczuć. Zresztą przyczyna nie miała znaczenia. Ważny był fakt, że pragnął tej dziewczyny bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Okazuje się, że mój ojciec był agentem wywiadu, pracującym dla rządu Stanów Zjednoczonych - powiedział, pieszcząc jej policzek opuszkami palców.

- Uczestniczył w wielu ściśle tajnych akcjach.

- Żartujesz! - Nicki otworzyła szeroko oczy. Palcami przycisnęła jego rękę tak, że wnętrze dłoni dotknęło jej ust. - To niesamowite!

- Prawda? - Na twarzy Cole'a pojawił się szeroki uśmiech, mimo że nie chciał się zdradzać z tym, że był dumny z ojca. Chociaż właściwie, dlaczego miałby się z tym kryć? Dlaczego Nicki nie miałyby wiedzieć, co czuł? Dlaczego nie miałyby wiedzieć, że kiedyś cierpiał, bo brakowało mu ojca, a teraz był szczęśliwy, bo udało

mu się dowiedzieć prawdy? - Bennett Smith dużo mi o nim opowiedział. Z jego słów wynika, że ojciec był bohaterem, zrobił dużo dobrego dla kraju.

- To mnie wcale nie dziwi - odpowiedziała Nicki.

- Dlaczego?

- Bo znam jego syna - szepnęła.

Przez parę chwil patrzyli sobie w oczy, po czym ich usta złączyły się i zaczęli całować się namiętnie. Kiedy zetknęły się ich języki, Cole wciągnął Nicki na siebie.

Usiadła na jego biodrach okrakiem. Zaczęła powoli rozpinąć guziki jego koszuli, zaczynając od góry. On tymczasem wsunął ręce pod jej sweterek, przebiegając palcami po aksamitnie miękkiej skórze brzucha, w górę, aż do piersi. Nie miała na sobie biustonosza. Kiedy ujął jej piersi w silne dłonie, jęknęła i gwałtownie wsunę-

ła mu język do ust. Podciągnął jej sweterek do góry i zdjął go przez głowę.

Warga-

mi ujął sterczący różowy sutek i zaczął go lizać koniuszkiem języka.



- O, Boże! - westchnęła, objęła głowę Cole'a ramionami i zaczęła obsypywać pocałunkami jego smolistoczarne włosy. - Tak mi dobrze!

Położył ją na kanapie, na plecach. Rozpiął guzik jej dzinsów, otworzył suwak i ściągnął spodnie do kolan. Znowu znalazł się na niej i wziął w usta jej sutek.

Po

czym zaczął lizać całe jej piersi.

- Cole! - Ujęła jego twarz w dłonie.

- Co się stało? - Spojrzał na nią z obawą że chce go powstrzymać.

- Na górze, w moim pokoju, jest bardzo wygodne, duże łóżko. - Roześmiała się nerwowo. - Po co mamy tracić czas na kanapie?

87

Nicki opuściła stopy na ziemię, zdjęła dzinsy i majteczki i stała przed nim naga.

- Jesteś tak niewiarygodnie piękna. - Widział ją wcześniej w bikini, ale nigdy nago. A widok był taki, że zapierało mu dech. Miała pełne i jędrne piersi, w talii była cieniutka jak osa.

- Dobrze, przestań się gapić i chodź na górę - zarządziła. Pozbierała swoje ubranie, wzięła go za rękę i poprowadziła na górę. Kiedy weszli do jej pokoju, przytuliła się do niego i zaczęła go całować.

Cole podniósł Nicki, przeniósł na łóżko i delikatnie na nim położył, po czym ukląkł przy niej i pochylił się, całując ją w usta.

Kiedy nad nią klęczał, skończyła rozpinąć mu koszulę i wyciągnęła ją ze spodni. Przesunęła dłonie na dół i zaczęła pieścić go delikatnie, przez dzinsy. Jej dłonie były cudowne, nawet przez materiał. Nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie, kiedy w końcu do niego dotrze.

- Tak długo o tym marzyłam, Cole - wymruczała.

Zacząła rozpinąć zamek, ale powstrzymał ją i położył się na boku, patrząc jej w oczy.

- Najpierw muszę ci coś powiedzieć - wyszeptał. Nie mógł dłużej milczeć.

Znali się zbyt dobrze i za bardzo mu na niej zależało. Musiała się dowiedzieć,

zanim dojdzie między nimi do czegoś poważniejszego.

- O co chodzi? - W jej szmaragdowych oczach pojawił się strach. - Jesteś chory czy coś takiego?

- Nic mi nie jest - uspokoił ją. - Nic z tych rzeczy.

- Bogu dzięki. Więc o co chodzi?

- Chodzi o tamtą noc w Nowym Jorku - zaczął powoli.

- Co się stało?

Zawahał się.

- Pamiętasz, kiedy siedzieliśmy w „Emilio”, powiedziałaś, że wyglądam, jakbym wrócił z wojny?

- Tak. - Jej oczy szukały jego oczu, żeby wyczytać z nich wszystko, zanim zostaną wypowiedziane słowa. - Opowiedziałeś mi, jak cię napadli złodzieje.

- Zgadza się. - Zamknął oczy. To było trudniejsze, niż się spodziewał. - Ale to nie była prawda.

Przez następnych pięć minut Cole opowiedział Nicki o taśmie z Dealey i o tym, co się wydarzyło, zanim ją spotkał w „Emilio” tamtego wieczora.

Kiedy skończył opowiadać, Nicki popatrzyła na niego przeciągle i zapytała:

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w „Emilio”?

- Nie chciałem cię niepotrzebnie martwić. Wtedy jeszcze nie byłem pewien, czy naprawdę ktoś mnie śledzi. Nie chciałem cię niepokoić, bo równie dobrze wszystko mogło się okazać wytworem mojej wyobraźni. - Odwrócił wzrok od jej oczu. - Poza tym, nie chciałem, żeby ten film zmienił to, co się zaczęło między nami. Nie wiesz, ile znaczył dla mnie ten pocałunek na chodniku przed kawiarnią. Nie chciałem, żeby fakt, że mógłbym się stać posiadaczem fortuny, jakoś wpłynął na twój stosunek do mnie - bez zastanowienia powiedział to, co akurat przyszło mu do głowy.

88

- Co ty mówisz? - Sięgnęła ręką po koc i okryła się nim.

Cole chętnie cofnąłby wypowiedziane przed chwilą słowa.

- Nic, to znaczy po prostu...

- Sugerujesz, że mogłoby mi na tobie bardziej zależeć, gdyby się okazało, że jesteś bogaty? - zapytała załamującym się głosem.

- Nie, źle mnie zrozumiałaś. - Cole próbował się wycofać, intensywnie szukając jakiegoś logicznego wytłumaczenia, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Ale dokładnie to powiedziałaś. - Nicki zerwała się z łóżka i szczelnie owi-  
nęła się kocem. - Nie mogę uwierzyć własnym uszom.

- Wiem, co powiedziałem, ale nie to miałem na myśli.

- Nie ufasz mi?

- Nicki, ja...

- Zawsze cię kochałam, Cole. Nigdy nie interesowało mnie, co posiadasz, a czego ci brakuje. Kiedy całowałam się z tobą tam, pod „Emilio”, byłam przekonana, że jesteś zrujnowany finansowo. Nie interesowało mnie to. Byłam po prostu szczęśliwa, że wreszcie odkryliśmy przed sobą nasze uczucia.

Kiedy Cole usiadł na brzegu łóżka, Nicki cofnęła się o krok.

- Wysłuchaj mnie - powiedział błagalnym tonem.

- I przez ten idiotyczny brak zaufania musiała umrzeć Maria! - zawołała, a łzy napłynęły jej do oczu. - Gdybyś mi wtedy powiedział, co się stało, zdążyła-

bym ją powstrzymać.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że tak wtedy postąpiłem. - Cole wstał i zrobił krok w jej stronę. Jednak Nicki cofnęła się pod ścianę, trzęsąc się i łkając.

- Nie zbliżaj się do mnie!

- Nicki, błagam!

- Wynoś się!

Patrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił się i opuścił dom.

Mężczyzna, który zeszłej nocy zapłacił blondynce w Hubbard za przeszuka-  
nie rzeczy Cole'a, siedział teraz w samochodzie, jednym okiem czytając jakąś gazetę, a drugim obserwując bacznie dom Andersonów. Kiedy drzwi domu otwo-  
rzyły się nagle, mężczyzna ukrył się za gazetą zerkając zza niej na Cole'a,

który

oddalił się szybkim krokiem. Mężczyzna jeszcze chwilę patrzył w ślad za nim, po czym włączył silnik i powoli ruszył.

11

Nic dziwnego, że Nicki mnie znienawidziła - pomyślał Cole, zapatrzony w ekrany stojących przed nim komputerów. Po wielogodzinnym locie z Minnesoty po nocy spędzonej w pokoju hotelowym, który wynajął do czasu, kiedy jego mieszkanie zostanie wyremontowane, Cole ciężkim krokiem dotarł do Gilchrist. Koszty remontu i pobytu w hotelu zostaną pokryte przez firmę ubezpieczeniową. Taką informację przysłano mu pocztą podczas jego nieobecności.

W domu wujostwa spędził tydzień. Nicki została u swoich rodziców. Nie chciała wracać na Manhattan. Popadła w depresję. Taką wiadomość przekazała mu matka Nicki, zmartwiona, że jej córka nie chce rozmawiać z Cole'em, kiedy zadzwonił. Cole uderzył pięścią w biurko. Postanowił, że trzeba zająć myśli czymś innym. Nie można ciągle rozpaczać, że utracił tę jedyną rzecz, na której naprawdę mu zależało.

Cole przypomniał sobie Bennetta, który holował go do łazienki w Hubbard.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Bennett był silną osobowością. Cole znał niewielu takich ludzi. W towarzystwie Bennetta czuł się świetnie. Dzięki niemu odkrył prawdę o ojcu i nawiązał z nim taki kontakt duchowy, jakby nadawali na tej samej fali. Okazało się, że wiele rzeczy ich łączyło. Wyznawali tę samą dewizę

życiową mówiącą aby nie pozwolić życiu kierować sobą ale wziąć los we własne ręce. Mieli podobny pogląd na świat, na politykę. Obydwaj byli zwolennikami liberalizmu społecznego; wierzyli, że człowiek powinien zapracować na to, co dostaje, chociaż na początku potrzebuje pomocnej ręki. Rozmawiali na wiele tematów i zawsze udawało im się znaleźć wspólny grunt. No i łączyła ich słabość do gry w bilard. Różnica w tej sprawie polegała na tym, że Bennett przeceniał swoje umiejętności, a Cole umniejszał swoje. Cole uśmiechnął się, przypominając sobie wyraz twarzy Bennetta, kiedy na początku czwartej rundy zorientował

się, że został wystrychnięty na dudka. Później z kolei Bennett miał okazję  
szcze-

rze się uśmieć, kiedy patrzył na zmagania Cole'a z muszlą klozetową.

- Co cię, do cholery, tak rozbawiło, Cole? - Lewis Gebauer był dziś w fatalnym humorze. Na porannej sesji jego portfel stracił cztery miliony dolarów.

90

- Nic takiego. - Zbliżało się południe i po paru godzinach gorączkowego zamieszania na parkiecie uspokoiło się.

- Jak tam twój urlop? - zapytał Gebauer, udając zainteresowanie. - Gdzie wyjeżdżałeś? Poczekaj, sam zgadnę. Jeździłeś po całym kraju, pytając krewnych, czy nie mogliby ci pomóc w spłaceniu kredytu na mieszkanie.

- Skąd, do diabła, wiedziałeś o tym kredycie? - zapytał Cole cichym głosem, pochylając się nad grubasem tak, żeby nikt ich nie podsłuchał.

Na pulchnej twarzy Gebauera pojawił się pełen satysfakcji uśmiech.

- Mam swoje sposoby.

Jedna z linii telefonicznych Cole'a zaczęła mrugać. Myślał, że może uda mu się wyciągnąć od Gebauera, skąd ma informacje, ale najwyraźniej nie był on skłon-

ny do ujawnienia tego.

- Cole Egan - warknął do słuchawki.

- Jezu, tylko nie ugryź, błagam.

- Przepraszam, Anita. - Cole rozpoznał nosowy głos recepcjonistki. - Nie jestem w najlepszym nastroju. - Nie poprawił mu humoru nawet fakt, że w wyniku nieoczekiwanego spadku kursów na porannej sesji jego portfel sporo zyskał. Dwa razy pró-

bował dziś dzwonić do Nicki, do Duluth, ale za każdym razem w domu Andersonów włączała się automatyczna sekretarka. Boże, gdyby tylko mógł z nią porozmawiać.

- O co chodzi?

- Masz gościa w recepcji.

Cole rozchmurzył się. Może to Nicki zdecydowała się na poranny lot do

Nowego Jorku i przysłała, chcąc dać mu szansę na przeprosiny? Ale mogą to być też faceci z „Blue Moon”, którzy postanowili mu się przypomnieć.

- Kto to jest?

- Jakaś kobieta. Nie w twoim typie.

Więc nie była to Nicki ani goryle z „Blue Moon”.

- Anita, po czym poznajesz, że nie jest w moim typie?

- Bo jedyny twój typ to ja.

- Aha, rozumiem. - Usłyszał śmiech na drugim końcu linii. - Już tam idę.

- Jeżeli chcesz, powiem jej, że jesteś zajęty - pospieszenie zaoferowała się Anita. - Zajmę się nią.

- Jeżeli ci na to pozwolę, skończy się tym, że jej zwłoki zostaną znalezione w East River. - Cole spostrzegł, że Gebauer z uwagą przysłuchuje się tej konwersacji. - Zaraz tam będę - powiedział. - Do zobaczenia za minutę. - Odłożył słuchawkę i ruszył do drzwi na końcu sali.

Kiedy Cole znalazł się w recepcji, Anita głową wskazała na kanapkę. Odwrócił się i to, co zobaczył, mile go zaskoczyło. W rogu kanapki, z założonymi jedna na drugą nogami, siedziała jakaś kobieta, przeglądając kolorowy magazyn. Brązowe, o piaskowym odcieniu włosy do ramion, odgarnięte do tyłu za pomocą aksamitnej opaski, okalały jej opaloną twarz. Miała ostre rysy - proste, ciemne kreski brwi nad turkusowymi, kocimi oczami. Zgrabny nos, cienkie usta i dwa rzędy zębów jak perełki. Była ubrana w seksowną koronkową bluzkę i spodnie o wysokiej talii, które ładnie podkreślały jej szczupłą sylwetkę.

91

- Jestem Cole Egan. - Stanął parę kroków przed nią. - Pani mnie szukała?

Bez pośpiechu zamknęła magazyn, położyła go na stojącym obok stoliku o szklanym blacie. Podniosła wzrok na Cole'a i uniosła jedną brew.

- Przez całe życie - odpowiedziała uwodzicielsko. Głos miała chropowaty i zmysłowy.

Była bardzo ładna, ale nie zapierająca tchu w piersi, jak Nicki. Unosiła się wokół niej aura sex appealu. Powab Nicki wynikał nie tylko z jej urody, ale też

z niewinności. Nicki była poważna, cicha i możliwość przełamania tej niewinności zawsze fascynowała Cole'a. Zaś atrakcyjność tej kobiety wynikała z czegoś wprost przeciwnego. Najwyraźniej wiedziała, czego chce, i zrobi wszystko, żeby to osiągnąć. Nicki nie potrafiłaby się tak zachowywać.

Uśmiechnął się.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć.

- Może pan to rozumieć, jak pan chce - skwitowała krótko. Podniosła się i podała mu rękę.

- Nazywam się Victoria Brown, ale znajomi nazywają mnie Tori. Może pan tak do mnie mówić.

Głos jej brzmiał tak, jakby miała coś nie w porządku ze strunami głosowymi, ale efekt był seksowny.

- Dobrze... Tori. - Cole rzucił okiem na jej dłonie. Miała długie palce, paznokcie o doskonałym kształcie, pomalowane różowym lakierem. Nie zauważył obrączki ani żadnego zaręczynowego pierścionka. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- zapytał Cole.

- Pracuję w dziale informacji w NBC News - ściszyła głos, bo Anita przyglądała im się uważnie. - W „New York Timesie” zobaczyłam nekrolog twojego ojca. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Dziękuję, ale nie musiałaś się tu fatygować, żeby złożyć mi kondolencje.

Prościej było zadzwonić.

- Moje biuro mieści się w budynku Rockefeller Center. To tylko parę minut spacerkiem.

- To żadna przyjemność spacerować w taką pogodę.

- Gdybym zadzwoniła, miałabym mniejsze szanse, żeby się z tobą mówić - odparła.

- Znałaś mojego ojca? - zapytał Cole.

- Nie.

- Więc dlaczego tu jesteś?

- Chodźmy na lunch. Ja stawiam - zaproponowała Tori, uprzedzając pytanie.

- Restauracja będzie znacznie lepszym miejscem do rozmowy. I chyba już czas na przerwę w pracy. - Spojrzała na Anitę, a potem znowu na Cole'a. - Wszystko wyjaśnię na miejscu.

- Jestem maklerem obligacji państwowych - powiedział Cole. - Zwyklejemy lunch przy biurku.

- Czy zawali się rynek, jeżeli na chwilę opuścisz stanowisko pracy? Równie dobrze może się to stać, kiedy wychodzisz z pracy wieczorem - zauważyła Tori.

Mia-

92

ła rację, rządowe akcje są w intensywnym obrocie w Tokio i w Londynie, kiedy maklerzy z Nowego Jorku spokojnie śpią. Tori dobrze знаła zasady działania giełdy.

- Jeśli trzeba, jestem gotów do działania przez całą noc.

- Ciekawe. Może mi to kiedyś zademonstrujesz?

Cole uśmiechnął się.

- Czemu nie?

- No dobrze, idźmy już - ponagliła go.

- Czy to konieczne? - Cole nie przepadał za ludźmi z mediów. Zawsze czegoś chcieli, a rzadko mogli dać coś w zamian.

- Chcesz powiedzieć, że wolisz towarzystwo kolegów maklerów, których musisz oglądać co dzień? - Uśmiechnęła się zachęcająco.

Cole pomyślał o Gebauerze, jedzącym kurczaka w parmezanie, o tym, jak sos z makaronu skapuje mu z ust na foliową torebkę, której używał zamiast talerza.

- No dobrze, przekonałaś mnie. Ale skąd tyle wiesz o giełdzie?

- Miałam chłopaka, który handlował obligacjami Wspólnoty Europejskiej u Braci Salomon.

- Rozumiem. - Ton głosu sugerował, że rozstanie nie było przyjacielskie.

- Gdzie chciałbyś pójść? - zapytała.

- Może „La Reserve”? - zaproponował. - To po drodze do ciebie, do Rockefeller Center.

Pokręciła głową.



- Mam lepszy pomysł.
  - Cóż, jestem wdzięczny, że w ogóle o to zapytałaś.
  - Witaj w moim królestwie. - Uśmiechnęła się po drodze do wind. Cole siedł za nią, ignorując Anitę, która pokazała mu język, kiedy ją mijał. Piętnaście minut później Cole i Tori przecisnęli się do wolnego, oddzielonego ściankami stolika w restauracji „Broadway Diner”. Panował nieznośny hałas i zamiast pięciogwiazdkowej francuskiej kuchni serwowano hamburgery, kanapki i piwo.
  - Interesujący wystrój wnętrza. - Cole rozejrzał się. Restauracja udekorowana była gadżetami z lat pięćdziesiątych.
  - O co chodzi? - zapytała Tori z uśmiechem. - Niezbyt stylowe, jak na maklera z Wall Street?
  - Ależ nie, w porządku.
  - Większość z moich kolegów nie może sobie pozwolić na obiady w „La Reserve”. Nie zarabiamy tyle, co ty.
  - Nie byłbym taki pewien - mruknął pod nosem.
  - Co powiedziałeś?
  - Nie, nic. Sądziłem, że w NBC macie specjalny budżet na takie wyjścia.
  - Oczywiście, ale znacznie mniejszy niż wy, na Wall Street.
  - Co robisz w NBC? - zapytał Cole, chcąc zmienić temat.
  - Jestem producentem.
  - Masz wizytówkę?
- Zajrzała do torebki.
- 93
- Och, nie wzięłam ze sobą, ale wyślę ci ją kurierem.
- No tak, znana metoda - pomyślał Cole.
- Kelner z sumiastym wąsem powoli zbliżał się do ich stolika.
- Mogę przyjąć zamówienie? - zapytał z pewnej odległości.
- Cole sięgnął po menu wetknięte między podstawkę na serwetki i ścianę.
- Chwileczkę...

- Dla mnie proszę sałatkę z kurczaka, białe pieczywo, sałatę z pomidorem, do tego colę dietetyczną - powiedziała Tori. - Dla tego pana cheeseburger średnio wysmażony, duża porcja frytek i Pepsi. Wszystko ma być wysokokaloryczne, żadnych dietetycznych wynalazków.

- Za kilka minut - rzucił gburowato kelner na odchodnym.

- Nie potrafisz czekać. - Cole włożył menu z powrotem za podstawkę z serwetkami.

- W tym biznesie nie ma czasu na czekanie.

- Skąd wiedziałaś, co mi zamówić?

- A znasz amerykańskiego samca, który nie lubi cheeseburgerów? Nawet, jeżeli twierdzą, że sałatka, i warzywka są zdrowsze, to tak naprawdę sami w to nie wierzą.

Cole wybuchnął śmiechem. Zauważył, że dziewczyna rozgląda się po restauracji. Pod tym względem przypominała Bennetta; bez przerwy lustrowała najbliższe otoczenie swoimi kocimi oczami.

- Jak mnie znalazłaś, Tori? Nie wspomniałem o sobie w nekrologu ojca.

- Moja przyjaciółka pracuje w „Timesie” - wyjaśniła. - Kiedy zobaczyłam nekrolog, zadzwoniłam do niej. Podała mi twoje nazwisko, jako osoby, która zamieściła ogłoszenie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby można było podawać takie informacje bez upoważnienia.

- Mam uczynnych przyjaciół. I umiem się zrewanżować. Nigdy się nie dowiesz, kto jest moim informatorem - dodała.

- Tego jestem pewien. - Tori była kobietą twardą i agresywną, i nie ukrywała tego.

- Przejdę do rzeczy. - Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do torebki i wyciągnęła spięte spinaczem połówki wycinki z gazet w przezroczystej plastikowej koszulce. Wręczyła je Cole'owi. - Potraktuj to jako tajne.

- Oczywiście. - Rozłożył ostrożnie wycinki i zaczął czytać.

- Poczekaj, dam ci wersję „Reader's Digest” - przerwała mu niecierpliwie.

- Dobrze. - Nie przestał jednak czytać, a ona mówiła dalej:  
- To jest artykuł z ostatniej strony z „Dallas Morning News”, z dwudziestego szóstego listopada 1963 roku. Dotyczy niejkiej Andrei Sage, która dwudziestego drugiego listopada tamtego roku była na placu Dealey i sfilmowała zabójstwo Kennedy’ego amatorską kamerą firmy Bell & Howell, kupioną dzień przed zamachem. Panna Sage twierdziła, że film byłby kluczowym dowodem w śledztwie dotyczącym zabójstwa. Jedyny problem w tym, że ktoś zabrał jej kamerę tuż po fakcie morderstwa. A tym, którego oskarżała o konfiskatę kamery, jest...

94

- Jim Egan - wtrącił się Cole. - Mój ojciec.  
- Więc nie jest to dla ciebie niespodzianka?  
- Nie.  
- Dobrze. W takim razie pewnie wiesz, dlaczego tu jestem.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie mam pojęcia.

Pochyliła głowę tak, że brodą prawie dotykała plastikowego stołu.

- Chcę kupić ten film - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - I pozwolono mi zaoferować sporo, jeżeli okaże się, że film rzeczywiście ma wartość.

- Sporo, to znaczy ile?

- Osiem cyferek.

- Słyszałem, że telewizje sieciowe nie płacą za udostępnianie im materiałów.

Tori machnęła ręką i potrząsnęła głową.

- Tak było kiedyś. Teraz wszyscy walczą o widza. To twarda rywalizacja.

W zeszłym roku ABC zapłaciła jakiemuś amatorowi za zdjęcia z procesu Pol Pota. To się ciągle zdarza. - Wzięła słomkę i zaczęła zrywać z niej papierek. -

Zresztą

wszyscy będą chcieli się licytować w sprawie takiego hitu, jak zabójstwo Kennedyego. Rodzina Kennedych jest wciąż tak samo w centrum zainteresowania, jak rodzina królewska w Anglii. Dla NBC to byłaby prawdziwa gratka, gdyby się udało zdobyć wyłączność na nagranie, i moi przełożeni dobrze o tym wiedzą.

- Dlaczego myślisz, że mam ten film? - zapytał Cole.

- Bo pewnie twój ojciec nie chciał, by ujrzał on światło dzienne za jego życia.

Cole smętnie pomyślał o tej ośmiocyfrowej kwocie, która pewnie jeszcze by wzrosła.

- Niestety, ojciec nie przekazał mi tego filmu. - Cole wskazał głową na pożółkłe papiery. - A tu przeczytałem, że ojciec zaprzeczył, jakoby miał odebrać Andrei Sage kamerę. - Wskazał palcem trzeci akapit. - Andrea Sage wymyśliła całą historię. Ojciec nie mógł mi przekazać filmu z jednego prostego powodu - nigdy go nie miał. Ta kobieta była gotowa zrobić wszystko dla rozgłosu - powiedział, cytując Bennetta. Zależało mu, żeby przekonać Tori, że nigdy nie miał filmu.

- Nie wierzę w tę historię. - Najwyraźniej jej strategia polegała na tym, żeby prowokować i obserwować reakcję. - A ty?

- Dlaczego nie miałbym wierzyć?

Tori potrząsnęła głową.

- Jesteś niezłym aktorem.

- Dlaczego tak mówisz?

- Zachowało się ponad pięćset fotografii zrobionych na placu Dealey w dniu zabójstwa. Wiem o dwóch, na których widać mężczyznę, wrywającego młodej kobiecie z rąk kamerę, na południowej stronie ulicy Elm. Obraz jest niewyraźny ale jestem przekonana, że to twój ojciec zabrał kamerę Andrei Sage.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Cole zdał sobie sprawę, że takie zdjęcia rzeczywiście mogły istnieć. Jednak równie dobrze Tori mogła blefować. - Jak to się stało, że zauważyłaś nekrolog ojca?

95

- Przypadkowo. W NBC stale sięgamy do archiwalnych wydań gazet. Tysiące informacji dziennie, na wszelkie możliwe tematy. Nie rozwiązane sprawy o morderstwo, zaginione osoby, fakty historyczne. Wstukujemy w komputery hasła, a one przeszukują nowe wydania gazet i innych publikacji. Wszystkie gazety, od „L.A. Timesa” do „New York Timesa”. Komputer automatycznie drukuje wszystkie ar-

tykuły zawierające to hasło. Zabójstwo Kennedy'ego to doskonały przykład. Inne sieciówki robią to samo. Każda poważniejsza organizacja w tym kraju wciąż usiłuje dotrzeć do sedna sprawy dotyczącej spisku. Nazwisko twojego ojca było jednym z haseł w komputerze. Sieć szukała wiadomości o nim przez lata, od czasu, kiedy ukazał się ten artykuł w „Morning News”. - Tori pokazała artykuł leżący przed nim na stole. - Jednak nigdy nie wpadliśmy na żaden trop. O ile wiem, nikt nie wpadł, a pracuję nad tą sprawą już prawie dziesięć lat. - Zauważyła, że zbliża się kelner z jedzeniem, więc odsunęła swoje skarby, żeby zrobić miejsce na

stole. - Po zabójstwie o twoim ojcu słuch zginął. Odnotowano tylko jedno wydarzenie. Ślub z niejaką Mary Thomas. Ślub wzięli parę tygodni po zabójstwie, w obecności sędziego pokoju. - Tori uważnie obserwowała reakcję Cole'a.

Mary Thomas? - zdziwił się Cole.

- Dzięki moim kontaktom w Teksasie, jakiś rok temu odnalazłam w Dallas świadectwo zawarcia małżeństwa Jima Egana z Mary Thomas. To mnie zaprowadziło do rodziców Mary Thomas, mieszkających na Upper East Side w Nowym Jorku. - Tori westchnęła. - Okazało się, że Mary po skończeniu college'u uciekła z domu. Państwo Thomas jakoby nie mieli od niej wiadomości od wiosny 1963 roku. - Tori przerwała. Kelner postawił talerze z jedzeniem i oddalił się, nie ra-

cząc zapytać, czy chcieliby zamówić coś jeszcze. - Jednak jestem pewna, że wiesz o tym wszystkim. Bo zakładam, że Mary Thomas jest twoją matką. - Tori wpatrywała się w Cole'a uporczywie. - To prawda? - zapytała.

- Tak - mruknął.

- Ale to jednak dziwne.

- Co takiego?

- Kiedy odwiedziłam twoich dziadków i powiedziałam im, że mam informacje o ich córce, nie chcieli nic wiedzieć. - Wzruszyła ramionami. - Więc poszłam sobie. Czulałam, że jestem blisko czegoś naprawdę ważnego, ale nagle ktoś zaciągnął przede mną kurtynę. To dziwne, że po ślubie twoi rodzice jakby zapadli się

pod ziemię. Rozmawiałam z paroma policjantami w Dallas, którzy znali twojego ojca. Żaden z nich nie wiedział, dokąd odszedł. Nie wiedzieli nawet, że się ożenił. A Mary nie zawiadomiła rodziców, że wyszła za męża. To wszystko jest dosyć dziwne. Również ginie ślad po Andrei Sage. Nic nigdzie o niej nie znalazłam. Zdarzyło się tak z wieloma ludźmi, którzy mieli coś wspólnego z zabójstwem. Po prostu wyparowali. To dość tajemnicze, nie sądzisz?

- Tak - Cole przytaknął odruchowo. Więc jego matka naprawdę nazywała się Mary Thomas i uciekła z domu. Nic dziwnego, że nie podała policji w Dallas swojego prawdziwego nazwiska i adresu zamieszkania.

Cole odsunął talerz i wstał od stołu.

- Muszę zatelefonować.

96

- Jasne.

Wrócił po pięciu minutach. Kiedy przeciskał się na siedzenie naprzeciw niej, zapytała:

- Czy moja sekretarka dobrze się o mnie wyrażała?

Cole rzeczywiście dzwonił do NBC, żeby sprawdzić, czy Tori Brown jest tą osobą, za jaką się podała.

- Tak, powiedziała, że jesteś świetną szefową. - Tori była bystra. Następnym razem będzie o tym pamiętała.

- To dobrze.

- Oczekiwała telefonu ode mnie. Najwyraźniej kazałaś jej nie ruszać się od biurka, zanim nie zadzwonię. Musiała być bardzo głodna. Powiedziałem jej, że może już iść na lunch.

Tori roześmiała się.

- Domyśliłam się, że będziesz chciał mnie sprawdzić.

Cole podniósł do ust cheeseburgera, ale zaraz go odłożył.

- Tori, czy możesz mi dać adres państwa Thomas na Manhattanie?

Tori rzuciła mu spojrzenie znad talerza.

- Słucham?

Cole wiedział, że usłyszała pytanie. Miał nadzieję, że nie będzie mu robiła trudności w uzyskaniu tego adresu.

- Chciałbym cię prosić o adres tych ludzi, których znalazłaś na Manhattanie. Państwa Thomas, moich dziadków.

Tori z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Chcesz powiedzieć, że ich nie znasz?

- Tak - przyznał ściszym głosem.

Jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Więc powiedzieli mi prawdę. Faktycznie nie mieli żadnych wiadomości od Mary przez te wszystkie lata.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni.

- Aż trudno uwierzyć, że twoi rodzice nigdy ci nie powiedzieli, kim są twoi dziadkowie.

- A jednak to prawda. - Cole odwrócił wzrok. Kiedy był dzieckiem, zawsze zazdrościł swoim rówieśnikom, którzy mieli rodziców i dziadków. Szczególnie na wakacjach.

- Przykro mi. - Tori uścisnęła jego rękę. - Nie powinnam tak mówić. Po prostu...

- W porządku - przerwał jej Cole. - Ale byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mi dała ten adres.

Tori zabrała rękę z jego dłoni i wyprostowała się na krześle.

- A co z twoją matką? Gdzie teraz mieszka? Mogę się z nią skontaktować? - Zasypała go gradem pytań.

- Też chciałbym z nią porozmawiać - odparł Cole. - Niestety, już nie żyje.

- Kiedy zmarła?

- To chyba nie twoja sprawa.

7 - Depozyt

97

- Chyba nie - przyznała. - Ale co się stało z filmem? - naciskała niecierpliwie. Musiało jej bardzo zależeć na tym, żeby dostać go przed innymi. - Z tym

filmem, który twój ojciec zabrał Andrei Sage.

- Podziałem ci, że nic nie wiem o żadnym filmie! Czy dostanę adres państwa Thomas?

- Nie.

- Jesteś... - nie dokończył. - Dobrze. Zadzwoń do informacji i sam zdobędę telefon do nich.

- To nic nie da. Mają zastrzeżony numer. Mógłbyś zdobyć ten adres w urzędzie, w którym Mary Thomas brała ślub, ale moja znajoma w Dallas usunęła wszystkie dane. Za niewielką opłatą. - Tori uśmiechnęła się do Cole'a. - Czyżbyś się gniewał?

- Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz mi dać tego adresu. - Cole uderzył pięścią w stół. - Na Boga, to są moi dziadkowie! Chcę ich poznać, zanim umrą. Uśmiech zniknął z twarzy Tori, kiedy pochyliła się nad nim i szepnęła:

- A ja, zanim umrę, chciałabym mieć jedną dużą sprawę - wysyczała. - Całe lata musiałam pracować na to, żeby mnie rozpoznawano w NBC. „Tak, znam ją. Nieźle sobie radzi” - mówią o mnie. A to znaczy tyle co „druga liga”. Zależy mi na czymś więcej. Chcę mieć jedną dużą sprawę. Chcę, żeby mnie szanowano. Nie wstydzę się tego, chcę trochę blasku sławy. A to może być jedna z największych spraw tego dziesięciolecia. - Zrobiła pauzę. - Myślę, że nie mówisz mi wszystkiego, Cole. Jeżeli powiesz mi prawdę, dam ci adres Thomasów. Teraz mogę ci tylko zdradzić, że mieszkają na East Side, między ulicą Czterdziestą a Dziewięćdziesiątą. To zawęży pole poszukiwań do około miliona mieszkańców. Pod warunkiem, że podałam ci właściwe nazwisko. Powodzenia.

Cole powoli wstał od stołu, wyciągnął portfel, wyjął dwudziestodolarowy banknot i położył go na stole.

- Dziękuję za lunch - powiedział spokojnie, po czym skierował się do drzwi i wyszedł na Broadway.

12

ilny podmuch sprężonego powietrza wzbijał w górę leżące na chodniku śmieci S i stare gazety, tworząc z nich wir powietrzny, który wyglądał jak minicyklon.



Na Manhattanie śmieciarki tego typu nazywano smokami.

- Tori Brown - zamyślony Cole mruknął pod nosem. Postawił kołnierz płaszcza, przygarbił się i ruszył Broadwayem pod wiatr. Czy istnieją granice egoizmu? Jak można nie dać komuś adresu do rodziny, używając tej informacji jako karty przetargowej? Skręcił w Czterdziestą Siódmą ulicę.

- Witaj, Cole. - Prosto na Cole'a szedł potężny mężczyzna w czarnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych, który wysiadł z eleganckiej, czarnej limuzyny.

Cole przystanął. Przypomniał sobie, skąd zna tę twarz. Był to jeden z ochroniarzy z kasyna. Cole błyskawicznie zrobił w tył zwrot, ale wpadł na drugiego, tak samo ubranego faceta, który chwycił go mocno za ramiona.

- Przygotuj się na przejażdżkę - powiedział ten, który go złapał. Miał brookliński akcent i uśmiechał się szeroko, jak gdyby właśnie przekazał Cole'owi jakąś radosną wiadomość.

Cole zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu.

- Miłe spotkanie w gronie przyjaciół? A może później wspólnie wyskoczymy coś zjeść i wybierzemy się do nocnego klubu?

- Może. - Mężczyzna prowadził Cole'a do stojącej na chodniku limuzyny.

Pierwszy z mężczyzn czekał przy otwartych tylnych drzwiach. Cole schylił głowę i został wepchnięty do środka. Mężczyźni wsiedli, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Czarny cadillac z piskiem opon zjechał z krawężnika.

- Co się z tobą ostatnio działo, Cole? - odezwał się pierwszy z mężczyzn.

Siedział za kierownicą. Zdjął skórzane rękawiczki i rzucił je na wolne siedzenie obok. - Szukaliśmy cię.

Cole kątem oka zauważył, że temu, który się odezwał, spod rozpiętej marynarki wystaje pistolet.

99

- Musiałem odtransportować do domu, do Minnesoty, koleżankę. Jej przyjaciółka zginęła w wyniku eksplozji w moim mieszkaniu.

- Słyszeliśmy o tym wypadku - obojętnym głosem stwierdził drugi z mężczyzn, siedzący obok Cole'a. - Ucieszyliśmy się, że to nie ty zginąłeś. Trudno by było od nieboszczyka odzyskać dług. Bo, może się zdziwisz, ale bardzo nam zależy na tej forsie. Na całej sumie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Dziś chcemy ci to udowodnić, żebyś nie miał żadnych wątpliwości.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że chcecie dostać te pieniądze. - Sytuacja była taka, że jeżeli za chwilę nie wydobędzie spod ziemi dziewięćdziesięciu dzie-

więciu tysięcy dolarów, plus odsetki, czeka go trudne popołudnie. Trudne do przeżycia.

Kiedy minęli Most Brookliński, mężczyzna siedzący za kierownicą odezwał się znowu.

- Wiesz, Frankie - zagaił, patrząc przez okno na nowojorski port - ostatnio gdzieś czytałem, że ten most otwarto w 1883 roku. To chyba pierwszy wiszący most w kraju.

- Tak? - Frankie, siedzący obok Cole'a, nie wykazywał zainteresowania ani historią mostów, ani sposobem ich konstrukcji.

- Tak. Pisali też, że w dniu otwarcia mostu urządzono w mieście uroczystą paradę. Kiedy ludzie doszli do połowy mostu, ktoś puścił plotkę, że liny zaczynają pękać. Wybuchła panika, wszyscy rzucili się do ucieczki. Sześć osób stracono.

- Za dużo czytasz, Sal. - Frankie wyjął z kieszeni dwa listki gumy do żucia, zerwał papierki i włożył gumę do ust. - Czyż nie mam racji, czerwonoszelkowcu?

Cole zignorował pytanie. Obserwował drogę.

- Hej! - Frankie ostrym czubkiem buta kopnął Cole'a w kostkę. - Zadałem ci pytanie.

- Jezu! - Cole pochylił się i złapał się za nogę. To była ta sama kostka, którą

wykręcił, kiedy wpadł na taksówkę. Wciąż go bolała. - Nie dosłyszałem - jęknął. Frankie i Sal zarechotali.

- Przyzwyczajaj się do tego, kolego - ostrzegł Frankie. - Chyba że masz dla nas forszę.

Cadillac zwolnił, a potem stanął. Z powodu renowacji mostu zamknięto dwa pasma drogi i utworzył się korek na jedynym dostępnym paśmie.

Przy hamowaniu Cole przesunął się w stronę drzwi. Już wcześniej zauważył korek na drodze i tylko czekał na odpowiedni moment. Kiedy ruszali z Manhattanu, nie usłyszał dźwięku blokowania drzwi. Teraz modlił się tylko, żeby okazało się, że kierowca rzeczywiście zapomniał je zablokować. Modlitwa została wysłuchana. Klamka nie stawiała oporu i drzwi otworzyły się szeroko. Cole wypadł z limuzyny na asfalt, zerwał się na nogi i zatrzaskał drzwi, przycinając dłoń Fran-

kiego, po czym pokuśtykał do tyłu. Mijał czterodrzwiowego, niepozornego sedana, który jechał za limuzyną kiedy jego drzwi otworzyły się gwałtownie i boleśnie uderzyły Cole'a w klatkę piersiową i nogi. Padł na asfalt. Przez chwilę leżał

100

skulony, nie mogąc złapać oddechu. Czyjeś silne ręce wciągnęły go na tylne siedzenie samochodu. Na szyi poczuł chłód metalu. Kierowca sedana wyskoczył zatrzaskał tylne drzwi, po czym wrócił za kierownicę i ruszył za jadącą przed nimi limuzyną.

- Więcej tego nie rób - usłyszał Cole męski głos. Dopiero teraz otworzył oczy. Mężczyzna siedzący obok uśmiechał się, przyciskając mu do twarzy lufę pistoletu.

- Dziwni z was kolesie, ciągle się uśmiechacie - wystękał Cole, z trudem łapiąc powietrze. - Czy opowiadacie sobie dowcipy? A może z natury jesteście takimi wesołkami?

Mężczyzna nie odpowiedział, ale odsunął pistolet od twarzy Cole'a.

- Cóż, pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że jesteście równie dowcipni, jak

załoga tamtego wozu - powiedział Cole.

Mężczyzna schował pistolet do kieszeni płaszcza.

- Zdawało mi się, że przy zamykaniu drzwi przyciąłeś rękę Frankiemu. Więc zapowiada się ciekawie. Bo Frankie to chłopak z temperamentem.

Parę minut później obydwie samochody zajechały na tyły jakiegoś magazynu, gdzieś na Brooklynie. Frankie wysiadł z limuzyny i powoli podszedł do sedana. Energicznie otworzył drzwi i wyciągnął Cole'a za przegub.

- Tam - wskazał drzwi do magazynu, które Sal trzymał otwarte. Na dłoni Frankiego widniały ciemnofioletowe siniaki.

Przez dłuższą chwilę Cole podążał za Salem labiryntem korytarzy. W pewnej chwili zdrowa ręka Frankiego ciężko wylądowała na ramieniu Cole'a. Frankie szarpnął więźniem i wepchnął go do pokoiku, w którym wisiała chmura dymu papierosowego. Za biurkiem siedział mężczyzna, którego Cole też przypominał sobie z „Blue Moon”. Był starszy od tych, którzy go tu przywieźli, i pewnie ważniejszy. Młodzi z szacunkiem go pozdrowili, ale on nie raczył im odpowiedzieć.

Wskazał Cole'owi fotelik z porwaną tapicerką stojący przed biurkiem.

W świetle gołej żarówki, zwisającej z sufitu, błyszczały jego krótkie i starannie

uczesane srebrne włosy, i małe, piwne oczy.

- Chcesz coś do picia? - odezwał się szorstko, głosem niemal bez brooklińskiego akcentu.

- Nie, dziękuję.

Mężczyzna zapalił papierosa, po czym skinął na młodych, którzy wycofali się do korytarza.

- Frankie i Sal, idźcie przygotować sprzęt - zarządził. - Sprawdźcie, czy nikt z pracowników nie został.

Cole poczuł, że pot zaczyna mu spływać po plecach.

Mężczyzna za biurkiem zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił dym.

- Nazywają mnie Wściekłym Psem.

Pewnie dlatego - pomyślał Cole - że jesteś złym człowiekiem.

- Miło mi, panie Pies - odparł.

Wściekły Pies zarechotał.

101

- Za chwilę przejdzie ci chęć do żartów. Jesteś nam winien dużo pieniędzy, Cole.

- I zamierzam je wam wkrótce zwrócić.

- Prawie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, licząc z odsetkami.

Cole w pamięci wykonał parę działań matematycznych.

- To chyba nie poprawi mojego położenia, ale chciałem zwrócić uwagę, że procent, którym mnie obciążacie, przewyższa wszelkie regulaminowe wysokości odsetek.

Wściekły Pies uśmiechnął się.

- Nie, twojego położenia to nie poprawi.

- Tak myślałem. - Cole przełknął ślinę. - Posłuchaj, do jutra mogę dostarczyć dwadzieścia pięć tysięcy.

- Nie próbuj mnie okłamywać.

Cole spojrzał mu w oczy.

- Skąd to podejrzenie?

- Limit twojego kredytu w Citibanku wynosi dwieście dwanaście dolarów, a wszystkie karty kredytowe już wykorzystałeś - stwierdził Wściekły Pies. -

Twoja

miesięczna pensja po opodatkowaniu nie wystarczyłaby mi na tygodniowy zakup papierosów. I nie wierzę, żeby ktoś chciał ci pożyczyć choćby centa.

- Ale...

- Zaraz ułożymy harmonogram spłat - poinformował Wściekły Pies.

Frankie pojawił się z powrotem.

- Wszystko gotowe.

Wściekły Pies nie odrywał wzroku od Cole'a.

- Musimy jednak mieć pewność, że traktujesz nas poważnie.

- Wiem, że jesteście...

Wściekły Pies podniósł ręce.

- Proszę iść za tymi dżentelmenami.

Cole spojrział na Frankiego, na stojącego za nim Sala, po czym przeniósł wzrok na Wściekłego Psa.

- Słuchaj, ja naprawdę...

Nie zdążył dokończyć, bo ktoś podniósł go z fotelika. Znowu szli korytarzami. Popychano go, żeby szedł szybciej. Wiedział, że go nie zabiją ale też nie miał

wątpliwości, że to, co przygotowali Frankie i Sal, musiało wiązać się z bólem.

Skręt w lewo, w prawo, później znowu w prawo i znaleźli się w ogromnym, opustoszałym sklepie. Na ścianach wisiały przeróżne narzędzia. Mężczyźni posadzili Cole'a na krześle. Jeden z nich chwycił prawą dłoń Cole'a i włożył ją w kaj-

danki przymocowane do ściany. Zaś lewy nadgarstek Cole'a umieścił w imadle, przykręconym do drewnianego stołu, stojącego przy krześle. Cole spojrział na swoje palce. Już się domyślał, co zamierzają zrobić, i na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

Wściekły Pies usiadł naprzeciw Cole'a. Zaciągnął się papierosem i uśmiechnął.

- To nie jest zły sen.

102

- Zdobędę te pieniądze. - Cole starał się zachować zimną krew, ale na twarz wystąpiły mu kropelki potu. - W styczniu, za sześć tygodni, dostanę w pracy premię. - Patrzył, jak Frankie zdejmuje z kolekcji na ścianie metalowe nożyce. -

Nie

zartuję! - Poczul, że serce zaczęło mu łomotać.

- Nie mogę tyle czekać - odparł Wściekły Pies.

Frankie zbliżył się do stołu. Wielkimi łapami mocno chwycił mały palec lewej ręki Cole'a i wyłamał go ze stawu. Ból przeszył całe ramię, a palec natych-

miast obrzękł. Cole zagryzł dolną wargę. Udało mu się powstrzymać krzyk.

Wściekły Pies wskazał głową na palec, sterczący teraz pod dziwnym kątem.

- Robimy to z dwóch powodów - powiedział beznamiętnie, niczym profesor medycyny, objaśniający studentom jakiś skomplikowany zabieg. - Po pierwsze, ułatwi to obcinanie, bo nie będziesz mógł nim ruszać. A po drugie, teraz, kiedy jest spuchnięty, ból przy obcinaniu nie będzie tak dotkliwy.

- Jestem wam niezmiernie wdzięczny.

Wściekły Pies dał znak Frankiemu.

- Cole, warunki są takie: tysiąc dolarów miesięcznie przez następne trzy lata.

Ni mniej, ni więcej. Zrozumiałeś?

- Tak.

Frankie ujął palec Cole'a między ostrza nożyc.

- Dzisiaj usuniemy palec, który Frankie ci wyłamał. Nie będziesz miał pięniędzy, następny będzie mały palec prawej dłoni - ostrzegł Wściekły Pies. - Nie dostaniemy kolejnej raty, przyjdzie kolej na palec wskazujący lewej dłoni. I tak dalej. Takie są zasady, rozumiesz?

- Niestety, tak.

Wściekły Pies zaciągnął się ostatni raz, rzucił papierosa na ziemię i przydeptał. Kiedy wypuszczał dym prosto w twarz Cole'a, uśmiechał się.

Cole patrzył gangsterowi prosto w oczy. To była jedna z tych chwil w życiu, kiedy trzeba zapomnieć o strachu, bo jedyne, co można zrobić, to wyjść z sytuacji z twarzą.

Cole wziął głęboki oddech.

- Na co, do diabła, czekacie? - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Twardziel, co? - Uśmiech z twarzy mafioso zniknął. - Zmieniłem zdanie.

Dzisiaj obetniemy ci dwa palce. Zobaczymy, czy nadal będziesz taki twardy.

- Odlóżcie te nożyce.

Mężczyźni odwrócili się.

W drzwiach stał Bennett Smith ze swoją czterdziestkączwórką wycelowaną prosto we Wściekłego Psa.

- Jestem agentem federalnym - powiedział spokojnie. - Człowiek, którego trzymacie, jest poszukiwany przez Departament Sprawiedliwości jako świadek w sprawie wysokiej rangi, która nie ma ani z wami, ani z waszą brudną działalnością nic wspólnego. Zresztą mnie osobiście nie interesuje, czym się zajmujecie.

Jasne?

Frankie sięgnął po pistolet. Bennett spokojnie skierował na niego lufę i nacisnął spust. Kula przeszła na wylot przez nadgarstek Frankiego, który osunął

się na kolana. Jego trzydziestkaósemka wyleciała mu z ręki, uderzając mocno w ścianę.

- Głupi skurwielu! - Wściekły Pies warknął na Frankiego, skręcającego się na ziemi, ze zdrową ręką zaciśniętą tuż nad przedziurawionym nadgarstkiem.

- Jeszcze jeden taki pomysł, a zacznę strzelać do wszystkich! - krzyknął Bennett. - Wtedy zobaczymy, kto tu zostanie. - Sal oparł się plecami o ścianę i podniósł ręce, bo Bennett wycelował w niego. - Potem przewrócę sklep do góry nogami w poszukiwaniu przydatnych narzędzi. Pewnie da się nimi zrobić sporo interesujących operacji.

- Nie musisz tego robić - zapewnił Wściekły Pies. Podejrzewał, że blondyn blefuje, że nie ma nic wspólnego z rządem federalnym. Ale wolał nie ryzykować. Bo gdyby się mylił, na zewnątrz mogła czekać armia federalnych. - Facet jest twój. - Pstryknął palcami na Sala. - Rozkuj go.

Chwilę później Cole wstał, uwolniony z kajdanek i imadła.

- Podejdz tu - rozkazał Bennett.

Cole szybko przeszedł przez pokój, mijając leżącego na ziemi Frankiego, który bardzo krwawił. Stał przed Bennettem.

- Wyciągnijcie broń! - zażądał Bennett.

Gangsterzy spojrzeli po sobie, ale żaden nawet nie drgnął.

- Już! Po kolei, i wyjmujcie bardzo powoli.

Ociągając się, wyjmowali pistolety z kabur.

- Dobrze. A teraz połóżcie je na podłodze i przesuwajcie w moją stronę. Po-



proszę jeszcze o telefony komórkowe.

Wykonali jego polecenia bez szemrania.

- Panie Egan, proszę zebrać wszystko i wrzucić do tej torby. - Bennett wskazał na wiszącą na ścianie reklamówkę.

Cole posłusznie wykonał polecenie.

- Czego oni od pana chcą? - zapytał Bennett.

- Jestem im winien pieniądze - odpowiedział cicho Cole.

- Przegrana w kasyno?

Cole przez chwilę się wahał.

- Tak.

- Tak samo jak twój przeklęty ojciec - Bennett mruknął pod nosem.

- Nie uważam, żeby to była...

- Zamknij się - warknął Bennett. - Ile jesteś im winien?

Bennett traktował go jak smarkacza. Strofował go jak wuj, kiedy był nastolatkiem. Ani wuj, ani Bennett nie mieli prawa tak się do niego odnosić.

- Dużo.

- Ile? - wrzasnął Bennett.

Z drugiej strony Bennett już drugi raz ryzykował życie, żeby wyciągnąć Cole'a z trudnej sytuacji. To nie był najlepszy moment, żeby unosić się dumą.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy - wykrztusił.

- Słodki Jezu - jęknął Bennett i pokręcił głową. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął gruby plik banknotów. Rzucił je Wściekłemu Psu, któ-

104

ry zręcznie złapał je w powietrzu. - To jest siedem tysięcy dolarów. Chcę mieć wasze słowo, że dacie spokój panu Eganowi do końca stycznia, do momentu, kiedy, jak powiedział, dostanie premię w pracy. Wtedy od razu odda wam całą resztę. Nie chcę, żeby to się ciągnęło. I od tej chwili nie naliczacie odsetek.

Rozu-

miemy się?

- Tak - zgodził się Wściekły Pies.

- Jeżeli dowiem się, że nie dotrzykaliście zobowiązań, postaram się, żeby federalni was namierzyli. Ogłoszę też publicznie, że byłeś moim informatorem. - Bennett wyciągnął palec w kierunku Wściekłego Psa. - I że od paru lat dostarczasz władzom informacje o twojej rodzinie i jej akcjach.

- Hola! - Efekt był natychmiastowy. Groźba brzmiała zbyt poważnie. - Nie rób tego!

- Jeżeli zostawicie go w spokoju - Bennett pokazał palcem Cole'a - wszystko będzie w porządku.

Wściekły Pies włożył plik banknotów do kieszeni koszuli.

- W takim razie, nie ma problemu.

- To dobrze. - Bennett spojrzął na Cole'a. - Wychodź. - Bennett podszedł do przeciwległej ściany i zerwał z niej telefon, razem z kablem. Upewnił się, że aparat nie działa i ruszył do wyjścia. Przekręcił klucz znajdujący się w zamku i dla pewności wetknął kawałek drewna pod drzwi, żeby utrudnić ich otworzenie. Podniósł reklamówkę z pistoletami i telefonami i biegiem ruszył długim korytarzem.

- Cole, spadamy.

Cole'owi nie trzeba było tego powtarzać. Pobiegł za Bennettem. Zatrzymali się na chwilę, żeby ukryć za jakimiś skrzynkami reklamówkę z bronią. Po chwili wydostali się na zewnątrz tymi samymi metalowymi drzwiami, którymi wprowadzono Cole'a. Wskoczyli do zaparkowanego przed wejściem forda taurusa, którego wynajął Bennett. Dopiero kiedy przekroczyli Most Brookliński i znaleźli się na Manhattanie, odetchnęli z ulgą.

Bennett zaparkował samochód przed jakąś restauracją.

- A teraz powiedz, o co im naprawdę chodziło? - Od czasu akcji w magazynie szyję i twarz wciąż miał nabiegłe krwią.

- Powiedziałem ci - odparł Cole, rozcierając spuchnięty mały palec. - Jestem im winien pieniądze z hazardu.

- Nic więcej?

Po raz pierwszy Cole miał okazję poznać włoski temperament Bennetta, za-

skakujący przy jego nordyckim wyglądzie.

- Nic więcej.

Bennett spojrział na Cole'a, unosząc z niedowierzaniem jedną brew.

- Przysięgam. - Na twarzy Cole'a malowało się zdziwienie. - A ty myślałeś, że chodzi im o taśmę z Dealey?

- A jest inaczej? - Bennett chciał mieć pewność.

- Chryste, myślałeś, że chcieli zabrać mi kasetę.

- A nie chodziło im o to?

105

- Nie!

- Mafia ma powody, żeby film nigdy nie został ujawniony. Gdyby taśma została pokazana publicznie, dla mafii oznaczałoby to poważne kłopoty. Wiesz dobrze, że rząd federalny musiałby wszcząć nowe dochodzenie w sprawie Kennedyego. Mafia, jako jedna z najbardziej podejrzanych, zostałaby poddana dokładnej obserwacji. Agenci federalni znowu zaczęliby szpiegowanie. A mafia woli, żeby mówiono o niej jak najmniej.

Cole uświadomił sobie, że po głośnej akcji, kiedy zlikwidowano Johna Gottiego, mafia przestała znajdować się w centrum zainteresowania mediów.

- Szefowie mafii nie chcą dać powodu federalnym do grzebania w ich śmieciach.

Cole pokręcił głową.

- Miałem otwarte konto w jednym z mafijnych kasyn na Brooklynie. To, co wydarzyło się w magazynie, nie ma nic wspólnego z taśmą z Dealey

- Nie byłbym tego taki pewny. - Bennett poruszał dolną szczęką.

- Nie popadajmy w paranoję. Sam tam poszedłem. Nikt mnie tam nie... -

Ajednak nie, to nieprawda, że nikt go tam nie zaciągnął. Pierwszy raz był tam z maklerem obracającym akcjami wewnętrznymi firmy On pokazał mu to miejsce. Nie można jednak zakładać, że cała sprawa została ukartowana, że Wściekły Pies i jego kumple wiedzieli o tym, iż taki film w ogóle istniał.

- Co chciałeś powiedzieć? - zapytał Bennett.

- Nie, nic takiego. - Nie było sensu podnosić tej kwestii. To by tylko wzbudziło niepotrzebne podejrzenia. - Ale skąd się ty tam wzięłeś? Nie powiem, że bym się nie ucieszył na twój widok.

Bennett rozparł się w fotelu.

- Mówiłem ci. Twój ojciec martwił się, że możesz mieć kłopoty po tym, jak odbierzesz depozyt. Obiecałem mu, że dopilnuję, żeby nic ci się nie stało.

- Przecież wiedziałeś, że nie mam już kasety. Ma ją facet z blizną.

- Ja wiedziałem, ale może są ludzie, którzy tego nie wiedzą.

Cole wpatrywał się w Bennetta szczerze zdziwiony.

- Na przykład kto?

- Na przykład ta kobieta w „Kra Barze”. Myślę, że wrzuciła ci jakiś środek usypiający do szklanki. Prawdopodobnie przeszukała twoje rzeczy, kiedy zasnąłeś.

- Co? - Takiej możliwości Cole nie brał pod uwagę.

- Myślę, że to nie był zwykły kac.

Cole przypomniał sobie, że jeszcze parę godzin później czuł dziwny chemiczny posmak w ustach.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak.

- Ale czego mogłaby szukać? - zapytał Cole.

- Nie wiem. Ty mi to powiedz.

W oczach Bennetta Cole wyczytał wyrzut.

- Nie mam pojęcia. Dla kogo mogłaby pracować?

Bennett wzruszył ramionami.

106

- Może dla tych samych ludzi, których zamknęliśmy w magazynie? A może jest zaangażowana w tę operację DIA, o której ci mówiłem w Wisconsin, nad rzeką.

- Przecież DIA ma kasetę. - Cole nie dawał za wygraną.

- Nie masz pewności, czy to DIA zabrało taśmę. Ja zresztą też. Jak mówiłem, nie jestem nawet pewien, że taka operacja istnieje. Słyszeliśmy z twoim ojcem tylko plot-

ki i domysły. W niczym, co dotyczy wywiadu, nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Dodajemy dwa do dwóch i okazuje się, że suma równa się dziesięć.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Wreszcie Bennett spojrzął na zegarek.

- Jest szesnasta, muszę się zmywać. Nie pogniewasz się, że nie odwiozę cię do pracy? Wystarczy ci pieniędzy na taksówkę, czy będziesz musiał zrobić skok na jakiś sklep?

- Myślę, że jakoś uda mi się zebrać na taksówkę. - Cole uśmiechnął się. -

I nie martw się, swoje siedem tysięcy dostaniesz z powrotem.

- Mam taką cichą nadzieję - odparł Bennett ze śmiechem. - Prawdę mówiąc, były to pieniądze na nieoczekiwane wydatki. Więc nie zwracaj sobie tym głowy. Jakoś wytłumaczę się z nich przełożonym.

- O nie! Ja też spłacam swoje długi.

- Powiedziałem ci, żebyś sienie przejmował. Co z twoim palcem? - Bennett zmienił temat, wskazując na rękę Cole'a.

Cole poniósł dłoń.

- Nic mi nie będzie. - Cole dotknął skóry palca, która przybrała kolor dojrzałej śliwki.

- A co słyhać u twojej dziewczyny?

- Bez zmian. Nie najlepiej. - Cole spojrzął w okno. Nie chciał tłumaczyć Bennettowi, dlaczego Nicki nie odzywa się do niego. - Miło, że pytasz. - Cole chwycił za klamkę, otworzył drzwi, odwrócił się do Bennetta i uściśnął mu dłoń.

- Dzięki za wszystko, Bennett.

- Przepraszam za to, co wygadywałem tam w magazynie - powiedział Bennett. - Zauważyłem, jak na mnie patrzyłeś. Jakbyś chciał powiedzieć, że nie mam prawa zwracać się do ciebie jak do dziecka.

Cole poczuł się zażenowany.

- Niezupelnie. Dałem ci powody, żeby tak do mnie mówić. Zachowałem się jak dziecko.

Bennett uwolnił dłoń Cole'a z uścisku.

- Pamiętaj, masz dzwonić do mnie, do Waszyngtonu, jak tylko będziesz po-

trzebował pomocy.

- Będę dzwonił. Jeszcze raz dziękuję. - Klepnął Bennetta po ramieniu, wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi. Pomachał ręką kiedy Bennett go mijał.

Ruszył z miejsca dopiero wtedy, kiedy samochód zniknął mu z oczu. Nie miał dość pieniędzy, żeby zapłacić za taksówkę, więc skierował się do najbliższej stacji metra.

107

Jamison nerwowo przemierzał w tę i z powrotem krótki odcinek podłogi za biurkiem w Gabinetce Ovalnym. Zahn i Walsh siedzieli na krzesłach przed biurkiem, podobnie jak tydzień temu.

- Druga kaseta? - zapytał.

- Tak, panie prezydencie - odpowiedział z wahaniem Zahn. - Tak podejrzewa William Seward.

- Czy wspomniał o tym w obecności naszego przyjaciela?

- Tak.

- Niech to szlag! - Jamison trzasnął rękawem biurko.

Zahn skrzywił się.

- Dlaczego, do diabła, pozwoliliście mu na to? - zaatakował Jamison, ciskając oczami pioruny.

- Nie pozwoliłem mu - odparł generał. - Seward bez żadnego pytania po prostu powiedział o wszystkim. Łącznie ze sprawą oryginalnego filmu, podrzuconego mu przez Jima Egana dla zmylenia tropu. - Zahn patrzył z uporem na Jamisona.

Jamison nie wytrzymał tego spojrzenia, założył ręce i odwrócił wzrok. Wiedział, że Zahn był wściekły, że nie powiedział mu o oryginale filmu.

- Na czym Seward opiera swoje podejrzenie, że istnieje druga taśma? - zapytał Walsh. Podobnie jak prezydent miał na sobie smoking. Obydwaj wybierali się na uroczysty obiad.

- Nie wiem - odparł Zahn. - Chyba na tym, że znał charakter Jima Egana.

Powiedział, że Egan był zbyt skrupulatny, żeby nie zrobić kopii.

- Co zamierza pan z tym zrobić, generale? - zapytał Jamison. - Czy myśli pan, że Seward może mieć rację?

- To rzeczywiście możliwe - wtrącił się Walsh. - Więc co zamierza pan z tym zrobić, generale Zahn?

- Mamy człowieka, który jest bardzo blisko Cole'a Egana i przygląda się sytuacji.

Jamison na chwilę przystanął. Wiedział już o tej osobie.

- Jak mój przyjaciel zareagował na wiadomość o możliwości istnienia kopii?

- Nie za dobrze - odpowiedział Zahn.

Cole wyszedł z windy hotelowej. Remont mieszkania potrwa jeszcze co najmniej miesiąc. Pogwizdywał, idąc długim korytarzem. Dziś po południu, kiedy był na lunchu z Tori Brown, a później spotkała go przygoda z Wściekłym Psem i jego hordą kursy walut spadły o parę punktów, w rezultacie czego akcje Cole'a zyskały na wartości prawie milion dolarów. Przewidywano dalszy spadek kursów w ciągu najbliższych paru tygodni.

A więc może otrzyma premię pod koniec roku. Miałby wtedy szansę na spłacenie długu w „Blue Moon”. Życie jest zabawne. W momencie, kiedy zdawało się, że wszystko zmierza ku ruinie, nagle nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

108

Cole wyjął z kieszeni koszuli kartę magnetyczną, służącą za klucz do pokoju hotelowego. Wsunął jąw czytnik i czekał, aż pojawi się zielone światelko. Potem pchnął. W środku, na podłodze pod drzwiami, leżał skrawek papieru. Podniósł go z ziemi i zaczął czytać, korzystając ze światła z korytarza. Kiedy skończył, z nie-

dowierzaniem pokręcił głową i roześmiał się cicho. Rzeczywiście wszystko się zmieniało.

13

U ozległo się znajome stukanie do drzwi - dwa mocne uderzenia.

It - Proszę! - krzyknął siedzący przed kominkiem Seward.

Magee nacisnął klamkę, ramieniem pchnął drzwi i wszedł do domku Sewarda, w stanie Wirginia. Pod pachą trzymał aktówkę.

- Dobry wieczór, sir. - Sztywno skłonił głowę.

- Witam, komandorze. - Seward stwierdził, że Magee nie odzyskał humoru po ostatniej wizycie u niego. - Mam nadzieję, że dobrze się panu jechało z Waszyngtonu. - Im bardziej Magee działał mu na nerwy, tym bardziej pojednawczym tonem Seward zwracał się do niego.

Generał Zahn wyraźnie podkreślił, że na tym etapie akcji od wszystkich oczekuje idealnej współpracy. Żadne animozje nie mogły doprowadzić do „spieprzenia sprawy”. Zahn twierdził, że tego właśnie sformułowania użył prezydent. Prezydent chciał, aby wszyscy zaangażowani w akcję zrozumieli, że musi się ona skończyć sukcesem. Jeżeli coś nie wyjdzie, polecą głowy. Seward zdawał sobie sprawę, że to nie żarty. Od początku operacji „Śnieżyca” w 1963 roku kierował nią i wiedział, że wszystkie działania do tej pory były stratą czasu. Miał teraz siedemdziesiąt dwa lata i wciąż cieszył się dobrym zdrowiem. Nie chciał bezsensownie ginąć przed czasem.

- Może weźmie pan sobie coś do picia, komandorze? - Seward wskazał na kuchnię. - Jest woda sodowa i kawa.

- Nie, dziękuję - odburknął Magee.

- Proszę spocząć - uprzejmie powiedział Seward.

Magee położył teczkę na podłodze obok krzesła i usiadł, nie odrywając oczu od Sewarda.

- Niech mi pan opowie o Kolumbii - powiedział Seward. Nigdy nie omawiali ważnych spraw przez telefon, zawsze podczas bezpośredniej rozmowy.

- Niestety, nasze podejrzenia okazały się zasadne - Magee odpowiedział lakonicznie.



- Rozumiem - Seward zasępił się. - Proszę za mną. - Wziął laskę, podniósł się z pewnym wysiłkiem i pokuśtykał do stolika w rogu pokoju. Wskazał sześć fotografii rozłożonych na stoliku. - Czy zna pan którąś z tych osób?

Magee przyjrzał się uważnie zdjęciom. Zatrzymał wzrok na jednym z nich.

- Tego - powiedział bez wahania. Wskazał zdjęcie mężczyzny z szopą kręconych jasnych włosów.

Seward zaklął pod nosem.

- To on pojawił się na Manhattanie, kiedy odebrałem kasetę młodemu Eganowi - wyjaśnił Magee. - On zastrzelił Catherine. Prawdopodobnie zabił też agenta

Grahama.

- Znaleziono Grahama?

Magee kiwnął głową.

- W parku Bryant. Miał roztrzaskany tył czaszki. - Magee spojrzał na Sewarda podejrzliwie. - Jak pan wpadł tak szybko na tego faceta?

- Kiedy powiedział mi pan, że ktoś pana gonił na Manhattanie, zrobiłem małe dochodzenie. Skontaktowałem się ze znajomym z Waszyngtonu, a on przysłał mi zdję-

cia. To zdjęcia ludzi, którzy w DIA współpracowali z Jimem Eganem. - Seward wziął

fotografię człowieka zidentyfikowanego przez Magee'ego i przyjrzał się jej uważnie.

- Człowiek, którego pan rozpoznał, nazywa się Bennett Smith. Przez trzydzieści pięć

lat był najbliższym współpracownikiem Egana we wszystkich tajnych misjach.

Magee kiwnął głową.

- Rozumiem. - Więc wizyta w Kolumbii miała również coś wspólnego z DIA.

Seward nie wspomniał o tym wcześniej. Powiedział mu tylko, że ma zbadać grób w Kolumbii i sprawdzić ciało. Dopiero teraz wszystko stawało się jasne. - Chłopiec w Kolumbii opisał mi mężczyznę, który zakopał ciało. Z opisu wynika, że to

może być Smith.

- To by się zgadzało - potwierdził Seward. - Egan i Smith byli tam razem na misji.

- Co to była za misja? - Magee nie oczekiwał szczegółów, ale, do cholery, przecież miał prawo zapytać.

Seward, kuśtykając, wrócił na dawne miejsce. Wskazał krzesło Magee'emu.

- Czy coś panu mówi nazwisko Hektor Gomez?

Magee przez chwilę szukał w pamięci. Chyba tak. Na pewno.

- Tak, przypomniałem sobie. - Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. - Gomez to główny człowiek mafii narkotykowej w Kolumbii. - Jego nazwisko obilo mu się o uszy na spotkaniu operacyjnym w Pentagonie.

- Jim Egan i Bennett Smith byli w Kolumbii, żeby zabić Gomeza - stwierdził Seward krótko. - Komandorze, to, co pan w tej chwili usłyszysz, jest ściśle tajne, a zajmuje się tym wydział, do którego pan również właśnie został przyjęty.

Magee skinął głową. Był to zaszczyt. Lubił to. Po to żył.

- Przez ostatnie dwa lata do Iraku napływały ogromne ilości kokainy. - Seward obserwował twarz Magee'ego, z której bez trudu dało się wyczytać zmianę nastroju, od urazy do fascynacji.

Magee ze zrozumieniem kiwnął głową. Brał udział w tajnej operacji na wybrzeżu Kuwejtu, podczas wojny w Zatoce Perskiej, i od tego czasu interesował

111

się na bieżąco sytuacją polityczną na Środkowym Wschodzie. Słyszał o ogromnym wzroście narkomanii w Iraku, szczególnie wśród biedniejszej ludności. Rząd próbował powstrzymać handel narkotykami, ale bez rezultatu.

- Z tego, co pan mówi, rozumiem, że Gomez zaopatrywał Irak - powiedział Magee.

- Tak - potwierdził Seward.

- Ale dlaczego miałyby nam zależeć na śmierci Gomeza? Powinniśmy się raczej cieszyć z rezultatów jego działalności. Problemy wewnętrzne spowodowały, że Irak nie zdołał skoncentrować się na sprawie Kuwejtu czy Arabii Saudyjskiej. Nie przegrupował swych wojsk na granicy. Prawdopodobnie dzięki Gome-

zowi zaoszczędziliśmy masę pieniędzy.

- Tak, ale rzecz w tym, że Gomez nie sprzedawał towaru bezpośrednio dealerom w Iraku.

Magee w lot pojął znaczenie tych słów.

- Z tonu pańskiego głosu wnioskuję, że istniała tajna akcja, w której my robiliśmy za pośredników.

- Właśnie. - Magee był chamski i zarozumiały, ale inteligencji nie można mu było odmówić. - O akcji wiedziało może dziesięć osób na świecie. - Seward potrafił zrobić na Magee' em wrażenie. - Nie wie o niej nawet Wydział do Walki z Narkotykami, od którego zaczął się problem. - Seward zrobił teatralną pauzę. Przechodził do sedna sprawy. - Parę miesięcy temu członkowie kartelu Gomeza zabili w Bogocie dwóch ludzi z Wydziału do Walki z Narkotykami. Wydział wypowiedział im wojnę. Bardzo zależało im na tym, żeby dorwać Gomeza...

- A ludzie, którzy przeprowadzali akcję, zaczęli się obawiać, że kiedy Wydział do Walki z Narkotykami złapie Gomeza, powie im on o akcji w Iraku - Magee dokończył myśl profesora. - I rząd amerykański będzie miał kłopoty.

- Dokładnie tak - potwierdził Seward. Do szalu doprowadzał go sposób, w jaki Magee wpadał mu w słowo. - Wywoła to skandal na skalę światową. Jim Egan i Bennett Smith zostali wysłani do Kolumbii, żeby zlikwidować Gomeza, zanim dotrze do niego Wydział do Walki z Narkotykami. Gomez był jedyną osobą która wiedziała, kto jest pośrednikiem w Iraku. Innymi słowy, tylko on potrafiłby wskazać na Stany jako na importera kokainy do Iraku. Egan i Smith dowodzili niewielką grupą specjalnie przeszkolonych komandosów. Przez tropikalne lasy deszczowe Brazylii i Kolumbii dotarli do miasteczka Zaraza, gdzie miał pan znaleźć zwłoki. Była tam baza Gomeza. Smith i Egan zlikwidowali Gomeza, ale Egan został zabity w strzelaninie, kiedy zaatakowali obozowisko.

- Nigdzie nie podano informacji, że Gomez nie żyje.

- Żaden dziennikarz nie uzyska takiej informacji - odparł Seward. - Rodzina Gomeza jest najbardziej tajemnicza ze wszystkich rodzin z południa.

- Co to wszystko ma wspólnego z kasetą którą zabrałem młodemu Eganowi

na Manhattanie? - zapytał Magee.

- Jestem przekonany, że zaginięcie Jima Egana w Kolumbii jest powiązane ze sprawą kasety. Jim Egan wymyślił sposób na przekazanie kasety w ręce syna, Cole'a. Przez trzydzieści pięć lat próbowałem wyciągnąć od Jima Egana ten film. Wiedziałem, że go ma, ale oczywiście nie miałem pojęcia, gdzie. Podejrzywałem, 112

że film może zostać ujawniony po jego śmierci. Skoncentrowałem się więc na ludziach bliskich Jimowi, czyli na jego synu, siostrze i na najbliższym współpracowniku. To oni mogli pewnego dnia stać się posiadaczami filmu. Wyznaczyłem specjalne grupy do obserwacji tych ludzi. Zadaniem pańskiej grupy była obserwacja Cole'a Egana. - Seward zawiesił głos. - Inna grupa zajmowała się Bennettem Smithem, ale zgubili go dwadzieścia cztery godziny przed momentem, kiedy pan odprowadzał Cole'a do banku Chase. Smith to chytry lis.

- Dziwnym zbiegiem okoliczności Bennett Smith pojawił się na Manhattanie właśnie wtedy, kiedy Cole dostał kasety - zauważył Magee.

- Prawda? - W głosie Sewarda zabrzmiała ironia.

- Myśli pan, że istnieje jakiś związek między tymi dwoma faktami?

- Myślę, że powinniśmy założyć istnienie takiego związku. Powinniśmy za-

łożyć, że Bennett Smith dostarczył kasety Cole'owi. - Seward stuknął laską po dłogę. - Smith był bardzo blisko Jima Egana. Nie mamy jednak pojęcia, co wie i do czego jest zdolny. - Smith przerwał na moment. - Biorąc pod uwagę fakt, że nagle pojawił się na Manhattanie, i to, co pan stwierdził w Kolumbii, musimy go mieć na oku.

- Zgoda - przyznał mu rację Magee. - Ale on nie pojawia się w siedzibie DIA. Jak go namierzyć?

- To nie będzie trudne. Od tamtej nocy na Manhattanie nie spuszcza oka z Egana.

- Skąd ta informacja?

Seward uśmiechnął się.

- Bo my nie spuszczaaliśmy Egana z oka. Odzyskaaliśmy kontrolę nad nim w Wisconsin. I nie mam tu na myśli kontaktu, jaki otrzymujemy dzięki Lewisowi Gebauerowi. Teraz do akcji włączyli się profesjonalni szpiedzy, którzy śledzą każdy krok młodego Egana.

- Dlaczego kontynuujecie obserwację, mimo że zdobyłem kasetę?

- Byłem cieniem Jima Egana przez blisko czterdzieści lat. Pomyślałem, że należy obserwować Cole'a na wypadek, gdyby istniała jeszcze jedna kopia filmu. Dlatego miał pan nie robić mu krzywdy.

- Co dalej? - Magee nie chciał wracać do tego tematu.

Seward wzruszył ramionami.

- Śledziliśmy go w drodze z Wisconsin do Minnesoty, i dalej, do Nowego Jorku, ale nie zauważyliśmy nic niepokojącego. W Wisconsin nasz człowiek wrzucił mu środek usypiający do piwa, żeby przeszukać go dokładnie, ale nie znaleziono nic podejrzanego. Mimo to obserwujemy go nadal. Bennett Smith obserwuje go również, ale nie wiemy, jaki ma w tym cel. - Seward wskazał palcem na Magee'ego. - I to jest pańskie zadanie. Chcę wiedzieć, dlaczego Smith tak się trzyma Cole'a.

8 -

14

Cole złapał słuchawkę i wcisnął guzik z napisem „Tucker Travis”. Była to bezpośrednia linia do jednej z największych firm na Wall Street, obracających akcjami rządowymi.

- Podnieście tę słuchawkę! - jęknął patrząc na sześć karteczek z informacjami rozrzuconych po biurku. Była dopiero ósma trzydzieści rano, ale CNN i Fox zdążyły już zadzwonić po trzy razy. Tori Brown miała tylko jeden dzień przewagi. - Odbierać! - krzyknął. - Dzwonią z Gilchrist!

- Tak, słucham was, Gilchrist! - Odkrzyknął ktoś na drugim końcu linii. -

Przy telefonie Chris Tessorio, Tucker.

- Chris, mówi Cole.

- Cześć, Cole. Przepraszam, że to tak długo trwało, ale dziś mamy tu istne

szaleństwo. Mnóstwo akcji zmienia właścicieli. - Dziesięć sekund minęło od momentu, kiedy Cole wcisnął przycisk telefonu, ale w tym biznesie dziesięć sekund znaczyło tyle, co lata świetlne. W ciągu dziesięciu sekund Cole mógł połączyć się z pięcioma innymi dealerami i Chris straciłby ogromną prowizję. - Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał Chris.

Cole nigdy osobiście nie poznał Chrisa, ale w ciągu ostatnich paru lat rozmawiali ze sobą przez telefon co najmniej pięć razy dziennie i zrobili razem tysiące

transakcji. Taki był urok pracy na Wall Street. Praca opierała się na kontaktach telefonicznych.

- Kupuję dwuletnie. - Tymi słowami Cole zawierał transakcję. - Za miliard dolarów - dodał spokojnym głosem.

Chris gwizdnął do słuchawki.

- Miliard?

- Tak - potwierdził Cole bez emocji. Jeżeli kursy walut będą nadal wykazywać tendencję spadkową tak jak w ciągu paru ostatnich dni, po tym posunięciu Cole miał szansę na styczniową premię. Jeżeli jednak kursy pójdą w górę i wrócą do poziomu sprzed tygodnia, Gilchrist straci miliony, a Cole nie będzie musiał się

martwić o premię, bo będzie miał inne zmartwienie - szukanie nowej pracy.

114

- Czy wiesz coś, o czym nikt inny nie wie? - Chris nie ukrywał ciekawości.

- Może - zaśmiał się Cole. Postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Do diabła, dlaczego nie?

- Co się dzieje? - Chris próbował ciągnąć go za język.

Cole'a wkurzyły te pytania. Handlowiec jest od tego, żeby przyjmować zamówienia i udzielać informacji, a nie wyciągać informacje od klienta. Nie miał zamiaru zwierzać się Chrisowi, że właśnie podjął ryzykowną decyzję, postępując według strategii „pieprzyć wszystko”.

- Chcesz mi sprzedać czy nie?

- Tak, tak, oczywiście. - Chris usłyszał w głosie Cole'a irytację. - Po dziewięć i dziesięć.

Cole sprawdził w komputerze, czy Chris zaproponował mu korzystną cenę.

Cena była niezła, a Cole nie miał czasu na negocjacje. - Kupuję po dziesięć, za miliard dolarów, dwuletnie. - Transakcja opierała się na założeniu, że kurs dwuletnich akcji wydanych przez rząd amerykański zmniejszy się i cena weksli pójdzie w górę.

- Kupione za dziesięć - potwierdził Chris.

- Dobrze. - Cole odłożył słuchawkę i sięgnął po plik żółtych formularzy potwierdzających transakcję, które leżały na papierach spiętrzonych za monitorami. Spojrzał na formularze i przyszło mu do głowy, że są tego samego koloru, co włosy Bennetta.

- Cóż to, do diabła, było? - zapytał Lewis Gebauer, który podsłuchiwał jego rozmowę.

- Nie twój pieprzony interes, Lewis. - Cole wziął jeden formularz, wypełnił go i wrzucił do kuwety, do wysłania.

- Co cię dziś gnębi, Cole? - zapytał Gebauer z pełnymi ustami, jedząc pączek z kremem bawarskim.

Cole odsunął krzesło i wstał zza biurka.

- Kupiłeś pączki w „Dino”, w tym sklepiku na rogu? - Cole wskazał na papierową torbę z pączkami na biurku Gebauera. Nazwa sklepu była na torbie.

- Tak - Gebauer potwierdził niepewnie. - A co?

- Słyszałem, że jakieś pół godziny temu sklepik zamknięto. Jeden z pracowników miał wirusowe zapalenie wątroby. - Odwrócił się i odszedł. Usłyszał jeszcze, jak Gebauer wypluwa pączek.

Cole skierował się do biura Barry Nelsona, w rogu sali. Nelson był managerem odpowiedzialnym za obrót obligacji w Gilchrist. Przez szklane ściany biura Cole zauważył, że Nelson był pogrążony w dyskusji z dwojgiem maklerów, ale mimo to zapukał. Nelson machnął ręką, żeby mu nie przeszkadzać, jednak Cole otworzył drzwi.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego - warknął Nelson, spoglądając znad okularów z połówkami szkieł.

- To jest ważne. - Cole zbliżył się do biurka. - Biorę tydzień urlopu. - Na biurku Nelsona położył szarą teczkę. W środku było sprawozdanie ze wszystkich inwestycji Cole'a. Ołówkiem dopisał ostatnią transakcję z Travisem. - Craig Leone

115

będzie pilnował moich akcji. - Leone był jednym z handlowców, siedzących po drugiej stronie biurka. - Już to z nim uzgodniłem.

- Zostawcie nas - Nelson zwrócił się do mężczyzny i kobiety siedzących przed biurkiem, którzy składali mu raport ze strat, do jakich doszło tej nocy w lon-

dyńskiej filii Gilchrist. Zmyli się w mgnieniu oka, szczęśliwi, że mogą chwilę odetchnąć. Nelson zdjął okulary i położył je na szarej kopercie, którą przyniósł Cole. - Co się stało, Cole? Miałeś wolne w zeszłym tygodniu.

- To sprawy rodzinne.

- Nie obchodzi mnie to. Wy tłumacz niedoszłemu nieboszczykowi, żeby się wstrzymał albo, jeżeli jest już po wszystkim, załatw przesunięcie pogrzebu na późniejszy termin. Rynek zwariował. Tydzień po ogłoszeniu przez federalnych wzrostu kursów nagle wszystko spada na łeb na szyję. Tam się teraz wprost gotuje. - Wskazał na parkiet. - Zbliżamy się do końca roku i dyrekcja już ostrzy pazury.

To był świetny rok dla firmy i dyrektorzy boją się, że stracimy to, co zyskali-

śmy, a my umieramy ze strachu, że nie dostaniemy premii. - Skierował palec w stronę Cole'a. - Więc posłuchaj, chcę cię widzieć codziennie raniutko za biurkiem, świeżutkiego i wypoczętego, aż do trzydziestego pierwszego grudnia.

- Nie mogę - Cole był nieugięty. - Muszę wyjechać.

- Cole, wiesz, że jesteś na wylocie po wynikach z ostatniego roku. Sądziłem, że zechcesz sam pilnować swoich spraw, a nie powierzać je komuś innemu.



- Za tydzień wracam - Cole powiedział stanowczo.

- Boże! - Nelson podniósł z biurka ozdobioną autografami piłkę do baseballu i rzucił nią o ścianę. Piłka uderzyła w wiszące na ścianie zdjęcie drużyny

Jan-

kesów z 1927 roku, oprawione w ramki. Szkło pękło.

Cole położył rękę na klamce.

- Zaczekaj. Musimy jeszcze o czymś pogadać - krzyknął Nelson.

W głosie Nelsona było coś, co kazało Cole'owi zawrócić.

- O co chodzi?

Nelson uśmiechnął się szeroko.

- Jakiś tydzień temu nasz ochroniarz w holu głównym został zadźgany nożem. Stało się to po godzinach, około ósmej. Wczoraj wieczorem zmarł, nie odzyskując przytomności. Staraliśmy się nie robić z tego afery.

- Rozumiem. To okropne - powiedział Cole. Chciał przekonać Nelsona, że po raz pierwszy słyszy o tej sprawie. - Dlaczego mi o tym mówisz?

- Bo twoje nazwisko było ostatnie w rejestrze. Wpisałeś się parę minut przed chwilą kiedy znaleziono ciało.

Cole nie pomyślał o tym. Przez szklaną ścianę zobaczył, że Gebauer przegląda karteczki z wiadomościami telefonicznymi, leżące na biurku Cole'a.

- Co z tego?

- Policja chce cię przesłuchać. Chcą wiedzieć, czy nie zauważyłeś nic podejrzanego.

- Wróciłem, żeby zabrać jakąś osobistą rzecz z biura. Nic podejrzanego nie zauważyłem.

- Jedna z szyb w holu była podziurawiona kulami. - Nelson nie dawał za wygraną. - Policja twierdzi, że strzelano z budynku.

116

- Nic nie zauważyłem - powtórzył Cole. - Gdybym coś zauważył, dawno bym to zgłosił.

- Sam im to powiedz - upierał się Nelson.

- Nie mam czasu.

- Więc go znajdź.

Cole pokręcił głową. Żal mu było strażnika, ale policja nigdy nie rozwikłała tej sprawy. Jeżeli Bennett sienie myli, chodziło tu o tajną operację tak głęboko ukrytą w strukturach DIA, że nikt by do niej nie dotarł. - Jeżeli policja chce ze mną

pogadać, musi mnie najpierw aresztować. Przekaż im to jak najszybciej, bo zaraz wyjeżdżam. - Cole odwrócił się i wyszedł.

- Cole! Zaczekaj!

Ale Cole już się nie zatrzymał. Na parkiecie znowu zaczął się zgiełk, po krótkiej przerwie na zapoznanie się z aktualnymi notowaniami dwuletniej akcji rządowych na terminalach Bloomberg'a. Odnotowano spadek o pięć punktów, co znaczyło, że transakcja Cole'a sprzed paru minut przyniosła firmie prawie milion dolarów.

Kiedy Cole wrócił na swoje stanowisko pracy, Gebauer wciąż był zajęty przeglądaniem papierów na jego biurku.

- Mogę w czymś pomóc? - rzucił ironiczne pytanie Cole i wyjął mu z ręki karteczki z wiadomościami.

- Czego, do diabła, mogą chcieć od ciebie ci reporterzy? - bezczelnie zapytał Gebauer.

- Wygrałem wczoraj w lotto, Lewis. Nie mów, że nie słyszałeś. - Cole wepchnął papiery do kieszeni. - Chcą wysłuchać mojej historii.

- Żartujesz! - wykrzyknął Gebauer.

- Ale ja uciekam stąd na tydzień. Wziąłem urlop, żeby odpocząć, zanim zacznę udzielać wywiadów. Wracam teraz do hotelu spakować się i lecę na Bermudy, cieszyć się słońcem i plażą. - Cole zauważył, że Gebauer usiłował zapamiętać każde jego słowo. Ten drań rzeczywiście musiał być w coś zamieszany. - A może jednak wybiorę Hawaje? - Wziął z krzesła płaszcz, zarzucił go na ramiona i skierował się do wyjścia. - Albo do Rio? - rzucił przez ramię.

Gebauer zaklął pod nosem. Po chwili on też opuścił parkiet. Musiał natych-

miast zatelefonować, ale nie stąd. Wszystkie rozmowy z telefonów na parkiecie były nagrywane.

Siedząca za biurkiem w recepcji Anita posłała nadchodzącemu Cole'owi słodki uśmiech.

- Cześć, Cole.

Przechylił się nad blatem biurka, ujął jej buzię w dłonie i cmoknął w policzek.

- Do zobaczenia za tydzień - szepnął jej do ucha. - Może będę potrzebował twojej pomocy. Pomożesz mi?

Kiwnęła głową niepewnie.

- Dobrze.

- Dzięki. - Odwrócił się szybko, wszedł do windy i tyle go widziała.

Patrzyła jeszcze na srebrne drzwi, które zamknęły się za Cole'em, kiedy z parkietu przyturlał się Gebauer. Wszedł do jednej z sal konferencyjnych i zatrzasnął

117

za sobą drzwi. Straszny z niego palant. Od czasu, kiedy zaczęła pracować w Gilchrist, ani razu nawet nie zauważył jej obecności.

Cole wyszedł z windy i zwawo przemierzył hol. Na Manhattanie świeciło słońce, powietrze było rześkie i chłodne. Kiedy Cole znalazł się na chodniku, z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął okulary przeciwsłoneczne i włożył je.

- Witaj, nieznajomy.

Rozpoznałby ten ochryply głos wszędzie, mimo że byli razem tylko na jednym lunchu. Tori Brown stała oparta o ścianę budynku. Właśnie wkładała telefon komórkowy do dużej, czarnej torby, zawieszanej na ramieniu. Brązowe włosy miała rozpuszczone, tym razem bez czarnej, aksamitnej opaski. Ubrana była w długi

do kostek błękitny płaszcz ze złotymi guzikami.

- Cześć, Cole.

Tori rozsiewała wokół siebie aurę luksusu, na co nie zwrócił uwagi wczoraj. A może

dzisiejsze spostrzeżenie wynikało z tego, czego się o niej zdołać dowiedzieć?

- Cześć - odpowiedział, starając się nie okazywać żadnych emocji.

Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekły. Masz prawo. Postąpiłam wczoraj karygodnie. - Próbowała wyczytać z jego twarzy jakąś reakcję. - Chcę, żebyś sam zdecydował, czy chcesz mi pomóc, czy nie.

Więc jednak nie była pozbawiona uczuć. A może był jakiś inny powód, że chciała zbliżyć się do Cole'a?

- Pokażę ci, gdzie mieszkają twoi dziadkowie.

Spodziewał się, że mu to zaproponuje, ale mimo wszystko serce zaczęło mu bić szybciej.

- Prawdę mówiąc, właśnie wybieram się na lotnisko.

- Dokąd lecisz? - zapytała szybko.

- Jesteś bardzo wścibska.

- Wybacz, to zboczenie zawodowe. - Uśmiechnęła się nerwowo. - Jeżeli masz chwilę czasu, zaprowadzę cię do państwa Thomas.

- Może ich nie być w domu - zauważył Cole.

- Wiem, że twoja babcia jest w domu. Przed chwilą dzwoniłam. Rozłączyłam się, kiedy podniosła słuchawkę, więc nie spodziewa się gości.

Cole położył rękę na kieszeni płaszcza, w której miał portfel, a w nim kartkę z wiadomością znalezioną wieczorem na podłodze w pokoju hotelowym. Pierwszy ruch musi należeć do niego. Wtedy rozpocznie się nowa partia tej gry. I najważniejszą rzeczą będzie wyjść z tego cało.

- Dobrze, idziemy.

Tori stanęła na skraju chodnika i wyciągnęła rękę, żeby złapać taksówkę.

- Jedźmy metrem - zawołał Cole.

- Nie wejdę do tej nory - odparła.

- Dlaczegoż to? - zapytał Cole, kiedy taksówka gwałtownie zahamowała obok nich. - Bogate dziewczynki nie jeżdżą metrem?

Tori weszła do taksówki.

- Skrzyżowanie Park Avenue i Osiemdziesiątej Siódmej ulicy - powiedziała.

118

- A ty mi chciałaś wmówić, że nie stać cię na lunch w lepszej restauracji. -

Cole

usiadł obok niej i zamknął drzwi. - Udajesz, że nie słyszysz? - powiedział głośniej.

- Słyszę - stwierdziła chłodno. - Mówiłeś o biednej bogatej dziewczynce i pięciogwiazdkowych restauracjach.

- Tych parę przymiotników dodałaś sama.

Tori roześmiała się.

- Chyba tak.

- Masz piękny uśmiech. Szkoda, że wyznaczasz sobie na niego dzienny limit.

- Pewnie mówisz to każdej kobiecie. - Złapała uchwyt nad drzwiami, bo kierowca ostro zakręcił w lewo, w Czterdziestą Drugą kierując się na wschód. - Skąd wiesz o mojej rodzinie? Bo chyba do tego robiłaś aluzję. Masz przyjaciół w FBI albo w czymś podobnym?

Cole pokręcił głową.

- Nie. Ale umiem korzystać z Internetu i z Bloomberg'a. W dzisiejszych czasach trudno jest coś ukryć.

Tori jeszcze mocniej chwyciła za uchwyt, bo taksówka skręciła w lewo, w Madison Avenue, i zaczęła lawirować wśród rzędów samochodów.

- Nieprawda? - zapytał Cole.

Taksówka pędziła w kierunku północnym. Cole odwrócił głowę i spojrzał na wznoszące się nad nimi drapacze chmur.

- Sprawdźmy, czy wszystko dobrze zapamiętałem. Twoja matka nazywa się Alicia Ferris Brown. Mieszka w Los Angeles, w Kalifornii. Jest dyrektorem naczelnym firmy Brown Communications, posiadającej całość lub większość udziałów w siedmiu gazetach codziennych, czterech stacjach radiowych i sieci telewizyjnej NBC. Wszystkie te media działają na rynkach średniej wielkości, na któ-

rych nie ma dużej konkurencji, i wszystkie są bardzo dochodowe. - Cole zdjął okulary przeciwsłoneczne i schował je do kieszeni płaszcza. W taksówce słońce już nie raziło, a on nie znosił ludzi noszących ciemne okulary dla szpanu. -

Brown

Communications jest firmą prywatną więc trudno było dotrzeć do danych mówiących o obrotach i dochodach, ale wiem z innego pewnego źródła, że roczne zarobki netto twojej matki przekraczają pół miliarda dolarów. - Swojego dochodzenia nie zamknął na informacjach z Bloomberg'a i Internetu. - Mam nadzieję, że sienie obrazisz, ale poprosiłem dziś rano o pomoc analityka mediów. Ci uprzywilejowani ludzie mają swoje sposoby na wynajdywanie odpowiednich cyferek. - Nie powiedziałaś mi nic takiego, o czym bym nie wiedziała.

Cole kontynuował.

- Mąż Alicii Brown, Martin, zmarł w 1985 roku na atak serca. Pani Alicia od tego czasu sama prowadzi firmę i radzi sobie świetnie. Doprowadziła do tego, że firma stała się jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się koncernów mediowych w kraju. Prasa donosi, że pani Brown, choć dobiega siedemdziesiątki, ma więcej energii niż jej o połowę młodszy asystent. - Cole zrobił pauzę. - Jest też przy-

pis do tej historii. Alicia Brown ma jedno dziecko, córkę, która jest wyłączną spadko-

bierczynią imperium Brown. Córka Wiktoria ma trzydzieści siedem lat. - Tori nie wyglądała na swój wiek. - Jest producentem w NBC News i występuje jako Tori.

119

Tori klasnęła w rękę.

- Marnujesz się. Powinieneś zostać dziennikarzem - powiedziała. - I masz rację, jestem tylko przypisem do tej historii.

- Czyżbym wyczuwał nutę goryczy w twoim głosie? - zapytał. - Syndrom pod nazwą „mama nigdy nie miała dla mnie czasu”?

- Od piątego roku życia próbowałam zwrócić na siebie uwagę matki, ale ona zawsze była między jednym a drugim spotkaniem w interesach. Śmierć mojego

ojca nie znaczyła dla niej więcej niż stłuczka samochodowa. Wszyscy mówią że dopiero po śmierci ojca firma zaczęła się naprawdę rozwijać. Ale ona zawsze była siłą napędową firmy, nawet przed jego śmiercią. - Tori uśmiechnęła się drwią-

co. - Nawet myślę, że kiedy zmarł, poczuła ulgę.

- Przynajmniej miałaś rodziców.

- Tak - stwierdziła cicho, jak gdyby nieobecna duchem. - Najśmieszniejsze, że nigdy nie zależało mi szczególnie na opinii ojca, chociaż okazywał mi dużo więcej

uczucia niż matka. Chciałam, żeby to ona mnie zauważyła. Żeby znalazła dla mnie czas.

- To normalne - rzekł Cole. - Zwykle nie zależy nam na ludziach, którzy są do naszej dyspozycji. Przyzwyczajamy się do tego, że zawsze możemy na nich liczyć. I marzymy o zainteresowaniu tych, którzy są nieosiągalni.

Tori odwróciła się twarzą do niego.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? Prawdopodobnie zawsze należałeś do tej drugiej kategorii ludzi, o których względy się zabiega. - Przyszła kolej na to, żeby i ona

pochwaliła się wiadomościami na jego temat. - Jeżeli mnie pamięć nie myli, na studiach

należałeś do drużyny piłkarskiej juniorów, uniwersytet w Minnesocie przyznał ci sty-

pendium sportowe w lekkoatletyce, zaliczałeś się do dziesiątki najlepszych absolwen-

tów na roku, później zostałeś handlowcem na Wall Street, w Gilchrist & Company jednej z najbardziej prestiżowych firm w Nowym Jorku. - Widziała, że dokładność jej

informacji zrobiła na nim wrażenie. - Jak powiedziałeś, Cole, trudno jest ukryć się przed

osobą która wie, czego szuka i ma dostęp do systemów informacyjnych.

- Sam ci to dziś tłumaczyłem, prawda?

- Tak, ale wykręciłeś się od odpowiedzi na moje pytanie. Skąd możesz wiedzieć o tym, że zależy nam na tych, którzy się nami nie interesują?

Cole sięgnął ręką do kieszeni i wyjął okulary przeciwsłoneczne.

- Nie ma mowy. - Tori położyła rękę na jego dłoni.

- O czym?

- Nie będziesz się chował za ciemnymi okularami.

- Ale to naprawdę nic ważnego.

- Nie, nieprawda - stwierdziła z przekonaniem. - Powiedz, skąd to wiesz.

Spojrzał w dal.

- Od pierwszego roku życia byłem wychowany przez wujka i ciotkę. - Zawahał się. To było bardzo osobiste, zbyt osobiste.

- Słucham cię - nalegała łagodnie.

Jeszcze chwilę milczał, zanim w końcu zdecydował się mówić.

- Bardzo się starali stworzyć normalną rodzinę, zastąpić mi rodziców, mimo że nie byłem ich dzieckiem. Wujek uczył mnie, jak łowić ryby na muchę, pokazał,  
120

na czym polega gra w piłkę nożną. Ciotka zawsze znajdowała czas, żeby mnie zawieźć nad jezioro, gdzie łowiłem ryby albo brałem udział w jakichś dziecięcych grach sportowych. Zawsze byli gotowi mi pomóc, a ja nigdy nie potrafiłem się im odwdziaczyć. Prawdę mówiąc, kiedy dorastałem, za ich serce odpłacałem się, przysparzając im kłopotów.

- Jakich?

- Ciągle się buntowałem.

- W młodości wszyscy byliśmy buntownikami.

- Żaden chłopak w okolicy nie nosił kolczyków - Cole wskazał na dziurki w uchu. - Ja miałem trzy.

- Co z tego? To przecież drobiazg.

- Nie można porównywać zaściankowej społeczności ludzi klasy średniej z Duluth, w stanie Minnesota, z ludźmi w Los Angeles. Wiem, że kolczyki to nic



takiego w porównaniu z tym, co się widzi w Beverly Hills...

- W Santa Monica - poprawiła go Tori.

- Nieważne. Kolczyki, papierosy, wymyślna fryzura u trzynastolatka nie pasują do pruderyjnej klasy średniej zagorzałych luteran. Jestem przekonany, że byłem

przyczyną napiętnowania wujostwa w kościelnych kręgach. W takich małych miejscowościach wszyscy wiedzą wszystko o innych. Nie ma anonimowości.

- Pewnie masz rację.

- Kiedy miałem siedemnaście lat, nasza drużyna wygrała regionalne mistrzostwa. ..

- No i co zbroiłeś?

Cole poczuł wstyd.

- Wuj uściskał mnie i pogratulował świetnej gry. Przy paru innych rodzicach powiedział, że jest ze mnie dumny. Spojrzałem mu w oczy i powiedziałem, że nie ma prawa być ze mnie dumny. Nie może przypisywać sobie żadnych zasług, gdy odnoszę sukcesy. Powiedziałem to człowiekowi, który przyjął mnie pod swój dach i wychował. - Cole spojrzał w bok, w okno taksówki. - Nie mogłem zrobić mu większej przykrości. Mój wuj miał jak najbardziej prawo cieszyć się ze mną moimi sukcesami, a ja powiedziałem mu coś tak strasznego. Byłem wściekły na ojca, że moje życie nie miało dla niego znaczenia.

- Ja powiedziałam mamie to samo - wyznała szeptem Tori. - Załatwiła mi wstąpienie do Wyższej Szkoły Dziennikarstwa w Kolumbii, a później pracę w NBC. Znienawidziłam ją za to.

Taksówka gwałtownie skręciła w prawo, w Osiemdziesiątą Szóstą ulicę. Tori oparła się o Cole'a.

- Dlaczego ją znienawidziłaś? - zapytał, kiedy taksówka skręcała w lewo, w Park Avenue.

- Bo sama nie dałabym rady dostać się do tej szkoły. Miałam za niską średnią. To samo z pracą w NBC; nie miałam żadnego doświadczenia, a mnie przyjęli. Moja matka potrafi załatwić wszystko. Wszędzie ma znajomych. - Tori pokrę-

ciła głową. - Nie miałam na tyle honoru, żeby zrezygnować z takiego prezentu. Pozostało mi spróbować udowodnić, że od tej pory poradzę sobie sama. To jest 121

dla mnie najważniejsze. Dlatego wczoraj w czasie lunchu nie dałam ci adresu dziadków. Wiedziałam, że jeżeli go dam, nie będę ci już potrzebna. Nie miałabym na ciebie przynęty. Zachowałam się podle, ale tak bardzo mi zależy na tym temacie. - Przerwała, jakby zbierając siły. - Przepraszam. Nieczęsto używam tego słowa. Jeżeli to cię pocieszy, wczoraj w nocy prawie nie spałam.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się szorstko taksówkarz. Samochód zatrzymał się. Cole sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po portfel, ale Tori zła-

pała go za rękę.

- Pozwól, że ja zapłacę.

- Jak chcesz.

- Niech to będzie rekompensata za moje niedopuszczalne zachowanie. - Do szczeliny na pieniądze włożyła kilka banknotów.

Przyjrzał się jej uważnie. Wyglądało na to, że pod twardą skorupą kryło się wrażliwe i dobre serce.

- W porządku. Ale teraz ja będę miał wobec ciebie dług wdzięczności. Za to, co dziś dla mnie robisz.

- Miło to słyszeć. - Uśmiechnęła się i spuściła oczy. - Mój Boże, co ci się stało? - zapytała, patrząc na spuchnięty mały palec, który wczoraj omal nie został

obcięty przez Frankiego w magazynie na Brooklynie.

- Przyciąłem go wczoraj szufladą- Cole wymyślił kłamstwo na poczekaniu.

- Nic poważnego. - Otworzył drzwi, wysiadł z taksówki i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

Przed nimi wznosił się wysoki budynek.

- Mieszkają pod numerem 5236 - powiedziała Tori. - Na najwyższym pię-

trze. - Odgarnęła włosy z twarzy. Wiał silny wiatr, który w czasie, kiedy jechali

taksówką napędził chmur. - Musisz wymyślić jakiś fortel, żeby wejść do środka.

- Po co? - zdziwił się Cole. - To nie jest żadna tajna operacja. Po prostu zadzwonimy z dołu, z recepcji, i przedstawimy się.

Tori pokręciła głową.

- Mogą nie chcieć cię widzieć. Kiedy tu przyszedłam, odprawili mnie z kwitkiem. Mogą nie uwierzyć, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Myślę, że najlepiej

będzie, jak zapukasz do drzwi mieszkania bez uprzedzenia. - Wskazała na portiernię. - Ale on nie wpuści cię tak po prostu.

Cole wyczuł, że Tori ma jakiś plan.

- Więc co proponujesz?

- Ja go czymś zajmę, a ty wślizgniesz się do budynku.

- Czym chcesz go zająć?

Tori uśmiechnęła się prowokująco.

- Nie martw się, to mój problem.

Jak mógł wątpić, że ktoś się oprze tym niebieskim oczom?

Tori wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Miło było cię poznać.

- Czy już się nie zobaczymy? - zapytał zawiedzionym głosem.

Tori roześmiała się.

122

- Sądziłam, że nie chcesz mieć do czynienia z osobą, która zachowała się tak źle wobec ciebie.

- Wszystkim zdarzają się jakieś potknięcia. Poza tym to ty mnie tu przyprowadziłaś.

- No tak.

Cole sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej kartki z wiadomościami od dziennikarzy. Wręczył je Tori.

- Znasz tych ludzi?

Tori spojrzała na nazwiska.

- Tak, wszyscy są moimi konkurentami.

- Musieli znaleźć nekrolog mojego ojca i wyciągnąć z „Timesa” moje nazwisko. A może twój informator robi interes, dając cynk konkurencji?

- Płacę informatorowi trochę więcej niż inni i dlatego zyskuję na czasie. W tym biznesie wystarczy jeden dzień przewagi.

Cole rzucił okiem na portiera, który bez zainteresowania przeglądał jakieś kolorowe czasopismo.

- Tori, a co by było, gdyby ten film rzeczywiście istniał?

Tori wstrzymała oddech.

- Dlaczego miałbyś powiedzieć o tym mnie?

Bo potrzebuję twojej pomocy - pomyślał, ale nic nie odpowiedział.

- Kiedy odwrócisz jego uwagę, zaczekaj na mnie w kawiarni po drugiej stronie ulicy. - Wskazał za siebie.

- Dobrze.

- To może mi zająć trochę czasu.

- W porządku. - Gotowa była czekać w kawiarni do Bożego Narodzenia. -

Mam mnóstwo czasu. - Wyciągnęła rękę z kartkami, które jej dał.

- Zatrzymaj to sobie. Zrób z nimi, co chcesz. - Cole zdecydował się zaufać jej.

Zwierzyłby się ze wszystkiego Nicki, ale nie chciała z nim rozmawiać. Jedy-  
ną osobą której do tej pory zaufała, był Bennett. To pewnie on wczoraj w nocy  
wsunął mu pod drzwi informację. Cole zostawił mu wiadomość na sekretarce pod  
waszyngtońskim numerem, ale Bennett nie oddzwonił. Cole zadzwonił jeszcze  
rano, z sali konferencyjnej w Gilchrist, ale nikt nie odbierał telefonu, więc  
zosta-

wił drugą wiadomość z prośbą o kontakt.

- Czekaj na mnie w kawiarni - powtórzył.

- Będę czekać. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze z twoimi dziadka-  
mi. - Pomachała mu ręką i udała się w kierunku frontowych drzwi budynku.

Patrzył, jak się oddala. Zdecydowanie zaczynał ją lubić.

Tori podeszła do portiera i poprosiła go, żeby pomógł jej otworzyć drzwi samochodu, które się zacięły. Tłumaczyła, że często się zacinają a ona nie ma siły ich

otworzyć. Mówiła z uśmiechem, a na koniec położyła mu rękę na ramieniu. Należał do niej. Kiedy wychodziła z budynku, przepuszczając przodem portiera, dyskretnie dała znak Cole'owi. Cole wszedł do pustego holu i stanął przy windach.

123

Mężczyzna siedzący na ceglany murku po drugiej stronie ulicy który przyjechał tu za Cole'em z Gilchrist, pokręcił głową z uznaniem. Tori Brown była naprawdę sprytna.

Cole poczuł, że dłonie ma mokre od potu. Nacisnął guzik w windzie. Pięćdziesiąte drugie piętro. Wytarł ręce o spodnie, ale zanim winda dotarła na górę, dłonie znowu zrobiły się wilgotne. Wreszcie drzwi windy rozsunęły się. Cole skierował się na prawo zgodnie ze strzałkami, wskazującymi mieszkania od numeru 5221 do 5240. Bezskutecznie usiłował uspokoić mocno bijące serce. A więc po trzydziestu latach w końcu miało dojść do tego spotkania.

Jeszcze chwila wahania pod drzwiami. Ci ludzie mogą mu nie uwierzyć, że jest tym, za kogo się podaje. Albo, co gorsza, mogą mu uwierzyć, ale nie będą chcieli z nim rozmawiać. Wcześniej nie brał takiej możliwości pod uwagę. Może lepiej żyć w nieświadomości? Wyjdzie stąd, wyjedzie z Nowego Jorku i zrobi to, co miał zrobić. Zerknął na zegarek. Zdaży jeszcze na La Guardia, skąd w południe odlatywał samolot do Minneapolis. Odwrócił się od drzwi. Jednak nie. Nigdy nie unikał trudnych sytuacji. I nigdy nie będzie tego robił. Musiał stawić czo-

ło prawdzie. Odetchnął głęboko, zacisnął pięści i zastukał.

Prawie natychmiast usłyszał czyjeś kroki w mieszkaniu.

- Kto tam?

- Administracja.

Słyszał, jak spada łańcuch, klamka się poruszyła i drzwi stanęły otworem.

Wnuk i babka patrzyli na siebie po raz pierwszy w życiu. Starsza kobieta zasłoni-

ła dłonią usta. Stojący przed nią mężczyzna był tak podobny do jej córki, że aż zemdląca z wrażenia. Osunęła się na chodnik w orientalne wzory.

15

Cole w drżącej dłoni trzymał fotografię. Jego matka - Mary Thomas vel Andrea Sage - uśmiechała się do niego z fotografii. Była dokładnie taka, jak opisał ją Bennett Smith. Była prawdziwą pięknoscią.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła babka Cole'a. - Podobieństwo jest uderzające. - Usiadła na kanapie przy Cole'u i ujęła w swoją pomarszczoną dłoń jego rękę. Prawie pięć minut cucili ją razem z dziadkiem, zanim odzyskała przytomność. - Czyż nieprawda, Henry?

Henry siedział w ogromnym fotelu i palił fajkę.

- Tak - odparł.

Cole zdążył już zauważyć, że dziadek był raczej oszczędny w słowach.

Uśmiechnął się do filigranowej kobiety siedzącej przy nim.

- Naprawdę, tak pani myśli?

- Mój Boże, tak! Kiedy zobaczyłam pana stojącego w drzwiach, pomyślałam, że to duch. - Położyła ręce na piersi, jak gdyby przeżywała jeszcze raz tam-

ten moment.

- Spokojnie, Margaret - wtrącił się Henry. - Cole i ja nie mamy zamiaru znów cię cucić. - Puścił oczko do wnuka.

Był oszczędny w słowach, ale wyraźnie ucieszył się, że ma takiego wnuka.

Całą godzinę spędzili na opowiadaniu sobie o swoich kolejach losu. Cole dowiedział się, że dziadek prawie czterdzieści lat przepracował dla Lehman Brothers, jednej z najbardziej szacownych firm na Wall Street. Mieli więc ze sobą dużo wspólnego.

- Tak, nie mamy zamiaru znów... - Cole zawiesił głos w środku zdania, które chciał powtórzyć z dziadkiem. Poczł się niezręcznie.

- O co chodzi, kochanie? - zapytała zaniepokojona babka.
- Naprawdę nie wiem, jak się mam do państwa zwracać.
- Po imieniu - natychmiast odparł. - Żadnych babć i dziadków. Dopiero poczuliśmy się staro.

Margaret kiwnęła głową potakująco.

125

Cole roześmiał się.

- Dobrze. - Spojrzał na nich i z zadumą pokręcił głową. To było takie dziwne mieć rodzinę, o której nie wiedziało się przez całe życie. Czuł się jak wrzuc-

ny w wehikuł czasu. - Chcę wam zadać pewne pytanie. Poznałem młodą kobietę, dziennikarkę, która twierdzi, że odwiedziła was przed paroma dniami, ale nie chcieliście z nią rozmawiać. Nazywa się Victoria Brown. Przedstawia się jako Tori.

- Oczywiście, że ją pamiętam - powiedziała Margaret.

- To ona mnie tu przyprowadziła - wyjaśnił Cole. - Dlaczego nie chcieliście z nią rozmawiać?

- Nie chcieliśmy rozdrapywać starych ran - odpowiedział Henry.

- Ale ona mogła wam dużo opowiedzieć o mojej matce. Sądziłem, że możecie chcieć dowiedzieć się czegoś o niej.

- Wiemy, że Mary nie żyje. - Henry zaciągnął się dymem z fajki. - Nie potrzebujemy żadnych innych informacji. Nie powiedzieliśmy nic tej dziennikarce, bo to nie jej sprawa. Ale ty to zupełnie inna historia.

- Zaraz, zaraz. - Cole zmrużył oczy. - Wiedzieliście, że nie żyje? Tori twierdziła, że nie mieliście o niej żadnych informacji od wiosny 1963 roku.

Henry i Margaret wymienili spojrzenia.

- Nie wiedziałeś, że ona nie żyje, kochanie? - zapytała czule Margaret.

- Wiedziałem, ale nie sądziłem, że wy wiecie.

- Dlaczego? - zapytał Henry.

- Trudno to wytłumaczyć. - Nie chciał mówić, że podejrzewał, iż jego ojciec

nie zadał sobie trudu poinformowania ich o jej śmierci.

- Dowiedzieliśmy się w 1970 roku - odparł Henry słabym głosem. Tyle czasu minęło od śmierci córki, a on wciąż nie mógł przeboleć tej straty. - W tym roku twój ojciec przysłał nam długi list z opisem tego, jak zginęła, pudełko z pa-

roma jej rzeczami oraz świadectwo zgonu, które sprawdziłem w stanie New Jersey, gdzie było wystawione. Przynajmniej tak sądzimy, że autorem tego listu był twój ojciec. List został podpisany przez człowieka, który twierdził, że jest jej mężem. Jednak nigdy go nie spotkaliśmy.

Cole siedział bez ruchu, jak zakłęty.

- Cole, chcesz zobaczyć jej pokój? - Głos Margaret wyrwał go z odrętwienia.

- Tak, bardzo.

Dziwne uczucie ogarnęło Cole'a, kiedy przestąpił próg sypialni. Pokój wyglądał tak, jakby matka na chwilę wyszła i miała zaraz wrócić. Bawełniany szlafrok wisiał na wewnętrznej stronie otwartych drzwi szafy. Na wieszakach wisiały sukienki, jedna wyciągnięta z rządka, jakby miała ją dziś włożyć. Na podłodze szafy stało kilka par butów. Jedna para stała przy łóżku. Na kapie przykrywającej

łóżko porozrzucone były pluszowe maskotki. Przy łóżku leżały porozkładane podręczniki z college'u. Na biurku leżał otwarty zeszyt, z długopisem pośrodku. Margaret wyciągnęła z górnej szuflady biurka kopertę i podeszła do Cole'a, stojącego przy drzwiach.

- To jest list twojego ojca do nas.

126

Cole wziął do ręki kopertę, wyjął list i zaczął czytać. Mary została zamordowana przez dwóch naćpanych włamywaczy co pokrywało się z wersją Bennetta. Patrzył długo na ręcznie zapisane kartki. Zastanawiał się nad czymś, czego nie potrafił sobie w logiczny sposób wytłumaczyć.

- Taka strata. - Margaret przesunęła palcem po toalecie, podniosła szczotkę i dotknęła jej czule. - Nie ma dnia, żebym tu nie przyszła i nie myślała o niej.



Cole włożył list z powrotem do koperty.

- Rozumiem to - powiedział łagodnie. - Margaret, wspomniałaś, że ojciec dołączył do listu pudełko z jej rzeczami.

- Tak, były w nim osobiste drobiazgi, biżuteria i papiery. - Wskazała głową na szczotkę. - Szczotka też tam była. Jest srebrna. Dostała ją od nas w prezencie

na szesnaste urodziny. Stąd mieliśmy pewność, że list jest prawdziwy. - Po policzkach Margaret spływały strużki łez. - Wybacz.

Cole odwrócił wzrok, spojrzał na szczotkę. Włosy jego matki wciąż tam były, wplątane między włosie.

Westchnął głęboko. Może byłoby lepiej, gdyby tu nie przychodził? Kosztowało to Margaret tyle bólu. Zresztą nie tylko ją.

- Gotowa? - Może to błąd, że zaufał jej tak łatwo, ale potrzebował jej pieniędzy. Trudno zakładać, że linie lotnicze i hotele nie sprawdzą stanu jego kart kredytowych.

Tori podniosła wzrok znad czasopisma, które czytała już dwie godziny.

- Gotowa na co?

- Jedziemy na wycieczkę - odparł Cole.

- Dokąd?

- Powiem ci, jak już się tam dostaniemy.

16

a parę godzin ta martwa cisza zamieni się w burzę. Co do tego Cole nie miał wątpliwości. Jednak tym razem był już lepiej przygotowany. Teraz dokładnie wiedział, czego szuka, gdzie to znaleźć i czego oczekiwać. Znał też teren. Tym razem walka rozegra się na jego terytorium, a nie na ulicach Nowego Jorku.

Rzucił okiem na Tori, siedzącą obok niego w pierwszej klasie samolotu. Przeglądała jakieś czasopismo i sączyła wino. Samolot jeszcze nie wystartował. Cole znał też przeciwników.

Tori zauważyła, że Cole się jej przygląda.

- Dlaczego się tak na mnie gapisz?

- Musi być jakiś powód? - Cole uśmiechnął się i odwrócił wzrok.

Znał przeciwników, ale nie znał ich motywacji. Był prawie pewien, że wie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, ale zawsze istniał cień niepewności. Mogło się zdarzyć, że pomylił się w swoich ocenach. Kątem oka znowu zerknął na Tori.

- Przepraszam - zabrzmiał kobiecy głos.

Cole miał miejsce przy przejściu i musiał przechylić się w stronę Tori, żeby kobieta niosąca dwie spore torby mogła go spokojnie minąć i przejść do głównej kabiny Boeinga 727. Tuż za kobietą szedł młody mężczyzna. Miał na sobie koszulę z emblematem klubu golfowego, wyhaftowanym nad kieszenią i wojskowe spodnie. Jedynym bagażem, jaki miał w ręku, był niewielki marynarski worek. To ten sam młody człowiek przyglądał się im w poczekalni. Cole skinął mu głową kiedy przechodził przez pierwszą klasę w kierunku ogona samolotu. Mężczyzna odwzajemnił ukłon, starając się zrobić to w sposób jak najbardziej naturalny.

- Po co lecimy do Los Angeles? - zapytała Tori, odkładając magazyn do przegrody przed pierwszym rzędem. - Jeszcze nie zdradziłeś mi swego sekretu.

- Dowiesz się, kiedy już tam będziemy.

Tori wzniosła oczy do nieba. Męczyła ją niepewność.

- Myślę, że teraz mam prawo wiedzieć. Zostałam sponsorem tej wycieczki pierwszą klasą za trzy tysiące dolarów.

128

- Tak, to ładnie z twojej strony. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale cóż, jesteś bogata. Stać cię na to.

- To nie ja jestem bogata, ale moja matka.

- Bez przesady. - Cole dotknął jej diamentowej bransoletki. - Wątpię, czy NBC płaci ci tyle, żeby stać cię było na takie drobiazgi. A kiedy byliśmy na lunchu w „Broadway Diner”, miałaś na sobie inną bransoletkę, która wyglądała na jeszcze droższą.

- Nie dostaję od matki ani grosza - odparła stanowczo Tori. - Ta biżuteria to prezenty.

- Nie znam się na błyskotkach - przyznał Cole. - Ale te prezenty muszą być warte co najmniej dziesięć tysięcy dolarów.

Tori wyglądała na wściekłą. Cole był świetny w odwracaniu kota ogonem.

Wciąż unikał odpowiedzi na jej pytania.

- Masz z tym problem?

- Nie, żaden problem. Po prostu spostrzeżenie.

- Nie jestem bogata.

- Ale będziesz.

Machnęła ręką zrezygnowana.

- Stać cię na bilety - powtórzył Cole z przekonaniem. - Takie jest moje spostrzeżenie.

- Dlatego tu jestem, prawda? - zapytała Tori.

- O czym ty mówisz?

- Jestem tu, żeby ci zafundować wakacje, tak? W Los Angeles mamy prześiadkę, a naprawdę lecimy na Hawaje?

- Nie na Hawaje, tylko na jedną z mało znanych wysepek na południe od Hawajów - drażnił się Cole. - Lata tam jeden samolot na tydzień. Chciałem być z tobą sam na sam, więc pomyślałem, że jak już się tam znajdziemy, nie uciekniesz tak łatwo ode mnie.

- Jesteś niemożliwy. - Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Cole spoważniał.

- Tori, mogę ci obiecać jedno. Nie będziesz żałować, że ze mną pojechałaś.

Owszem, przyznaję, że jednym z powodów, dla których cię zabrałem, jest fakt, że nie mam ani grosza. Wpadłem w tarapaty finansowe. Powinnaś to zrozumieć. -

Spojrzał jej w oczy. - Ale, po pierwsze, jak już ustaliliśmy, to dla ciebie drobnost-

ka. A po drugie, pieniądze, które wydasz, będą niczym w porównaniu z tymi, które zarobisz. Przejdiesz do pierwszej ligi.

Tori kiwnęła głową. Widziała upór w jego spojrzeniu.

- W porządku.

Młodzieniec, który śledził Cole'a i Tori w drodze do mieszkania państwa Thomas przy Osiemdziesiątej Siódmej ulicy, a potem na lotnisko La Guardia, wrzucił swój marynarski worek na półkę bagażową nad głową i zajął miejsce przy oknie, w kabinie drugiej klasy. Prawie natychmiast pojawił się tłusty mę-

9 - Depozyt

129

czyzna w kowbojskim kapeluszu i zbyt obcisłych dżinsach, który usiadł na fotelu obok.

- Jestem Haddy - przedstawił się.

Młodzieniec założył ręce na piersi i zamknął oczy ignorując sąsiada. Nie miał ochoty wdawać się w sześciogodzinną dyskusję z jakimś idiotą. William Seward będzie zadowolony. Cole Egan zrobił pierwszy ruch, a oni siedzą mu na ogonie. Stewardesa powiedziała przez głośniki, że prawie wszyscy pasażerowie już są na pokładzie i za parę chwil drzwi zostaną zamknięte, a samolot wystartuje. Młodzieniec poczuł, że zaraz zaśnie. Nie dosypiał od chwili rozpoczęcia tej pracy i teraz nadarzyła się okazja do nadrobienia zaległości.

Samolot ruszył powoli w stronę pasa startowego. Było wczesne popołudnie.

Wkrótce znajdzie się w słonecznym Los Angeles, gdzie temperatura dochodzi do trzydziestu stopni Celsjusza. Pasażerom przypomniano o przestawieniu zegarków o trzy godziny wstecz... Do młodzieńca z trudem docierał głos pilota, informujące-

go o tych wszystkich nieważnych sprawach. Poczuł, że oczy same mu się zamykają.

Cole patrzył przez szybę hali lotniska, jak samolot linii Continental podjeżdża na pas i rozpędza się przed startem. Był to ten sam samolot, z którego wysiadł z Tori w ostatniej chwili, kiedy załoga już miała zamykać drzwi. Samolot ode-  
rwał się od ziemi i wzbił do góry. Cole uśmiechnął się, kiedy koła samolotu scho-

wały się pod kadłub. Wyobraził sobie, w jaką panikę wpadnie młody człowiek

w koszuli klubu golfowego, kiedy zauważy, że nie ma ich na pokładzie. Cole zauważył go już wcześniej. Najpierw w „Kra Barze”, kiedy grał w bilard z Bennettem, a później przed domem państwa Thomas.

Cole zamyślił się. Ojciec zorganizował to wszystko z ogromną precyzją. Istniały dwie kopie filmu, a zatem miał dwie szanse rozegrania wszystkiego, jak należy. Jim Egan musiał zdawać sobie sprawę z tego, że pojawienie się pierwszej kasety spowoduje duże zamieszanie, dlatego nie tylko poprosił Bennetta o opiekę, ale przygotował też drugą kasetę i odpowiednio ją zabezpieczył.

Cole przecesał dłonią włosy i patrzył, jak samolot wzbija się ponad chmury. Teraz rozumiał swego ojca, myślał tak, jak on, i jak on przewidywał każdą możliwość. Przede wszystkim należało precyzyjnie analizować dane. Reszta to realizacja przygotowanego planu. Informacja znaleziona pod drzwiami mówiła, że kase- ta jest ukryta na strychu Albiona, hangaru z łodziami. Albion był kamienną bu- dowlą mniej więcej w połowie biegu rzeki Lassiter. Kase- ta jest na górnej belce w północnym rogu hangaru. Niewielu ludzi wiedziało, że Albion to miejsce, gdzie przechowuje się łodzie, ani gdzie się znajduje. Cole zaśmiał się. Właściciele han- garu nawet nie domyślają się, jaki mają skarb.

- Wszystko będzie dobrze, tato - mruknął pod nosem.

- Co mówisz? - zapytała Tori, wracając z butelką coli.

- Nic.

- Wiesz, czasami czuję się przygnieciona licznymi informacjami, jakimi mnie zasypujesz.

130

- Dzięki za uznanie.

- I co teraz, tajemniczy don Pedro? - zapytała.

- Teraz idziemy na wschodni terminal lotniska La Guardia i wsiadamy do samolotu linii Northwest do Minneapolis, lot numer 917. - Cole spodziewał się, że spotka w tym samolocie Bennetta.

- Domyślam się, że nadal pełnię zaszczytną funkcję sponsora - zauważyła.

- Na ten sponsoring masz wyłączność - potwierdził Cole.

Udali się w kierunku głównej hali, skąd kursowały autobusy do bramek linii Northwest.

- Więc jak? Naprawdę chcesz?

- Co miałbym chcieć? - Cole ciągle myślał o ojcu.

- Czy naprawdę chcesz być ze mną sam na sam?

Cole odchylił głowę i roześmiał się serdecznie.

- Może.

17

Przełknięte linie lotnicze. Jeżeli nie lecisz do Nowego Jorku ani do Los Angeles, jesteś skazany na jednego przewoźnika. Bennett przyglądał się uważnie rozkładowi odlotów. Poza lotem Northwest Airlines do Minneapolis można było się dostać jedynie z przesiadką w Chicago, liniami United. Ten samolot startował za półtorej godziny, a w Minneapolis lądował o dwudziestej czasu centralnego. Bennett wolał, żeby Cole nie zobaczył go na pokładzie.

Wzruszył ramionami. Trudno. Podszedł do kasy linii United i po piętnastu minutach czekania w kolejce kupił bilet. W Minneapolis będzie trzy godziny po Cole'u. Nie szkodzi, przecież wiedział, dokąd on się uda. Wiadomość, jaką mu zostawił na sekretarce, była precyzyjna.

Bennett przeszedł przez wykrywacz metali i ruszył długim korytarzem w kierunku bramki. Cole miał przenocować u wujostwa w Duluth. Dopiero jutro pojedzie do Hubbard, a stamtąd nad rzekę Lassiter. Taką informację zostawił na sekretarce. Zostawił nawet telefon do wujostwa. Bennett zatrzymał się przy kiosku, żeby kupić gazetę. Martwił się o to, jak sobie poradzi Cole, kiedy jego nie będzie

w pobliżu.

Bennett nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego Cole znalazł się na głównym terminalu, skoro miał lecieć liniami Northwest do Minneapolis. Linie Northwest Airlines znajdowały się na terminalu wschodnim. Wzruszył ramionami. Może taksówkarz, który go wiozł z Manhattanu, nie wiedział, że bramki

linii Northwest nie znajdowały się na terminalu głównym lotniska La Guardia.

Ale kim była towarzysząca mu kobieta?

Bennett zajął miejsce w poczekalni przed bramką z napisem „Chicago” i spojrzął na zegarek. Miał mnóstwo czasu, zanim zaczną wpuszczać na pokład. Może tymczasem, za pomocą kilku telefonów do Waszyngtonu, uda mu się ustalić, kim jest ta kobieta.

Siedział, zastanawiając się nad tym wszystkim, kiedy malutka strzałka wbiła mu się w szyję parę centymetrów poniżej lewego ucha. Substancja natychmiast dostała się do krwi. Od razu zorientował się, co się stało, i błyskawicznie wyrwał

132

strzałkę z szyi. Ale już było za późno. Czuł pierwsze objawy działania narkotyku - utratę kontroli nad ciałem i zakłócenia widzenia.

Wstał, rozglądając się za napastnikiem. Starał się przewyciężyć ogarniający go bezwład. Jego wzrok zatrzymał się na postaci stojącej trzy metry od niego. Mężczyzna w czarnym, filcowym kapeluszu i w czarnym płaszczu. Z obydwu stron spod kapelusza zwisały mu pejsy, twarz była ukryta pod brodą i wąsami. Z lewej strony, u nasady nosa, zaczynała się szeroka blizna, która kończyła się pod brodą.

To ten sam człowiek, który zabrał od Cole'a kasetę.

Ledwie Bennett uświadomił to sobie, runął jak długi na ziemię. Nie mógł już dłużej walczyć z narkotykiem. Ostatnim wysiłkiem woli wyciągnął z zewnętrznej kieszeni płaszcza bilet lotniczy i wsunął go pod stojącą obok podstawkę popielniczki. Cole był zdany na własne siły. To ostatnia myśl, jaka przeszła mu przez głowę. Potem wszystko pochłonęła ciemność.

- Potrzebna pomoc! - krzyknął mężczyzna w długim, czarnym płaszczu. -

Ten człowiek ma atak serca! - Kilka sekund później dwóch ludzi w białych fartuchach klęczało już nad Bennettem. Umieścili go na wózku, po czym pośpiesznie powieźli do karetki stojącej przed terminalem.

Komandor Magee uśmiechnął się zadowolony. Jednak Seward miał rację.

Człowiek, który śledził Cole'a, wiedział też, gdzie był Bennett Smith. Smith nie odstępował Cole'a. Magee spojrział na tablicę informacyjną na której widniała nazwa miejsca przeznaczenia: Chicago. Magee nie ukrywał zaskoczenia. Przecież Cole poleciał do Los Angeles. Bennett też powinien się tam udać. Magee spojrział na ludzi w białych fartuchach, którzy pędzili korytarzem, wioząc Bennetta. Bennett pewnie czekał na następny lot na Zachodnie Wybrzeże, żeby nie lecieć tym samym rejssem, co Cole.

Magee ruszył z miejsca. Musiał dostać się do toalety, przebrać się i udać do karetki. Bennetta Smitha czekał ciężki wieczór.

Cole i Tori wyszli z terminalu, kiedy minęła ich karetka pogotowia na sygnale, wioząca Bennetta.

- Nienawidzę karetek - powiedziała cicho Tori. Przypomniał się jej wieczór wigilijny, kiedy lekarze biegali po domu, próbując ratować jej ojca. Po tym ataku

serca nie odzyskał już przytomności.

Karetka pędziła z lotniska La Guardia przez Queens. Kiedy przejechała przez prowadzący na Manhattan most nad East River, kierowca wyłączył sygnał. Karetka krążyła ulicami Harlemu, aż wreszcie dotarła do budynku wyglądającego na opuszczony magazyn. Drzwi magazynu podniosły się, a kiedy ambulans wjechał do środka, opuściły się znowu.

Kiedy karetka zatrzymała się, Magee i dwóch innych agentów, ubranych w białe lekarskie fartuchy, wyskoczyło z ambulansu i wyciągnęło łóżko z przywiązanim do niego Smithem. Przewieźli go na wózku do pomieszczenia biurowego, które

znajdowało się w rogu ogromnej hali. Na miejscu odwiązali go i przerzucili ciało na wielkie krzesło. Nadgarstki i kostki przymocowali do poręczy i nóg krzesła.

- Dobrze - powiedział Magee. - Możecie już iść.

Agenci natychmiast wykonali rozkaz.

Przez okno Magee widział, jak tylne światła karetki znikają w oddali.

- Widzę, że wszystko poszło gładko - odezwał się od drzwi William Seward.



Magee odwrócił się.

- Tak.

- Czy miał przy sobie bilet lotniczy? - zapytał Seward z nadzieją że uda się odgadnąć, dokąd zmierza Cole.

Magee, który przedtem nie wpadł na to, szybko przeszukał kieszenie Cole'a.

- Nie ma biletu.

Seward westchnął ciężko. Smithowi udało się jakoś pozbyć biletu; wiedział, że będą go szukać.

- Sprawdziłem wszystkie linie lotnicze, ale nie udało mi się nic znaleźć. Prawdopodobnie kupił bilet na któreś z fałszywych nazwisk. A na pewno ma ich sporo.

- Co za różnica, czy ma bilet? - zapytał Magee. - Przecież nasz człowiek siedzi już Cole'owi na ogonie.

- Kiedy odzyska przytomność? - zapytał Seward, nie zwracając uwagi na Magee'ego.

- W karetkie dostał środek pobudzający. Za niecałe pięć minut będzie w stanie rozmawiać.

- To dobrze.

Magee wyczuł w głosie Sewarda coś niepokojącego.

- Co się stało?

- Cole Egan zniknął.

- Słucham?

- Dobrze pan słyszy. - Seward pokuśtykał do przypiętego do krzesła Bennetta. Głowa więźnia bezwładnie opadała na bok. Trącił jego twarz końcem laski. - Wygląda na to, że Cole wymknął się naszemu młodemu profesjonalście - zauważył sarkastycznie.

- Byłem na lotnisku niecałą godzinę temu i rozmawiałem z nim - bronił się Magee. - To on zauważył Bennetta Smitha. Byliśmy w ciągłym kontakcie telefonicznym. Kiedy spotkaliśmy się, powiedział mi, że Smith przyjechał za Cole'em na lotnisko, po czym udał się do kasy linii United. Wszystko mieliśmy pod kontrolą.

Bennett jęknął, kiedy Seward szturchnął go laską tym razem mocniej.

- Tylko wam się zdawało, że wszystko macie pod kontrolą- Seward poprawił Magee'ego. - Zadzwoił do mnie przed pięcioma minutami z wysokości siedmiu i pół tysiąca metrów i powiedział, że Cole opuścił pokład tuż przed startem.

- Seward obserwował, jak oczy Magee'ego robią się okrągłe, niczym spodki. - Nasz człowiek w drodze do toalety postanowił sprawdzić, co porabia Cole. Musiał mieć bardzo zdziwioną minę, kiedy okazało się, że nie ma go w samolocie. Stewardesa powiedziała mu, że ta para w ostatniej chwili zrezygnowała z lotu.

134

- Gdzie ja jestem? - wyjąkał Bennett. Próbował podnieść się z fotela, ale bransolety trzymały mocno.

- Dzień dobry, agencie Smith - odezwał się uprzejmie Seward. - Nazywam się William Seward. Jestem wyższym urzędnikiem Agencji Wywiadowczej Obrony Narodowej.

Bennett wpatrywał się w jego twarz, ale obraz był ciągle zamglony.

- Kieruję operacją pod kryptonimem „Śnieżyca”. Oszczędzę panu szczegółów. Wystarczy powiedzieć, że interesuje nas niejaki Cole Egan. Wygląda na to, że pan też się nim interesuje. Chcę wiedzieć, dlaczego.

Ostrość widzenia Bennetta poprawiła się na tyle, że widział rysy Sewarda.

- Dlaczego śledzi pan Cole'a Egana? - naciskał Seward.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - Bennett próbował sprawdzić godzinę na zegarku, ale przekręcił się on tarczą do poręczy, a nie mógł ruszyć dłonią bo była

mocno przymocowana kajdankami.

- Nie dłużej niż godzinę.

- To już niedługo - powiedział Bennett. Nie potrzebował wyjaśnień, co to jest operacja „Śnieżyca” ani dlaczego Seward interesował się Cole'em Eganem.

- Co się stanie niedługo?

- Cole będzie miał drugą kasetę.

Seward przez chwilę zastanawiał się nad słowami Bennetta.

- Drugą kasetę? - Tego obawiał się najbardziej.
- Tak, dokładnie taką samą jaką ten mały tchórzliwy skurwiol wyrwał Cole'owi z ręki w zeszłym tygodniu na Manhattanie. - Bennett wskazał głową Magee'ego. Magee zerwał się na nogi i energicznym krokiem ruszył w kierunku Bennetta.
- Komandorze! - wrzasnął Seward, stając mu na drodze. Nie udałooby mu się powstrzymać Magee'ego siłą ale wystarczyło jedno słowo.
- O jakiej kasecie pan mówi? - zapytał Seward.
- Nie wciskaj mi ciemnoty - ostro zareagował Bennett. - Sam najlepiej wiesz, o jaką kasetę chodzi.
- Skąd pan wie, że istnieje druga kasetka? - Seward zrezygnował z gry pozorów; czasu było coraz mniej.
- Wiem. Przez trzydzieści sześć lat przyjaźniłem się z Jimem Eganem. - Bennett szarpnął rękami uwięzionymi na poręczach krzesła. - Osiem lat temu Jim zrobił dwie kopie filmu, który zabrał wcześniej Andrei Sage na placu Dealey Oryginalną taśmę podrzucił do Waszyngtonu, dla zmylenia tropów. Chciał, żeby federalni myśleli, że nigdy nie miał tego filmu, że nie zabrał go Andrei w dniu zabójstwa.
- Wersja była taka, że film znalazł się przypadkiem u kogoś na strychu. Wtedy Jim miałby spokój. - Bennett uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, jak przekonał Cole'a, że nie ma pojęcia, co jest w skrytce depozytowej banku Chase. I jak udawał, że chciałby wiedzieć, co mogło stać się z oryginalną taśmą. Cole brał to wszystko za dobrą monetę. - Ale, do cholery, panie Seward, pan chyba wie o tym najlepiej. Prawdopodobnie to w pana ręce osiem lat temu trafił oryginalny film.
- Agencie Smith, gdzie znajduje się druga kasetka? - zapytał Seward, ignorując jego całkiem słuszne uwagi.

135

- Skąd ta pewność, że wiem?
- Gadaj, Smith!

- Nawet gdybym wiedział, niby dlaczego miałbym wam to zdradzić?

- Bo jest pan agentem federalnym, a ja jestem pana zwierzchnikiem. I daję panu rozkaz.

- Możecie mnie posadzić - Bennett zaproponował zadziornie. - Za parę miesięcy idę na emeryturę. Dla człowieka takiego jak ja więzienie nie jest dużo gor-  
sze od emerytury.

- Mów, a oszczędzisz sobie bólu. - Seward dał znak Magee'emu. - Jak pan widzi, mój pomocnik ucieszy się, że oddam pana w jego ręce. A pozycja do obro-  
ny nie jest najlepsza.

Bennett rzucił okiem na Magee'ego.

- Naprawdę nie wiem, gdzie jest kasetka - rzekł spokojnie.

Seward spojrział mu w oczy. Wyglądało na to, że Bennett mówi szczerze.

- Nie wiedziałem też, gdzie jest pierwsza kasetka, aż do chwili, kiedy Jim dał mi kopertę, którą miałem przekazać Cole'owi wtedy, gdyby coś mu się stało. To było tuż przed naszą ostatnią misją. Miał złe przeczucia.

Przeczucia! Co za bzdurne wyjaśnienie - pomyślał Seward.

- Mówi pan o misji w Kolumbii?

Bennett nie odpowiedział. Wiedział, że Seward chciał w ten sposób pokazać, iż wie o wszystkim.

- Jak powiedziałem, Jim ukrył kasety przed ośmioma laty, ale nie powiedział mi, gdzie. Powiedział, że zrobił sporo kilometrów, żeby je schować. Zawsze upew-  
niał się, że nikt go nie śledzi, nawet kiedy zabierał kasety z tymczasowych  
kryjó-

wek. A później ukrył je w miejscach, z których mógł je zabrać tylko Cole, nikt inny.

Seward przypomniał sobie, jak osiem lat temu zgubili Egana w Bostonie, po szaleńczej gonitwie po całym kraju.

- Po co były mu te kłopoty? Dlaczego nie sprzedał filmu od razu, skoro chciał, żeby obejrzeli go wszyscy? - zapytał Seward.

- Chciał, żeby film odkryto dopiero po jego śmierci. Zdawał sobie sprawę, że ujawnienie filmu oznaczałoby dla niego wyrok śmierci, a chciał umrzeć albo śmier-

cią naturalną albo zginąć w walce. Jednak zależało mu też na tym, żeby świat dowiedział się prawdy - wyjaśniał Bennett. - Chciał też zostawić Cole'owi coś cennego, żeby mu jakoś wynagrodzić to, że go porzucił. Miał z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia.

Seward czuł, że Bennett mówi mu to nie tylko dlatego, bo jest posłuszny przysiędze, jaką złożył wiele lat temu, by „służyć i chronić”.

- Skąd pan wie, że Cole Egan jedzie teraz po drugą kasetę? - Seward próbował ustalić rolę Bennetta w całej sprawie.

Bennett uśmiechnął się z pobłażliwością.

- A co innego mógłby, do jasnej cholery, robić?

- Pan go śledził?

- Tak.

136

- W jakim celu?

- Bo Jim mnie o to prosił. Był moim przyjacielem.

Sewarda jednak nie przekonywała czystość intencji Bennetta.

- To pan przekazał Cole'owi wiadomość o pierwszej kasecie w depozycie.

Zgadza się?

- Tak.

- Mam uwierzyć, że Cole nie wiedział, gdzie jest kasetka, zanim pan się z nim nie skontaktował?

Bennett przytaknął.

- O ile wiem, Cole nie miał pojęcia, że taka kasetka w ogóle istnieje, dopóki nie otworzył depozytu.

- W takim razie w jaki sposób dowiedział się o kryjówce z drugą kasetą? To pan musiał mu powiedzieć.

- Ja tego nie zrobiłem.

Seward pochylił twarz nad głową Smitha.

- Postaram się, żeby to nie był miły wieczór dla pana, agencie Smith - głośno syknął.

- Nic mu nie powiedziałem o drugiej kasce. To musiał zrobić ktoś inny.

Pewnie ta kobieta, która z nim jest. Prawdę mówiąc, sądziłem, że to ktoś z waszych ludzi.

- Więc się myliłeś. - Seward odwrócił się i powoli pokuśtykał pod przeciwległą ścianę. Kiedy do niej dotarł, stanął przodem do więźnia. Przez dłuższą chwilę

milczał. Wreszcie odezwał się. - Gdzie jest Jim Egan? - zapytał spokojnie.

Bennett wyglądał na zaskoczonego.

- Nie rozumiem.

Seward uśmiechnął się. Strategię miał świetnie opanowaną.

- Gdzie jest Jim Egan? - powtórzył.

- Został zastrzelony podczas ostatniej misji.

- W Kolumbii?

- Tak - Bennett potwierdził.

- Pan kłamie.

- Nie, nie kłamię.

- Owszem, tak! - wrzasnął Seward. - Znaleźliśmy grób, nad rzeką. W środku było ciało, ale nie należało do Jima Egana.

Smith pokręcił głową.

- Jim Egan nie żyje, przysięgam.

- Dokąd pojechał Cole? - Seward nagle zmienił temat. Przybrał taktykę boksera, polegającą na ustawicznym nękaniu przeciwnika.

Malutkie kropelki potu wystąpiły na czoło Bennetta, ale nie odezwał się.

- Dokąd udał się Cole? - zapytał jeszcze raz Seward.

Bennett spojrzał Sewardowi w oczy.

- Co z tego będę miał?

Sewardowi z trudem udało się powstrzymać uśmiech. Ludzie są jednak prze-

widywalni.

137

- Aoczym myślisz?

- O funduszu emerytalnym - odpowiedział Bennett. - Na pracy w DIA nie można się wzbogacić. Długie lata ryzykowałem życie dla tego kraju i nie dostałem za to nic, czym można by się pochwalić.

- Jaką sumę nasz na myśli?

- Dziesięć milionów dolarów.

- Coś koło tego mógłbyś dostać za kasetę, gdybyś ją sprzedał? - domyślił się Seward. Przejrzał tego człowieka na wylot. - Wtedy, na Manhattanie, chodziło ci o tę kasetę, tak samo jak nam, prawda, agencie Smith? I dlatego zabiłeś naszego człowieka w parku Bryant, bo myślałeś, że zabrał kasetę z biblioteki.

Bennett bez słowa wpatrywał się bacznie w oczy Sewarda.

- Dobrze - zgodził się Seward. - Zorganizuję dziesięć milionów dolarów. To nie jest wygórowana cena za niedopuszczenie do ujawnienia filmu. A teraz proszę powiedzieć, dokąd jedzie Cole Egan.

- Na razie przekażę część informacji - odparł Bennett, ciesząc się z tego, że kazał swojej asystentce w Waszyngtonie zniszczyć kasetę z telefonicznej sekretarki. - I oczekuję części pieniędzy. Kiedy je otrzymam, ujawnię następną część informacji. I tak do skutku.

- Bardzo sprytne, agencie Smith, ale zapewniam pana, że ta asekuracja jest zbędna.

- Niech pan wyśle swoich ludzi do Atlanty, jak najszybciej.

- Obyś mówił prawdę - ostrzegł Seward.

- Bez obaw.

- W porządku. - Seward spojrział groźnie na Bennetta, po czym, utykając, wyszedł z pokoju.

Kiedy Seward zniknął, Bennett spojrział na Magee'ego.

- Hej, ty kupo gówna.

Magee podszedł do Bennetta.

- Jesteś w takiej sytuacji, że nie powinieneś nikogo nazywać w ten sposób. -

Magee uśmiechnął się szyderczo.

- Nie możesz mnie nawet tknąć - odparł Bennett. - Seward by cię zabił.

Potrzebuję mnie, żebym pomógł wam znaleźć Cole'a Egana.

Magee obejrzał się na drzwi, w których zniknął Seward.

- Osobiście sędzę, że Seward robi błąd, negocjując z tobą. W wyciąganiu informacji kij jest bardziej efektywny niż marchewka.

- No to spróbuj - Bennett wysunął szczękę. - No, podejdź tu, palancie. Nie możesz mnie nawet ruszyć.

Magee zarechotał.

- Myślisz, że tego nie zrobię? - Uderz go w lewe oko. Jeden szybki cios i Bennett do końca życia nie będzie na nie widział. Jednak nie przeszkodzi mu to mówić. A kiedy przestanie krwawić, będzie bardziej skłonny do gadania niż teraz. - Naprawdę myślisz, że tego nie zrobię? - Magee czuł, jak adrenalina uderza mu do głowy. Uwielbiał zadawać ból.

- Sam wiesz, że tego nie zrobisz. Za bardzo się boisz Sewarda...

138

Magee bez ostrzeżenia zamierzył się na lewe oko Bennetta.

Bennett złapał jego silną rękę za przegub w momencie, kiedy kostki palców miały się wbić w oczodół. Magee runął do przodu, tak że ich czoła się zderzyły.

I już było po wszystkim. Bennett wypróbował kiedyś ten chwyt w walce, co uratowało mu wtedy życie. Magee znał go tylko teoretycznie, z ćwiczeń w sali gimnastycznej. Trenował w zwolnionym tempie, z kaskiem ochronnym. Bennett wiedział, w co celować, i Magee osunął się nań bez przytomności.

Bennett uśmiechał się, przeszukując kieszenie leżącego na nim mężczyzny.

Szukał klucza od kajdanek, bo lewą rękę i nogi wciąż miał uwięzione. Kiedy nakładano mu kajdanki, napinał nadgarstki, a później, jeżeli tylko miał na to dość czasu, wyciągał z nich ręce. To było łatwiejsze, niż ktoś mógłby pomyśleć.

Klucz był w kieszeniach spodni Magee'ego. Agenci z karetki nie powinni



mu dawać środka pobudzającego, zanim nie przykuli go do krzesła. Nie powinni dawać mu możliwości udawania, że jest wciąż nieprzytomny. Położył Magee'ego na podłogę, otworzył kajdanki i wstał z krzesła.

Pół minuty później Bennett wybiegł na brudną ulicę przed magazynem. Zauważył młodego mężczyznę stojącego przy czarnym, zdezelowanym cadillacu.

- Hej, podrzucisz mnie? Dobrze zapłacę - zawołał do niego. Nie wiadomo dlaczego w czasie przesłuchania nie zabrali mu portfela i dokumentów.

Mężczyzna spojrzał na strużkę krwi, spływającą z czoła Bennetta, ale nie zawahał się.

- Dokąd?

- Na lotnisko Newark. Dam ci stówkę.

- Najpierw pokaż mi pieniądze.

Bennett wyciągnął z portfela pięć dwudziestek i pomachał mu nimi przed nosem.

- Dostaniesz, jak dojedziemy na Newark.

- Wskakuj pan.

Z okna drugiego piętra magazynu William Seward obserwował, jak cadillac rusza z miejsca. Bennett myślał, że udało mu się uciec. Ale oni nie mogli go po prostu wypuścić. Wzbudziłoby to jego podejrzenia i prawdopodobnie nie pojechałby za Cole'em. Teraz Bennett zaprowadzi ich prosto do młodego Egana... i do drugiej kasety.

18

f ricowi Walshowi praca w Białym Domu przynosiła ogromną satysfakcję, prawie tak wielką, jak samemu prezydentowi. Nie z tego powodu, że zaspokajał swoje uczucia patriotyczne, że spełniał obowiązek wobec ojczyzny. Nie przyświecała mu żadna z tych pięknych i naiwnych idei. Jego motywacja opierała się na czysto osobistym interesie. Po czterech latach kierowaniem biurem prezydenta Walsh bez trudu dostanie doskonałą posadę na Wall Street.

Już teraz otrzymywał telefony z propozycjami od banków inwestycyjnych. Honoraria na wyższych stanowiskach w takich bankach były imponujące. Potrzebowano

tam Walsha ze względu na jego znajomości wśród głównych decydentów. W świecie inwestycji bankowych układy znaczyły wszystko, a Walsh miał je i potrafiłby je wy-

korzystać. Jako szef biura prezydenta nawiązał bliskie kontakty z najwyższymi urzęd-

nikami państwowymi i dyrektorami naczelnymi korporacji na całym świecie. Jego praca będzie polegała na przedstawianiu dyrektorów banków inwestycyjnych wybranym przedstawicielom władzy. Później Walsh usunie się w cień, a do akcji wkroczą ludzie od negocjacji. W ten sposób Walsh zarobi miliony za uściśnięcie ręki.

Przed dziewięcioma laty Walsh wziął urlop ze swojej praktyki prawniczej w Charlotte, w celu przeprowadzenia kampanii wyborczej Richarda Jamisona na stanowisko gubernatora Północnej Karoliny. Jamison był magnatem majątkowym i jednym z klientów Walsha. Po zwycięskich wyborach Walsh nie wrócił już do prawa i został szefem biura gubernatora. Pięć lat później Walsh przeprowadził kolejną zwycięską kampanię Jamisona. Tym razem stawką była prezydentura.

Walsh znowu został szefem biura. Wkrótce miały się odbyć kolejne wybory prezydenckie, więc była szansa na kolejne cztery lata w Gabinetcie Ovalnym.

Jednak Walsh nie zostałby szefem biura w drugiej kadencji. Po wyborach miał zamiar zaoferować swoje usługi temu, kto najwięcej zapłaci. Poinformował już Jamisona o swojej decyzji. Korzystniej było przejść do sektora prywatnego na fali sukcesu. Wtedy można dyktować warunki. Banki inwestycyjne zaoferują mu pięć, może dziesięć milionów dolarów rocznie. Po kilku latach pracy będzie mógł odejść na emeryturę jako bogaty człowiek.

140

Jamison był wyrozumiały. Miał tylko jedną prośbę: żeby Walsh został z nim do końca kampanii. Walsh rozumiał dlaczego. Jamison potrzebował go do kontaktów z rodziną Bianco aż do wyborów. Nie zaryzykowałby powierzenia komuś innemu swoich ciemnych interesów.

Walsh ukradkiem rozejrzył się po pustym biurze. Zastanawiał się, czy jest obserwowany. Przez ręce rodziny Bianco przechodziło trzydzieści procent pie-

niędzy pochodzących z nielegalnego handlu narkotykami w Stanach. W ciągu ostatniego dziesięciolecia rodzina Bianco zdobyła ogromną władzę w podziemiu, a mimo to media o tym milczały. W FBI nazwano ją Korporacją Zbrodni. Policzono, że plasuje się w pierwszej setce najlepiej zarabiających przedsiębiorstw na świecie.

Walsh spojrzął na zegarek. Było po drugiej w nocy, a oni spóźniali się jak zwykle. W odróżnieniu od innych rodzin mafijnych mieli obsesję na punkcie tego, żeby ich szef, czy, jak go nazywali, Prezes, nie został przypadkiem złapany przez

jakiegoś paparazzi. A prasa marzyła o tym, żeby dostać jego zdjęcie. Prezes nie ucieszyłby się, gdyby jego zdjęcie znalazło się we wszystkich gazetach, a dziennikarze prześcigaliby się w wymyślaniu dla niego gustownych pseudonimów, jak to się działo w przypadku Johna Gottiego. Więc Walsh musiał ostudzić swoje emocje i zaakceptować niewygodę. Będzie czekał do skutku. Prezes mógł zniszczyć Jamisona jednym telefonem.

Dziesięć minut później drzwi biura powoli się uchylły. Biuro znajdowało się w jednym z wielu pokoi budynku przy trasie międzystanowej numer 95, gdzieś w połowie drogi między Waszyngtonem i Baltimore. Budynek należał do agencji nieruchomości Jamisona. Dwóch wysokich i dobrze zbudowanych mężczyzn, ubranych w klasyczne, szare garnitury, weszło do pokoju i skinęło na powitanie głowami. Walsh poderwał się z krzesła i wyciągnął przed siebie obydwie ręce. Gdy jeden z mężczyzn przeszukiwał go, drugi rozglądał się po biurze. Ponieważ obydwaj nic nie znaleźli, ten, który sprawdzał Walsha, otworzył drzwi i powiedział coś do innych, stojących w holu. Weszło dwóch kolejnych ogromnych facetów, a za nimi niski mężczyzna w klasycznym garniturze na trzy guziki, w kolorze grafitowym.

Anthony Bianco vel Prezes był, być może, najbardziej wpływowym człowiekiem w Ameryce, ale niewielu ludzi o tym wiedziało. Dbał o swoją anonimowość. Walsh z szacunkiem uścisnął dłoń Bianco. Znał go od dziewięciu lat. Po raz pierwszy spotkali się tuż przed tragiczną śmiercią w katastrofie samolotu prze-

ciwnika Jamisona, który konkurował z nim w wyborach na stanowisko gubernatora Północnej Karoliny. Do spotkania doszło parę tygodni przed wyborami. Od tamtej pory Walsh był łącznikiem między Bianco a Jamisonem. To on załatwiał sprawy prezydenta, spotykając się z Bianco. Prezydent, z oczywistych względów, nie mógł tego robić osobiście.

- Dobry wieczór, panie Bianco.

- Dobry wieczór, panie Walsh - Bianco odpowiedział ochryple.

Przez te dziewięć lat nigdy nie zwracali się do siebie inaczej niż po nazwisku.

- Proszę usiąść - Walsh wskazał kanapę.

141

Bianco gestem ręki odprawił ochronę. Trzech mężczyzn wyszło, a czwarty zastawił drzwi krzesłem i usiadł na nim.

- Jak przebiegają przesłuchania na stanowisko prokuratora generalnego? - zapytał Bianco.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Walsh. Kobieta, którą Jamison wyznaczał na stanowisko ministra sprawiedliwości, a zarazem prokuratora generalnego, była osobistą protegowaną Bianco. Gdy pełniła funkcję prokuratora stanu New Jersey Bianco nie miał tam żadnych kłopotów. Teraz, dzięki poparciu Jamisona, powierzono jej znacznie bardziej odpowiedzialne zadanie. - Na początku były drobne problemy, ale w tej chwili sprawa jest zaklepana. Wysondowaliśmy wszystkich senatorów z komitetu; mamy ich głosy. Poprą jej kandydaturę przed Kongresem - Powiedział Walsh pewny siebie.

- Dobrze. - Bianco rozpiął marynarkę. - A co z kasetą? - zapytał oschle. -

Kiedy byłem z generałem Zahnem u Williama Sewarda, w jego domu w Wirginii, wspomniał on, że być może istnieje druga kopia.

- Sprawdzamy taką ewentualność. Mamy człowieka bardzo blisko Cole'a Egana. Jeżeli druga kopia istnieje, zdobędziemy ją.

Bianco przez dłuższą chwilę patrzył na Walsha.

- Mogę zaoferować pomoc moich ludzi. - Głową wskazał na siedzącego pod drzwiami mężczyznę.

- Lepiej, żebyśmy zajęli się tym sami - odparł delikatnie Walsh. Jamison wolał, żeby ludzie Bianco nie kręcili się niepotrzebnie wokół sprawy, skoro rząd miał kogoś tak blisko Cole'a. Obydwie strony za wszelką cenę chciały uniknąć skojarzenia ich ze sobą. - Proszę pozwolić nam działać samodzielnie.

- Na razie niech będzie - ustąpił Bianco. Chciał mieć wszystko pod kontrolą ale rozumiał też, że obydwie organizacje powinny trzymać się od siebie z daleka.

- Dlaczego ta kasetka tak bardzo pana interesuje, panie Bianco? - Walsh do tej pory nie odważył się zadać tego pytania, chociaż zawsze go to kusilo.

Bianco zrobił taką minę, jakby było to oczywiste.

- Zabójstwo Kennedy'ego przyciąga uwagę ludzi w tym kraju od trzydziestu pięciu lat. Wszyscy, tak samo jak wtedy, w 1963 roku, chcą wiedzieć, kto go zabił. Nie wierzą że mógł to być sam Oswald. Lyndon Johnson tego nie zrobił.

Więc komu na tym zależało? Jeżeli film zostanie ujawniony, natychmiast rozpocznie się nowe dochodzenie. Agenci federalni zaczną węszyć w moim imperium, próbując znaleźć winnych. Wciąż są przy mnie ludzie, którzy znali Jacka Ruby'ego. Zaczną się sekretne morderstwa. Nie chcę przez to przechodzić. Przez lata pracowaliśmy nad tym, by zachować anonimowość.

- Ale przecież...

Bianco nie dał mu dojść do głosu.

- Trzydzieści pięć lat temu DIA rozpowszechniło wersję, że to nasza sprawka. Ludzie przypomną to sobie. Nie chcę wtrącania się w nasze sprawy. - Uśmiechnął się. - Zresztą rząd też ma się czego obawiać. Amerykanie wciąż podejrzewają najwyższych urzędników państwowych o ukrywanie przed nimi wielu brudnych interesów.

142

- Ma pan rację - zgodził się Walsh.

Bianco uderzył dłonią o oparcie kanapy.

- Mam informację, którą chcę przekazać prezydentowi.

- Słucham.

- Po przeanalizowaniu sytuacji spodziewam się, że w wyborach w listopa-

dzie przyszłego roku możemy mu zapewnić przewagę w stanie Nowy Jork, w Illinois, w Teksasie i na Florydzie. To grubo ponad sto głosów wyborczych, co daje spore szanse na zwycięstwo.

Walsh przypomniał sobie uwagę Zahna o ironii losu. Kennedy był oskarżany o korzystanie z pomocy mafii w wyborach prezydenckich. To właśnie zwycięstwo w Illinois miało zostać odniesione dzięki pomocy szefów mafii i ich wpływom na związki. A teraz Jamison, sam poważnie zamieszany w mafijne interesy, stara się nie dopuścić do tego, aby został ujawniony film dokumentujący zabójstwo Kennedy'ego.

19

Boże, jak tu dziko - powiedziała Tori, patrząc na gęsty, sosnowy las północnego Wisconsin przez przednią szybę wynajętego jeepa cherokee. Drzewa wydawały się tworzyć zamknięty krąg wokół nich w miejscu, gdzie kończył się zasięg świateł samochodu.

- Od pięćdziesięciu kilometrów nie widzieliśmy żadnego domu. Nie spotka-  
liśmy też żadnego samochodu. Jesteś pewien, że nie zabłądziliśmy i nie  
trafiliśmy  
na Syberię?

Cole roześmiał się.

- Nie jest aż tak źle.

- Jest jeszcze gorzej.

- Co się z tobą dzieje? - Cole zaniepokoił się na serio. - Boisz się, że jeste-  
śmy tak daleko od cywilizacji? - Wiedział, że las może tak działać na ludzi.

- Żebyś wiedział. Jestem miastową dziewczyną. Wychowałam się w Los  
Angeles, teraz mieszkam w Nowym Jorku. W tych miastach nie trzeba było pługu  
śnieżnego, żeby udać się do kogoś zimą w odwiedziny.

- Nie ma w tobie ducha podróżnika i odkrywcy?

- Ani trochę. Gdybym to ja miała być odkrywcą mieszkalibyśmy wciąż w Eu-  
ropie pod rządami królów.

- Nie marzysz o przygodach?

- Nawet nie wiem, co to jest.

- Dlaczego?

- Nienawidzę być sama - przyznała cicho, patrząc z przerażeniem w czarną jak atrament noc.

Cole ze zrozumieniem pokiwał głową. Prawda często bywa ukryta pod wieloma warstwami ochronnymi i, żeby do niej dotrzeć, trzeba je po kolei zdzierać.

- Czy są tu niedźwiedzie? - zapytała.

Cole pokręcił głową.

- Nie. - Kiedy jednak zobaczył, że odetchnęła z ulgą dodał: - Tylko wilki.

- Wilki?

144

- Przynajmniej tak słyszałem - wyjaśnił. - Sam ich tu nigdy nie widziałem.

Jednak widziałem wilki w Minnesocie, na północy przy granicy z Kanadą. Ludzie mówią, że przewędrowały stamtąd całe stada, ale nie wiem, czy to prawda. Zresztą wilki nie zrobią ci krzywdy - zapewnił.

- Cole, czas, żebyś mi powiedział, o co w tym wszystkim chodzi. - Jeżeli miała ryzykować spotkanie z wilkami, musiała przynajmniej wiedzieć, w imię czego. Cole spojrział w niebo, szukając gwiazd, ale firmament był dokładnie zakryty. Prognoza pogody na dzisiaj zapowiadała śnieżycę, a przecież grudzień się jesz-

cze nie zaczął. Ale tutaj nie było reguły. Widział już burze śnieżne w północnej części Wisconsin, zasypujące wszystko w ciągu jednego listopadowego dnia.

- Jeszcze za wcześniej.

- Co znaczy „za wcześniej”? - zaczęła się denerwować. - Zdążyłam już zapłacić za bilety na samolot, za wynajęcie jeepa nie wiadomo na jak długi czas... Należy mi się odpowiedź.

Kiedy cztery godziny temu samolot wylądował w Minneapolis, Cole podjął decyzję, że pojedą prosto do Hubbard i stamtąd nad Lassiter, bez nocowania u wujostwa w Duluth. Nie chciał narażać wuja i ciotki. Poza tym, jutro rano musiałby przejechać osiemdziesiąt kilometrów z Duluth, co w razie opadu śniegu byłoby

kłopotliwe.

Cole sięgnął do schowka.

- Proszę. - Wyciągnął mapę Wisconsin, którą kupił na stacji benzynowej, gdzie zatrzymali się przed godziną żeby zatankować.

- Włącz światło, aja ci pokażę, dokąd jedziemy.

- Nie zależy mi na tym.

- To nie najlepsze podejście do pracy.

Tori uśmiechnęła się pierwszy raz od dłuższego czasu.

- Jesteś w tym naprawdę dobry.

- W czym znowu? - zapytał, chociaż wiedział, co mu odpowie.

- W odwracaniu uwagi.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Chcesz, żebym zajęła się mapą bo nie będziesz mi musiał odpowiadać, co robimy w tym ciemnym lesie. - Też spojrzała w niebo, szukając gwiazd. - Niedługo pewnie w białym lesie. - Też słyszała prognozę pogody. - Ale tym razem ci się nie uda. Mów, co tu robimy? O co w tym wszystkim chodzi?

- Powiem ci później, przyrzekam.

- Teraz - powiedziała stanowczo. - Albo utracisz sponsora.

- Patrz, sarny. - Wskazał na dwie sarny, stojące bez ruchu, zahipnotyzowane światłami samochodu. Wyglądały jak rzeźby wykute w skale.

- Nie chcę patrzeć - odparła.

- Dużo stracisz.

- Cole!

- No, dobrze. - Tym razem został przyparty do muru. Nie mógł się już wykryć.

- Miałaś rację wtedy, kiedy zaprosiłaś mnie na lunch - zaczął. - Mój ojciec rzeczywi-

ście zabrał Andrei Sage film na placu Dealey w dniu zabójstwa Kennedy'ego.

10 - Depozyt

145

- Wiedziałam! - Tori uderzyła ręką w tablicę rozdzielczą.



Cole szarpnął kierownicą w lewo, nie spodziewając się tak gwałtownej reakcji z jej strony.

- Spokojnie - przestrzegł.

- Wybacz.

- Nic się nie stało, ale mogłabyś panować nad sobą.

- Trochę mnie poniosło. Chyba mnie rozumiesz?

- Rozumiem. Mam jeszcze jedną nowinę.

- Jaką?

- Andrea Sage i Mary Thomas to jedna i ta sama osoba.

-Żartujesz!

- Nie. - Cole wyjaśnił jej w paru słowach, jak Jim Egan poślubił kobietę, od której zabrał kamerę.

- Brzmi to nieprawdopodobnie.

- Wiem. W każdym razie mój ojciec zrobił kopię tego filmu i ukrył kasetę w skrytce depozytowej w Nowym Jorku. Po jego śmierci niejaki Bennett Smith przekazał mi kopertę z kluczem do skrytki. Był przyjacielem ojca. - Cole z zadumą pokiwał głową. - Miałem tę kasetę w ręku w zeszłym tygodniu, na Manhattanie, ale zabrał mi ją pewien człowiek, który przystawił mi pistolet do głowy.

- Co ty mówisz? - Tori otworzyła szerzej oczy.

- Samą prawdę.

- Kto to był?

- Nie jestem pewien. - O przypuszczeniach Bennetta zamierzał powiedzieć jej później.

- Straszna szkoda, że ją straciłeś.

- Tak, ale teraz dowiedziałem się, że istnieje druga kopia filmu - dodał ściszym głosem.

- Naprawdę?

- Tak. Ojciec zrobił dwie kopie.

- To fantastycznie. I kasetę znajduje się gdzieś tutaj? - zapytała.

- Tak.

- Zdążyłeś zobaczyć, co jest na tym filmie?

Cole pierwszy raz usłyszał w jej chropowatym głosie tyle emocji. Kiwnął głową.

- I co? No, mówże! Co tam było?

- Na filmie widać, że Kennedy został zastrzelony przez kogoś stojącego za płotem na trawiastym pagórku.

- O mój Boże! - Stuknęła w deskę rozdzielczą jeszcze raz, po czym przeproszająco spojrzała na Cole'a. - Przepraszam.

- W porządku. - Tym razem był przygotowany na jej reakcję.

- Czy to jest dowód na istnienie spisku?

- Niewątpliwie. Przy założeniu, że drugi snajper był na piętrze w bibliotece, co już udowodniono.

146

- To tłumaczy twoją tajemniczość. Dlatego musieliśmy się znaleźć w samolocie lecącym do Los Angeles i usiąść w pierwszym rzędzie, żeby łatwo było się z niego wydostać.

- Zgadza się. - Zamilkł. - Gdybym ci opowiedział, co się działo w zeszłym tygodniu na Manhattanie, prawdopodobnie w biegu wyskoczyłabyś z samochodu.

- W środku tego ciemnego lasu? O nie! Myślisz, że się tak łatwo poddaję?

- Nie ucieszyłaś się z możliwości spotkania niedźwiedzi i wilków.

- To co innego. - Włączyła światło i sięgnęła po mapę Wisconsin, którą Cole położył na desce rozdzielczej. Rozłożyła mapę na kolanach. - Pokaż mi, dokąd jedziemy - zażądała.

Pochylił się w bok i wskazał na mapie cienką niebieską linię, wijącą się na północ, w kierunku jeziora Superior.

Zmrużyła oczy.

- Rzeka Lassiter?

- Tak.

- Co jest w niej niezwykłego?

- Nad tą rzeką spędzałem bardzo dużo czasu, kiedy byłem dzieckiem.
  - Czy to dlatego twój ojciec ukrył tu drugą kasetę?
  - Myślę, że tak.
  - A gdzie dokładnie jest ta kasetka? - niecierpliwiła się Tori.
  - Tego ci nie powiem.
  - Wciąż mi nie ufasz.
  - W tej chwili nie ufam nikomu - wyznał szczerze Cole.
  - Chcę tylko, żebyś dał mi słowo, że NBC ją dostanie - wtrąciła szybko. - Mówiłam ci już, jesteśmy gotowi słono za nią zapłacić. Pamiętaj, że to ja zafundowałam ci podróż. No i, jak się okazuje, sama trochę ryzykuję, chociaż o takiej możliwości mnie nie uprzedziłeś.
  - Nie próbuj wywołać we mnie poczucia winy. I tak byś pojechała ze mną nawet gdybyś o tym wcześniej wiedziała.
  - To nie ma znaczenia. Dlaczego zakładasz, że i tak pojechałabym?
  - Sama przed chwilą powiedziałaś, że nie poddajesz się łatwo. A na kasecie zależy ci tak bardzo, że aż coś cię zżera od środka. Ten film to dla ciebie Święty Graal. Chcesz przecież pokazać swoim szefom w NBC, że stać cię na więcej. No i jest jeszcze jedna przyczyna, dla której tak bardzo ci na kasecie zależy.
  - A cóż to takiego?
  - Chcesz udowodnić swojej matce, że potrafisz zrobić coś wyjątkowego bez jej pomocy.
- Tori patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnęła się.
- Więc słuchałeś tego, co mówiłam, kiedy jechaliśmy taksówką do mieszkania twoich dziadków. Mężczyźni z reguły tylko udają zainteresowanie słowami kobiet. - Zamilkła na moment. - Cole, ja chcę dostać tę taśmę. Jesteś mi to winien.
  - Obiecuję ci, że będziesz miała prawo pierwokupu. I dam ci szansę przelicytowania wszystkich konkurentów.

- Nigdy nie wyjdiesz z roli maklera? - zapytała, nie ukrywając rozczarowania. A jeżeli ktoś przebije cenę, jaką mogła zaoferować? - Zawsze jesteś spragniony pieniędzy.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co robię w pracy - odparł Cole. Ludzie spoza biznesu uważali, że dla maklera liczą się tylko pieniądze. Kiedy dowiadawali się, że ktoś pracuje na giełdzie, zawsze zarzucali mu, że sprowadza wszystko

do tego mianownika. Tak jakby sami nie robili wszystkiego, żeby zarobić jak najwięcej. - Postąpiłabyś tak samo na moim miejscu.

- Pewnie tak - przyznała.

- Poza tym nie ma co się podniecać - zauważył Cole. - Nie mam jeszcze tej przeklętej kasety. - Spojrzał w boczne lustro. Nikt za nimi nie jechał. Może rzeczywiście udało im się zgubić pościg. Spojrzał na Tori; siedziała zamyślona, ze wzrokiem zatopionym w ciemności.

Piętnaście minut później Cole zwolnił, bo droga stała się wyboista.

- Co się stało? - Tori ocknęła się. Jak zahipnotyzowana obserwowała równy rząd drzew, przemykających za oknem.

- Wjechaliśmy do hrabstwa Oswego - wyjaśnił Cole. - Przepływa tędy rzeka Lassiter. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Dlaczego droga jest taka kiepska?

- Za stan dróg odpowiada hrabstwo Oswego, a to ubogie hrabstwo.

- Dlaczego ubogie?

- Nie ma tu przemysłu, więc nie ma z czego ściągać podatków.

Linia drzew urwała się nagle.

Cole skręcił z podziurawionego asfaltu na żwirowy podjazd prowadzący stromo pod górę, w stronę gęsto rosnących sosen.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Tori, łapiąc się za uchwyt nad drzwiami, bo góra naprawdę okazała się stroma.

- Do miejsca, gdzie przenocujemy.

To nie było to samo miejsce, w którym zatrzymał się z Bennettem w zeszłym

tygodniu. Miasteczko Hubbard znajdowało się trzydzieści dwa kilometry na północ.

W końcu wśród drzew ujrzeli światła. Cole zatrzymał wóz i zaciągnął ręczny hamulec.

- Jesteśmy na miejscu!

- Witaj, Cole! - Na ganku zbudowanego z drewnianych belek domu stał starszy mężczyzna we flanelowej koszuli i dżinsach na szelkach. Proste, czarne włosy opadały mu na ramiona.

- Kto to jest? - zapytała niepewnie Tori, patrząc na mężczyznę, stojącego w świetle reflektorów.

- Billy Trzy Pióra - uśmiechnął się Cole, otwierając drzwi samochodu. - To mój stary przyjaciel. Pokazał mi każdy próg, każdy zakręt na Lassiter. A dzisiaj będzie naszym gospodarzem.

Cole wyskoczył z jeepa i pobiegł ścieżką żeby serdecznie uściskać dłoń Billy'ego, który zszedł z ganku.

148

Tori obserwowała, jak Billy Trzy Pióra i Cole witają się. Między drzewami, za domem, mrugały maleńkie światełka. Prawdopodobnie były to gościnne domki, o których Cole wspomniał w drodze z Minneapolis. I pewnie w nich przyjdzie im nocować. Przebiegł ją dreszcz na myśl o nocy spędzonej samotnie w tych lasach. Trzeba jednak i to znieść, żeby dostać kasetę.

Billy dorzucił do ognia buzującego w kominku.

- Teraz nie zmarznie pani w nocy.

- Dzięki. - Tori rozejrzała się po chatce. Na cedrowych ścianach tańczyły cienie płomieni, tworzące dziwne kształty. Języki płomieni lizały ściany, aż do sufitu. - Naprawdę nie chcecie jeszcze pogawędzić? Te historie o łapaniu ryb na muchę są fascynujące. - Po kolacji Cole i Billy długo rozmawiali o muchach, linkach, wędkach i kołowrotkach, no i o tym, jak wielkie ryby udało im się złowić. Ją zanudzało to na śmierć, ale mogłaby znieść wszystko, żeby tylko nie zostawać sama w tej malutkiej chatce. - Jest dopiero północ. Otworzymy jeszcze

jedną butelkę wina.

- Dla mnie to już pora na sen - powiedział Billy uroczystym, łagodnym głosem.

- Ja też jestem zmęczony - dodał Cole.

- Czy ogień na pewno nie zgaśnie w nocy? - zapytała z powątpiewaniem Tori.

- Najlepiej byście się rozgrzali, śpiąc razem. - Billy roześmiał się, ukazując dwa rzędy krzywych zębów. - Nie rozumiem, dlaczego nie zostaniecie w jednej chacie.

- To pomysł Cole'a - natychmiast zareagowała Tori, zanim Cole zdążył coś powiedzieć.

Cole rzucił jej zdziwione spojrzenie. To nie była prawda. W ogóle nie rozmawiano na ten temat.

- Tori, na ścianie przy drzwiach jest termostat. Przyszedłem tu wcześniej i włączyłem ogrzewanie. Dlatego jest tu teraz ciepło. Ogień to tylko dodatek, więc

nie przejmuj się, kiedy zgaśnie.

Cole rzeczywiście przyszedł włączyć ogrzewanie, ale przy okazji przeszukać rzeczy Tori. Nie znalazł niczego podejrzanego, ale na wszelki wypadek zabrał jej telefon komórkowy. Nie musiał się teraz martwić, że zadzwoni do wrogów, gdyby się okazało, że jednak stoi po stronie przeciwnika. W domu Billy'ego był tylko jeden telefon, znajdował się w jego sypialni, na piętrze, gdzie Tori w ogóle nie wchodziła. Mogłaby jeszcze zadzwonić z budki telefonicznej w Hubbard, ale miasteczko było daleko, a tylko on miał kluczyki do samochodu.

- No to na mnie czas - oznajmił Billy. - Poradzisz sobie, Cole. Wiesz, gdzie jest drewno, jeśli też będziesz chciał rozpalić w kominku. Tylko pamiętaj tym razem, żeby otworzyć szyber. W chacie, w której nocowałeś ostatnio, wciąż czuć dym, a przecież minęły dwa lata.

Tori uśmiechnęła się. Więc Cole'owi nie wszystko się tak świetnie udawało.

- Dobranoc, panno Brown. Miło było panią poznać. - Billy dotknął swojego ogromnego kapelusza i odwrócił się do wyjścia.

- Panie Trzy Pióra! - zawołała.

Przystanął w drzwiach.

- Słucham?

- Czy są tu wilki?

Billy uśmiechnął się szeroko.

- Nie. Podejrzewam, że Cole trochę przesadził z opowieściami o niebezpieczeństwach tego lasu.

Tori spiorunowała Cole'a wzrokiem, a on zrobił minę niewiniątka.

- Nie musi się pani martwić wilkami - Billy zapewnił, otwierając drzwi. - Są tu tylko dzieci, ale one nie będą przeszkadzać. - Powiedziawszy to, wyszedł.

- O czym on mówił? - zapytała Tori.

- To nic takiego. - Żartował.

- Cole, powiedz mi. - Poczula zimny dreszcz.

- Naprawdę...

- Cole!

- No, dobrze, już dobrze. To stary indiański mit. Indianie Chippewa, którzy zamieszkiwali ten teren, wierzyli, że Lassiter jest rzeką życia. Wokół rzeki kon-

centrowało się całe życie plemienia. Rzeka dawała im ryby i ryż. Uważali ją za bardzo ważną. Ważne dla nich było również życie pozagrobowe. Wierzyli, że im bliżej rzeki zostaniesz pochowany, tym lepsze będziesz miał życie pozagrobowe. Więc zakopywali zmarłych wzdłuż brzegów rzeki. Tych, którzy umarli młodo, chowano bliżej źródła, u stóp wzgórza. Starszych grzebano przy ujściu, niedaleko jeziora Superior. Im człowiek był starszy, tym chowano go dalej w dół rzeki.

-

Cole wskazał okno, za którym rozpościerała się bezgwiezdna noc. - Są ludzie, którzy twierdzą że nad rzeką widzieli duchy Indian Chippewa. W miejscu, gdzie jesteśmy, podobno można spotkać dzieci, bo znajdujemy się blisko źródeł. Billy przysięga, że widział, jak chodzą w nocy między chatami. Jednak ja przyjeżdżałem tu przez piętnaście lat i nigdy nic takiego nie widziałem.

Tori wzniosła oczy do nieba.

- Jezu!

- Nie przejmuj się.

- Łatwo ci mówić. - Spojrzała na tańczące na ścianach cienie.

- A teraz, dobrej nocy. Muszę się trochę przespać. - Cole podszedł do drzwi.

- W razie czego, jestem w chacie obok. - Drzwi za nim zamknęły się.

Tori powoli podeszła do okna i wyjrzała. W świetle lampy znad drzwi widziała, jak Cole idzie do swojego domku. Zaczynał padać śnieg.

Dzieci były wszędzie. Dokąds ją chciały zaprowadzić, pokazywały jej jakiegoś mężczyznę, stojącego na końcu wielkiego pola. Mężczyzna zapraszająco kiwał na nią palcem. Później zniknął, a ona znalazła się na linie, trzymając się jej

kurczowo,

zawieszona setki metrów nad jakimś miastem, którego nie potrafiła rozpoznać.

Tori obudziła się gwałtownie i usiadła na łóżku, cała spocona. Ciężko odychając, patrzyła na wygasający żar w kominku. Serce waliło jej jak młot. Sen

150

był tak realistyczny. Śniło jej się to samo, co po lunchu z Cole'em w „Broadway Diner”.

Z daleka dobiegł jakiś skowyt. Był to dziwny jęk z oddali, który przyprawił ją o gęsią skórkę.

Kojotów w tej okolicy było mnóstwo, ale nie stwarzały zagrożenia dla człowieka. Jednak ona o tym nie wiedziała. Zrzuciła z siebie kołdrę i na bosaka, stą-

pając po świeżo spadłym śniegu, pobiegła w kierunku chaty Cole'a. Energicznie otworzyła drzwi.

- Cole! - zawołała.

Obudził się natychmiast.

- Co, do diabła...

- To ja!

- Tori? - Cole sięgnął do lampy stojącej na szafce przy łóżku i zapalił świa-



tło. - Co się stało?

Stała w drzwiach, trzęsąc się cała. Miała na sobie tylko podkoszulek z napisem „New York Knicks”, który kończył się znacznie powyżej kolan.

- Jakie ładne nogi.

- Posuń się! - Podbiegła do łóżka i weszła pod kołdrę. Okryła się szczelnie i odwróciła do niego tyłem.

- Co to ma znaczyć? - zapytał. Poczł emanujące z jej ciała ciepło.

- Usłyszałam coś dziwnego. Nie zostanę sama w tym strasznym miejscu. Do końca nocy masz lokatorkę.

- Zdarzają się gorsze tragedie.

- Zgaś światło.

Cole sięgnął do wyłącznika.

- Nic ci nie jest? - zapytał, ponieważ ciągle drżała.

- Nie, nic mi nie jest - odrzekła pewnym głosem. Teraz czuła się znacznie lepiej. - Miałam straszny sen. Wiesz, jak to jest.

- Wiem. - Cole opadł na poduszkę.

- Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nie ma sprawy.

Przez parę minut leżeli w milczeniu. Tori sięgnęła do tyłu i znalazła jego rękę. Zrzuciła ją na siebie, pocałowała wewnątrz dłoni.

Po dłuższej chwili Cole dotknął ręką jej włosów i delikatnie pogłaskał po głowie. Potem wyciągnął rękę w jej stronę, ujął dół podkoszulka i podciągnął go do góry. Przez sekundę się wahał, po czym położył dłoń na jej delikatnych, nagich

pośladkach. W tym momencie usłyszał jej spokojny, miarowy oddech. Zasnęła.

20

nopy światła reflektorów jeepa przecinały mrok i ścianę padającego śniegu.

S Cole wstrzymał oddech. Stroma droga ostro zakręcała. Łatwo tu było wpaść do rowu. Gdyby utknął, musiałby wspiać się z powrotem na górę i prosić o pomoc Billy'ego Trzy Pióra. Opóźniłoby to jego podróż do posiadłości Albionów,

co mogłoby go kosztować utratę głównej nagrody.

Poza tym mogłaby się obudzić Tori. Udało mu się wymknąć, kiedy spała, bo na pewno chciałaby z nim pójść, a to również mogłoby się skończyć utratą nagrody.

Nagle zarzuciło tyłem jeepa w lewo, a potem w prawo i wóz zaczął zjeżdżać w dół zygzakiem. Cole zdjął nogę z hamulca, co spowodowało, że samochód w jednej

chwili nabrał niebezpiecznej prędkości. Koła jednak przestały się ślizgać i zdołał

zapanować nad pojazdem. Na dole zatrzymał się, żeby trochę odetchnąć. Potem skręcił w prawo, w kierunku Hubbard, na pokrytą dziewiczym śniegiem drogę.

Posiadłość Albionów znajdowała się w połowie drogi między chatą Billy'ego Trzy Pióra i miasteczkiem Hubbard. Majątek zajmował parę hektarów lasów snowowych i prawie siedem kilometrów rzeki Lassiter. Na całym tym terenie znajdowały się tylko dwa budynki - dom i hangar na łodzi. Dom był masywną konstrukcją z kamienia, o powierzchni siedmiuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, z oknami wychodzącymi na rzekę. Wznosił się na równoległym do rzeki grzbiecie góry. Mieszkańcy domu mieli dzięki temu niezwykle piękny widok na okolicę. Z tyłu domu biegła wąska ścieżka. Wijąc się, skręcając czasem o sto osiem-

dziesiąt stopni, prowadziła do olbrzymiego kamiennego hangaru z łodziami. Hangar znajdował się na odcinku, gdzie wody Lassiter płynęły spokojnie, powoli.

Bez obawy można było się tutaj kąpać. Kiedyś Cole złowił tu pięćipółkilogramowego pstrąga. To Billy Trzy Pióra, siedzący z tyłu łódki, pokazał mu, gdzie zarzucić wędkę.

Sypał gęsty śnieg. Cole zwiększył prędkość wycieraczek. Pochylił się nad kierownicą wypatrując saren, które mogły zniemacka wyskoczyć z lasu prosto pod koła samochodu. Saren i jeleni były w tych lasach tysiące, a światło wabiło je

do samochodu. Zderzenie z dużym zwierzęciem mogłoby przedwcześnie poło-

żyć kres jego wyprawie. Cole spróbował zmienić światła na długie, ale odbijały się one od padającego śniegu, więc wrócił do krótkich świateł.

Druga kasetka znajdowała się w hangarze z łodziami Albionów. Cole podejrzewał, że ojciec zdecydował się ukryć kasetę właśnie w tym miejscu pod wpływem pewnej rozmowy z ciotką, dawno temu. Bennett Smith wspominał, że ojciec co parę tygodni dzwonił do ciotki, by dowiedzieć się, co u Cole'a. Cole przypominał sobie, że kiedy udało mu się złowić pstrąga-olbrzymia, opowiedział całą historię wujostwu. Siedzieli wtedy we trójkę przy niedzielnym obiedzie, w Duluth. Wtedy opowiedział im po raz pierwszy o Albionie. Wiadomość, którą Cole znalazł na podłodze w hotelu, mówiła wyraźnie o Albionie. Musiało to mieć związek z decyzją ojca, żeby drugą kasetę schować właśnie tam.

Cole uśmiechnął się do siebie. Nikt inny nie wiedziałby, do czego odnosi się wiadomość. Nie była wymieniona ani nazwa rzeki, ani miasteczko, ani nawet stan, w którym znajdował się Albion. Była to wyłącznie lakoniczna wskazówka, żeby natychmiast udać się do magazynu Albion. Z dodatkiem, w którym dokładnie miejscu należy szukać kasety. Gdyby wiadomość wpadła w niepowołane ręce, nikt by jej nie zrozumiał. Uśmiech zamarł na twarzy Cole'a. Była tam również informacja, że to już ostatnia „przesyłka”.

Zdaniem Cole'a posłańcem musiał być Bennett. Jim Egan zaufał Bennettowi na tyle, by powierzyć mu dostarczenie pierwszej wiadomości. Wydawało się logiczne, że Bennett dostarczył też drugą kasetę. Bo, do diabła, któż inny mógłby to zrobić?

Cole skręcił z głównej drogi na pokrytą śniegiem piaszczystą drogę, której latem używali drwale. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta rano.

Sto metrów dalej Cole zahamował i wyłączył silnik. Granica posiadłości Albionów znajdowała się półtora kilometra na północ od tego miejsca, ale Cole na wszelki wypadek wolał zostawić samochód tutaj. Brama wjazdowa była zamykana na klucz, a nie chciał parkować samochodu przy głównej drodze. Dla każdego przechodnia stanowiłby to znak, że ktoś jest w domu.

Cole wrócił pieszo do głównej drogi. Szedł zgarbiony na wprost siekącego

śniegu po śladach, które zostawił samochód. Musiał przejść półtora kilometra do bramy domu Albionów, potem osiemset metrów podjazdem do willi i kilkaset metrów wąską ścieżką do magazynu na łodzie. Weźmie kasetę, jak najszybciej ucieknie stąd, gdzie pieprz rośnie. Naciągnął na głowę kaptur puchowej kurtki i zaczął biec. Kasetę była w zasięgu ręki.

Na drodze przed bramą nie było żadnych śladów po kołach. Widocznie wszyscy miejscowi ludzie siedzą w domu z powodu śnieżycy.

Cole przelazł przez półtorametrową siatkę ogradzającą posiadłość i ruszył w kierunku drzew. Noc powoli ustępowała szaremu świtowi. Żeby nie zostać zauważonym, wybrał leśną drogę, a nie szeroki podjazd.

Nagle z zarośli wypadł jelen. Cole odskoczył przestraszony.

- Jezu! - szepnął. Śnieg wyciszył jego kroki i pewnie dlatego zwierzę dało się tak zaskoczyć. Jeleń uciekł spłoszony, a Cole ruszył znowu, starając się iść równoległe do drogi prowadzącej do willi. Żeby cokolwiek widzieć, musiał zmrużyć oczy. Widoczność sięgała najwyżej piętnastu metrów.

153

Kiedy był już pewien, że przeszedł osiemset metrów, skręcił na północ, żeby dotrzeć do podjazdu. Musiał zlokalizować willę, żeby znaleźć wąską ścieżkę prowadzącą do hangaru. Wątpliwe, żeby ktoś był w tym olbrzymim domu. W tej części kraju ludzie bacznie obserwowali prognozę pogody. Albionowie na pewno wiedzieli, że będzie padał śnieg. Zgodnie z zapowiedziami oczekiwano zasp do metra wysokości. Nawet jeżeli rodzina Albionów jeszcze niedawno tu była, na pewno zdążyła już przenieść się z powrotem do Minneapolis.

Cole wydostał się z lasu na skraj podjazdu. Widoczność była nieco lepsza, ale nie widział dalej niż na sto metrów, bo gęsty śnieg wciąż padał. Spojrzał w le-

wo, w kierunku willi, stojącej jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. W oknach nie paliły

się światła, a na okrągłym placu przed głównym wejściem do budynku nie było żadnego samochodu. Spojrzał w prawo, na podjazd prowadzący do drogi, ale też

nie zauważył nic podejrzanego.

Sosnowe igły uderzały go po twarzy, kiedy znowu przedzierał się gęstwiną zmierzając nad rzekę. Postanowił nie iść do hangaru ścieżką i jak najdłużej pozo-

stać w ukryciu. Z każdym krokiem narastały w nim obawy i podniecenie.

Na grzbiecie wzniesienia, z którego widać było Lassiter, Cole zatrzymał się na moment. Miał stąd doskonały widok na rzekę. W powietrzu wciąż wisiały grube płaty śniegu, ale zdawało się, że śnieg nie jest już tak gęsty. Przytrzymując się

pni drzew, zaczął schodzić w dół. Droga była niebezpieczna. Cole zatrzymywał się co parę metrów, żeby złapać oddech. Podczas tych krótkich przystanków rozglądał się dookoła, nasłuchując podejrzanym dźwięków i wypatrując, czy coś się nie rusza. Jednak im bliżej był rzeki, tym silniejszy wiał wiatr, który zaklejał oczy

śniegiem i zagłuszał dźwięki. Cole nie słyszał nic poza szumem drzew.

W końcu udało mu się dotrzeć na brzeg. Na powierzchni wody utworzyła się cienka warstwa lodu. Cole odnalazł wzrokiem miejsce, gdzie złowił przed laty pstrąga-olbrzymia. I tym razem przydałaby mu się pomoc Billy'ego. Odwrócił się i brnąc w śniegu ruszył do hangaru.

Hangar Albion wzniesiony został z takiego samego kamienia, jak willa. Miał około dwudziestu metrów długości i dziesięciu metrów szerokości. Został zaprojektowany tak, aby połowa budowli wznosiła się nad wodą a połowa była na brzegu. Dzięki temu, latem, kiedy brama prowadząca na wodę była szeroko otwarta, wpływało się tam łodziami. Teraz jednak wejście od strony wody było zamknięte na zime.

Cole stanął przed bocznymi drzwiami hangaru, na których wisiała niewielka kłódka. Był przygotowany do pokonania tego utrudnienia. Wyciągnął z kieszeni kurtki młotek, uderzył nim kilkakrotnie i kłódka pękła. Drzwi skrzypnęły w zawiasach, pchnął je mocno i wszedł do środka. Przez zakurzone szyby w oknach docierało trochę światła, ale niewiele było widać. Zapalił pożyczoną od

Billy'ego

latarkę. W powietrzu czuć było stęchliznę. Słysząc było miarowe kapanie wody.

Omiótł światłem latarki wnętrze. Stały tu kajaki, łodzie wiosłowe, leżały

kamizel-

ki ratunkowe, wiosła, liny, pod ścianami poustawiane były wędki. Oświetlał rury, które szły wzdłuż ścian i znikwały pod wodą. Rury doprowadzały parę, żeby woda w środku hangaru nie zamarzała zimą.

154

Cole energicznym krokiem podszedł do prowadzącej na strych drabiny. Kiedy wspinał się po szczeblach na górę, słyszał jedynie świst wiatru nad okapem, cichutkie kapanie wody i własny, ciężki oddech.

Paczka miała leżeć na belce pod sufitem w północnym rogu magazynu. Tak wynikało ze wskazówki, którą znalazł na podłodze w hotelu. Na strychu pochylił się.

Stąpał delikatnie, uważając na porozrzucone brezentowe worki, wiosła i części sta-

rych silników. Kiedy dotarł w północny róg, odetchnął głęboko i powoli przesunął dłoń po wierzchu belki. Po chwili jego ręka natrafiła na coś, co przypominało płó-

cienny worek. Serce zabiło mu mocniej. Ściągnął worek z belki, zajrzał do środka i zobaczył pudełko kasety wideo. Trzęsącymi się rękami wyjął je z worka i otworzył.

Kaseta rzeczywiście tam była. Zamknął oczy, szepcząc słowa dziękczynienia Bogu.

Postawił worek na podłodze i udał się w kierunku drabiny. Z paru ostatnich szczebli

zeskoczył na ziemię hangaru. I nagle stanął jak wryty. W odległości trzech metrów

stał przed nim mężczyzna z blizną przecinającą lewy policzek.

- Witaj, Cole - odezwał się spokojnym głosem Magee. - Co tam masz? -

Lufą pistoletu wskazał na kasetę.

Cole nie czuł strachu, tylko wściekłość. Znowu straci kasetę.

- To rodzinna pamiątka - odpowiedział.

- Pewnie stary film, na którym gracie z ojcem w piłkę na podwórku za domem - stwierdził ironicznie Magee. - Ojciec musiał poświęcać ci dużo czasu, kiedy dorastałeś.

- Jak mnie tu znalazłeś, człowieku z blizną?

- Jestem komandor John Magee.

- Nie ma dla mnie znaczenia, jak się nazywasz - odpowiedział Cole. - Skąd się tu wziąłeś?

- Pewnie myślisz, że udało ci się nas zgubić, kiedy wykiwałeś naszego człowieka na lotnisku. To był sprytny chwyt, muszę przyznać. - Magee machnął pistoletem, celując w Cole'a. - Ale zapomniałeś o swoim kumplu.

- O jakim kumplu? - Cole zmrużył oczy.

- O tym, który nazywa się Bennett Smith.

- Co?

- Bennett, nie wiadomo skąd, wiedział dokładnie, gdzie się znajdujesz. A my dotarliśmy tutaj za nim. Przyleciał wczoraj w nocy z Newark do Minneapolis. Noc spędził tu, w hangarze.

To by się zgadzało. Wiadomość, jaką zostawił Bennettowi na sekretarce pod jego waszyngtońskim numerem, mówiła dokładnie o posiadłości Albionów w Hubbard. Mijali to miejsce, kiedy w zeszłym tygodniu przepływali tędy kajakami, i Cole mu o tym przypomniał. Więc wiadomość dotarła do Bennetta.

- Spał jak dziecko - Magee kontynuował - do chwili, kiedy jakąś godzinę temu zderzyłem go po głowie.

- Bennett tu jest?

- Leży tutaj. - Magee wskazał w kąt hangaru. - Pod tym brezentem.

- Niech to! - Cole z wściekłością kopnął drewnianą listwę w podłódze.

Magee uśmiechnął się.

155

- A więc już drugi raz możesz mi oddać kasetę.

Cole z nienawiścią popatrzył w oczy Magee'emu.

- Ludzie powinni zobaczyć ten film.

- Może i powinni - odparł Magee beznamyślnie. - Ale nie zobaczą. Bezpieczeństwo państwa, rozumiesz. - Uśmiechnął się chytrze. - Oddaj mi kasetę.

- Skąd wiesz, że to kasetka, której szukasz? - Cole próbował grać na zwłokę.

- Obserwowałem cię, jak wchodziłeś na strych. Leżała na belce w rogu. A więc dawaj ją.

- Podejdź i sam weź.

Magee roześmiał się.

- Nie muszę. Po prostu cię zastrzelę.

Niewielkim ruchem nadgarstka Cole rzucił kasetę tak, że przeleciała tuż przy uchu Magee'ego. Był to trik, którego nauczył go w szkole trener koszykówki. Kiedy rzucisz piłkę koło ucha przeciwnika, na chwilę zamiera on bez ruchu. Ta sztuczka nie zawiodła i teraz. Kiedy kasetka przelatowała Magee'emu koło ucha, Cole skoczył na niego jak dziki kot. Przygniótł mu klatkę piersiową i przeturlał się razem z nim po podłodze. Wpadli do basenu. Cole chwycił Magee'ego i zanurzył mu głowę pod wodę. Magee prychnął, walczył z dostającą się do płuc wodą ale Cole nie pozwalał mu zaczerpnąć powietrza. Wpychał mu głowę jeszcze głębiej w czarną toń. Wreszcie Magee znieruchomiał.

Kiedy Cole przekonał się, że Magee jest nieprzytomny, wyciągnął go na post. Chwilę potem Magee próbował jeszcze się dźwignąć i przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, ale Cole przyłożył mu prawym sierpowym w lewy policzek, ten z blizną. Magee osunął się na podłogę.

Cole zerwał się na nogi. Ociekał wodą. Zdjął z siebie kurtkę. Jeszcze chwila, a zamieniłaby się w ciężki lodowy pancerz. W pośpiechu zabrał z podłogi pudełko z kasetą i pistolet Magee'ego, po czym pobiegł do przykrytego brezentem wzniesienie w rogu hangaru. Podniósł płachtę. Bennett Smith leżał ze spętanymi rękami i nogami, z ustami zaklejonymi plastrem. Cole odłożył na ziemię kasetę i pistolet. Zerwał z ust Bennetta plaster i zaczął przecinać sznury na jego nadgarstkach nożem sprężynowym, który przezornie pożyczył od



Billy'ego.

- Cieszę się, że cię widzę - wykrztusił Bennett.

- Nie wątpię, że mówisz prawdę. - Cole odetchnął głęboko. Było zimno jak diabli. Przesunął ręką po włosach. Już zaczynały zamieniać się w sople. Musiał jak najszybciej wracać.

Bennett pokręcił głową.

- Ale ze mnie dupek.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Cole szybkimi ruchami noża przeciął sznur na rękach Bennetta. - Widocznie wychodzisz z wprawy, jeśli tak łatwo dałeś się temu idiocie. - Cole ruchem głowy wskazał na leżącego Magee'ego

- To prawda. - Bennett poruszał palcami, żeby pobudzić krążenie krwi. -

Wybacz, Cole - dodał, rozcierając głowę w miejscu, w które uderzył go Magee.

- Nie ma sprawy. - Cole pochylił się, żeby porozcinać mu sznury na nogach.

156

- Dzięki - powiedział Bennett.

Cole wrócił do Magee'ego. Sznurem, który zdjął z haka na ścianie, związał mu nadgarstki z kostkami nóg.

- To go powinno zatrzymać. - Odwrócił się do Bennetta. - Bennett, gdzie jest mój ojciec?

- Co?

Cole zauważył jednak, że Bennett nie patrzy mu w oczy.

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytał jeszcze raz, bardziej zdecydowanie.

- Nie żyje. Już ci mówiłem.

- Daj spokój. Ta informacja, którą wcisnąłeś mi pod drzwi pokoju hotelowego w Nowym Jorku, była napisana jego ręką. Porównałem charakter pisma z listem napisanym przez ojca do moich dziadków, zawiadamiającym ich o śmierci matki. To ojciec napisał tę wiadomość, którą znalazłem pod drzwiami. A ty wsułaś ją tam, zaraz potem, jak wyciągnąłeś mnie z tarapatów z mafią na Brooklynie. - Cole wypatrywał się w twarz Bennetta, ale nie udało mu się nic z niej wyczytać. - Powiedziałeś mi, że ojciec zginął w Kolumbii siedem tygodni temu -

ciągnął. - Powiedziałeś, że pogrzebałeś go własnymi rękami nad rzeką. Ale to nie może być prawda. Wiadomość, którą podrzuciłeś mi pod drzwi, została napisana na skrawku gazety z pierwszego listopada, a to sporo czasu od chwili, w której rzekomo zginął mój ojciec.

- Nic nie wiem o żadnej wiadomości zostawionej pod twoimi drzwiami w hotelu - zachnął się Bennett.

- Była to informacja kierująca mnie do tego hangaru. Nie wmawiaj mi, że nic o niej nie wiesz.

- Powiedziałem ci, że nic nie wiem o żadnej wiadomości.

- Dlaczego nie możesz być ze mną szczerzy? - zapytał z goryczą Cole.

Bennett bez słowa patrzył Cole'owi w oczy.

- Milczałem przez te wszystkie lata, zachowując tajemnicę o filmie, a twój ojciec nie zaproponował mi złamanego grosza z całej tej fortuny, która czekała na

końcu gry - powiedział wreszcie beznamiętnym głosem. - Nigdy nikomu nie pisałem słówka, że Jim ma tę kasetę; obiecałem mu, że dostarczę ci kopertę, a potem będę cię chronił. Byłem jego przyjacielem, a on nigdy nie zaproponował mi grosza. Nic jednak nie wiem o żadnej wiadomości.

Cole głośno przełknął ślinę, bo zobaczył, że Bennett sięga po pistolet.

- Przykro mi, synu. - Był to pistolet Magee'ego. Bennett podniósł z podłogi również kasetę. - Naprawdę mi przykro. Polubiłem cię, a to mi się nie zdarza zbyt często.

- Nie rób tego, Bennett. Przecież nie jesteś złym człowiekiem.

- Myślałem, że przegrałem wtedy w Nowym Jorku. Że straciłem szansę na szczęśliwą emeryturę. Gdyby twój ojciec obiecał mi niewielką część udziału, byłbym uszczęśliwiony i nie wydarzyłoby się nic podobnego. Ale on chciał zatrzymać wszystko dla ciebie. Był chciwy.

- Ja się z tobą podzielę - zaproponował Cole, gotów negocjować, byle tylko zyskać na czasie. - Mówię poważnie.

- Nie jesteś teraz w dobrej pozycji do negocjacji. Zgodnie z prawem, nie jesteś właścicielem kasy. W tym przypadku sto procent należy do mnie. - Podniósł kasetę do góry, na dowód swoich słów. - Nie zamierzam z nikim się dzielić. Rozumiem teraz, ile sensu ma powiedzenie, że pieniędzy nigdy nie jest za dużo. Poza tym sporo będę musiał wydać, żeby dobrze się ukryć przed szefem tego bubka. - Bennett skinął na Magee'ego, któremu powoli wracała przytomność. Cole pokręcił głową.

- A to, co mówiłeś, że jestem taki podobny do ojca, czy to były kłamstwa? - zapytał.

- Każde słowo. Chciałem, żebyś myślał, że jesteś jak twój ojciec, i żebyś usłyszał to właśnie ode mnie. W ten sposób chciałem uzależnić cię od siebie psychicznie. I tak się stało - stwierdził Bennett z satysfakcją. - Nigdy w życiu nie

widziałem twojego ojca oddającego się hazardowi. Był twardym facetem. Nigdy nie pozwoliłby sobie na takie słabości. Ale słyszał, że ty im ulegasz. W czasie którejś z nocnych rozmów telefonicznych, kiedy byłeś w college'u, ciotka mu powiedziała, że obstawiasz wyniki meczów piłkarskich. Był wściekły. Omal nie pojechał do ciebie, ale rozmyślił się. Po tylu latach było za późno na wprowadza-

nie ojcowskiej dyscypliny.

- A mania nadawania imion rzeczom? - zapytał Cole wściekły na siebie za to, że tak łatwo uwierzył we wszystkie bzdury wymyślone przez Bennetta. - To, że ojciec nazwał swój pistolet i buty? Czy to też wymyśliłeś?

- To mi przyszło do głowy pod wpływem chwili. - Głębokie kurze łapki pojawiły się w kącikach jego oczu i ust, kiedy uśmiechnął się, nie ukrywając zadowolenia. - To dzięki takim detalom ludzie wierzą w to, co się im opowiada. Poza tym nie było trudno cię przekonać, bo bardzo chciałeś wierzyć w to, co ci mówiłem. Tak bardzo chciałeś znaleźć coś, co by cię łączyło z ojcem.

- A ty potrzebowałeś mojego zaufania.

- Stuprocentowego.
  - Dlatego miałem dzwonić do Waszyngtonu, żebyś wiedział o wszystkim.
  - Dokładnie tak - potwierdził Bennett.
  - Próbowałeś zdobyć kasetę tej pierwszej nocy, na Manhattanie, prawda?  
Wtedy, kiedy goniłeś mnie po Piątej Alei?
  - Oczywiście.
  - Ale później na scenie pojawił się on i jego kompani. - Cole wskazał na Magee'ego.
  - Niestety tak.
  - Kiedy strzelałeś do tej kobiety, a potem pobiegłeś za Magee'em, chodziło ci o film, a nie o to, żeby mnie chronić?
  - Oczywiście.
  - A kiedy jej nie zdobyłeś, bo Magee ci uciekł, postanowiłeś trzymać się mnie, bo  
wiedziałaś, że istnieje druga kopia. Ojciec ci o tym powiedział.
  - Trafiłeś w sedno, Cole. Powinieneś spróbować swoich szans w wywiadzie.  
Cole położył rękę na grubej belce wspierającej sufit, jakby sam potrzebował oparcia. Teraz wszystko było jasne.
- 158
- Przykleiłeś się do mnie jak rzep. Wykalkulowałeś, że jeżeli będziesz się mnie trzymał, to wcześniej czy później zaprowadzę cię do drugiej kasety. Kiedy zobaczyłeś, że faceci z mafii wrzucają mnie do limuzyny, pojechałeś za nimi, bo zaniepokoiłeś się o swoją inwestycję.
  - Można tak powiedzieć - potwierdził Bennett.
  - Zdawało mi się, że naprawdę jesteś zmartwiony tym, że ci mafiosi mogą być zamieszani w sprawę. Że może im zależeć na kasecie.
  - W tamtym momencie niczego nie byłem pewien. Poza tym wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że mafia też chce przechwycić kasetę. Szefowie mafii na pewno zdają sobie sprawę, że ten film gdzieś istnieje. - Ruchem głowy wskazał kasetę. - Też mają wystarczające powody, żeby nie dopuścić do ujawnie-

nia filmu, podobnie jak rząd.

Cole wyprostował palce lewej ręki, po czym zacisnął je w pięść, a prawą rękę, opartą o belkę, przesunął wyżej.

- Więc honor i uczciwość nigdy nie były elementem tego równania z wieloma niewiadomymi - stwierdził z żalem. - Wszystko, co robiłeś, miało na celu realiza-

cję precyzyjnego planu, po wykonaniu którego stałbyś się właścicielem kasety.

- A ty? Dlaczego ty tu jesteś, synu? - Bennett uśmiechnął się szyderczo. - Żeby zmienić bieg historii, ujawnić ludziom prawdę o spisku, mającym na celu pozbawie-

nie życia prezydenta Kennedy'ego? Nie sądzę. Gdybyś miał kasetę, a ludzie z DIA przeliczyli wszystkich, nie wahałbyś się ani chwili. Wziąłbyś od nich pieniądze

bez zmrużenia oka, nie zmieniając historii. Jesteś tu, tak samo jak ja, żeby dostać swój

kawalek tortu. Masz spore długi. Dlatego ryzykujesz życie. Twoja motywacja nie ma

nic wspólnego z altruizmem, więc nie próbuj mi niczego zarzucać.

- Nie sprzedałbym człowieka, z którym przez trzydzieści sześć lat łączyła mnie przyjaźń - odciął się Cole.

- Więc jesteś lepszym człowiekiem niż ja. Ale dobrzy ludzie źle kończą. -

Bennett podniósł lufę pistoletu. - Zabawa skończona, dzieciaku. To ostatnia scena przedstawienia. - Wycelował w pierś Cole'a i nacisnął na spust.

Obudzona Nicki otworzyła oczy. Jeden z mężczyzn przytknął jej do ust i nosa gałganek, dwóch innych przyciskało jej nogi i ręce do łóżka, unieruchamiając ją. Patrzyła w oczy pochylonego nad nią mężczyzny. Nagle jego rysy zamazały się. Straciła przytomność.

Mężczyzna, który trzymał szmatę na jej twarzy, odsunął się i dał znak dwóm innym, żeby zabrali jądło stojącego przed domem Andersonów samochodu. Spiechyli się. Chcieli załatwić sprawę, dopóki sąsiedzi śpią. Potem mężczyzna udał

się do sypialni rodziców Nicki. Leżeli mocno przywiązani do łóżka. Przyklęknął i pochylił się nad matką Nicki. Szeptem powtórzył jej instrukcje, po czym zapytał, czy wszystko zrozumiała.

Szeroko wytrzeszczając oczy, kiwnęła głową.

159

W momencie, kiedy Bennett pociągał za spust, Cole zsunął linę umocowaną do mosiężnej knagi na belce, o którą oparł dłoń. Lina ta podtrzymywała łódź, na zimę podwieszoną pod sufitem hangaru. Łódź spadła, uderzając w głowę Bennetta, kiedy strzelał. Kula drasnęła Cole'a w ramię. Upadł, ale natychmiast zerwał się na nogi. Bennett leżał na plecach, pistolet wypadł mu z dłoni. Cole podskoczył, żeby chwycić broń, ale Bennett przekręcił się na brzuch i też po nią sięgnął.

Ich ręce spotkały się na pistolecie. Cole'owi udało się położyć palec na spuście.

Naciskał go tyle razy, aż wszystkie kule zostały wystrzelone w sufit. W magazynku nie pozostał ani jeden nabój.

Z głębokiego rozcięcia na czole Bennetta, powstałego od uderzenia łodzi, płynęła strużka krwi. Był lekko oszołomiony, ale nie pozbawiło go to sił. Rzucił się na Cole'a, przewracając go na podłogę, przygniatając całym swoim ciężarem. Zacisnął mu ręce na szyi, jak imadło.

Cole wyciągnął przed siebie lewą dłoń i wbił mu palce głęboko w twarz, ale Bennett jeszcze mocniej go ścisnął. Nagle olśniło go. Wsunął prawą dłoń do kieszeni spodni i wyciągnął nóż sprężynowy Billy'ego, otworzył go i mocno wbił w tył uda Bennetta.

Bennett wrzasnął i obydwoma rękami sięgnął do tyłu, chcąc wyrwać nóż przeciwnikowi. Kiedy tylko puścił szyję Cole'a, ten dźgnął go jeszcze raz. Bennett sturlał się z Cole'a, kwicząc jak zarzynane prosię.

Tym razem Cole przywalił go swoim ciałem. Ogromnym wysiłkiem przetoczył się z nim po pomoście, na jego krawędź. Bennett z hałasem runął do wody i zniknął pod ciemną powierzchnią. Cole rozejrzał się i odszukał wzrokiem kase-

tę. Wystawała spod łodzi, która wylądowała na głowie Bennetta. Pobiegł tam, chwycił ją i rzucił się do wyjścia. Za plecami słyszał, jak Bennett wypływa, ude-

rzając rękami po powierzchni wody.

Wiatr przybrał na sile i śnieg padał teraz niemal poziomo. Wciąż ociekający wodą Cole wyjrzał z hangaru. Zmrużył oczy, żeby odnaleźć drózkę, prowadzącą do willi. Pobiegł nią, taśmę z Dealey mocno ściskając pod pachą. Miał w butach pełno wody i ciążyły mu w biegu, jakby były z ołowiu.

- Wracaj, gnoju - usłyszał wrzeszczącego Bennetta. Udało mu się wydostać z wody i teraz brnął powoli przez śnieg.

Ścieżyna prowadząca na górę była wąska, miała niecały metr szerokości, a teraz pokrywała ją dwudziestocentymetrowa warstwa śniegu. Cole poślizgnął się nagle i upadł. Zaczął osuwać się po zboczu, ale udało mu się zatrzymać na pniu drzewa. Wstał, wrócił po własnych śladach, a potem znów zaczął brnąć przez świeży śnieg. Bennett był za nim tylko dziesięć metrów w tyle, a Cole czuł, że opada z sił. Ubranie zamieniło się w ciężką zbroję i ledwie mógł przestawiać nogi.

Kiedy wszedł na górę, powlókł się w kierunku willi. Jeżeli zostanie na zewnątrz, Bennett go dogoni. Będzie szedł po jego śladach, a jemu nie starczy siły,

żeby odeprzeć kolejny atak. Przebiegł przez pokryty śniegiem trawnik i przedarł się przez żywopłot. Roztrzaskał okiennice, wybił szybę w oknie i wylądował na pokrytej miękkim dywanem podłodze. Znalazł się w wielkim salonie. Z trudem powłóczę nogami, podbiegł do schodów prowadzących na górę. Kiedy wspinał

się na nie, poczuł, że wstrząsają nim dreszcze. W mieszkaniu było cieplej niż na zewnątrz. Było tu jakieś dziesięć stopni, wystarczająco dużo, żeby nie zamarzły rury. Tylko dziesięć stopni, a on miał wrażenie, jakby się znalazł w tropikach.

Na

górze, na drewnianej poręczy schodów, wisiała sportowa kurtka zimowa. Wycią-

gnął po nią rękę i dopiero teraz zauważył, że rana po draśnięciu krwawi. Kiedy zakładał kurtkę, usłyszał na dole głośny trzask. To pewnie Bennett włamywał się przez okno. Cole pobiegł korytarzem do kuchni. Z kolekcji noży na drewnianej podstawce wybrał spory nóż rzeźniczy i bocznymi schodami wszedł na piętro. Przystanął tam i nasłuchiwał, ale nie usłyszał nic poza gwizdem wiatru na zewnątrz.

Najciszej jak potrafił ruszył korytarzem. Po drodze otwierał wszystkie drzwi i zaglądał do środka. Bennett mógł być wszędzie, za każdymi drzwiami, za każdym rogiem. Skradając się pod ścianą dotarł do głównych schodów. Obejrzał się przez ramię i skulił się w rogu. Schody prowadziły do głównego holu i do frontowych drzwi. Gdyby udało mu się prześliznąć niezauważonym, mógłby dotrzeć do jeepa i wrócić do domu Billy'ego. Cichutko zaczął się skradać do schodów.

Bennett stał ukryty za rogiem w głównym holu na dole. Obliznął usta i poczuł smak krwi, która spływała mu po twarzy. W rękę ścisnął nóż z kolekcji w kuchni. Zauważył, że brakowało jednego noża z kompletu. A więc Cole też jest uzbrojony. Nie szkodzi. Dzieciak nie miał szans wygrać z nim w walce na noże.

Bennett mocno ścisnął rękojeść noża. Słyszał, jak Cole, nie wiedząc o tym, że wróg czeka na niego na dole, schodzi po schodach. Czuł obecność Cole'a. Czuł, że wkrótce będzie musiał go zabić. Tak samo jak wtedy, w parku Bryant, kiedy szedł za agentem Grahamem, po czym uderzył go w głowę metalową rurą. Zabrał mu wtedy kasetę, o której myślał, że to pierwsza z taśm z Dealey. Nagle Bennett usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

- Cholera! - Wybiegł ze swojej kryjówki. Cole pewnie uciekał przez okno na piętrze. Mógł wydostać się na dach werandy i ześliznąć się po kolumnie, a potem uciec do lasu. Bennett pędem rzucił się na schody.

Cole wyrzucił krzesło przez okno łazienki i błyskawicznie wycofał się na boczne schody. Kiedy usłyszał, że Bennett biegnie korytarzem na pierwszym piętrze, otworzył frontowe drzwi willi i zaczął brnąć przez śnieg w kierunku drzew.



#dzieś ty się, do diabła, podziewał? - Kiedy Cole wpadł przez frontowe drzwi do dużego pokoju w chacie Billy'ego Trzy Pióra, Tori zerwała się z kanapy.

- Zapytaj raczej, gdzie mnie nie było - mruknął Cole, podchodząc do telewizora ustawionego pod ścianą.

- Cole, odpowiedz mi! - Potrząśnięciem głowy odrzuciła do tyłu włosy i wzięła się pod boki. - Martwiliśmy się o ciebie.

- Ja się nie martwiłem - odezwał się z kuchni Billy, zajęty smaženiem omletów. - Na pewno nie jesteście małżeństwem? Bo tak się zachowujecie, jakbyście byli.

Cole ukląkł przed telewizorem i włączył stojący pod nim odtwarzacz wideo.

- Cóż to ma znaczyć? - zapytała Tori.

- Nic takiego. - Cole wyjął z pudełka kasetę i włożył ją do odtwarzacza.

- Co będziemy oglądać?

- Piękną i bestię - odparł Cole. - Jest taka fatalna pogoda, więc pomyślałem, że przyda nam się odrobina rozrywki. - Kasetę leżącą na strychu tyle czasu, narażoną była na mróz, wysoką temperaturę i wilgoć. Do tej pory mogła ulec zniszczeniu. Wreszcie odtwarzacz zaczął działać.

- O mój Boże - szepnęła Tori, widząc na ekranie limuzynę z otwartym dachem, wiozącą prezydenta. Kiedy limuzyna znalazła się na ulicy Elm, przed Biblioteką Szkoły Teksańskiej, Tori wcisnęła się głęboko w kanapę.

Billy, ze wzrokiem przykutym do ekranu, odłożył na bok łyżkę i podszedł do lady oddzielającej kuchnię od pokoju.

Cole uśmiechnął się. To ten sam film, który oglądał w sali telewizyjnej Gilchrist. Jakość całkiem bez zarzutu. Żeby tylko było widać strzelbę.

- Trafili go! - krzyknęła Tori, kiedy prezydent pochylił się do przodu. - Mój Boże! - Krzyknęła znowu, trzęsącymi rękami wskazując ekran.

- Jezu! - wyjąkał Billy, zahipnotyzowany tym, co zobaczył.

Cole palcem pokazał miejsce na ekranie, gdzie o płot oparta była strzelba.

- Jest tu. - Jego ręce też się trzęsły.

- Widzę, widzę - wykrzyknęła Tori. Uklękła i przysuwała się na kolanach w kierunku telewizora.

Nagle z lufy strzelby buchnął obłoczek dymu, a głowa prezydenta opadła do tyłu, w kierunku kamery.

Kiedy głowa Kennedy'ego eksplodowała, Tori zakryła dłońmi usta.

- O mój Boże! To jest przerażające!

- Czy masz w domu więcej odtwarzaczy wideo, Billy? - zapytał Cole przez ramię. Zatrzymał film i włączył przewijanie. - Widziałas strzelbę, tak? - Tym razem pytanie skierowane było do Tori.

- Tak, tak. Nie ma wątpliwości, gdzie stał snajper - odpowiedziała. - Strzał padł zza płotu.

- Mam tylko jeden odtwarzacz. - Billy doskonale pamiętał ten dzień w 1963 roku. Wrócił z lasu po upolowaniu dużego jelenia i udał się do „Kra Baru”, żeby to oblać. Wtedy usłyszał, że Kennedy nie żyje.

- Nie ma jakiegoś odtwarzacza w którymś z domków? - zapytał Cole. Nie było wątpliwości, że to już ostatnia kopia taśmy z Dealey A wiele się jeszcze mogło wydarzyć, zanim kasetę znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Zrobienie jeszcze jednej kopii na pewno by się przydało.

- Nie. - Billy ciągle jeszcze myślał o tamtym dniu.

- Cole, za tę kasetę mogę ci z miejsca oferować dziesięć milionów dolarów - powiedziała Tori, klęcząc przed nim i ciężko dysząc.

Cole spojrział jej w oczy. Dla niej ta kasetę byłaby największym wydarzeniem od początku istnienia telewizji. NBC zaczęłaby reklamować kasetę w programach o naj-

wyższej oglądalności już na parę tygodni przed emisją. I zarobiłaby miliony.

Zwiastu-

ny będą głosić: „Oto dowód”. Może w zapowiedzi programu telewizja pokaże parę sekund filmu, żeby podsycić apetyt widzów. Przygotują dwugodzinny specjalny program, który rozpocznie się o dziewiątej wieczorem czasu wschodniego. Film na pew-

no nie zostanie pokazany w ciągu pierwszej pół godziny, tylko później. Ludzie pospa-

dają z krzeseł, kiedy przed kamerami dojdzie do konfrontacji między przedstawicie-

lami dwóch przeciwnych teorii - przeciwników i zwolenników teorii spiskowej. Reklamodawcy będą gotowi płacić miliony za trzydziestosekundową emisję w trakcie programu. Cały świat ze wstrzymanym oddechem będzie czekał na tę noc. To wydarzenie przyćmi mistrzostwa świata w piłce nożnej i pogrzeb księżnej Diany.

- Dziesięć milionów? - W głosie Cole'a słychać było niezdecydowanie, chociaż na twarzy pojawił mu się uśmiech.

- Nie umiesz zrezygnować z negocjacji? - zapytała.

- No właśnie.

- Wiem, że moja firma może tyle zapłacić - Tori przekonywała Cole'a. - Jednak musisz się już teraz zdecydować - naciskała.

Przez chwilę patrzył na nią zanim odpowiedział.

- To ty wsunęłaś mi pod drzwi tę wiadomość.

- O czym mówisz?

- Ktoś podrzucił mi pod drzwi kartkę w dniu, kiedy wróciłem do Nowego Jorku. - Przedtem sądził, że to Bennett, ale zdał sobie sprawę, że się mylił. - To ty

163

dostarczyłaś mi tę wiadomość - mruknął Cole. - Jesteś jedyną osobą która mogła to zrobić.

- Jesteś szalony.

Jednak Cole po jej oczach widział, że się nie myli.

- Nie, nie jestem.

- No dobrze - przyznała cicho. - Nie jesteś.

Cole nie spodziewał się tak szybkiej kapitulacji z jej strony.

- Skąd miałaś tę wiadomość?

Tori rzuciła przelotne spojrzenie na Billy'ego, po czym ujęła w swoje dłonie

obydwie ręce Cole'a.

- Twojego ojca znam od piętnastu lat. - Nie wiedziała, jak Cole na to zareaguje, ale musiała mu powiedzieć. - Kocham go.

- Co? - Cole roześmiał się nerwowo. - Mówisz poważnie?

- Tak.

- Ty i on jesteście...

- Kochankami. Tak. - Teraz ona się roześmiała. - Niezły związek. Poznaliśmy się piętnaście lat temu w Niemczech Wschodnich, gdzie robiłam jakiś materiał. I wi-

dzieliśmy się nie więcej niż trzydzieści razy w ciągu tych wszystkich lat. Mam pecha

do facetów. - Uśmiechnęła się do Cole'a. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Nie szkodzi. - Cole pokręcił głową. Jim Egan był niewątpliwie człowiekiem nietuzinkowym. Teraz, kiedy Cole analizował to, co powiedziała mu Tori, zdał sobie sprawę, że wszystko układało się w logiczną całość. Ojciec nie miał wielu ludzi,

którym mógłby zaufać. Przez piętnaście lat zdążył dobrze poznać Tori. Mógł się upewnić, czy można jej ufać. - To mój ojciec dał ci tę wiadomość? - zapytał.

- Tak. Jakieś trzy tygodnie temu...

- Trzy tygodnie temu... Więc mój ojciec żyje.

- Tak.

Jego przeczucia były słuszne. Radosne podniecenie, jakie go ogarnęło, nie dało się porównać do niczego, co wcześniej przeżył.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Oczywiście.

- Mów dalej - ponaglił ją Cole. - Dał ci wiadomość...

- I poprosił, żebym szukała jego nekrologu w „New York Timesie”. Kiedy zobaczę nekrolog, miałam skontaktować się z tobą i przekazać ci wiadomość. Powiedział, że nekrolog będzie tylko sygnałem.

A został zamieszczony w gazecie przez syna, który o niczym nie miał pojęcia

- pomyślał Cole.
- Dlaczego po prostu nie dał mi tej wiadomości sam? - zapytał.
- Był przekonany, że jest pod stałą obserwacją. Ukrywał się. Nie mógł ryzykować opuszczenia swojego „legowiska”, jak to nazywał.
- Gdzie ci dał tę wiadomość, w Nowym Jorku?
- Nie, w małym miasteczku w stanie Montana. Tam się ukrywał. Poleciałam tam, spotkaliśmy się w jakiejś taniej restauracji. Miejsce i czas spotkania zaplanowaliśmy już pół roku wcześniej.

164

Cole pstryknął palcami. Właśnie pół roku temu ojciec złożył mu niespodziewaną wizytę w Gilchrist.

Tori roześmiała się.

- Szkoda, że nie widziałeś go wtedy w przebraniu. Wyglądał jak jakiś zamachowiec: długie włosy broda i wąsy. Nie poznałabym go, gdyby mnie nie złapał za ramię. Pojawił się godzinę po umówionym czasie. Musiał mieć pewność, że nikt go nie śledzi. Wtedy przyszło mi do głowy, że postradał zmysły. - Wskazała głową na kasetę. - Teraz, po obejrzeniu filmu, rozumiem jego zachowanie.

To niewiarygodne - pomyślał Cole. - Ojciec planował to wszystko przez całe lata.

- Czy powiedział ci kiedyś, w jaki sposób zarabia na życie?
- Powiedział mi, że jest agentem wywiadu. Spotykamy się zawsze w największym sekrecie. Jak mam szczęście, widzę się z nim raz na pół roku. Termin następnego spotkania ustalamy zawsze przy rozstaniu. Przez ten czas nigdy nie dostaję od niego znaku życia. Jest tajemniczy, ale to mi się nawet podoba.

Spoty-

kamy się w najprzeróżniejszych miejscach, na przykład w Australii, w Alpach Szwajcarskich, w Rio. - Przez usta przemknął jej uśmiech. - Wszystko jest bardzo romantyczne. Mamy dla siebie trzy czy cztery dni, a potem czekam do następnego razu. Pewnego razu, parę lat temu, nie pojawił się na umówionym spotkaniu na Tahiti. Byłam załamana. Tak bardzo chciałam go zobaczyć. Czekałam

na niego dwa dni w wyznaczonym hotelu, ale on nie przyjechał. Myślałam, że nie żyje. Całą drogę w samolocie do Nowego Jorku przeplakałam. Parę dni później znalazłam na biurku w pracy kartkę z nowymi, jak on to nazywa, współrzędnymi następnego spotkania. Lubi używać własnego nazewnictwa. - Zachichotała jak mała dziewczynka. - Nigdy nie przeprosił za tamtą nieobecność na Tahiti, nawet o tym nie wspomniał. Taki już jest. Nigdy za nic nie przeprosza.

Cole przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

- Lubi po swojemu nazywać rzeczy? - wreszcie wyszeptał.

- Zawsze to robi - Tori potwierdziła. - To taki system. Jim twierdzi, że ze względu na specyfikę jego pracy nie wolno mu niczego zapisywać. A nadawanie własnych nazw ułatwia zapamiętywanie.

Wiec to prawda, że ojciec nadaje imiona rzeczom. Bennett nie kłamał.

Tori westchnęła.

- Nie powiedziałam ci o tym wszystkim wcześniej, bo przysięgam mu, że tego nie zrobię. Nie chciał, żeby rozpraszaly cię takie drobiazgi. Miałeś po prostu

znaleźć kasetę i sprzedać ją.

- Powiedział ci, że to kasetka z zabójstwem Kennedy'ego? - zapytał Cole. -

1 że różni się od filmu Zaprudera? Powiedział ci, czego dotyczy ta wiadomość?

- Tak. - Wbiła wzrok w ziemię.

- O co chodzi?

Znowu ujęła jego rękę i spojrzała mu w oczy.

- Jim powiedział mi o wszystkim, kiedy się z nim widziałam sześć miesięcy temu. Powiedział mi też, że ukrywał ten film z zabójstwem Kennedy'ego, bo nie mógł się z nim ujawnić. Zostałby zabity, gdyby to zrobił, chociaż nie powiedział,

kto konkretnie mu zagrażał. - Zawahała się.

165

- Coś cię martwi, Tori?

- Wstyd mi.

- Dlaczego?

- Bo zachowałam się beznadziejnie wtedy na lunchu w Nowym Jorku. Nie dałam ci adresu dziadków. Ale zrozum, twój ojciec powiedział mi, że kiedy się z tobą zobaczę, możesz już mieć kasetę. Pomyślałam, że gdybyś skontaktował się z którąś stacją telewizyjną doszłyby do mnie jakieś plotki. Jednak nikt nic nie wiedział. - Wydęła usta. - Naprawdę chciałam się upewnić, że to mnie ją sprzedasz. Zależy mi na tym, żeby zadziwić szefów w NBC. Twój ojciec powiedział mi, że kaseeta istnieje, ale nie powiedział, gdzie. Nie ufał mi na tyle, żeby zdradzić

miejsce jej ukrycia.

Podobnie jak Bennettowi, któremu powierzył kopertę, ale nie zdradził, gdzie jest kaseeta.

- Cole, nie byłam jego kochanką dlatego, że chciałam dostać ten film. Musisz mi uwierzyć - broniła się Tori.

- Wierzę ci - odpowiedział łagodnym głosem Cole.

- O tym filmie dowiedziałam się dopiero pół roku temu.

- Wierzę ci. I nie przejmuj się tym, że nie dałaś mi od razu adresu dziadków.

W końcu przecież pokazałaś, gdzie mieszkają. - Uśmiechnął się. - Więc wszystkie te historie o znalezieniu w Dallas aktu ślubu i o przeszukiwaniu danych komputerowych w NBC...

- Wymyśliłam to.

- Jednak naprawdę złożyłaś wizytę moim dziadkom.

- To był jedyny sposób na sprawdzenie prawdziwości słów twego ojca. Nie zapominaj, że pracuję dla działu wiadomości. I jeżeli to możliwe, staram się potwierdzać informacje.

Cole wyglądał na zdziwionego.

- Ale następnego dnia rano po naszym lunchu zadzwoniło do mnie, do Gilchrist, parę agencji informacyjnych.

- Bo ludzie szukali twojego ojca w dokładnie taki sposób, jak ci opisałam.

Komputery skanują wszystkie czasopisma i publikacje, szukając słów-kluczy. Ci,

którzy do ciebie dzwoniли, musieli znaleźć nekrolog, a twoje nazwisko dostali w „Timesie”. - Roześmiała się. - Ja tego nie musiałam robić, bo miałam swojego informatora.

- Jasne, że miałaś. - Jego ojciec zastosował dwa różne sposoby, żeby przekazać swojemu synowi taśmę z Dealey, używając do tego dwojga najbardziej zaufanych ludzi, Tori i Bennetta. Posłużył się nimi, bo żadnemu nie ufał do końca.

Ani

w naturze jego ojca, ani w jego własnej naturze nie leżało bezwarunkowe zaufanie do ludzi. Nagle Cole poczuł bolesne ukłucie uczucia samotności, wynikającej z braku zaufania do ludzi. Szybko jednak otrząsnął się z tego. W gruncie rzeczy ojciec miał rację. Bennett Smith, jego długoletni przyjaciel, zdradził go.

- Muszę już jechać - stwierdził krótko Cole. Wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, czy Bennett nie trafił tu za nim.

- Sam? - Tori zareagowała natychmiast.

166

Cole wstał.

- Jadę odnaleźć ojca. Powiedziałaś, że spotkałaś się z nim w jakimś miasteczku w Montanie. Jak się nazywało?

Tori również wstała.

- Najpierw zawieźmy kasetę do Nowego Jorku. Zostawmy ją w jakimś miejscu, gdzie będzie bezpieczna, pilnowana przez NBC przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Weźmiemy twoje dziesięć milionów i wtedy pojedziemy po ojca.

- Nie. Wtedy może być za późno - odparł Cole. - Jestem pewien, że kiedy my tu spokojnie rozmawiamy, oni już go szukają. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym go teraz nie odnalazł

- Dlaczego miałyby być za późno? - dopytywała się Tori.

- Mniejsza o to.

- Ty i twój ojciec potraficie mnie wyprowadzić z równowagi. Macie jakąś obsesję, żeby przypadkiem nikt nie wiedział więcej niż wy.

- Gdzie widziałaś się z nim w Montanie? - nie ustępował Cole.



- Nic więcej nie powiem - zbuntowała się Tori.

- Nie będziesz mną tak manipulować. - Cole złapał ją za ramiona.

- To dla twojego dobra, Cole. Twój ojciec nie życzyłby sobie tego. Chciał, żebyś najpierw sprzedał film.

- Nie obchodzi mnie, czego chciał - krzyknął Cole i potrząsnął nią.

- Boli! - krzyknęła Tori.

- Cole, uspokój się! - zawołał stojący za ladą Billy.

- Billy, nie przeszkadzaj mi! - Cole zająknął Tori głęboko w oczy. - Tak czy inaczej musisz mi powiedzieć, jak się nazywa miasteczko, w którym się z nim spotkałaś. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Rozumiała go doskonale i nie chciała, aby stało się to, co wyczytała w jego oczach.

- Miasteczko nazywa się Powell. Jest w połowie drogi między miejscowością Helena i Great Falls nad Missouri - powiedziała ściszym głosem.

- W porządku. Co jeszcze możesz do tego dodać?

- Spotkaliśmy się tam w małej restauracji, ale nie powiedział mi, gdzie jest jego kryjówka.

To brzmiało prawdopodobnie. Tori mogłaby go nieświadomie wydać. Trzeba będzie jechać do Powell i rozejrzeć się na miejscu.

- Dobrze. - Rozluźnił uścisk. Wyciągnął kasetę z odtwarzacza, włożył ją do pudełka i skierował się do drzwi wyjściowych.

- Dokąd idziesz? - krzyknęła za nim.

- Muszę się spakować przed podróżą do Powell.

- Jadę z tobą.

Cole zatrzymał się w drzwiach.

- Billy podrzuci cię na lotnisko w Duluth. Z Duluth do Minneapolis jest mnóstwo połączeń. Stamtąd bez trudu dostaniesz się do Nowego Jorku.

- Ale...

Cole powstrzymał ją gestem dłoni.

- Kiedy załatwię swoje sprawy w Montanie, skontaktuję się z tobą telefonicznie. Obiecałem ci prawo pierwokupu taśmy z Dealey i nie zmieniam zdania. Będziesz wiedziała o innych ofertach i możesz się do nich dopasować.

- A jak masz zamiar dostać się do Montany? - Przez usta przemknął jej chytry uśmiešek. - Piechotą?

Cole wzruszył ramionami. Zupełnie zapomniał o tym drobiazgu. Billy'ego nie mógł prosić o pożyczkę. Wiedział, że cienko przędzie. Przeszło mu przez myśl, że Tori mogłaby mu pożyczyć pieniądze. Jednak chyba nie warto nawet o to pytać.

- W porządku. Pakuj się. Razem pojedziemy do Montany.

- Świetnie. I może zechciałbyś mi oddać mój telefon komórkowy.

22

zeka Missouri ma swój początek z dala od cywilizacji, tam, gdzie łączą się R ze sobą trzy mniejsze rzeki: Jefferson, Madison i Gallatin. To miejsce, znajdu-

jące się w stanie Montana, sto kilometrów na północ od Parku Narodowego Yellowstone, nazwano Trzy Widły. Z początku Missouri kieruje się na północ, przepływa przez stolicę Montany, Helenę, i dalej przez pasmo górskie Big Belt

Mounta-

ins, aż do miasteczka Powell. W tym punkcie rzeka zmienia kierunek, kierując swe wody na wschód, do Great Falls, a potem znowu skręca, tym razem na południowy wschód i płynie przez Dakotę, aby w St. Louis spotkać się z potężną Missisipi.

Miasteczko Powell garnie się do rzeki, jakby szukając w niej obrony przed szczytami Gór Skalistych, które wyglądają tak, jakby za chwilę mogły się pochylić i pochłonąć miasteczko razem z jego czterystoma mieszkańcami, jak jakiś wielki

dinozaur, jeden z tych, które wędrowały po tych terenach przed milionami lat.

Powell składa się z niewielkiego parkingu, kilku ocieplonych podwójnymi ścianami drewnianych domków, restauracji, która służy również za miejscowy pub, kilku sklepików ze sprzętem dla wędkarzy i myśliwych, supersamu generała Mil-

lera i zapuszczonego motelu, oferującego siedem pokoi, którego właścicielem jest również generał Miller z żoną. Trasa międzystanowa, przebiegająca osiemset metrów na zachód od miasteczka, nie odstępuje na krok od koryta rzeki Missouri i łączy Powell ze światem, to znaczy z Heleną - pięćdziesiąt kilometrów na południe - i Great Falls - sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód. Po między Powell a tymi dwoma niewielkimi miastami nie ma nic więcej prócz rzeki, gór, drogi międzystanowej i wąskotorowej kolejki Północnych Kolei Burlington, która trzyma się rzeki jeszcze bardziej niż droga międzystanowa.

Cole skręcił jeepem cherokee na lekko spadzisty zjazd z autostrady. Wyboista żwirówka prowadziła stąd wprost do Powell. Światło poranka przebijało się przez wysokie chmury i urwiste szczyty. Było parę minut po dziewiątej. Jechali całą noc, dwadzieścia godzin, prosto z Hubbard. Zmieniali się za kierownicą. Zatrzymali się tylko dwa razy po to, żeby zatankować i coś zjeść. To był zmudny maraton, ale na swój sposób sprawiał Cole'owi przyjemność. Mógł przemyśleć

169

wszystkie nieprawdopodobne wydarzenia ostatnich paru dni i zastanowić się, co chce powiedzieć ojcu, o ile w ogóle uda im się go odnaleźć.

- Gdzie jesteśmy? - mruknęła Tori.

- W raj - Cole odpowiedział wesoło. Wcale nie żartował. Nigdy wcześniej nie był na północnym zachodzie i wystarczyło parę godzin obserwacji tutejszego niesamowitego krajobrazu, żeby poczuć się całkowicie zauroczonym. - Kiedyś tu zamieszkam. - Północ i Wisconsin były piękne, ale Montana to coś zupełnie innego. Tu czuło się majestat natury. To miejsce miało potężną siłę oddziaływania i zdawało się jeszcze bardziej dalekie od cywilizacji niż północ. A dla Cole'a to

było najważniejsze.

- Ach! - Tori jęknęła, przeciągając się. Złapał ją skurcz mięśni karku. - Cole, jak mogą ci się podobać te wszystkie chaszczki z dala od szosy?

- Bo nie ma tu tylu ludzi - odpowiedział, równocześnie naciskając hamulec, bo przejeżdżali przez przejazd kolejowy. - Atu masz drogę dla ciebie. - Dodał,

wskazując na błyszczące szyny.

Zaśmiała się.

Cole patrzył przez okno. Równoległe do drogi płynęła rzeka, w tym miejscu szeroka na sześćdziesiąt metrów. Skręcała powoli na wschód. Zbliżali się do miasteczka Powell. Na przeciwległym brzegu wznosiła się pionowo ściana skalna.

- Może ty w ogóle nie lubisz ludzi? - zapytała Tori.

- A ty?

- Raczej lubię.

- No cóż, żyjemy w wolnym kraju. Każdy ma prawo mieć własną opinię.

Może kiedyś zmienię zdanie, ale teraz nie namawiaj mnie do tego. Nie podejmę takiego wysiłku. Nie mam na to wystarczająco dużo siły. - Nagle poczuł ogromne zmęczenie. Przeżarty rdzą znak drogowy informował, że kiedy miną zakręt, znajdą się w Powell. Osiągnęli cel uciążliwej podróży, a adrenalina, która trzymała go w napięciu przez całą drogę, powoli przestawała działać.

Tori pokręciła głową. Cole jest samotnikiem. Tak samo, jak jego ojciec.

- Przynajmniej dobrze, że nie ma śniegu - zauważyła, patrząc na rzekę.

- Tak. Ma dziś być powyżej dziesięciu stopni. Przynajmniej tak wynika z radiowej prognozy pogody. - Cole spojrzał w niebo. Nie było deszczowych chmur.

- Zapowiadali, że po południu ma padać.

- Jaki więc mamy plan? - zmieniła temat. Jeszcze wczoraj wieczorem, kiedy jechali z północnej części Wisconsin przez Minneapolis, żeby dostać się na trasę międzystanową numer 90, próbowała go nakłonić do zmiany zdania. Chciała go przekonać, żeby najpierw załatwił sprawę kasety, a później jechał szukać ojca, ale nawet nie chciał jej słuchać. Teraz Tori zmieniła taktykę. Twierdziła, że ma takie same szanse znalezienia ojca w miasteczku, jakby szukał igły w stogu siana wielkości... stanu Montana. On upierał się, że ma plan, ale nie zamierza się z nią dzielić szczegółami. Teraz, kiedy byli na miejscu, chciała się dowiedzieć, czy ta

wyczerpująca podróż miała jakiś sens. - Cole, mów. Muszę wiedzieć.

Cole sięgnął po leżące na tablicy rozdzielczej okulary przeciwsłoneczne.

Włożył je, bo przedzierające się między szczytami gór słońce raziło w oczy.

170

- Mam w portfelu zdjęcie ojca. Jest stare, ale nie mógł się bardzo zmienić od czasu, kiedy zostało zrobione. Pokażemy je ludziom z miasteczka. Miejmy nadzieję, że ktoś go rozpozna. Nie ma tu dużo mieszkańców. W Nowym Jorku pewnie udałoby się ich wszystkich zmieścić w jednym bloku.

Tori otworzyła usta.

- To jest twój cały plan? Stare zdjęcie, które chcesz pokazać gromadce obcych ludzi? I po to przejechałeś prawie tysiąc sześćset kilometrów?

- Dla dokładności, z Hubbard do Powell jest więcej niż tysiąc sześćset kilometrów.

Nienawidziła tych odpowiedzi. Wiedziała, że takie odbijanie piłeczki to jego sposób na danie jej do zrozumienia, że nie ma zamiaru rozmawiać o istotnych sprawach, ale mimo wszystko, irytowało ją to. Cole skierował samochód na parking pod supersamem generała. Objęła głowę obydwiema rękami. Czowała, że zaczyna ją boleć.

- Kiedy spotkałam się z twoim ojcem w Powell, ojciec był w przebraniu.

Spotkaliśmy się w tym miejscu. - Pokazała restaurację po drugiej stronie drogi. -

Nie chciał, żeby ktoś go rozpoznał. Jestem pewna, że cały czas mu na tym zależy.

Założę się, że nie biegał główną ulicą ogłaszając wszystkim napotkanym ludziom, jak się nazywa. Możesz uważać, że jestem głupia - dodała z kwaśną miną - ale tak mi się wydaje.

- Masz lepszy pomysł? - Cole usiłował nad sobą panować, ale takie gadanie trwało całą noc i jego cierpliwość powoli się kończyła.

- Tak - odparła. - Jedźmy na najbliższe lotnisko i wsiądźmy do samolotu, który nas zawiezie do Nowego Jorku.

- Nic, tylko Nowy Jork. - Cole jęknął i sięgnął na tylne siedzenie po leżący tam plecak. W środku była taśma z Dealey. Nie spuszczał z niej oka ani na moment. Pociągnął za klamkę i wyskoczył z jeepa.

- Tak, właśnie Nowy Jork! - Tori również wysiadła z samochodu i podeszła do Cole'a, stojącego przed jeepem. - Obudź się, Cole! Zastanów się przez chwilę. Masz w plecaku kasetę z nagraniem jednego z najważniejszych momentów w historii tego kraju. - Złapała go za kołnierz kurtki. - Wrócimy tu poszukać twojego ojca, obiecuję ci to.

- Myślałem, że byliście... obydwójcie zaangażowani w jakiś związek. - Wciąż nie mógł przełknąć słowa „kochankowie”.

- Co z tego?

- Sądziłem, że zechcesz upewnić się, czy nic mu nie jest.

- Chcę, ale nie mam bladego pojęcia, co możemy tu zrobić. Chyba tylko niepotrzebnie wpakować się w tarapaty. Ojciec sam się znajdzie, kiedy zechce, żeby go znaleziono. Wiem, że potrafi sam się o siebie troszczyć. I że jeżeli nie chce być znaleziony, to nikt go nie znajdzie.

Cole próbował uwolnić się od wciąż trzymającej go za kołnierz Tori, ale nie puściła go.

- Cole, nie wiemy nawet, kto może go śledzić, ani kto cię ścigał na Manhattanie, kiedy zabrali ci pierwszą kasetę. - Zrobiła pauzę, dając mu szansę na wyjaśnienie-

171

nia, ale nie powiedział ani słowa. - Wcale nie jestem taka nieczuła. Wiem, że twoim

zdaniem zależy mi tylko na karierze. Przyznaję, że to dla mnie ważne, ale myślę również o tobie. Właśnie tego życzyłby sobie Jim, mogę przysiąc. Chciał, żebyś dostał pieniądze i żeby ja przekazała kasetę ludziom z mojej firmy. Zależało mi na tym, żeby odniosła sukces w pracy. Nie mówiłam ci tego, ale taka jest prawda.

Wszystko tak zorganizował. - Cole nie odezwał się. - Najpierw zawieziemy kasetę do Nowego Jorku, a potem zgłosimy się na policję. Albo, jeszcze lepiej, do FBI. Cole, znajdziemy go. Będziemy tak długo szukać, aż go znajdziemy.

- Nie możemy się zgłosić w FBI - powiedział zgaszonym głosem Cole - ani

iść na policję.

- Dlaczego nie?

- Bo to na polecenie rządu ojciec jest śledzony. Ja zresztą też - dodał.

Tori zrobiła zdziwioną minę.

- Nie chciałem cię straszyć - ciągnął Cole - ale to ludzie z rządu chcą zdobyć to, co mam w plecaku. Jeżeli mam właściwe informacje, w sprawę zaangażowani są najwyżsi urzędnicy państwowi. Szukaj mnie. Nie mogę pokazać się ani w FBI, ani na policji. Aresztowaliby mnie natychmiast, posadzili za jakąś wymyśloną zbrodnię, skonfiskowaliby kasetę i nigdy nikt nie dowiedziałby się nawet, że ona istnieje.

Tori puściła wreszcie kołnierz Cole'a i uderzyła obydwoma rękami w maskę jeepa.

- Otóż to! - powiedziała głośno. - I właśnie dlatego chcę odtransportować kasetę w bezpieczne miejsce. Natychmiast!

Pochylił się nad nią tak, że ich twarze dzieliło tylko parę centymetrów.

- Nie mamy dużo czasu - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Wczoraj rano pojechałem do hangaru nad Lassiter i zabrałem stamtąd kasetę, którą mam teraz w plecaku. Dzięki wiadomości, którą podrzuciłaś mi pod drzwi w hotelu. A potem ledwie udało mi się ujść z życiem. - Zdjął marynarkę i pokazał jej ramię. Koszula poplamiona była zaschniętą krwią. - Mam to po kuli wystrzelonej z pistoletu przez pewnego bardzo wkurzonego agenta wywiadu.

Tori odwróciła się. Nie mogła znieść widoku krwi.

Cole z powrotem włożył marynarkę.

- Posłuchaj, Tori, facet, który to zrobił, prawdopodobnie wciąż mnie szuka.

On i cała armia innych. Chcą też dopaść mojego ojca. Są rozwścieczeni. - Nawet jeżeli Tori go nie zrozumie, postanowił, że powie jej wszystko. - Swojego ojca widziałem tylko parę razy w życiu. Nie za bardzo się starał, żeby być w moim życiu obecny. Ale nie szkodzi. Nie mógłbym znieść myśli, że nie skorzystałem z szansy poznania go, bo ważniejsze okazały się dla mnie pieniądze. Nie wybaczyłbym sobie tego. Wiem już, jak to jest myśleć, że on nie żyje. To jest

okropne.

Teraz mam szansę, żeby go poznać. Muszę go odnaleźć, i to jak najszybciej. - Zauważył w jej oczach i w kącikach ust nikły uśmiech. - Spotkaliście się tu, w tym

miasteczku. To nam daje jeden krok przewagi nad resztą. Muszę go odnaleźć.

A potem możemy się zająć taśmą z Dealey.

Tori bardzo powoli wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Cole'a, po czym musnęła go delikatnie ustami.

172

- Dobrze - powiedziała cicho i odsunęła się. Było jasne, że nic nie zmieni jego zdania. Nie było sensu dłużej go przekonywać. - Nie wspomnę już o Nowym Jorku. Jestem tu, żeby ci pomóc. Powiedz mi tylko jak.

- Pierwsza rzecz, jaką możesz zrobić, to poczekać tu chwilę.

- W porządku - zgodziła się.

Cole udał się w kierunku starej budki telefonicznej przed wejściem do super-samu generała.

Wyjął z kieszeni koszuli kartę telefoniczną którą dziś rano kupiła mu Tori na stacji benzynowej Billingsa. Karta wystarczyłaby na dwie godziny rozmów zamiejscowych. Do tej pory odbył tylko jedną krótką rozmowę, więc miał do wykorzystania jeszcze mnóstwo impulsów. Cały urok tej karty polegał na tym, że w prze-

ciwieństwie do telefonu komórkowego Tori nie można było zidentyfikować dzwoniącego.

Wystukał numer recepcji Gilchrist i numer karty, po czym spojrzął na zegarek. Było kwadrans po dziewiątej czasu miejscowego, a kwadrans po jedenastej czasu wschodniego. Anita powinna być w recepcji.

- Gilchrist i Spółka.

- Anita?

- Tak.

- Mówi Cole. Tylko nie wypowiadaj głośno mojego...



- Cześć, Co...

- Nie wypowiadaj mojego imienia! - Gebauer mógł być w pobliżu recepcji. Jezu, zdał sobie sprawę, że popada w paranoję. - Wysłuchaj mnie uważnie.

- Dobrze - powiedziała spokojnie.

- Pamiętasz, kiedy wyjeżdżałem, powiedziałem ci, że może będę potrzebował twojej pomocy.

- Tak.

- Właśnie jej potrzebuję.

Zawahała się.

- W porządku.

- Czy mogłabyś udać się pod ten adres - podał jej numer domu i nazwę ulicy.

- Czeka tam przesyłka z instrukcją dla ciebie. Chcę, żebyś ją wzięła. To dla mnie bardzo ważne. Zrobisz to dla mnie, Anita?

- Tak. - Trochę się bała. To wszystko brzmiało bardzo dziwnie. Nie chciała tylko, żeby się okazało, że ma zrobić coś nielegalnego. Jednak Cole był przecież porządnym człowiekiem. Zawsze traktował ją z szacunkiem, w przeciwieństwie do większości handlowców. - Zrobię to.

- Dziękuję. I nie bój się. To czysta sprawa.

- Aha.

- I jeszcze coś. Czy mogłabyś podejść do terminalu Bloomberg'a i sprawdzić, jak stoją dwuletnie obligacje skarbu państwa? - W recepcji Gilchrist była tablica z notowaniami Bloomberg'a, żeby czekający goście mieli dostęp do najświeższych notowań. - Informację znajdziesz w dolnym lewym rogu głównego ekranu. Nie musisz nigdzie szukać. - Może to nie było rozsądne zostawać na linii

173

dłużej niż to konieczne, ale nie mógł się powstrzymać od sprawdzenia, co się działo na rynku.

- Chwila.

- Dzięki.

Czekał tylko parę sekund.

- Halo.

- Tak?

- Mam ten kurs - powiedziała Anita.

Od chwili, kiedy wyjechał z Nowego Jorku, kurs spadł o trzydzieści punktów. Jego portfel zyskał na tym dwadzieścia pięć milionów dolarów.

- Dzięki, Anita. Wkrótce do ciebie zadzwonię. Do usłyszenia.

Odwiesił słuchawkę i dał znak głową Tori.

- Gotowa? - krzyknął.

- Tak.

Jedyną żywą duszą w supermarkecie generała była kasjerka, która siedziała za kasą i czytała jakieś kolorowe czasopismo.

- Dzień dobry - powiedział Cole.

Dziewczyna oderwała wzrok od lektury.

- Dzień dobry - odparła z uprzejmą obojętnością.

Cole wyciągnął z portfela zdjęcie ojca i położył je na ladzie.

- To jest mój ojciec. Choruje na Alzheimera. Dwa tygodnie temu wyszedł z domu, w Great Falls. - Cole, przybierając przygnębiony wyraz twarzy, pokręcił głową. - I ślad po nim zaginął. - Cole widział, jak na twarzy dziewczyny pojawia się smutek. - Nie możemy go nigdzie znaleźć - opowiadał dalej. - Kiedyś często przyjeżdżał do Powell, na ryby. Uwielbiał to miejsce. Może, przypadkiem, zauważyła go pani gdzieś w okolicy?

Dziewczyna pochyliła się nad zdjęciem, a przedtem przecząco pokręciła głową.

- Niestety nie poznaję tego pana na zdjęciu.

- Nie zauważyła pani ostatnio jakichś nieznajomych w miasteczku?

- Nie. Na pewno bym zauważyła. Obcych widać tu z daleka.

- No, trudno.

- Jeżeli pana ojciec był wędkarzem, niech pan zajrzy do sklepu ze sprzętem wędkarskim - zasugerowała. - Może tam się pojawił.

Cole uśmiechnął się.

- Dobra myśl. - Skierował się już w stronę wyjścia, ale nagle odwrócił się. -

Chciałem jeszcze o coś panią zapytać.

- Słucham. - Chciała mu pomóc. Ten przystojny młody facet miał w sobie cośmagnetyzującego.

- Od kiedy tu pani pracuje?

- Od początku ubiegłego lata.

- I zna pani wszystkich w miasteczku, prawda?

- Jasne. Powell to mała miejscina - dodała radośnie. - Od razu wiedziałam, że pan nie jest stąd. Jak już mówiłam, obcych widać tu z daleka.

174

- Wszyscy mieszkańcy zakupy robią tutaj, prawda?

- Tak, to jedyne miejsce w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, gdzie można dostać artykuły spożywcze.

Cole zawahał się. Nie chciał, żeby pytanie, które miał zadać, zabrzmiało zbyt tajemniczo. - Czy ostatnio nie zauważyła pani, że ktoś kupuje więcej żywności niż zwykle?

Tori spojrzała na Cole'a z uznaniem. To było dobre pytanie. Dlaczego sama na to nie wpadła?

Dziewczyna za kasąpołożyła palec na ustach i przez parę chwil patrzyła w wyłożony kafelkami sufit.

- Chyba nie... Chociaż... Generał ostatnio kupował dużo więcej.

- Kto taki?

- Generał. Nie wiem, czy naprawdę jest generałem, ale ludzie go tak nazywają. Parę lat temu przyjechał do Powell, chyba ze wschodu. Ludzie mówili, że był jakimś tajnym agentem, ale myślę, że to tylko takie gadanie. Tutejsi lubią wymyślać podobne historie. Z nudów. Generał jest samotnikiem. Przychodzi do miasteczka dwa razy w tygodniu na zakupy. Ale w ostatnim miesiącu jakby kupował dla trzech albo czterech osób.

- Gdzie mieszka generał? Mój ojciec wspominał o jakimś starym kumplu

z wojska, którego tu odwiedzał.

- Za miastem, w kanionie Boswell. To parę kilometrów na północ.

Cole uśmiechnął się promiennie.

- Dziękuj ę. Bardzo nam pani pomogła. Wpadnę tu powiedzieć pani, czy udało nam się znaleźć ojca. Chciałbym, żeby pani wiedziała.

- Powie mi pan? Będzie mi miło.

- Jasne. Do widzenia. - Pomachał jej ręką na pożegnanie.

Parę sekund później siedzieli z Tori w jeepie.

- Zawsze masz takie szczęście? - zapytała, kiedy Cole zapuszczał silnik.

23

Czy widzisz, żeby coś tam się w ogóle działo?

- Nie, żadnego ruchu. - Cole leżał na brzuchu obok ogromnego głazu i po raz kolejny przyglądał się domostwu przez lornetkę, którą kupił w jednym ze skle-

pów ze sprzętem łowieckim, niedaleko supersamu.

- Weź lornetkę. Zobacz sama, bo mnie już bolą oczy.

Tori wzięła z jego rąk lornetkę, podniosła ją do oczu i ustawiła ostrość.

Cole przekręcił się na plecy, odwrócił głowę na bok i spojrzał w dół, na zbocze. Ich jeep stał zaparkowany przy błotnistej drodze u stóp góry, ale teraz byli

tak wysoko, że ledwie mógł go dojrzeć. Ciemna zieleń samochodu stanowiła tylko mały punkcik na trawie, porastającej dolinę.

Wędrówka na szczyt zajęła im dwie godziny. Góra pokryta była preriową trawą i porośnięta karłowatymi sosnami. Na ziemi leżały gładkie głazy. Gdziekolwiek mogli iść wyprostowani, ale czasem zmuszeni byli zgiąć się wpół i przytrzymywać rękami, żeby nie spaść z góry. Bacznie wytężali wzrok, wypatrując grzechotników i niepewnych kamieni, które mogły osunąć się im spod stopy. Dziesięć minut temu wreszcie dotarli na szczyt. Obydwoje czuli się wyczerpani żmudną wspinaczką i oddychaniem rozrzedzonym powietrzem. Mieli stąd doskonały punkt obserwacyjny, z którego widać było dom generała, przycupnięty

w połowie drogi na szczyt, ale od innej strony.

- Widzisz coś? - zapytał Cole.

- Nie, nic nie widzę. Poczekaj! Jakiś samochód wyjeżdża z garażu.

Cole błyskawicznie przewrócił się z powrotem na brzuch, wyrwał Tori z rąk lornetkę i skierował ją w dół, na dom. Biały sedan wytoczył się z garażu i powoli

jechał w dół pełnym kolein żwirowym podjazdem.

- Widzisz kierowcę? - zapytała Tori.

- Nie. - Okna samochodu były przyciemniane. Nie dało się dojrzeć rysów osoby siedzącej za kierownicą ani też stwierdzić, ile osób było w samochodzie. Cole odprowadził wzrokiem pojazd, aż zniknął on za grzbietem góry, a potem skierował lornetkę z powrotem na dom, znajdujący się jakieś sto pięćdziesiąt 176

metrów od nich na prawo. Domek był prosty, parterowy, obłożony winylowy sidingiem, z kamiennym kominem z jednej strony i garażem z drugiej. Podobnie jak w samochodzie okna domu były przyciemniane.

Cole po raz kolejny spojrzął na zaciszny kanion. Rozglądał się, szukając innych budynków. Jednak z miejsca, w którym się znajdowali, schowani za olbrzymim głazem na wierzchołku góry, nie było widać całej doliny. Wyglądało na to, że to jedyny dom w okolicy.

- Co teraz? - zapytała Tori.

Cole odłożył na ziemię lornetkę.

- Idę do domu i sprawdzę, czy nie ma tam ojca.

- Chcesz się włamać?

- Na pewno nie będę czekał, aż ktoś mnie zaprosi. Mam przewagę, bo działam z zaskoczenia. I nie zamierzam z tej przewagi zrezygnować.

- Jednak twego ojca może tam nie być. W ogóle może go nie być w promieniu tysięcy kilometrów. A jeśli zastaniesz tam biedną przestraszoną staruszkę, która

nigdy w życiu nie słyszała nazwiska Egan?

- Wtedy ją przeproszę - odpowiedział stanowczo Cole.
- Albo będzie to energiczna podstarzała lady, która poczęstuje cię śrutem.
- Poradzę sobie nawet z Margaret Thatcher - przerwał jej dywagacje Cole. -

Nie musisz się martwić.

Tori pokazała mu język.

- Może właśnie straciliśmy okazję zobaczenia się z twoim ojcem. Może to on wyjechał tym białym sedanem.
- Nie da się tego wykluczyć. Jeżeli jednak w domu został generał, posiedziemy z nim, wypijemy herbatę i poczekamy, aż ojciec wróci. Jeśli nikogo nie zastaniemy, sami sobie zaparzymy herbatę i poczekamy na kogoś, kto będzie nam mógł odpowiedzieć na parę pytań. - Cole powoli wstał, uważając, żeby nie było go widać zza głazu. Otrzeptał spodnie z ziemi, trawy i gałązek. - Sprzedawca ze sklepu ze sprzętem powiedział że dom generała jest właśnie tutaj.

W sklepie Cole przedstawił się sprzedawcy jako znajomy generała. Mężczyzna zza lady, nie podając w wątpliwość prawdomówności Cole'a, narysował mu, jak dostać się do tego domu. Cole nie zapłacił jeszcze za lornetkę i sprzedawca chciał mieć pewność, że dojdzie do zakupu tego dość drogiego sprzętu. Wskazał im drogę prowadzącą do półkilometrowego podjazdu w górę kanionu. Jednak Cole zdecydował, że lepiej będzie wspiąć się na górę z drugiej strony i zrobić niespodziankę tym, którzy znajdują się po tej stronie.

- Dziewczyna w supermarkecie Millera powiedziała, że generał kupował ostatnio dużo więcej żywności. I że był wojskowym. To mi wystarczy, żeby go sprawdzić.
- W porządku. - Tori podniosła się z ziemi z jękiem.
- A ty dokąd się wybierasz? - zapytał zdziwiony Cole.
- Idę z tobą.
- Nawet o tym nie myśl.
- Nie zostanę tu sama.

12 - Depozyt

- Nie mam pojęcia, co mnie może tam spotkać. A ja nie chcę się dodatkowo martwić o ciebie, kiedy sytuacja zrobi się nieciekawa. Jeżeli zauważysz coś niepokojącego, idź do jeepa i sprowadź pomoc. Tak będzie najlepiej.

- Nie zostanę tu - upierała się Tori. - Nie wspinałam się na ten szczyt tylko po to, żeby tu siedzieć. Poza tym, jeżeli twój ojciec jest w domu, też chcę się z nim zobaczyć, jak najszybciej.

Cole dał za wygraną. Już wiedział, że kiedy zdecydowała się na coś, nic nie zmieni jej zdania.

- Dobrze. - Schylił się i podniósł z ziemi plecak z taśmą Dealey - Plan jest następujący. Schodzimy na dół, ukrywając się między tymi karłowatymi sosnami i skałami, aż do tego ogromnego głazu. - Wskazał olbrzymi kamień, jakieś piętnaście metrów od domu. - Ja podejść do drzwi. Jeżeli w domu zastaniemy tylko jakąś starszą damę, która nigdy nie słyszała o moim ojcu, grzecznie przeproszę i odejdziemy. Jeżeli jednak będzie inaczej, przeszukam dom, a w razie konieczności postaram się sam załatwić sprawę z jego mieszkańcami. Nie chcę, żebyś od razu ze mną wchodziła - zdecydował. - Potem zawołałam cię. Jeżeli jednak coś będzie nie tak, postaraj się wrócić do jeepa. Kluczki są pod lewym tylnym zderzakiem. Zostawiłem je tam na wypadek, gdybyśmy mieli się rozdzielić.

- Rozumiem. Ale dlaczego miałyby pójść źle? - zapytała. - Kiedy byłam tu parę tygodni temu, twój ojciec poruszał się całkiem swobodnie. Nikt go nie śledził. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Kiedy wejdiesz do środka i wyjaśnisz, kim jesteś, nikt nie będzie stwarzał żadnych przeszkód.

- Może. Ale od czasu, kiedy tu byłaś, dużo się zmieniło. - Cole włożył plecak. - Dobra, idziemy.

To zbocze góry było mniej strome. Bez trudu udało im się zejść, pozostając jednocześnie niewidocznymi dla kogoś, kto mógł być w budynku. Gdy dotarli do głazu, przyklękli i schowali się za nim. Mimo że schodzili z góry, bardzo się zmęczyli.

- Boże, nie mogę złapać tchu - powiedziała niskim głosem Tori.  
- Powietrze jest tu rozrzedzone - wyjaśnił Cole. Przez szczelinę między skałami wpatrywał się w budynek. - Poza tym niewiele spaliśmy w ciągu ostatnich dwóch nocy. - Przyglądał się drzwiom wejściowym. - Dobrze, zostań tu i czekaj na mój sygnał.  
- W porządku.

Cole wstał. Przez chwilę jakby się wahał, po czym wyszedł z za skały i ostrożnie ruszył w kierunku domu. Był teraz na otwartej przestrzeni, zupełnie bezbronny.

Żwir chrzęścił mu pod nogami, kiedy wszedł na podjazd. Gdyby ktoś chciał do niego strzelać, stanowiłby łatwy cel.

Kiedy był już o parę metrów od budynku, wejściowe drzwi nagle otworzyły się.

- Czego pan chce? - Męski głos, który dobiegł z wnętrza, zdecydowanie nie brzmiał przyjaźnie.

Cole natychmiast przystanął.

Słońce go oślepiało. Zmrużył oczy i osłonił je ręką. Starał się dojrzeć postać stojącą w ciemnościach korytarza.

178

- Przyjechaliśmy tu z żoną pod namiot - powiedział. - Jesteśmy z Georgii. - Starał się, jak mógł najlepiej, naśladować akcent z Georgii i zgodnie z nauką Ben-

netta dodawał różne szczegóły, żeby historia brzmiała bardziej prawdopodobnie.

- Nikogo więcej nie widzę.

- Laura! - krzyknął Cole przez ramię. - Chodź tutaj.

- Już idę, kochanie - zawołała Tori, wychodząc z za głazu i patrząc w górę, jakby podziwiała widoki.

- Rzeczywiście, to piękna okolica - uśmiechnął się Cole.

- Tak, to prawda.

Słońce na chwilę skryło się za chmurami i Cole dostrzegł mężczyznę w drzwiach.



Był niski i przysadzisty, włosy miał ciemne, ostrzyżone na jeża. Ubrany był w płócienny kombinezon i szary podkoszulek i chyba nie miał broni.

- Pomyśleliśmy... Czy Laura mogłaby skorzystać z łazienki? Takie kobiece sprawy...

- Proszę wejść. - Drzwi otworzyły się szeroko, a mężczyzna zniknął.

- Chodź, Lauro - krzyknął Cole, podchodząc do drzwi. Przeszedł przez nie szybko na wypadek, gdyby ktoś się za nimi ukrywał. Wzrok szybko dostosował się do półmroku. Zobaczył, że mężczyzna stoi po drugiej stronie pokoju, na tle okna. Pokój nie był zbytnio przeładowany meblami. Znajdowała się tu kanapa, trzy drewniane krzesła, mały telewizor i skromnie wyglądający stół.

Weszła Tori.

- Gdzie jest łazienka? - zapytała uprzejmym głosem.

Mężczyzna wskazał na hol.

- Pierwsze drzwi na prawo - burknął.

- Dzięki. - Udała się we wskazanym kierunku, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Ze środka natychmiast dobiegł dźwięk odkręconego kranu.

- To chyba nie jest wielka wyprawa? - Mężczyzna podejrzliwie wskazał na plecaczek Cole'a.

- Robimy jednodniowe wypad - pospiesznie wyjaśnił Cole, rozglądając się po pokoju. Rzucił okiem na zamknięte drzwi do łazienki. Za nimi było jeszcze dwoje zamkniętych drzwi. - Naprawdę przepraszam, że w ten sposób pana nachodzimy.

- Żaden problem. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i zza pleców wyciągnął rękę, w której trzymał pistolet. - Cole Egan zawsze jest tu mile widziany. Cole spojrzał na pistolet.

- No więc co tu robicie z żoną? - Zaśmiał się. - Jak gdyby faktycznie była to twoja żona.

Cole zamknął oczy.

- Tak, wyobraź sobie...

Nie dokończył zdania. W tym momencie szybę w oknie przebił spory kamień

i uderzył mężczyznę z pistoletem w tył głowy. Upadł on na podłogę, wypuszczając broń z ręki. Cole chwycił pistolet i wycelował w nieprzytomnego człowieka, leżącego twarzą do podłogi. Z rany za uchem kapłała mu krew.

179

Cole usłyszał kroki kogoś biegnącego wokół domu, w kierunku frontowych drzwi. Szybko się podniósł, stanął za drzwiami tyłem do ściany. Obydwoma rękami trzymał mocno pistolet z lufą wycelowaną w sufit. Drzwi gwałtownie otworzyły się i Cole natychmiast obniżył pistolet, celując prosto w twarz... Tori.

- To ja, Cole! To ja! - zawołała.

Cole głęboko odetchnął i opuścił lufę.

- Co się, do cholery, stało?

Tori wciąż ciężko oddychała, rękami zasłaniała usta i miała szeroko otwarte oczy.

- Przechodząc przez hol zauważyłam, że facet trzyma w ręku pistolet. W łazience odkręciłam kran, żeby było słychać ciekącą wodę, i przez okno wyszłam na zewnątrz. Wzięłam kamień i rzuciłam w szybę. Ledwie go widziałam i nie byłam pewna, czy udało mi się go trafić.

Cole pokręcił głową.

- Trafiłaś i bardzo mnie to cieszy. - Wydało mu się dziwne, że Tori pobiegła od razu do drzwi, skoro nie była pewna, czy go trafiła. Przecież widziała, że ten człowiek

ma pistolet. - Rzut był mistrzowski, muszę ci to przyznać. - Zbliżył się do leżącego na

ziemi mężczyzny, ukląkł nad nim i przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej.

- Zrobiłam mu krzywdę? - zapytała niepewnie Tori.

- Nie wiem. Ale kiedy oprzytomnieje, na pewno będzie go bolała głowa. -

Cole wstał i trzymając mocno pistolet, przeszedł przez hol. Trzęsły mu się ręce, kiedy powoli przekręcał gałkę pierwszych drzwi. Wpadł do pokoju, ale zastał tylko puste, nie zasłane łóżko i toaletkę. Tori wbiegła tuż za nim. Podeszedł do drugich drzwi. Chwycił za gałkę klamki, przekręcił i ramieniem pchnął drzwi.

Kiedy znalazł się wewnątrz pokoju, opuścił pistolet. Parę chwil stał w drzwiach, bez słowa patrząc na przykutą łańcuchami do łóżka postać, z zakneblowanymi ustami i opaską na oczach.

- Jim! - wrzasnęła Tori, odpychając stojącego jej na drodze Cole'a.

Cole stał nieruchomo, patrząc na Tori, która wyjmowała człowiekowi na łóżku knebel z ust i zdejmowała z oczu przepaskę. Jim Egan otworzył szeroko oczy i zamrugał powiekami. Tori osypywała go pocałunkami.

Wreszcie Jim odwrócił głowę, żeby uniknąć tych czułości.

- Cole, masz kasetę? - Ojciec miał słaby i zachrypnięty głos.

Cole wciąż nie widział jego twarzy.

- Tak - powiedział głośno.

Tori obejrzała się przez ramię.

- Co tam robisz, Cole? Podejdź tu.

Cole powoli podszedł do łóżka i przyklęknął przy nim. Spojrzał na twarz ojca. Nawet w tym półmroku widać było, że ojciec jest śmiertelnie blady. Siwa szczecina porastała jego policzki, oczy zapadały się w głąb głowy. Cole dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo był wychudzony. Skóra i kości.

- Cześć, tato - powiedział ciepło.

- Sprzedałeś kasetę? - Nie było żadnych uprzejmości. Kiedy tylko Jim Egan wypowiedział te słowa, zaczął potwornie kaszleć.

180

Ten kaszel zaniepokoił Cole'a.

- Tato, musimy cię stąd zabrać.

- Czy sprzedałeś tę przeklętą kasetę? - Jim kaszlał, nie mogąc złapać oddechu.

- Mam ją przy sobie. - Cole chciał uspokoić ojca.

- Więc co tu robisz? - Jim spojrzał na Tori. - Miałaś dopilnować, żeby ją sprzedał...

- Próbowałam, ale...

- Rzeczywiście, robiła, co mogła, ale nie miałem zamiaru...

- Wynoście się stąd - jęknął ojciec. - Zawieźcie kasetę ludziom, którzy będą mogli ją zabezpieczyć

Cole pokręcił głową.

- Zanim to zrobimy...

- Wynoś się! - krzyknął Jim. - On tu zaraz wróci. Nie zostawił mnie na długo.

- W porządku, tato. Mamy tego faceta. Będzie nieprzytomny jeszcze jakiś czas.

- Mówisz o generale?

- Chyba tak. Niski, krępy, włosy na jeża.

- To idiota! Mówię o ... - Atak kaszlu odebrał mu głos.

Cole patrzył, jak ojciec z trudem łapie oddech, i ogarnął go jakiś przypływ nieznanego mu uczucia. Położył na ramieniu ojca rękę.

- O kim mówisz, tato?

- O człowieku, który nazywa się Bennett Smith - wykrztusił Jim.

- O tym samym, który dostarczył mi kopertę z kluczem do depozytu? - Cole nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Tak.

- Nie rozumiem - rzekła zaskoczona Tori.

- Bennett to ten, o którym ci wspomniałem, gdy jechaliśmy nad rzekę Lassiter - wyjaśnił Cole. - Przyjaciel ojca, a zarazem człowiek, który, jak podejrzewam, pomógł tacie sfingować pogrzeb.

- To prawda - potwierdził Jim. Atak kaszlu ustąpił. - Bennett zorganizował mi tę kryjówkę u generała. Przywiózł mnie tu małym samolotem tej nocy, kiedy wróciliśmy z ostatniej misji. Wyskoczyłem ze spadochronem. Generał czekał na mnie. Jest emerytowanym wojskowym. Bennett skądś go znał. - Jim Egan zaczął szarpać łańcuchami, ale jego wysiłek był bezowocny. - Po trzydziestu sześciu latach można sądzić, że się zna człowieka. Byłem tu już miesiąc i wszystko wyglądało dobrze. Aż pewnego wieczora, gdy oglądaliśmy z generałem telewizję, nagle wstał i walnął mnie czymś w tył głowy. Stało się to tej nocy, kiedy

Bennett

miał ci dostarczyć kopertę z kluczem do depozytu. Rano obudziłem się przykuty do łóżka. Wiem teraz dobrze, co się stało. Bennett pojawił się znowu zeszłej nocy. Sukinsyn! - krzyknął i z furiajescze raz targnął łańcuchami.

- Bo do wczoraj mnie śledził - mruknął Cole. Wszystko zaczynało układać się w całość.

181

- Co?

- Bennett był twoim pierwszym posłańcem, zgadza się?

- Tak.

- A Tori drugim.

- Zgadza się.

- Przygotowałeś dwa plany na wszelki wypadek.

- Musiałem postępować rozważnie.

- I dobrze się stało, bo Bennett cię zdradził. Chciał pieniędzy.

- Zabiję go.

- Wątpię - powiedział ściszym głosem Cole. - Nie jesteś w najlepszej formie.

- Czy Bennett zabrał ci pierwszą kasetę?

- Nie, to byli inni ludzie.

- Inni?

- Było tak, jak myślałeś. Głęboko w strukturach DIA przeprowadzono tajną operację. Bennett powiedział mi o tym jeszcze wtedy, kiedy myślałem, że jest po mojej stronie.

- Jezu!

- Dostali pierwszą kasetę, zanim Bennett zdążył mi ją zabrać. Więc wymyślił, że zagra rolę przyjaciela, który chce mnie chronić. Wiedział, że istnieje druga

kaseta.

Jim zacisnął powieki.

- To był błąd. Nie powinien był wiedzieć o drugiej kasecie. Należało to przewidzieć.

- Wymyślił, że jeżeli będzie mnie śledził, zaprowadzę go do drugiej kasety.

- Kiedy podjął decyzję zdobycia pieniędzy, nie mógł dopuścić do tego, że bym się stąd ruszył. - Ojciec próbował ustalić kolejność wydarzeń. - Nie zabił mnie, bo gdybyś ty nie zaprowadził go do drugiej kasety, mógł jeszcze liczyć na to, że zmusi mnie do mówienia. Więc kazał generałowi przykuć mnie do tego przeklętego łóżka. - Jim z bezsilności zawył i znowu szarpnął łańcuchami.

- Spokojnie, tato. - Cole słyszał, że ojciec znowu się dusi. Coś blokowało mu dostęp powietrza do płuc. Robiło to przerażające wrażenie. Tori przykryła ręką usta i odwróciła głowę.

Jim usiłował złapać powietrze.

- Wynoś się stąd, Cole. Natychmiast. Nie żartuję. Zabierz ze sobą Tori. Bennett zaraz tu wróci. Słyszałem, jak rozmawiali. Pojechał tylko zrobić zakupy.

- Najpierw zdejmujemy ci te łańcuchy.

- Nie myśl o mnie! - Kaszel wrócił. - Rozkucie mnie zabrałoby parę godzin.

- Chyba, że masz ze sobą bazooki. Jeżeli nie, nawet nie próbuj ich przestrzelić. Nic to nie pomoże. Łańcuchy są zbyt grube i mocne. Używaliśmy ich w DIA. Potrzebujesz kluczy.

- Muszą gdzieś tu być. - Cole spojrzał na Tori. - Przeszukaj pokój - rozkazał, wstając z klęczek.

- Dobrze.

182

Cole pospiesznie poszedł do dużego pokoju, przyklęknął przy generale i przeszukał mu kieszenie, ale niczego nie znalazł. Generał zaczął jęczeć. Cole podbiegł do

drzwi prowadzących do garażu. Otworzył je szarpnięciem. Wyteżał wzrok, rozglądając się, aż na ziemi, obok jakiejś opony znalazł kawałek sznura. Wrócił do pokoju,

gdzie leżał generał, i związał go mocno. Potem, ciągle szukając kluczy, trafił do kuchni. Ale tam ich nie było. Przeszukał toaletkę w sypialni. Kluczy nie znalazł, ale w pierwszej szufladzie był rewolwer. Zabrał go i wrócił do sypialni, gdzie leżał ojciec.

- Znalazłaś klucze? - rzucił do Tori.

- Nie. - Tori przecząco pokręciła głową.

- Wynoś się stąd - powiedział Jim. Żył na rękach i na szyi nabrzmiały mu z wysiłku.

- Nie mogę cię tak zostawić, tato.

- Możesz i zrobisz to, skurwysynu! - krzyknął.

Cole wzdrygnął się, jak gdyby ktoś go uderzył.

Tori spostrzegła, jak zaboląły go te słowa.

- Jim, nie musisz...

- Zamknij się, Tori. Miałaś dopilnować, żeby dostał za kasetę pieniądze. Nie-wiele dobrego udało mi się w życiu zrobić. - Jim z natężeniem patrzył w oczy Cole'owi. - Zabiłem wielu ludzi, których nie powinienem był zabijać. Przeze mnie zginęła twoja matka. Całe życie trzymałem się od ciebie z daleka, bo bałem się, co o mnie pomyślisz. Cole, nie jestem ojcem, z którego syn może być dumny. Taka jest prawda. Gorzka prawda. - Znowu się zaczął dusić i rozpaczliwie walczyć o oddech. - Jednak dzięki tej kasecie mogę jeszcze coś naprawić. Wszyscy zobaczą co naprawdę wydarzyło się na placu Dealey Tori zrobi karierę. A ty, Cole, możesz dostać kupę pieniędzy. To nie wystarczy, żeby wynagrodzić ci te wszystkie lata, kiedy mnie przy tobie nie było, ale zawsze coś. Ta kasetka to wszystko, co mogę zostawić ci w spadku. Wstyd mi, że taki się stałem. Jeżeli jednak kasetka trafi we właściwe ręce, przynajmniej cokolwiek dla ciebie zrobię. Tylko wtedy nie będę miał poczucia, że całe moje życie było nic niewarte. - Znowu kaszlał. - Zostawcie mnie.

- Tato, ja cię uwolnię.
  - W tej chwili nikt nie może mi pomóc, Cole. Będę się smażył w piekle. Idę prosto do diabła. Będę się smażył, a zapalka, która wzniesie ogień, już jest zapalona.
  - Co? - Cole poczuł falę zimna, a potem gorąca. - Chcesz powiedzieć, że umierasz?
  - Wszyscy umieramy, Cole. A ja po prostu umieram trochę wcześniej niż inni. Tori zasłoniła rękami usta.
  - Och, nie!
  - Och, tak.
  - Co ci jest?
  - Choroba Hodgkina.
  - To uleczalne.
  - Nie w tym stadium. Dowiedziałem się, że jestem chory, pół roku temu. Mam przed sobą najwyżej parę miesięcy życia.
- 183
- Przecież można się było leczyć.
  - Nie chciałem się leczyć. - Ojciec z trudem łapał powietrze. Znowu chwycił go atak kaszlu. Przy jego osłabieniu łatwo przyplątało się zapalenie płuc. - Wy- noś się. - W kącikach ust pojawiły się drobne kropelki krwi. - Zawieź kasetę w bezpieczne miejsce, a potem, jeśli będziesz chciał, wrócisz tu po mnie.
  - Ale...
  - Cole! Musimy jechać! Ojciec ma rację. Nie możemy teraz nic zrobić. - Tori spojrzała mu w oczy. - Musimy się stąd wydostać.
  - Dziękuję - powiedział Jim. - Chłopcze, jeżeli sam jesteś zbyt głupi, żeby podjąć właściwą decyzję, posłuchaj tej kobiety. Cole przechylił na bok głowę, jak gdyby zamierzał odeprzeć atak. Tori złapała go za ramiona.
  - Nie przejmuj się tymi uwagami. On stara się cię chronić. Nie ma nic złego na myśli.



- To prawda, Cole.

Cole spojrział ojcu w oczy.

- Dobrze, tato - powiedział cichym głosem. - Do diabła z tobą. - Przy prawej dłoni ojca położył pistolet, który wyjął z szuflady toaletki. Łańcuch był wy-

starczająco luźny, żeby wystrzelić, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Cole sprawdził,

czy pistolet jest naładowany. Magazynek był pełny.

- Może ci się przydać. - Cole zwrócił się do Tori. - No to idziemy. - Wyszedł z pokoju, nie oglądając się.

Tori pochyliła się na Jimem i ucałowała go w policzek.

- Nie musiałeś być dla niego taki ostry.

- Musiałem - wyszeptał.

24

Cole i Tori przeszli obok leżącego na ziemi generała. Wróciła mu już przytomność i walczył teraz z pętającymi go sznurami. Weszli do garażu. Kiedy Cole poszedł tam szukać sznura do związania generała, zauważył samochód. Był to stary czarny bronco. Błotniki miał kompletnie przerdzewiałe, opony całe w bło-

cie. Cole szarpnięciem otworzył drzwi samochodu. Sprawdził stacyjkę. Kluczyków nie było.

- Będziemy tym zjeżdżać z góry? - zapytała Tori. - Ten wehikuł nie budzi zaufania. Myślisz, że da sobie radę?

- Mamy jeszcze inne wyjście: wspiąć się z powrotem na szczyt i zejść z drugiej strony, gdzie zostawiliśmy jeepa - odparł Cole. Najwyraźniej był przygnębiony. Spotkanie z ojcem nie przebiegło tak, jak to sobie wyobrażał. - Zajęłoby to nam parę godzin. Gdy weźmiemy bronco, za piętnaście minut znajdziemy się na trasie międzystanowej.

- A jeśli...

- Jeśli spotkamy Bennetta Smitha, jadącego pod górę? Musimy zaryzyko-

wać. - Cole rzucił na deskę rozdzielczą bronco pistolet generała. - Bennett pewnie jeszcze nie dojechał do miasteczka. Zanim wróci, będziemy w połowie drogi do Heleny.

Tori wskoczyła na miejsce obok kierowcy. Cole sięgnął ręką pod kierownicę i odblokował pokrywę silnika. Potem nacisnął przełącznik na ścianie. Drzwi garażu

zaczęły podnosić się z chrzęstem. Światło słoneczne zalało wnętrze i przód pojazdu.

- Znalazłeś kluczyki do samochodu, kiedy szukałeś kluczyka do łańcuchów?

- zapytała Tori.

- Nie. - Cole podniósł maskę, stanął z boku i pochylił się nad silnikiem.

Tori bezskutecznie próbowała dojrzeć, co Cole tam robi. Nagle silnik zaryczał, że aż podskoczyła przestraszona.

Cole z trzaskiem zamknął maskę. Zdjął plecak i rzucił go na tylne siedzenie.

Wskoczył do samochodu i wrzucił pierwszy bieg.

- Spiąłeś kable?

185

- Tak.

- Jesteś utalentowany w wielu dziedzinach.

Cole wcisnął gaz.

Pędzili krętym podjazdem. Samochodem zaczęło zarzucać na żwirze. Cole nie znał tej drogi.

- Uważaj! - krzyknęła Tori, łapiąc za uchwyty nad drzwiami, kiedy samochód przechylił się na bok w ostrym zakręcie. Kawalek ziemi z jej strony drogi osunął się

i wpadł do kanionu, paręset metrów w dół. - Nienawidzę kolejek górskich! - pisnęła.

Nagle, kiedy wychodzili z kolejnego ostrego zakrętu, pojawił się przed nimi jadący pod górę biały sedan. Ten sam, którego obserwowali, gdy wyjeżdżał z domu generała. Dzieliła ich odległość jakichś trzydziestu metrów.

- Musiał zobaczyć jeepa! - krzyknął Cole.

Sedanem zarzuciło przy ostrym hamowaniu. Zatrzymał się na środku drogi, tarasując przejazd. Ze środka wyskoczył Bennett Smith. Przyklęknął na jednym kolanie przy otwartych drzwiach od strony kierowcy i wycelował w nich z pistoletu. Zdażył dwa razy wystrzelić. Pierwszy pocisk rozbił jeden z reflektorów.

Drugi

przebił przednią szybę i wyleciał przez tylną. Szyba wyglądała jak pokryta pajęczyną i Cole musiał wyteżać wzrok, żeby w ogóle coś widzieć. Jechali prosto na białego sedana, Cole spojrzał w lewo, na pionową skalną ścianę. Na prawo była przepaść. Pewna śmierć. Wszystkie cztery koła samochodu oderwały się od powierzchni, kiedy jeep przeskakiwał nad rowem odwadniającym, biegnącym równoległe do drogi. Lewy błotnik i przednie lewe koło uderzyły w piaszczystą skarpię. Pasażerów rzuciło do przodu. Prawie natychmiast samochód wydostał się z piasku. Cole'a i Tori wgniotło w fotele. Cole instynktownie skręcił kierownicę w prawo.

Bennett wstał i strzelił jeszcze kilka razy, celując ponad dachem sedana, kiedy bronco go mijał. Jednak kule, nie robiąc żadnej szkody, odbiły się rykoszetem od drzwi.

Bronco przechylił się niebezpiecznie w prawo. Wydawało się, że zaraz przewalą się. Samochód wpadł do rowu odwadniającego i oderwał się zderzak. Wywrzuciło ich gwałtownie w górę. Mimo że Cole skręcił kierownicę, nic nie pomogło. Rozpędzone cztery koła utraciły przyczepność. Pędzili w kierunku przepaści. Bronco wreszcie opadł na ziemię, odbił się od żwirówki, ale nie zmienił kierunku jazdy.

Tori zamknęła oczy. Była pewna, że za chwilę spadną w przepaść. Ale w ostatniej chwili zarzuciło samochodem i Tori uderzyła całym ciałem o drzwi, które się otworzyły. Nogi wypadły jej na zewnątrz samochodu. Chwyła za uchwyt nad głową. Wydawało się im, że całą wieczność ślizgają się bokiem. Spod opon wylatywały kępki trawy i kamyki.

Cole wcisnął gaz i nagle znaleźli się z powrotem na drodze. Wszystkie koła

znowu dotykały ziemi. Udało mu się zapanować nad pojazdem. Sięgnął ręką do Tori, chwycił ją za pasek i wciągnął do środka.

- Zamknij drzwi! - zawołał, starając się przekrzyczeć huk wiatru.

Ale ona siedziała, nie mogąc wykonać żadnego ruchu.

186

- Zamknij je! - krzyknął jeszcze raz, patrząc we wsteczne lusterko. Bennett zdążył wskoczyć do swojego sedana i zawracał nim na wąskiej drodze. - Tori, rusz się!

Wreszcie zareagowała. Sięgnęła do klamki i zatrasnęła drzwi.

- Rozumiem, że to był Bennett Smith! - krzyknęła.

- Tak.

- Miły człowiek.

- Aha.

- Myślałam, że już nie żyję. - Pokręciła głową. - Omal nie wypadłam.

Jednak Cole jej nie słuchał. Zastanawiał się nad szansami ucieczki. Mogli jechać do Powell. Było to dziesięć minut jazdy drogą międzystanową. Może pomógłby im człowiek ze sklepu, w którym kupili lornetkę. Nie wiadomo jednak, jaką broń miał Bennett w swoim samochodzie. A jeśli to broń automatyczna?

Wtedy pistolet generała na wiele by się nie zdał.

Mogli jechać przez łąki rozpościerające się u podnóża góry, przecinając drogę prowadzącą do domu generała. Bronco bez trudu poradziłby sobie w takim terenie. Jednak kawałek dalej znajdowało się zakole Missouri. Bennett mógłby ich zastrzelić, kiedy będą przeprawiać się przez rzekę.

Trzecim rozwiązaniem było dostanie się na trasę międzystanową numer 15 i pojechanie do Heleny. Droga zajęłaby im jakieś dwadzieścia minut, gdyby pędzili sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Mogliby zaalarmować policję w Helenie. Jeśli jednak DIA rozesłało listy gończe, wtedy taśma z Dealey przepadłaby.

Ale przynajmniej oni byliby uratowani. A gdyby udało się zgubić Bennetta po drodze, może nawet zachowałiby kasetę.

Cole skierował samochód na podjazd. Droga była prostsza, szersza i mniej wyboista. Podnóże kanionu zdawało się podnosić, jakby wychodząc im na spotkanie. Mknęli prostą gładką drogą prowadzącą do betonowej trasy, z której był wjazd na autostradę międzystanową. Cole spojrzął we wsteczne lusterko, ale nic nie mógł dojrzeć przez ścianę wzbijanego przez bronco kurzu.

- Mam zamiar dojechać do autostrady międzystanowej i dostać się stamtąd do Heleny!

Tori kiwnęła głową wciąż trzymając się kurczowo uchwytu nad drzwiami.

- Wszystko mi jedno.

Cole'owi udało się uśmiechnąć.

- Dobrze się bawisz?

- Tak, jasne.

Kiedy bronco znalazł się na betonowej drodze, Cole skrzył kierownicę w lewo i wjechał na drogę prowadzącą do domu generała. Bennett w swoim białym sedanie pewnie przedziera się przez tumany kurzu. Musiał być jakieś pół kilometra za nimi.

- To będzie piekielna przejażdżka, Tori!

- Już nie może być gorzej.

- I tu się mylisz.

Wzruszyła ramionami.

187

- Mam tylko jedną prośbę. Unikaj przepaści.

- Postaram się o tym pamiętać. - Skręcili z wybetonowanej drogi na wjazd na trasę międzystanową. Cole wrzucił czwarty bieg, mile zaskoczony mocą silnika.

Sa-

mochód był szybszy, niż mógł przypuszczać. Kiedy wcisnął mocniej pedał gazu, wska-

zówka szybkościomierza natychmiast przekroczyła dziewięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Spojrzął w boczne lusterko. Bennett właśnie pojawił się przy wjeździe na

trasę. Cole znowu spojrzął na szybkościomierz. Strzałka dochodziła do stu trzydzie-

stu. Zauważył jeszcze coś. Wskaźnik poziomu paliwa zbliżał się do zera.

Mocno uderzył rękaw deskę rozdzielczą aż Tori podskoczyła na siedzeniu.

- Co się stało?

- Jesteśmy na rezerwie paliwa - krzyknął. - Przy tej prędkości zaraz się skończy.

- Jak daleko jest do Heleny?

- Około pięćdziesięciu kilometrów.

Kiedy wskazówka szybkościomierza minęła sto czterdzieści pięć, zamigotała lampka rezerwy. Cole spojrzął w lusterko, na białego sedana. Bennettowi nie udało się zmniejszyć dzielącej ich odległości.

- Jeżeli skończy się paliwo, rozdzielimy się - zawołał, przekrzykując wycie silnika.

- Nie! - krzyknęła.

- Nie ma innego wyjścia. - Przez popękana szybę zobaczył jadącą przed nimi ciężarówkę. Był to pierwszy pojazd, jaki spotkali na drodze. Cole jeszcze raz spojrzął w lusterko. Teraz, kiedy znaleźli się na górze i zjeżdżali w dół,

Ben-

nett zbliżał się powoli. - Kiedy zjadę na bok, weźmiesz kasetę. Prawdopodobnie będzie ścigał mnie. Pomyśli, że ja ją mam. - Jeszcze raz spojrzął w lusterko.

Biały sedan był teraz niecałe sto metrów za nimi.

Za oknem mignął jakiś znak drogowy.

- Trzydzieści pięć kilometrów do Heleny! - krzyknęła Tori.

- Pochyl głowę! - wrzasnął Cole. - Może zacząć strzelać.

Cole zauważył z przerażeniem, że nie ma pistoletu generała. Spojrzął pod nogi, ale nie dostrzegł go.

- Poszukaj tego pistoletu, który rzuciłem na deskę rozdzielczą kiedy wyjeżdżaliśmy z domu generała! - krzyknął.

- Myślałam, że mam trzymać głowę pochyloną.

- Możesz zrobić te dwie rzeczy równocześnie!

Bennett był już tylko pięćdziesiąt metrów za nimi. Kiedy Cole zrównał się z osiemnastokołową ciężarówką kula przebiła przednią szybę bronco. Świsnęła tuż nad głową Tori właśnie wówczas, kiedy pochyliła się, żeby poszukać pistoletu na podłodze. Szkło przedniej szyby rozprysło się na drobne kryształki i z dużą siłą uderzyło w przednie siedzenia. Cole instynktownie uniósł ręce, zasłaniając twarz. Samochód zjechał na prawo, odbijając się od tylnych kół ciężarówki. Cole wcisnął hamulce, raptownie zwalniając ze stu czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Bennett szarpnął kierownicą w lewo, żeby nie wpaść na jadącego przed nim bronco. Sedan wpadł na szeroki pas zieleni pośrodku autostrady.

188

Kierowca ciężarówki zatrafił, kiedy Cole wyrównał i mijał ciężarówkę.

- Może poprosić o pomoc tego kierowcę? - zawołała Tori, przekrzykując wiatr przewiewający samochód.

- A jak mógłby nam pomóc?

- Podwiózłby nas.

Cole pokręcił głową.

- Zanim przesiadlibyśmy się do ciężarówki, Bennett zdążyłby nas dopaść.

Poza tym, jadąc pod górę, ciężarówka będzie potrzebowała wielu kilometrów, żeby nabrać przyzwoitej prędkości. Staniemy się doskonałym celem. Jak zauważyłaś, Bennett nie zawaha się strzelać. No i czy sądzisz, że kierowca zatrzyma się

po tym wszystkim, co się tu działo?

- Masz rację.

Pół kilometra dalej znaleźli się na szczycie górki. Teraz autostrada wiodła w dół i łagodnie skręcała w wąski wąwóz, przecięty rzeką. Strzeliste sosny porastały skalne zbocza, których ściany wznosiły się prawie pionowo po obydwu stronach drogi.

- Gdyby miało nam nie wystarczyć paliwa, byłoby to świetne miejsce na ucieczkę - zawołał Cole, przekrzykując wiatr.

- To dlaczego nie zostawimy bronco tutaj i nie uciekniemy do lasu?

Cole tylko pokręcił głową. Nie powiedział jej, że Bennett znowu ich dogania. Kiedy wydostali się z wąwozu, autostrada zaczęła oddalać się od rzeki. Mimo że jechali pod górę, nadal utrzymywali prędkość stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Dwupasmowa droga doprowadziła ich na szczyt górki i rozpostarła się przed nimi panorama Heleny. Jechali środkiem szerokiej, bezdrzewnej doliny.

- Uda nam się, Cole! - radośnie krzyknęła Tori.

Cole z troską spojrział na wskaźnik paliwa. Zdawało się, że z każdym przebytym kilometrem pomarańczowe światelko rezerwy pali się coraz intensywniej.

Tori zauważyła, że Cole patrzy na wskaźnik.

- Moglibyśmy przejechać stąd na luzie.

- Tak, gdyby Bennett nie siedział nam na ogonie.

Tori odwróciła się i spojrzała przez potłuczoną szybę.

- Myślałam, że wypadł z drogi.

- Tak, ale najwyraźniej na nią wrócił.

Na długim zjeździe z góry, prowadzącym prosto do Heleny, bronco nabrał szybkości. Prędkościomierz dochodził do stu sześćdziesięciu, ale biały sedan wciąż

się za nimi trzymał. Kiedy mijali pierwszy zjazd do miasta, na drodze pojawiło się parę samochodów.

- Dlaczego nie skręciłeś? - zapytała Tori.

- Tu jest zbyt wielkie pustkowie. Wciąż mamy sporą przewagę, więc może uda się nam dostać do centrum, zostawić samochód i uciec pieszo, a potem wynająć inny samochód. Wołałbym nie iść na policję.

- Dlaczego nie pojedziemy na lotnisko? Wiem, że tu jest. Parę tygodni temu tu właśnie przyleciałam.



- Nie ma mowy. Jeżeli Bennett nas zgubi, lotnisko będzie pierwszym miejscem, gdzie zacznie nas szukać.

- Może, jeżeli uda się nam go zgubić, powinniśmy zostawić kasetę w jakiejś skrytce czy depozycie. Musi tu być jakaś stacja autobusowa. Kiedy ukryjemy tam kasetę, zadzwonię do Nowego Jorku, do pracy. Przyślą stamtąd ochroniarzy, którzy zapewnią nam bezpieczeństwo.

Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, silnik samochodu zgasł. Cole wcisnął pedał gazu, ale nic to nie pomogło. Spojrzał we wsteczne lusterko i ze złością ude-

rzył w kierownicę. Bennett zbliżał się. Był paręset metrów za nimi.

- Trzymaj się mocno! - krzyknął Cole. Z całej siły nacisnął hamulce. Koła przestały się kręcić. Zaśmierdziało paloną gumą. - Biegnij za mną! - krzyknął, kiedy samochodem zarzuciło przy ostrym hamowaniu. Sięgnął na tylne siedzenie, złapał plecak, otworzył drzwi i zaczął biec pod górę, w kierunku sporego centrum handlowego, ciągnącego się wzdłuż ulicy.

Tori wyskoczyła z samochodu i pobiegła za Cole'em. Biały sedan zatrzymał się tuż za bronco.

- Dokąd biegniemy? - krzyknęła.

- Zobaczysz!

Nagle stopa Cole'a wpadła w dół, którego nie zauważył pod wysoką trawą.

- Jezu! - Ból przeszył nogę od kostki w górę. To była ta sama noga, którą skręcił w czasie pogoni na Manhattanie, kiedy uciekał do biblioteki.

- Chodź! - Tori pomogła mu wstać. Bennett biegł za nimi i jednocześnie przeładowywał pistolet.

Ból promieniował na całą nogę, ale Cole ze spuszczoną głową kulejąc, brnął naprzód. Bennett był niecałe pięćdziesiąt metrów za nimi. Przeskoczyli metalową barierę na szycie górki i przebiegli przez parking.

- Tam! - Cole wskazał wypożyczalnię kaset wideo wśród sklepów. - Tam idziemy!

Przedostali się między rzędami zaparkowanych samochodów i między ludź-

mi pchającymi przed sobą wózki z zakupami. Bennett, nie zważając na nic zaczął strzelać. Kule odbijały się od masek samochodów, tłukły szyby. Ludzie zaczęli krzyczeć i kłaść się na chodnik, żeby uchronić się przed strzałami.

Cole, kulejąc, dopadł drzwi wypożyczalni. Była to niewielka wypożyczalnia, oferująca parę tysięcy tytułów. Minał paru zdumionych klientów i dokuśtykał za ladę.

- Hej! - Kierownik wypożyczalni zastąpił mu drogę do magazynu, gdzie leżały kasety, zapakowane w czarne, plastikowe pudełka. - Tam nie ma wejścia.

- Zejdź mi z drogi! - Cole odepchnął drobniejszego od siebie mężczyznę, który upadł na ziemię, i wszedł do magazynu.

- Wezwij policję! - Kierownik podniósł się z ziemi i krzyknął do pracownika, który stał za ladą i obsługiwał klientów. Potem palcem wskazał na Tori. -

Pani

przyjaciel będzie miał kłopoty, panienko.

- Nawet nie wyobraża pan sobie, jak poważne - odparła, ledwie łapiąc oddech. - Pan zresztą też.

190

- Co? - Kierownik spojrział na drzwi wejściowe, skąd doleciał krzyk kobiety.

Bennett Smith wpadł do środka, trzymając przed sobą pistolet.

- Gdzie jest Cole? - syknął, idąc prosto na Tori. Nie zwracał najmniejszej uwagi na klientów i pracowników wypożyczalni. Zresztą i tak wszyscy rzucili się do ucieczki.

- Nie wiem - odpowiedziała.

Bennett chwycił ją za włosy i obrócił tak, że znalazła się plecami do niego.

Przyłożył jej pistolet do głowy.

- Ma jeszcze kasetę?

- Nie wiem - jęknęła.

Bennett mocno pociągnął ją za włosy do góry, tak że musiała wspiąć się na palce.

- Ma kasetę?

- To boli! - krzyknęła.

- Puść ją Bennett! - zawołał Cole, stając w drzwiach magazynu. Pusty plecak rzucił na ladę. Z daleka słychać było dźwięk syren. - Taśma z Dealey jest w jednym

z pudełek w magazynie. - Głową wskazał do tyłu, na magazyn za plecami. Spojrzał na drzwi wejściowe. - Zdaje się, że policja będzie tu za parę minut. Nie sądzę, żeby

ci się udało znaleźć kasetę w ciągu tego czasu i jeszcze zdążyć uciec.

Przez chwilę Bennett patrzył na Cole'a, po czym puścił Tori i cofnął lufę pistoletu od jej głowy.

- To koniec, Bennett - powiedział głośno Cole. - Koniec!

Nagle na twarzy Bennetta pojawił się uśmiech. Znow chwycił Tori za włosy i pchnął ją w kierunku Cole'a.

- Do końca jeszcze daleko - warknął.

- Zrób coś, Cole! - pisnęła Tori.

Zanim jednak Cole zdążył się ruszyć, Bennett wycelował w niego pistolet i strzelił. Kula przeszła obok lewego ucha Cole'a. Poczł falę gorącego powietrza, jakby ktoś mu przyłożył do twarzy wylot rury buchającej parą. Poczł zapach prochu. Instynktownie przekościłkował przez ladę i rzucił się na podłogę. Usłyszał zatraskujące się drzwi.

Zerwał się z powrotem na nogi i błyskawicznie znalazł się po drugiej stronie lady. Przekręcił w prawo klamkę drzwi magazynu i pchnął je, ale były zamknięte od środka.

- Nie ruszaj się!

Cole odwrócił się. W drzwiach do wypożyczalni stał policjant z pistoletem wycelowanym w Cole'a.

- Ręce do góry! - krzyknął młody policjant. Był zdenerwowany. Cole widział to w jego twarzy. Miał rozbiegane oczy, a głos mu drżał.

- Panie władzo, on wziął zakładnika - powiedział spokojnym głosem Cole.

- Podnieś do góry ręce! - Pochylony policjant zrobił parę kroków do przodu.

Pistolet miał wycelowany w Cole'a. - Nie odzywaj się, dopóki cię o to nie

poproszę!

Cole powoli podniósł ręce. Słyszał, jak za drzwiami Bennett przewraca kasety, które spadały na podłogę. Gdyby jakimś cudem wpadła mu w ręce pudełko z filmem „Reds”, wyszedłby tylnymi drzwiami i tyle by go widziano.

191

Policjant był już o metr od Cole’a. Z oddali słychać było coraz więcej syren wozów policyjnych. Za chwilę w wypożyczalni zaroi się od glin i jeżeli Bennett do

tej pory nie znajdzie kasety sytuacja na moment ulegnie zawieszeniu. Policjanci otoczą budynek i wezwą brygadę specjalną która pojawi się za jakieś pół godziny.

Do tej pory Bennett na pewno znajdzie taśmę z Dealey która jest w pudełku z napi-

sem „Reds”. Wtedy użyje Tori jako zakładnika, którego obieca wypuścić, jeżeli pozwolą mu odejść. Cole jasno widział, jak mogą potoczyć się wypadki.

- Na podłogę! - krzyknął policjant do Cole’a.

Cole, klęcząc, uderzył rękaw prawy nadgarstek policjanta. Pistolet upadł na podłogę, a kiedy policjant schylił się, żeby go podnieść, Cole wymierzył mu cios od dołu, w brodę. Policjant przewrócił się na plecy, tracąc przytomność.

Cole chwycił pistolet. Podbiegał do magazynu, kiedy za jego drzwiami padł strzał. Cole strzelił dwa razy w zamek, który rozpadł się. Drzwi ustąpiły. Cole z impetem wpadł do pomieszczenia. Potknął się, wpadł na półkę z kasetami i się przewrócił. Natychmiast wycelował pistolet w tamtą stronę, skąd padł strzał.

Nie był przygotowany na widok, który zastał. Bennett leżał na podłodze przy tylnym wejściu do magazynu. Z rany na piersi płynęła krew. Kasetka z napisem „Reds” leżała na podłodze obok. Tori siedziała na podłodze, jakiś metr od

Cole’a.

Jedną rękę miała przykutą kajdankami do półki z kasetami, w drugiej trzymała pistolet generała. Pistolet zdążyła włożyć sobie do kieszeni, zanim wjechali z Co-

le’em na autostradę.

- Co tu się dzieje? - Cole natychmiast poderwał się na równe nogi.  
- On znalazł taśmę z Dealey! - krzyknęła Tori. - Chciał uciec tylnymi drzwiami. Nie mogłam mu na to pozwolić. - Oddychała szybko. - Znajdź kluczyk do kajdanek. Ma go w kieszeni spodni. Uwolnij mnie! Pospiesz się, Cole!

Bennett jęknął i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Nie miał broni. Cole dostrzegł pistolet Bennetta. Leżał pod drugą ścianą gdzie musiał upaść po strzale

Tori. Bennett oparł głowę o ścianę. Po brodzie spływała mu cienka strużka krwi. Cole spojrzął na drzwi. Za chwilę policjanci wpadną tu całą gromadą. Aresztują go i to będzie koniec szansy na dostarczenie taśmy z Dealey we właściwe ręce. DIA dowie się o wszystkim, a kasetę zaginie na zawsze.

Cole rzucił się tam, gdzie pod ścianą siedział Bennett. Podniósł pudełko z kasetą sprawdził jeszcze, czy na pewno w środku jest taśma z Dealey.

- Cole! - krzyknęła Tori. - Nie zostawiaj mnie tu!

Spojrzął na nią. W ręku trzymała pistolet generała i celowała w niego.

- Tori! Co ty, do diabła, robisz?

- Zabierz mu kluczyki od kajdanek!

Cole zamrugnął oczami. Syreny policyjne były już blisko.

- Ona jest z DIA - jęknął Bennett. - Nie zdejmuj jej kajdanek.

- Co takiego? - Cole odwrócił się w stronę Bennetta.

- Nie słuchaj go - syknęła Tori. - Stara się grać na zwłokę. Sam nie może dostać kasety i nie chce, żebyś ty ją miał.

- Ona jest z DIA. Poznają ją Cole - szepnął Bennett. Mógł mówić tylko szeptem. - Jest zaangażowana w operację, o której ci mówiłem. Pracuje dla Wil-

192  
liama Sewarda, który kieruje operacją „Śnieżycy”. Pamiętasz, mówiłem ci o tej operacji, kiedy byliśmy nad rzeką.

Cole spojrzął na Tori. Wciąż trzymała pistolet, celując w niego. Ta dziewczyna rozwalila głowę generała kamieniem, a potem pobiegła dookoła domu, żeby wejść frontowym wejściem. Bardziej naturalną reakcją byłaby ucieczka. A teraz

strzeliła do Bennetta. Może rzeczywiście była z DIA?

- Cole, weź te kluczyki - nalegała, trzymając go na muszce.

- Sprawdź, czy ma pod paznokciem palca wskazującego lewej ręki znak - przekonywał Bennett, kaszląc. - Sprawdź, czy ma znak.

Cole spojrział na lewą dłoń Tori, którą miała przykutą do półek.

Tori potrząsnęła głową.

- Jeżeli wyjdiesz stąd beze mnie, będziesz miał do czynienia z kimś innym, Cole. Twój ojciec chciał, żebym również ja skorzystała z tej kasety. Za dużo prze-

szłam i zainwestowałam, żeby teraz pozwolić ci wyjść stąd i sprzedać ją komuś innemu. Jeśli zrobisz krok w kierunku wyjścia, zastrzelę cię, przysięgam. -

Pisto-

let trząśł się jej w rękę, a po policzkach płynęły łzy.

- To świetna aktorka, Cole - powiedział Bennett. - Ona naprawdę jest z DIA.

- Kłamca! - wrzasnęła Tori. - Chcesz zobaczyć, co mam pod paznokciem, Cole? To cię przekona? - Potrząsnęła dłonią uwięzioną kajdankami przy półce. - To ten palec?

- Tori, nie! - krzyknął Cole.

Ale już było za późno. Włożyła palec do ust i zębami zerwała paznokcieć.

Zawyła z bólu. Polała się krew, ale Tori wessała ją i podniosła do góry palec.

Pod

paznokciem nie było żadnego tajemnego znaku.

- Bennett, ty draniu. - Cole pochylił się i przeszukał kieszenie Bennetta. Znalazł klucz. Podbiegł do Tori, uwolnił ją z kajdanek, pomógł jej wstać i objął ją mocno. - Jesteś niesamowita.

- Musimy uciekać! - powiedziała błagalnym tonem.

- Racja. - Cole złapał ją za rękę i pociągnął do tylnego wyjścia.

Głowa Bennetta opadła bezwładnie na pierś, kiedy zobaczył, że znikli w drzwiach. Czuł, że jego płuca powoli wypełniają się krwią. Umrze i tak, niezależnie od tego, czy lekarzom w Helenie uda się go uratować, czy nie. Nawet

jeżeli

przeżyje operację, znajdą go i dostanie kolejną kulkę, tym razem precyzyjniej wymierzoną.

Przeczołgał się po podłodze. Słyszał głosy policjantów, wchodzących do wypożyczalni. Kiedy sięgnął po leżący pod ścianą pistolet, pierwszy z policjantów wpadł do magazynu przez drzwi za ladą. Wycelował w Bennetta rewolwer.

- Nie ruszać się! - krzyknął.

Ale Bennett już miał w ręku broń. Jednym zręcznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i wypalił.

13 -

25

Tori truchtiała za utykającym Cole'em. Pośpiesznie przeszli przez asfaltowy plac za sklepami i zmierzali teraz w kierunku drzew. Nie było tu nikogo oprócz nich. Nikt się nie kręcił między stojącymi tam wozami dostawczymi. Kiedy znaleźli się wśród drzew, Cole skręcił w prawo. Jakies czterysta metrów dalej słychać było samochody pędzące autostradą.

Tori ścisnęła drugą ręką krwawiący palec. Starła się nie odstępować na krok od Cole'a. Miała wrażenie, że palec płonie żywym ogniem. Paznokciec był całkiem oderwany z jednej strony, a z drugiej trzymał się na skórze.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Wracamy do samochodu - odpowiedział Cole, utykając między drzewami.

Pod pachą mocno ścisnął taśmę z Dealey

- W bronco nie ma paliwa, zapomniałeś o tym? - Była na niego wściekła, bo palec bolał okropnie, a zrobiła to przecież z jego powodu.

Cole nic nie odpowiedział. Szedł dalej.

Po chwili dotarli do autostrady. Jechało dużo samochodów. Dochodziła piąta po południu i ludzie wracali z pracy. Kilkaset metrów stąd na północ przy drodze stał zaparkowany bronco, a tuż za nim biały sedan. Policji nigdzie w pobliżu nie zauważyli.

- Idziemy tam - powiedział Cole, wskazując miejsce, gdzie stały dwa samo-

chody. - Ty poprowadzisz. Ja nie mogę ruszyć stopą. Poza tym nie zwrócą na ciebie uwagi. Ten gliniarz w wypożyczalni nie widział cię. Policjanci nie będą mieli twojego rysopisu, zanim nie wezmą zeznań od klientów wypożyczalni. Wątpię jednak, żeby ktoś zapamiętał szczegóły. Gliniarze będą szukać mnie. Jeżeli zobaczymy policję, schowam się. Nie zatrzymują kobiety, która jedzie sama.

- A jeżeli zablokują drogę? - zastanawiała się Tori.

- Jedyne miejsce, gdzie mogliby zrobić blokadę, to autostrada. Za dużo tu dróg. Montana jest olbrzymia. A my nie będziemy na autostradzie długo. Bocznyimi drogami pojedziemy na południe, w kierunku Bozeman, minimy miasteczko i skręcimy na wschód, do Livingston. A stamtąd do Billings i samolotem do

194  
Minneapolis. Rano powinno być jakieś połączenie do Minneapolis i St. Paul. Z Min-

neapolis polecimy do Nowego Jorku i oddamy kasetę w ręce twojego szefa.

Tori podniosła na niego oczy.

- A co z twoim szlachetnym pomysłem przyznania mi prawa pierwokupu? Myślałam, że wystawisz na licytację ten twój skarb, żeby wybrać najlepszą ofertę. A potem zapytasz mnie, czy mogę oferować taką samą cenę.

Cole pokręcił głową i wskazał na jej wciąż obficie krwawiący palec.

- Po twoim występie w wypożyczalni kaset zasłużyłaś na wyłączność. Dziesięć milionów uważam za przyzwoitą cenę. Zresztą i tak mam zamiar odpalić ci działkę. Gdybyś nie zatrzymała Bennetta, kiedy uciekał z magazynu z kasetą, nie miałbym już filmu, a więc również i dziesięciu milionów. - Skrzywił się, kiedy znowu spojrzał na jej palec. - Nie wiem, czy potrafiłbym sam sobie zerwać paznokiec. To najbardziej bohaterski czyn, jaki w życiu widziałem.

- I jeden z najgłupszych.

- Nie. Gdybyś tego nie zrobiła, nie mógłbym ci tak do końca ufać. - Cole spojrzał jej głęboko w oczy. Mimo piekła, przez jakie przeszła w ciągu dwóch ostatnich dni, wciąż wyglądała cholernie pięknie. - Teraz jesteś dla mnie kimś.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się blado.



Delikatnie dotknął jej ramienia.

- Wskakujmy do środka. Za parę minut w lasku będzie pełno policji z psami.

Tori zatrzymała go za ramię.

- Przecież w bronco nie ma paliwa.

Cole wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął z niej kluczyki.

- Znalazłem to, kiedy przeszukiwałem kieszenie Bennetta, szukając kluczy do kajdanek.

Roześmiała się mimo bólu przeszywającego nie tylko palec, ale i całe lewe ramię, aż do barku.

- Potrafisz sobie radzić w każdej sytuacji.

- Nie w każdej. - Rzucił jej kluczyki, po czym pokuśtykał z górki, w stronę autostrady. Minutę później siedzieli w białym sedanie i włączali się do ruchu.

- A jeżeli Bennett powie policji, żeby szukali jego wozu? - zapytała przewijającą Tori. Bez przerwy zerkła to w boczne, to we wsteczne lustro. - Musiał zauważyć, że zabrałeś mu kluczyki. Mógł podać im numer rejestracyjny swego samochodu i mój rysopis.

- Bennettem nie należy się już przejmować.

- Dlaczego nie?

- Słyszałaś strzał, kiedy przechodziliśmy przez plac za sklepami?

Kiwnęła głową.

- Tak, słyszałam.

- Bennett nikomu nie przekaze na nasz temat żadnych informacji. Chyba że jest aż tak kiepskim strzelcem albo ma niesamowicie twardą czaszkę.

- O czym ty mówisz?

- Bennett nie żyje. Jestem pewien, że ten pojedynczy strzał to strzał samobójczy. Kiedy przeszukiwałem jego kieszenie, poprosił mnie, żebym nie zabierał

195  
z podłogi jego pistoletu. Chciał umrzeć po swojemu. Nie mam wątpliwości, że to zrobił.

Tori patrzyła przed siebie, czując się jak w transie. Wszystko, co ich spotyka-

ło, było niewiarygodne.

- Skręć tu. - Cole wskazał znak informujący o zjeździe z autostrady.

Na szczycie góry znajdowało się skrzyżowanie ze światłami sygnalizacyjnymi.

- Jedź w lewo - zarządził Cole. - Na południe.

Nagle usłyszeli dźwięk syreny.

- Gdzie oni są? - krzyknęła Tori.

- Nie wiem - Cole odwrócił się, rozglądając się za wozem policyjnym.

Nagle zobaczyli pędzącą z przeciwka karetkę pogotowia. Kiedy minęła ich, Tori zjechała na bok i zwolniła.

- Mam tego wszystkiego dosyć. Zadzwoń do mojego szefa w NBC. Zorganizuje nam ochronę. Mogą przylecieć po nas prywatnym odrzutowcem. Będą Billings, zanim my tam dotrzemy.

- Świetnie. - Uśmiechnął się Cole. - Podobają mi się ten pomysł z prywatnym odrzutowcem i ochroniarzami. Najpierw jednak musimy zwiększyć trochę dystans między nami a policją z Heleny. Potem możesz zadzwonić do szefa.

Godzinę później Tori zjechała z trasy na stację benzynową w małej miejscowości Cardwell, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Heleny. Korzystając z karty, którą kupiła dziś rano w Billings, zadzwoniła do Nowego Jorku. Kiedy skończyła rozmowę, pobiegła do samochodu z uśmiechem na twarzy.

- Z czego się tak cieszysz? - zapytał Cole, wysiadając z samochodu. Kostka spuchła mu potwornie i kiedy stanął na nogi, skrzywił się z bólu.

- Nie uwierzysz, jakie mamy szczęście. Złapałam Raya Burgessa w jego domu w Greenwich, w stanie Connecticut. Ray jest wiceprezesem NBC News. Na wschodzie jest ósma wieczorem. Wybierał się właśnie na jakąś imprezę charytatywną. Opowiedziałam mu, o co chodzi. Nigdy nie był taki podekscytowany.

- To świetnie.

- Mam też dobrą wiadomość dla ciebie.

- Cóż takiego?

- Powiedziałam mu, że zapłacimy ci piętnaście milionów dolarów. - Wskazała głową na kasetę, którą Cole miał w ręku. - Ray chce mieć pewność, że kasetę

stanie się wyłączną własnością NBC News.

-Żartujesz.

- Nie żartuję. Muszę ci jednak powiedzieć, że trochę mnie rozczarowujesz.

- Dlaczego?

- Bo wciąż mi nie ufasz.

- Co znowu? Ach, kasetę. - Wychodząc z samochodu, kiedy szedł do budki, żeby zadzwonić, odruchowo zabrał ze sobą taśmę z Dealey. - Przepraszam. - Położył kasetę na siedzeniu pasażera obok kierowcy.

Tori wręczyła mu kartę telefoniczną i patrzyła, jak kuśtyka do telefonu. Kiedy wszedł do budki, podeszła do drzwi od strony kierowcy, usiadła za kierownicą i sięgnęła do stacyjki. Ale kluczyka nie było. Pokręciła głową. Cole nikomu nie

196  
ufał do końca, nawet jeżeli twierdził, że jest inaczej. Po prostu byłoby to  
wbrew

jego naturze.

Cole zamknął za sobą drzwi budki telefonicznej. Najpierw zadzwonił na komendę policji w Helenie. Podał policji dokładny namiar na dom generała i poinform-

ował, że odbyło się tam zbiorowe samobójstwo. Wiedział, że takiej informacji nie

zignorują i pojedą tam natychmiast. Następnie wykręcił numer domu Andersonów w Duluth.

Tori przetrząsała zawartość schowka w samochodzie w poszukiwaniu chusteczek albo papierowego ręcznika. Ale nic takiego nie znalazła. Wzruszyła ramionami i zaczęła odgryzać paznokcie jak najbliżej skóry. Gdy go oderwie do końca, będzie mniej bolało. Do samochodu wsiadł Cole.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Nie odpowiedział.

- Cole?

- Tak - mruknął.

- Mam jeszcze jedną dobrą wiadomość - rzekła radośnie. - Ray Burgess powiedział, że prywatny odrzutowiec już przed północą będzie w Billings. NBC ma do swej dyspozycji samolot w Chicago. W Nowym Jorku będziemy przed świtem. Powiedział, że wysła też paru ochroniarzy.

- Świetnie - stwierdził cicho Cole.

- Coś się stało?

- Prywatny odrzutowiec będzie musiał zrobić postój w drodze między Billings i Nowym Jorkiem.

- Co masz na myśli?

Cole wyjął z kieszeni koszuli kluczyki do stacyjki i podał je Tori.

- Mają zakładnika.

- Kto ma zakładnika?

- Ludzie z tajnej operacji prowadzonej przez Agencję Wywiadowczą Obrony Narodowej - wyjaśnił ściszym głosem. - Ludzie, do których, według Benetta, ty miałabyś należeć.

- No i co?

- Uwolnię zakładnika w zamian za ostatnią kopię taśmy z Dealey, którą mam im dostarczyć.

Tori patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Kto jest zakładnikiem?

- Nicki Anderson - powiedział ponuro Cole. - Dziewczyna, na której mi bardzo zależy.

Tori ciężko westchnęła.

- Gdzie ma wylądować samolot?

- W Minneapolis.

- Chyba lepiej będzie, jeśli już ruszymy. - Przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik zaryczał, pobudzony do życia.

Przez trzy następne godziny Cole prawie się nie odezwał. Studiował mapę, którą kupił na stacji benzynowej w Cardwell. Prowadził Tori bocznymi drogami

południowo-centralnej Montany. Łatwo było przewidzieć, że wezmą Nicki jako zakładniczkę. Skoro wiedział o niej Bennett, dlaczego miałby nie wiedzieć Magee i jego przełożeni? Cole zakrył ręką twarz i przetarł oczy. Potrzebował snu, ale męczyła go myśl, że Nicki jest w ich rękach.

Przez dłuższy czas Tori też się nie odzywała. Cole patrzył w mrok, mijały kilometry. Wreszcie zaczęła mówić. Może po to, żeby jego zmusić do mówienia.

- Nie rozumiem jednej rzeczy z tego, co wydarzyło się w wypożyczalni kaset.

- Czego?

- Kiedy Bennett mnie trzymał, a ty zastąpiłeś mu drogę, strzelił do ciebie, ale spudłował. Strzelił z odległości najwyżej półtora metra. Jak to się stało, że nie

trafił z tak bliska?

- Zrobił to umyślnie - odpowiedział obojętnym głosem Cole. - Myślę, że wcale nie chciał mnie zabić. Dlatego zostawiłem mu pistolet. Kiedy przeszukiwałem go, szukając kluczyków od kajdanek, powiedział mi, że powinienem wziąć kluczyki do jego samochodu.

- To znaczy, że nie trafiłeś na nie przypadkiem?

Cole pokręcił przecząco głową.

- Myślę, że odezwały się w nim resztki sumienia - mruknął, kiedy na horyzoncie, od wschodniej strony, pojawiły się światła miasta Billings. - Tori, czy zechcesz mi pomóc jeszcze raz? - zapytał Cole. - Polecisz ze mną do Minneapolis czy mam cię zostawić na lotnisku w Billings i sam lecieć na wschód?

- Ci ludzie to nie amatorzy.

- To prawda - zgodził się Cole. Wciąż walczył ze swoją wyobraźnią która podsuwała mu najgorsze scenariusze dotyczące Nicki.

- Domyślam się, że trudno będzie uratować Nicki i nie stracić kasety.

- Masz rację - potwierdził Cole.

Spojrzała na swój zakrwawiony palec w świetle tablicy rozdzielczej. W ciągu ostatnich paru godzin ból trochę ustąpił.

- Do diabła z tym! Spróbujemy.

26

#olfsztrom IV łagodnie zaczął schodzić do lądowania na jednym z pasów międzynarodowego lotniska Minneapolis - St. Paul International Airport.

Była trzecia trzydzieści siedem rano, czasu centralnego. Samolot parę minut krążył nad lotniskiem, po czym wylądował na prywatnym terminalu. Cole ostrożnie zszedł po schodkach z samolotu. W mroźnym powietrzu utrzymywał się jeszcze zapach spalin. Cole czuł się nieco lepiej po dwóch godzinach snu, na które pozwolił sobie podczas lotu z Billings. Tylko kostka wciąż go bolała. Kulał, kiedy szedł do terminalu, a potem do głównego wyjścia z lotniska.

- Do hotelu „Sofitel” na Bloomington - powiedział kierowcy, wsiadając do taksówki. Kiedy dzwonił z budki w Cardwell, matka Nicki przez łyzy podała mu numer telefonu w Waszyngtonie. Był to numer telefonu człowieka, który porwał Nicki. Cole zadzwonił tam z samolotu. Beznamiętny głos skierował go do hotelu „Sofitel” na obrzeżach Minneapolis. Cole miał tam czekać na dalsze instrukcje. Człowiek, który przekazał mu tę instrukcję, zabronił komukolwiek wspominać o tym, co się wydarzyło. Jeżeli ktoś się o tym dowie, Nicki zginie.

Dwadzieścia minut później taksówka zajechała przed hotel. Cole zapłacił za kurs pieniędzmi, które dała mu Tori, i utykając wszedł do środka. Hol główny hotelu był pusty. Recepcjonistka podejrzliwie zerknęła na Cole'a, kiedy usiadł w jed-

nym z foteli. Prawie natychmiast pojawił się mężczyzna, którego Cole widział pierwszy raz w życiu.

- Proszę za mną.

Przed wejściem do windy Cole zatrzymał się.

- Śmiało - powiedział nieznajomy. - Nic się nie stanie.

Cole wszedł do kabiny i drzwi zamknęły się. W milczeniu wjechali na drugie piętro. Drzwi się otworzyły.

- Tędy

Szli długim korytarzem. Ich buty zapadały się w miękki dywan. Minęli czwo-

ro drzwi. Przy piątym prowadzący Cole'a mężczyzna zatrzymał się i zapukał. Parę sekund później drzwi rozwarły się na szerokość, na jaką pozwalał łańcuch, 199

i ktoś wyjrzał przez szparę. Drzwi zamknęły się, a kiedy ktoś z drugiej strony odsunął łańcuch, znów się otworzyły. Cole wszedł do środka pierwszy.

Na końcu długiej kanapy w salonie apartamentu siedział William Seward.

Pałił papierosa. Generał Zahn, w cywilnym ubraniu, siedział na drugim końcu kanapy. Seward zaciągnął się ostatni raz, wypuścił dym i wstał.

- Jestem William Seward - przedstawił się, nie podając ręki.

- Pan jest z DIA i kieruje pan operacją „Śnieżycą”.

- Skąd pan...

- Mam swoje źródła - przerwał mu Cole. - Proszę pamiętać, że pracuję na Wall Street. - Nazwisko Sewarda zdradził mu Bennett w wypożyczalni wideo, kiedy oskarżał Tori o współpracę z DIA.

Seward spojrział w prawo, gdzie poruszyła się klamka drzwi sypialni.

Cole aż zmrużył oczy, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich komandor Magee.

- Cześć, Magee - powiedział spokojnie Cole. - Miło cię widzieć, chociaż to dla mnie niespodzianka. Myślałem, że związałem cię wystarczająco mocno, kiedy rozstawaliśmy się w Wisconsin. Jak ci się udało uwolnić?

- Pieprz się.

- O, to trudna sztuka.

- Starczy tego. - Seward podniósł do góry dłoń. - Domyślam się, że nie ma pan przy sobie kasety, panie Egan. Udowodnił pan, że jest pan pomysłowym przeciwnikiem. Trudno sobie wyobrazić, żeby przyszedł pan tutaj i po prostu dał nam kasetę do ręki.

- Słusznie.

- Czy w ogóle ma pan kasetę?

- Powiedzmy, mam nad nią kontrolę.

- Co pan proponuje? - zapytał Seward.

- Wymiany dokonamy na lotnisku w Minneapolis dziś o szóstej czterdzieści pięć rano. - Cole spojrzął na zegarek. - To trochę więcej niż dwie godziny.

Nicki

Anderson w zamian za kasetę. Wymienimy się przed karuzelą numer dwa, gdzie odbiera się bagaże.

- Na to nie mogę się zgodzić. - Seward sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy.

- Jeżeli za siedem minut nie zejść na dół do holu głównego, osoba, która ze mną współpracuje, przekaże kasetę swoim ludziom. Film z zabójstwem prezydenta Kennedyego jeszcze dziś zostanie pokazany przez wszystkie stacje telewizyjne. Na film-

nie dokładnie widać, że w zabójstwie uczestniczył snajper, stojący za płotem na ziem-

lonym pagórku. - Cole wzruszył ramionami. - Zresztą po co mówię, co jest na kase-

cie? Przecież sami to wiecie. Rzecz w tym, że cała Ameryka zobaczy to, co pan od trzydziestu pięciu lat próbuje przed nią ukryć. Dochodzenie w sprawie zabójstwa zo-

stanie wznowione i wszyscy na górze będą poddani śledztwu. Nie mogę się doczekać, kiedy usiądę w pierwszym rzędzie w czasie przesłuchań w Kongresie.

Kątem oka Cole zauważył niewysokiego mężczyznę w ciemnym garniturze, który pojawił się w drzwiach prowadzących do kuchni apartamentu.

200

Seward spojrzął na Anthony'ego Bianco.

- Dobrze, panie Egan, rozumiemy sytuację. - Seward zapalił papierosa. Zapalka trzęsła mu się w rękę. Znowu spojrzął na niskiego mężczyznę.

- To już lepiej - mruknął Cole, zadowolony, że Seward skapitulował tak szybko. - Zanim wyjdę, chcę zobaczyć Nicki.

Seward nie miał nic przeciwko temu. Skinął na Magee'ego, który wszedł z powrotem do sypialni.



Cole zauważył, że kiedy pojawił się niski mężczyzna, wszyscy zaczęli się ruszać żwawiej.

Magee szybko wrócił z sypialni. Przed sobą prowadził Nicki.

Kiedy zobaczyła ona Cole'a, wyrwała się Magee'emu i padła Cole'owi w ramiona.

- Pomóż mi - załkała. - Tak się boję.

Przytulił ją mocno, a ona rozplakała się.

- Wszystko będzie dobrze, Nicki. Przyrzekam ci.

27

Na piętrze już się zaczął ruch. To biznesmeni spieszyli do terminali, żeby zdążyć na poranne odloty. Ale na dole, w miejscu, gdzie odbierano bagaż, było zaledwie parę osób, które wołały czekać na odlot tutaj, żeby uniknąć tłoku na górnym piętrze. W swoich stoiskach siedzieli pracownicy korporacji taksówkarskich, a na wózkach odpoczywali bagażowi.

Cole stał przed karuzelą z której odbierało się bagaż. Jeszcze raz spojrzał doko-

ła, zastanawiając się, ile osób tutaj jest pracownikami DIA. Uchwycił na sobie wzrok

kobiety stojącej przy stoisku Hertza. Przyglądała mu się wyjątkowo uporczywie.

A może to znowu ta jego chora wyobraźnia. Spojrzał na monitory wyświetlające godziny przylotów, a potem zerknął na zegarek. Już czas.

Nagle dostrzegł ich. Nicki szła między Sewardem i mężczyzną który spotkał go w hotelu „Sofitel”. Nicki miała na sobie džinsy, jasnożółtą bluzę z kapturem włożonym na głowę i okulary przeciwsłoneczne. Seward i drugi mężczyzna mocno trzymali ją za łokcie.

Cole patrzył, jak Nicki w ich towarzystwie powoli idzie przez halę bagażową z drugiego końca terminalu. Jeszcze raz spojrzał na monitory. Według informacji wyświetlonej na ekranie samolot już wylądował. Powinni tu zaraz dotrzeć jego pasażerowie.

Nicki ze swoją eskortą była teraz parę metrów od niego. Cole pomyślał, że

Seward wygląda bardzo sympatycznie, ale to wilk w owczej skórze.

Nagle, z górnego poziomu zaczęli schodzić i zjeżdżać ruchomymi schodami ludzie, zalewając Sewarda i Nicki jak powódź. Wylądował samolot z Tokio i czterystu zmęczonych podróżą pasażerów ruszyło do karuzeli po swój bagaż. Pięć minut temu miejsce to było zupełnie puste, a teraz roilo się w nim jak w ulu.

Cole uśmiechnął się do siebie, kiedy zobaczył, jak Seward i jego pomocnik rozglądają się nerwowo, usiłując zlokalizować swoich ludzi, porzostawianych w ustalonych

miejscach w całej hali przylotów. Cole podążał za ich spojrzeniami i bez trudu

wyłapywał z tłumu pomocników Sewarda. Nie ulegało wątpliwości, że to ci bardzo skupieni ludzie, którzy próbowali nie stracić z oczu żółtej bluzy Nicki.

Uśmiechnął

202

się do siebie mimo powagi sytuacji. Wżyciu dobry plan jest najważniejszy. Cole przygotował się dobrze do tego spotkania. Zanim powiedział Sewardowi, że wymiana ma się odbyć o szóstej czterdzieści pięć, przestudiował rozkład przylotów i dowiedział się

o działaniu pracowników bagażowych, na którą karuzelę trafiają bagaże z samolotu lądującego o tej godzinie. Jednak lądowanie mogło być opóźnione, co często zdarza-

ło się na międzynarodowych trasach. Na szczęście tym razem tak się nie stało.

Za chwilę wylądował następny samolot, z Berlina, i hala bagażowa znów wypełniła się tłumem ludzi.

Cole manewrował w tym tłumie tak, że znalazł się naprzeciw Sewarda.

- Gdzie pańska karta przetargowa? - zapytał Seward głośno, przekrzykując gwar paru setek rozmów prowadzonych równocześnie.

- Dam ją panu, kiedy będę trzymał za rękę Nicki.

Seward kiwnął głową i dał znak towarzyszącemu mu mężczyźnie. Obydwaj odsunęli się od dziewczyny.

Cole zrobił krok do przodu, a Nicki zarzuciła mu ramiona na szyję i rozszlochała się. Spod ciemnych okularów łzy strumieniami spływały jej po policzkach. Cole nie objął jej. Przyklęknął i dokładnie ją zrewidował, poczynając od nóg, w poszukiwaniu ładunku wybuchowego.

- Nic na niej nie ma! - zawołał Seward, przekrzykując panujący wokół hałas. Seward i jego człowiek znów zbliżyli się do Cole'a i Nicki. Obawiali się, żeby nie rozdzielił ich tłum.

Cole objął Nicki i szepnął jej do ucha, co ma robić. Pogłaskał ją po głowie i rzucił jej z głowy kaptur. Klepnęła go po ramieniu, co znaczyło, że go rozumiała. Cole wyciągnął rękę do góry, jak gdyby przeciągając się. Był to sygnał dla

jednego z ochroniarzy, który stał pod ścianą i udawał, że czyta gazetę.

M-80, taką nazwę miała petarda, którą Cole kupił w małym sklepiku, gdy jechali z Tori do Billings, na spotkanie samolotu wysłanego przez NBC. Petarda eksplodowała z ogłuszającym hukiem.

Ludzi natychmiast ogarnęła panika. Byli przekonani, że to wybuchła bomba. Rozległy się krzyki, tratowano się nawzajem w jedynej słusznej sprawie - ratowania swojego życia. Gdy wybuchła następna petarda, ludzi ogarnęła jeszcze większa panika. Seward i jego pomocnik padli na podłogę.

Cole złapał Nicki za nadgarstek i pociągnął ją w kierunku przenośnika taśmowego, jadącego na niższy poziom, gdzie bagaż jest przeładowywany z wózków. Przed chwilą przyjechały bagaże pasażerów samolotu z Tokio, który wylądował przed paroma minutami. W momencie kiedy Nicki i Cole stanęli na karuzeli z nierdzewnej stali, pas ruszył, a oni stracili równowagę.

Seward zerwał się z podłogi, wykrzykując polecenia swoim agentom w cywilnych ubraniach. Jednak po chwili znowu leżał na ziemi, popchnięty przez jednego z ochroniarzy Cole'a.

Cole mocno chwycił Nicki, popchnął ją w otwór na karuzeli i sam skoczył w ślad za nią objijając się o walizki i torby, jadące na taśmie w górę.

Tori czekała na dole, w miejscu, gdzie bagaże były załadowywane, ubrana w strój bagażowego.

203

- Tędy! - zarządziła.

- Hej, co tu się, do cholery, dzieje? - Mężczyzna pracujący przy rozładunku jednego z wózków z bagażami odłożył walizkę i ruszył w ich kierunku.

Tori wyjęła z kieszeni pistolet generała. Nie miała kłopotów z dostaniem się tu. Wszystko wskazywało na to, że ochrona lotniska była nie najlepsza.

- Wynoś się pan stąd! Ale to już!

- Jak pani sobie życzy. - Mężczyzna szybko wrócił na swoje miejsce. Wolał nie zadzierać z kobietą trzymającą w ręku pistolet.

Cole spojrział na przenośnik taśmowy, ale nikt ich nie gonił.

- Szybko! - powiedział. Wziął Nicki za rękę i pociągnął ją za sobą długim korytarzem.

Tori biegła za nimi.

- Jesteś już bezpieczna, kochanie - zapewnił Nicki Cole. Zaledwie piętnaście metrów dzieliło ich od wyjścia na pasy startowe.

Nagle z pomieszczenia przy drzwiach wynurzył się komandor Magee z podniesionym pistoletem. Pierwsza zauważyła go Tori. Krzyknęła.

- Rzuć broń! - zawołał Magee do Tori.

Jednak Tori zignorowała jego polecenie. Zamiast tego przyłożyła pistolet do głowy Cole'a.

- Daj mi kasetę - powiedziała spokojnym głosem.

- Co, do... - Magee wycelował w Cole'a, potem skierował lufę na Tori, a wreszcie znowu na Cole'a, zupełnie zdezorientowany.

- Ty, dziwko! - z nienawiścią szepnął Cole, zwracając się do Tori.

- Kasetę - powiedziała zadowolona z siebie Tori. - Daj mi ją.

- Co tu się dzieje? - wyjąkał Magee.

- Jestem z DIA - powiedziała spokojnym głosem Tori. - Agent specjalny

Victoria Brown.

- DIA? - zapytał Magee niedowierzająco.

- Tak - zanurzyła rękę głęboko w kieszeń kurtki Cole'a i wyciągnęła kasetę.

- Mam ją.

Jednak Magee w dalszym ciągu trzymał ją na muszce.

- Nie ruszaj się.

Dostosowała się do rozkazu.

- Rzuć pistolet - zarządził.

- Pracuję dla Sewarda, ty debilu - syknęła. - Mówię ci, że jestem z DIA, operacja „Śnieżycy”.

Słyszając nazwisko szefa i nazwę operacji, Magee na chwilę opuścił lufę pistoletu. To był błąd. Cole odwrócił się, jakby chcąc uciekać, co odwróciło uwagę Magee'ego. W tej samej sekundzie Tori strzeliła Magee'emu w pierś. Ściana za nim została zbryzgana krwią. Upadł na ziemię, charcząc w agonii.

Cole podbiegł do Magee'ego. Nadepnął mu na nadgarstek, pochylił się nad nim i wyjął pistolet z ręki.

Tori stała w korytarzu jak sparaliżowana. Z przerażeniem patrzyła na agonię człowieka, którego zastrzeliła.

204

- Tędy. - Cole otworzył drzwi na pasy startowe. - Chodźmy - krzyknął.

Nicki, zataczając się, wyszła na zewnątrz, ale Tori wciąż stała nieruchomo, wpatrzona w Magee'ego. Cole potrząsnął nią. - Nie było innego wyjścia. On albo my. Zrobiłaś to, co musiałaś. - Pociągnął ją za sobą do wyjścia.

Silniki Golsztrom IV już pracowały. Podbiegli do niego. Jeden z ochroniarzy pomógł im wejść na schodki.

Kiedy Tori weszła do samolotu, podała Cole'owi kasetę.

- Trzymaj.

- Dzięki. - Uśmiechnął się do niej. - Byłaś niesamowita.

Ochroniarz zamknął drzwi samolotu i krzyknął do pilota, że wszystko w porządku. Samolot natychmiast zaczął kołować na pas startowy.

- Cole, byłam przerażona - powiedziała Tori, opadając na skórzany fotel.

Cole uśmiechnął się.

- Nie dałaś tego po sobie poznać. Przez chwilę naprawdę uwierzyłem, że jesteś z DIA. Magee zgłupiał, kiedy usłyszał nazwisko Sewarda. Całe szczęście, że Bennett wspomniał o nim w wypożyczalni wideo.

Tori odchyliła do tyłu głowę i zamknęła na chwilę oczy. Cole odwrócił się do Nicki i objął ją.

- Wszystko dobrze?

Kiwnęła głową.

- Nic ci nie zrobili, prawda?

- Nie. - Pokręciła głową i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kocham cię - szepnęła. - Przepraszam, że potraktowałam cię tak fatalnie w Duluth.

- Dałem ci powód.

- Nie, nie dałeś- załkała.

Cole spojrzał w stronę kabiny pilotów.

- Nicki, idę pilnować pilota, na wypadek gdybyśmy nie dostali od razu pozwolenia na start. Zaraz wracam.

- Dobrze.

Cole zaprowadził Nicki na miejsce i posadził w fotelu.

- Piękna pogoda, panowie, prawda? - powiedział, wsadzając głowę do ich kabiny.

Pilot obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- Tak, rzeczywiście - odpowiedział.

Przed Golsztromem, który zmierzał na pas startowy, nie było żadnego innego samolotu.

- Golsztrom N4273B, masz pozwolenie na start - powiedział kontroler z wieży.

28

Lecieli do La Crosse w stanie Wisconsin. Za parę minut mieli wylądować. Praw-

dopodobnie Seward nie zdążył jeszcze wsiąść do samolotu Narodowej Straży Powietrznej na lotnisku w Minneapolis. Mógł jednak śledzić Golfsztroma na radarze. Jako oficer DIA miał do tego prawo. W takim wypadku mógł zawiadomić miejscową policję, która przywitałaby ich na lotnisku. Na razie udało im się uciec, ale do tego, żeby czuć się bezpiecznym, droga była jeszcze daleka. Bardzo daleka.

O tej wczesnej porze lotnisko w La Crosse nie było jeszcze zatłoczone i udało im się szybko wylądować. Kiedy tylko Golfsztrom zatrzymał się, pasażerowie pospiesznie otworzyli drzwi i zbiegli ze schodków na asfalt, przygotowani na to, że mogą być zatrzymani przez policję. Jednak nie czekał na nich nikt. Wypożyczyli samochód w biurze Avisy i odjechali z piskiem opon. Odetchnęli dopiero wówczas, kiedy znaleźli się w stanie Illinois. Teraz, kiedy już byli na terenie Con-

necticut i zmierzali do miasta Greenwich, gdzie mieszkał Raymond Burgess, wiceprezes NBC News, mogli mieć nadzieję, że plan się powiedzie.

- Skręć tu - powiedziała Tori, kierując się instrukcjami, które Burgess przekazał jej przez telefon, kiedy zadzwoniła do niego z Cardwell, w Montanie, gdzie zatrzymali się po ucieczce z Heleny.

Cole skręcił z szosy w polną drogę. Pomiędzy drzewami, w porannej mgle mignął rząd ogromnych willi, stojących daleko od drogi, na końcu długich podjazdów.

W Greenwich osiedliło się wielu wysokich urzędników, którzy codziennie dojeżdżali

do Nowego Jorku kolejką Metro North albo własnymi samochodami.

- Tam! - pokazała palcem Tori. - To tutaj.

Cole skręcił w prawo i przyspieszył, jadąc podjazdem wysadzonym starymi, wysokimi dębami po obu stronach. Zatrzymał się przy błękitnym mercedesie kombi. Sięgnął po taśmę z Dealey.

- Idziemy, księżniczko - szepnął do ucha Nicki, która drzemała na tylnym siedzeniu. - Nie możesz tu zostać.

- Dobrze - powiedziała, natychmiast budząc się.

206

Cole pomógł Nicki wysiąść z samochodu i ruszyli w ślad za Tori, która szła już wyłożoną kamieniami ścieżką prowadzącą do głównego wejścia willi. Kiedy weszli na pierwszy schodek, drzwi otworzyły się. W przedpokoju stał Ray Burgess. W ręku trzymał kubek parującej kawy. Zaprosił ich do środka.

- Witaj, Tori. - Burgess miał głęboki, władczy głos.

- Cześć, Ray.

- Cześć. - Cole uściśnął dłoń Burgessa. - Nazywam się Cole.

- Witaj, Cole. Jestem Ray Burgess. Miło cię poznać. - Burgess był mężczyzną średniego wzrostu, o dziesięciokilowej nadwadze wskutek długoletniej pracy przy biurku. Był uprzejmy, a jednocześnie bezpośredni. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy zobaczę pańską kasetkę.

Słowo „kasetka” wypowiedziane zostało z nutką ironii. Cole uśmiechnął się w duchu. Burgess szybko zmięknie, jak zobaczy film.

- Ray, to jest Nicki Anderson

- Witaj - powiedział uprzejmie Ray. Tori wspomniała Burgessowi o odbiciu zakładniczeki.

- Proponuję, żeby Nicki zaczekała tu na nas. - Cole wskazał głową kanapę w salonie.

- Oczywiście - zgodził się Burgess.

Cole posadził Nicki na kanapie, ucałował jej dłoń i wrócił do Tori i Burgessa.

- Gdzie się podziewa twoja rodzina, Ray? - zapytała Tori, kiedy szli we trójkę korytarzem prowadzącym do gabinetu Raya. - Zdaje się, że masz kilkoro dzieci?

- Tak, ale wszyscy pojechali do mojej matki, na Florydę, na Święto Dziękczynienia. Jutro do nich dołączę.

- Aha.

- Proszę do środka. - Burgess zaprosił ich do wielkiego gabinetu. Panował tam okropny bałagan. Sterty gazet i czasopism leżały na biurku, były porozrzucane



ne na skórzanej kanapie i na podłodze. - Przepraszam za bałagan - powiedział Burgess. Wziął od Cole'a kasetę i zaczął się przedzierać do telewizora, lawirując pomiędzy stertami papierów.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że w domu jesteś takim bałaganiarzem. - Tori roześmiała się, patrząc na podłogę. - W twoim biurze w Rockefeller Center jest taki porządek.

Burgess włączył telewizor i odtwarzacz wideo, stojące na półce biblioteczki pod ścianą naprzeciw biurka.

- Muszę mieć jakieś miejsce, gdzie mogę się zrelaksować. - Z pudełka „Reds” wyciągnął taśmę z Dealey i wsunął ją do odtwarzacza. - Obejrzyjmy ten kawałek historii - mruknął, przedzierając się do krzesła przy biurku. - Usiądźcie, proszę.

Pozdejmowali jakieś czasopisma porozkładane na kanapie i usiedli.

Kiedy skończyli oglądać kasetę po raz piąty, Ray Burgess odchylił do tyłu głowę i zaśmiał się. Kiedy Tori zadzwoniła z Montany, był podekscytowany, ale do pewnych granic. Po wielu latach pracy w tym biznesie przekonał się, jak łatwo tu o rozczarowanie. Tym razem było jednak inaczej. Zza płotu widać było strzel-

207  
bę, bardzo wyraźnie. Zabójczy strzał został oddany z tej broni. - To niewiarygodne, Tori. Naprawdę.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu zadowolenia.

- Dziękuję.

- Bardzo przyda się to naszej stacji - powiedział Burgess z przekonaniem.

Spojrzał na Cole'a. - W dniu, kiedy to pokażemy, zaprosimy cię do studia, Cole. Może zrobimy z tobą wywiad.

- No, nie wiem - odparł Cole. Im mniej będzie szumu wokół niego, tym lepiej.

- Chciałbym jednak uniknąć takiej sytuacji, że dam ci pieniądze, a następn-

go dnia ten sam film pokaże inna stacja.

- Rozumiem. - Cole spojrział na Tori, a potem znów na Burgessa. - O ile wiem, to jedyna kopia, jaka została. Proponuję jednak układ.

- Na czym miałby polegać?

- Wiem, że potrzebujesz czasu na znalezienie reklam w przerwy w tym materiale. Potrzebujesz też czasu na poinformowanie o filmie i skupienie uwagi całego kraju na tym wydarzeniu. Jeżeli obiecasz mi, że film zostanie wyemitowany w ciągu sześciu tygodni, zwrócę ci pieniądze w przypadku, gdyby film trafił do jakiejś innej stacji. Oczywiście pod warunkiem, że przeciek nie nastąpi z waszej winy. I kolejny ukłon w twoją stronę: możesz teraz zapłacić mi połowę, a następną połowę po emisji.

Burgess kiwnął głową.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Cole. Myślę, że NBC pójdzie na taki układ. Kiedy skończył zdanie, zadzwonił dzwonek do drzwi. Burgess odstawił kubek z kawą i podszedł do okna.

- To przesyłka, Federal Express - powiedział, kręcąc głową. - Ciągłe coś dostaję. Zaraz wracam. - Szybko opuścił gabinet.

Cole patrzył, jak Burgess wychodzi z pokoju z kasetą w ręku.

Kiedy Burgess wyszedł, Tori wyciągnęła ręce do Cole'a i objęła go mocno.

- Nie mogę w to uwierzyć. Udało się nam.

- Film jeszcze nie został wyemitowany - powiedział sceptycznie Cole.

- Ale wkrótce to nastąpi.

Burgess wrócił po chwili. Wszedł do gabinetu i rzucił na biurko paczkę z fioletowo-pomarańczowymi literami „FedEx”.

- A więc pokażmy to światu - powiedział Burgess. Podszedł do sejfu w ścianie za drzwiami i wystukał kombinację cyfr. - Cole, mam tu milion dolarów w gotówce. Dziś wieczorem na twoje konto wpłynie sześć i pół miliona. Drugą połowę dostaniesz po emisji. - Pociągnął do siebie stalowe drzwiczki i wy dostał ze środka jasnobrązową aktówkę. Kasetę, którą miał w ręku, włożył do sejfu. Zamknął drzwiczki i zaszyfrował zamek. Podszedł do biurka, położył aktówkę na

stosie papierów i otworzył ją. Odstąpił krok do tyłu. - Sprawdź, Cole. Jest tu milion dolarów. Możesz przeliczyć, jeśli chcesz.

Cole wstał i powoli zbliżył się do biurka. Uśmiechnął się na widok równych rzędów banknotów, ułożonych w walizeczce.

208

- To nie będzie konieczne, Ray.

- Liczymy na to, że zapłacisz podatek. - Burgess zrobił oko do Tori, kiedy usiadł przy niej na kanapie. - Tori, to niewiarygodne. Długo już jestem w tym biznesie, ale to będzie największa historia, w jakiej do tej pory uczestniczyłem.

Zaczęli dyskusję o działaniach promocyjnych i marketingowych: kiedy wyemitować materiał, z kim przeprowadzić wywiad przed filmem, kogo zaprosić. Cole wpatrywał się w walizkę pełną pieniędzy. Ryzyko wciąż było ogromne, ale pieniądze leżały już przed nim. Wystarczy na spłacenie długu w „Blue Moon” i spłacenie całego kredytu na mieszkanie. Cole był wyczerpany, ledwie się trzymał na nogach, ale miał przed sobą jeszcze jeden etap gry. Zamknął aktówkę i odwrócił się w ich kierunku.

- Tori, chodźmy.

- Ja tu zostanę - powiedziała spokojnie. - Mamy z Rayem mnóstwo rzeczy do omówienia.

W głowie Cole'a zapaliła się lampka ostrzegawcza, ale był zbyt zmęczony, żeby zwrócić na to uwagę. Powieki ciążyły mu, jakby były ze stali.

- W porządku. Skontaktujemy się później.

- Dobra.

Burgess wstał z kanapy i odprowadził Nicki i Cole'a aż do samochodu.

Uścisnęli sobie ręce. Cole usiadł za kierownicą zawrócił samochód i ruszył w kierunku drogi.

Burgess patrzył za odjeżdżającymi, po czym pospiesznie wrócił do domu.

Kiedy wchodził do gabinetu, zatrzymał się nagle. Na kanapie obok Tori siedział mężczyzna niskiego wzrostu, ubrany w ciemny garnitur, którego Burgess rozpo-

znał natychmiast.

- O, Chryste! - wyrwało mu się mimo woli.

Tori powoli podniosła się z kanapy.

- Przykro mi, Ray.

Nikomu nie można ufać. To było motto jego życia.

Kiedy znaleźli się na drodze, Cole wrzucił czwarty bieg w mercedesie kombi. Tori wielokrotnie okazała mu się pomocna, sama ryzykowała życie, posunęła się nawet do tego, że zerwała sobie paznokiec. Jednak wydawało mu się, że wykazywała zbyt dużo zapału. Nikt nie robiłby tego wszystkiego tylko dla kariery albo

żeby zaimponować rodzicom. Mogłaby go przekonać, że robi to, żeby pomóc jego ojcu, ale przecież od czasu, kiedy wczoraj opuścili dom generała, Tori ani razu nie wspomniała nawet Jima Egana. Cole nie powiedział jej, że skierował policję w góry otaczające Powell. A ona w ogóle o ojca nie zapytała.

Może zresztą mylił się. Może była mu wierna i oddana jak nikt inny. Ale do diabła z tym wszystkim. Jeżeli się myli, Tori będzie mu musiała wybaczyć. Czuł się tak, jak wtedy, kiedy kobieta podająca się za sprzątaczkę w Gilchrist upierała

się, żeby wejść do sali telewizyjnej. Lepiej zabezpieczyć się niż później żałować,

że się tego nie zrobiło.

14 - Depozyt

209

Spojrzał przez ramię na aktówkę na tylnym siedzeniu mercedesa. W środku był milion dolarów i taśma z Dealey Schował ją do aktówki, kiedy Burgess, żeby odwrócić uwagę Tori, zaczął rozmawiać z nią o planach marketingowych. Cole wziął kasetę z miejsca, gdzie zostawił ją Burgess, ze zwykle pedantycznie uporządkowanego, a teraz zarzuconego papierami biurka. Schował ją do aktówki. Kasetę, którą Burgess ukrył w sejfie, była fałszywa. Cole i Burgess omówili wszyst-

ko, łącznie z takim szczegółem, żeby Cole wracał samochodem Burgessa, na wypadek gdyby ktoś podłożył do wynajętego wozu ładunek wybuchowy, kiedy byli w domu. Cole ustalił to zaraz po rozmowie z Sewardem w hotelu „Sofitel”. Tori kilkakrotnie wspominała jego nazwisko, więc Cole skontaktował się z nim sam, dzwoniąc z budki telefonicznej. Wszystko to wydało się Burgessowi przesadą. Nie miał żadnego powodu, żeby nie ufać Tori. Ponieważ jednak Cole miał wątpliwości, przystał na jego plan.

Burgess był człowiekiem znanym, bogatym, od lat pracował dla NBC. Trudno go podejrzewać o branie łapówek albo o to, że ulega rządowym naciskom. Tori była wciąż niewiadomą za bardzo zależało jej na tym filmie.

Nigdy nie ufaj nikomu do końca. Cole pamiętał, jak w jakimś wywiadzie wypowiadał te słowa Malcolm X. Casem jednak trzeba zaufać ludziom, choćby przez moment, nawet nieznanym. Na ogół im lepiej się kogoś poznaje, tym mniej mu się ufa.

Cole zmrużył oczy. Poranne słońce świeciło między pochylającymi się nad drogą gałęziami drzew. Cole spojrzał na numer domu, napisany na skrzynce pocztowej. Taki właśnie numer Burgess napisał na kartce i zostawił Cole'owi w schowku

mercedesa. Numer domu dyrektora w General Electric, firmy matki NBC. Cole nacisnął na hamulec, żeby skręcić na podjazd prowadzący do willi dyrektora General Electric, po czym położył dłoń na kolanie Nicki.

- Wytrzymaj, kochana - powiedział. - Już prawie jesteśmy na mecie.

Nicki położyła swoją dłoń na jego ręce i uśmiechnęła się.

- Kocham cię, Cole.

- Ja też cię kocham. - Nicki będzie jedynym wyjątkiem od zasady. Od tej chwili całkowicie jej ufał.

- Ray, przedstawiam ci Anthony'ego Bianco - powiedziała Tori ze wzrokiem wbitym w podłogę, wskazując na mężczyznę siedzącego na kanapie. - Pan Bianco jest...

- Wiem, kim jest - przerwał jej Burgess. - Jest Małym Tośkiem, znanym

również jako Prezes. Jest szefem rodziny przestępczej Bianco, najsilniejszej w tym

kraju. - Burgess starał się opanować drżenie rąk. - Znajomy z ABC pokazał mi kiedyś pana w restauracji na Manhattanie. Siedział pan przy niewielkim stoliku z tyłu, ukrywając się przed fotografami.

Bianco podniósł się z kanapy.

- Wyjmij z sejfów kasetę - zarządził szorstko. Nie miał czasu na pogaduszki. -  
W tej chwili.

210

Burgess spojrzął za Bianco. W drzwiach gabinetu stało dwóch wielkich osiłków. Nie było sensu stawiać oporu. Burgess podszedł do sejfów, otworzył go i wyciągnął znajdującą się tam kasetę. Wręczył ją Bianco.

Nie odrywając oczu od Burgessa, Bianco przekazał kasetę jednemu z osiłków stojących w drzwiach.

- Mądrze pan postąpił, panie Burgess - stwierdził Bianco schrypniętym głosem.  
- Nie zrobimy panu krzywdy, a NBC dostanie swój milion dolarów z powrotem.  
- Widzę, że jest pan człowiekiem honoru - sarkastycznie stwierdził Burgess.  
- Jestem człowiekiem interesu. - Mężczyźni stojący w drzwiach rozstąpili się, przepuszczając szefa. Bianco wyszedł na korytarz i nagle zatrzymał się. Ujrzał dzie-

sięciu policjantów stanowych z Connecticut i swego człowieka, którego zostawił przed domem na straży. Człowiek ten stał teraz przed nim w kajdankach, z przerażeniem w oczach. Bianco nie miał współczucia dla tych, którzy go zawiedli.

Bob Maddux, dyrektor General Electric, który mieszkał przy tej samej ulicy co Burgess, pobiegł przez szeroki trawnik, kiedy zobaczył błękitnego mercedesa, zajeżdżającego przed jego dom. Za Madduxem stała cała armia policjantów stanowych, łącznie z najlepszym przyjacielem Madduxa, Frankiem Shawem, szefem policji w Greenwich. Nawet na rozkaz samego prezydenta Stanów Zjednoczonych nie odmówiłby Madduxowi, który poprosił, by Cole'owi Eganowi i taśmnie z Dealey dać jak najlepszą ochronę. Od tego momentu nikt nie mógł zabrać

Cole'owi taśmy z Dealey. Szczególnie w sytuacji, kiedy policja stanowa właśnie przekazała przez radio, że w domu Raya Burgessa przed chwilą aresztowano Anthony'ego Bianco, który starał się zabrać stamtąd fałszywą kasetę.

Maddux otworzył drzwi mercedesa i wyciągnął rękę do Cole'a.

- Panie Egan, moje gratulacje. Od tej chwili jest pan wśród przyjaciół.

Kiedy Maddux przestał potrząsać mu ręką, Cole bezwładnie oparł głowę na kierownicy. Było po wszystkim, a on chciał teraz tylko spać. Zwrócił twarz do Nicki. Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę, po czym rzucili się sobie w ra-

miona i mocno się uścisnęli.

29

Ty idioto! - Siedzący za biurkiem w Gabinetce Owalnym Jamison spiorunował wzrokiem generała Zahna. - Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Przykro mi, panie prezydencie. Byłem przekonany, że Seward i ja panujemy nad sytuacją.

Żyły wystąpiły na czole Jamisona. Pokręcił głową i zamknął oczy.

- Proszę wyjść, generale - powiedział.

Zahn wstał i opuścił gabinet, zadowolony, że może zejść z linii ognia.

Jamison spojrzał na Walsha

- Opowiedz mi o wszystkim, Eric.

Walsh był jednak myślami gdzie indziej. Sekretarz prezydenta zastanawiał się, jak szybko uda mu się dostać na Wall Street, uciec od tego koszmaru, który czeka teraz administrację prezydenta.

- Eric! - krzyknął Jamison.

Walsh ocknął się z zamyślenia.

- Przepraszam, panie prezydencie.

- Chcę znać wszystkie szczegóły.

- Tak, oczywiście. - Walsh poczuł nagle, jak jego marzenia o fortunie rozpływają się. Gdyby okazało się, że jest zamieszany w jakiś skandal, banki inwestycyjne będą się trzymały od niego jak najdalej. - Cole'owi Eganowi udało się

zgubić naszych ludzi wczoraj w Minneapolis. Dziś rano przyjechał do Greenwich w stanie Connecticut, do niejakiego Raya Burgessa, który jest wiceprezesem NBC News. - Walsh zniżył głos. - W domu Burgessa czekał już Anthony Bianco.

- Skąd, do licha, Bianco wiedział, że Egan pojawi się w domu tego faceta w Greenwich? - krzyknął Jamison, zapominając, że w Gabinetcie Ovalnym nie wymawia się głośno nazwiska szefa mafii.

- Informatorem była Victoria Brown. Panna Brown jest jednym z producentów niższego szczebla w NBC. W jakiś sposób udało się jej zaprzyjaźnić z Cole'em Eganem. Była z nim w Wisconsin i w Montanie - wyjaśnił Walsh. - Wciąż zbieramy o niej informacje. Sprawdzamy jeszcze, jaką naprawdę rolę odgrywała w tym

wszystkim. W każdym razie, to ona dała znać ludziom Bianco, że Egan będzie w domu Burgessa w Greenwich. Z tego, co wiem, w wieku dwudziestu paru lat miała romans z kimś z mafii, i do tej pory ciągnie się to za nią.

- Bo nie można się uwolnić od mafii, kiedy raz się z nią zacznie. Już to wiemy, prawda?

- Chyba tak - przytaknął ponuro Walsh.

- Dobrze, załatwimy to przez sąd - warknął Jamison. - Skonfiskujemy kasetę. Jeżeli ta droga zawiedzie, zabierzemy kasetę NBC, tłumacząc się troską o bez-

pieczeństwo kraju.

Walsh pokręcił głową.

- To tak, jakby Richard Nixon chciał zwolnić Archibalda Coxa, prokuratora w sprawie Watergate. Wygląda, jakby wpadł pan w panikę. A kiedy wilki widzą uciekającego człowieka, atakują. Pan o tym wie, panie prezydencie. Poza tym NBC na pewno zdążyła zrobić parę kopii kasety. Skąd pewność, że odzyskamy wszystkie? Prasa nie da nam spokoju. Znajdzie się ktoś, kto im powie, że to Gabi-

net Ovalny przeciwny jest emisji filmu. Zaczną się kłopoty.

- Więc co, do cholery, możemy zrobić? - Jamison wpadł we wściekłość. -



Kłopoty i tak już mamy.

Walsh złożył ręce.

- Nic nie zrobimy - powiedział spokojnie, bo dopiero teraz przyszła mu do głowy ta myśl.

- Co?

- Bianco za parę godzin wyjdzie z więzienia. Bo jak może brzmieć oskarżenie? Wkroczenie na teren prywatny? Włamanie? Chyba próba porwania, o ile oskarżenie wykaże się wystarczającą pomysłowością. To naprawdę nic poważnego. Dziś po południu Bianco będzie z powrotem w swojej bazie na Brooklynie. - Umysł Walsha pracował teraz precyzyjnie. - Pozwolimy NBC na zabawę. Pozwolimy im wyemitować film. W efekcie Amerykanie zupełnie stracą zaufanie do swojego rządu. Zobaczą, że przez ostatnich trzydzieści pięć lat byli okła-

mywani. Ale do diabła z tym. Większość z nich i tak nie ufa władzy, niezależnie od wszystkiego. Teraz chodzi już tylko o to, żeby nam się udało przeżyć. Pieprzyć naród. Największym problemem jest Anthony Bianco i nasz związek ze zorganizowaną przestępczością. Jeżeli dobiorą się do niego, może pociągnąć nas za sobą.

Jamison wzruszył ramionami. Bianco mógłby przypomnieć o dziwnym wypadku, który przydarzył się dziewięć lat temu w Północnej Karolinie głównemu przeciwnikowi Jamisona w wyborach na stanowisko gubernatora. I to będzie za ledwie danie wstępne. Bianco mógłby go oskarżyć o wiele innych zbrodni.

- Oskarżyłby mnie o współudział w zabójstwie.

- Po co miałby to robić? - zapytał Walsh. - To by go całkiem pogrążyło.

Jeżeli przyzna się, że zamordował człowieka, żeby zapewnić panu stanowisko gubernatora Północnej Karoliny, na długie lata pójdzie do więzienia. Jeżeli zachowa milczenie i pozwoli na wyemitowanie filmu, czekają go przesłuchania w Kongresie. Opinia publiczna dojdzie do wniosku, że mafia jest głównym sprawcą

213

zabójstwa Kennedyego. Bianco pewnie jednak uzna, że jest to lepsze niż spędze-

nie reszty życia w więzieniu.

Jamison pokiwał głową. To miało sens.

- Są jednak jeszcze inni ludzie z kręgu Bianco, którzy wiedzą o moich powiązaniach z mafią- zauważył grobowym głosem.

- To prawda - przytaknął z wahaniem Walsh.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

30

aledwie tydzień minął od chwili wyścigu Cole'a na trasie długości trzech ty-  
Z sięcy dwustu kilometrów z Powell w stanie Montana do domu Raya Burges-  
sa w Greenwich, w stanie Connecticut, a już zaczęły się pojawiać trupy.

Generała Zahna znaleziono nagiego w pokoju motelowym, z kulą w czaszce.

Do tej pory nikogo nie aresztowano. Zresztą nikt nigdy nie znajdzie winnego.

Ciało Erica Walsh'a znaleziono spalone doszczętnie w wyniku wypadku sa-  
mochodowego na trasie międzystanowej I-95, na południe od Waszyngtonu. Ko-  
roner cztery dni czekał na wyniki analizy dentystycznej, na podstawie której usta-

lono tożsamość denata.

Komandor John Magee został wyłowiony z rzeki Potomac. Oficjalnym po-  
wodem zgonu było przypadkowe utonięcie, mimo że w płucach ofiary nie znale-  
ziono wody.

William Sewarda ktoś zastał martwego na kanapie w gabinecie, w jego domku  
na odludziu. Według oficjalnej wersji, popełnił samobójstwo. Mimo dziwnego  
faktu, że zwłokom ktoś obciął palec wskazujący u lewej ręki.

Tych śmierci pozornie nic nie łączyło. Pozornie, bo wszystkie ofiary zosta-  
ły zamordowane przez członków rodziny przestępczej Bianco, na rozkaz An-  
thony'ego Bianco, działającego w porozumieniu z prezydentem Stanów Zjed-  
noczonych.

Prezydent Jamison siedział sam w Gabinetie Owalnym. Zahn wspominał o ironii  
losu. Z perspektywy czasu brzmiało to proroczo. Zwłoki znajdowano wszędzie, tak  
jak po śmierci Kennedy'ego.

Jamison odchylił do tyłu głowę, zamknął oczy i ze szklanki, którą trzymał w dłoni, łyknął szkockiej whisky. Wszystkie ślady, łączące go z rodziną Bianco, zostały usunięte.

Tylko on i Anthony Bianco wiedzieli, co się dzieje. Bianco, zgodnie z przewidywaniami Erica Walsh, zdecydował się milczeć. A teraz również Walsh i reszta zamilkli. Na zawsze.

215

Cole spotkał się z Tori na dworcu kolejowym Grand Central Station w godzinie szczytu. Kiedy zadzwoniła, zapewniła go, że może się niczego nie obawiać.

- Witaj, Cole - powiedziała, kiedy spotkali się na środku głównej hali. Otaczał ich tłum ludzi wracających z pracy.

- Cześć - odpowiedział lodowatym głosem.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekły.

- Dziwisz się? - Cole rozglądał się dookoła, szukając wroga. Chciał zakończyć to spotkanie jak najszybciej.

Zauważyła jego zaniepokojenie.

- Powiedziałam ci przez telefon, że nie masz się czego obawiać.

- I oczekujesz, że ja ci uwierzę?

- Sama nikomu nie ufam, więc nie oczekuję tego od ciebie.

Przyszedł tu z dwoma policjantami w cywilnych ubraniach, którzy mieli go chronić. Jednak mimo wszystko czuł się bezbronny.

- Przyszłam, żeby przekazać ci wiadomość - powiedziała Tori.

- Co to za wiadomość? - zapytał.

- Jesteś bezpieczny.

Cole spojrzał na nią zdziwiony.

- Co?

- Nie musisz się martwić, że cię zabiją. Anthony Bianco nie ma interesu w tym, żeby przysparzać sobie kłopotów. Zdaje sobie sprawę, że jeżeli coś ci się stanie, on

i jego ludzie staną się obiektem jeszcze dokładniejszego dochodzenia. Anthony jest

przede wszystkim biznesmenem. Wie, że twoja śmierć zaszkodziłaby jego sprawie.

- Od dawna jesteś z panem Bianco na ty?

- Od dawna. Nie jest takim potworem, jak myślisz.

- Myślę, że przydałaby ci się pigułka na odróżnianie rzeczywistości od fikcji.

- I druga sprawa - powiedziała Tori, ignorując komentarz Cole'a. Wiedziała, że nigdy nie udałoby się jej przekonać Cole'a o zaletach Bianco. Nie było sensu rozwodzić się nad tą kwestią. - Twój dług w „Blue Moon” został anulowany. Cole mimowolnie uśmiechnął się.

- Dobrze słyszę?

- Dobrze słyszysz.

- Więc „Blue Moon” też było częścią tej gry? Wszystko wiązało się z taśmą z Dealey?

Tori przecząco pokręciła głową.

- Nie, ta sprawa nie miała nic wspólnego z kasetą. Jednak Anthony dowiedział się o twoim długu w „Blue Moon”. On wie wszystko. Osobiście się tobą interesuje. Traktuje to jako wyraz dobrej woli. W zamian prosi cię, żebyś nie występował w telewizji w związku z emisją filmu.

- I tak nie miałem zamiaru się pokazywać - odparł Cole. - Przekaż swojemu dobroczyńcy, że mimo wszystko ureguluję dług w „Blue Moon”.

- Jak wolisz.

- Dobrze. - Cole odwrócił się, żeby odejść, ale jednak zatrzymał się. - Jak długo jesteś z nimi związana?

216

- Długo.

- Ale dlaczego?

- Kiedy byłam młodsza, wydawało mi się to niesamowicie podniecające. No i zrobiłam to na przekór matce.

- Nigdy nie chciałaś się od nich uwolnić?

Uśmiechnęła się smutno.

- Tego się nie da zrobić, Cole. Przez lata, w celu zdobycia dostępu do twoje-

go ojca, podsyłano mu różne kobiety. Byłam jedną z nich. I okazało się, że właśnie mnie wybrał. Nie mogłam się wycofać. Zabiliby mnie.

- Więc cały czas śledzili mojego ojca? - zapytał Cole niedowierzająco.

- Tak. Mówiłam ci. Sporo osób go śledziło.

- To niewiarygodne. - Cóż, muszę już iść.

Kiwnęła głową. Wolałaby, żeby został jeszcze, ale przecież wszystko już zostało powiedziane.

- Do widzenia, Cole.

- Do widzenia. - Odwrócił się i zniknął w tłumie.

Patrzyła za nim jeszcze przez chwilę, po czym skierowała swe kroki do czarnej limuzyny, czekającej przy Czterdziestej Drugiej ulicy, naprzeciw wejścia na dworzec. Kiedy wsiadła do samochodu, Anthony Bianco uśmiechnął się do niej i ucałował ją w obydwie policzki.

31

Barry Nelson przejrzał plik kopert leżących na biurku, odnalazł właściwą i rzucił

ją siedzącemu naprzeciw Cole'owi.

Cole rozerwał kopertę i wyciągnął z niej czek Gilchrist & Company. Czek opiewał na sumę ośmiuset tysięcy dolarów. Była to suma po potrąceniu podatku z jego premii w wysokości półtora miliona dolarów.

- Wielki Piątek był w tym roku naprawdę wielki - zauważył cicho Cole. Wielkim Piątkiem w Gilchrist nazywano dzień wypłacania premii, a nie piątek przed Wielkanocą.

- Tak. - Nelson spoglądał przez szklaną ścianę biura na parkiet. - Miałeś szczęście w grudniu, kiedy kursy zaczęły spadać. Zarobiłeś dla firmy trzydzieści milionów dolarów. - Wyciągnął palec w kierunku Cole'a. - Ale niech ci to nie uderzy do głowy - ostrzegł.

- O to nie musisz się martwić - Cole zapewnił Nelsona, wstając z krzesła. - Odchodzę.

- Co znowu?

- Mam zamiar zrobić sobie przerwę i odpocząć.

Nelson był rozwścieczony.

- Nie możesz odejść. Twój standard życia zmieni się i będziesz potrzebował więcej pieniędzy. Tak się zawsze dzieje. Widziałem to milion razy. Nawet nie zauważysz, kiedy z tego czeku nie zostanie ci ani grosz.

Cole kiwnął głową.

- Pewnie masz rację. - Niewielkie rancho w okolicy Livingston w Montanie będzie kosztowało blisko trzy miliony dolarów, ale dziś rano na jego konto w banku

wpłynęła druga połowa pieniędzy z NBC. Po opodatkowaniu, razem z pierwszą ratą dawało to sumę dziewięciu milionów dolarów.

- Nie przychodź potem do mnie szukać pracy, Cole. Ostrzegam cię. Jeżeli teraz odejdiesz. To koniec.

Cole uśmiechnął się idąc do drzwi. Nikt w Gilchrist nie wiedział, że to on odnalazł taśmę z filmem, który już za parę godzin wszyscy będą oglądać, przy-  
218

klejeni do telewizorów. Po obejrzeniu programu nadal pozostaną w błogiej nieświadomości. NBC zgodziła się nie ujawniać, w jaki sposób stała się posiadaczem filmu. Cole otworzył drzwi.

- Ja nie żartuję! - krzyknął za nim Nelson.

Cole wziął do ręki pełną autografów piłkę baseballową leżącą na biblioteczce.

- Barry, trzymaj. - Rzucił piłkę w Nelsona.

Cole wciąż śmiał się, kiedy dotarł do swojego biurka. Wziął szarą papierową torbę z osobistymi drobiazgami, po czym wychylił się nad ścianką odgradzającą go od siedzących naprzeciw kolegów.

- Hej, ludzie, dalej nie wiadomo, co u Gebauera? - zapytał.

Jeden z maklerów podniósł głowę.

- Nic nie wiadomo od czasu, kiedy wyjechałeś na urlop pod koniec listopada. Jego żona też nie ma żadnej wiadomości.

Cole wiedział, co to oznacza. Lewis Gebauer nie żył. Pomachał kolegom na

pożegnanie.

- Do zobaczenia.

- Co robisz dziś wieczorem? - krzyknął ktoś za nim.

- Siedzę przed telewizorem i oglądam zabójstwo Kennedy'ego - rzucił przez ramię. - To może być coś.

- Chyba tak - odparł kolega. On też chciał to zobaczyć. Podobnie jak wszyscy w tym kraju.

Cole, Nicki i Jim Egan siedzieli przed panoramicznym ekranem telewizora w salonie apartamentu w hotelu „Plaza”, który Cole wynajął na tę noc. Była godzina dwudziesta druga trzydzieści pięć i skończyły się właśnie wywiady. Za chwilę

taśma z Dealey po raz pierwszy zostanie pokazana w telewizji w całych Stanach.

Jim zajął miejsce w fotelu, a Cole i Nicki, trzymający się mocno za ręce, siedzieli przytuleni na kanapie.

Cole oglądał ten film wiele razy, ale mimo wszystko serce waliło mu teraz jak młot. Nie z powodu podniecenia, ale ze strachu. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że DIA albo mafia przechwycą film. Ale oto na ekranie pojawił się plac Dealey. Patrzyli na strzelbę wystającą nad płotem i na głowę prezydenta Kennedyego, którą siła strzału odrzuca do tyłu.

Nicki zachłysnęła się na ten widok.

Limuzyna odjeżdżała. Koniec. NBC zgodziła się przerwać w tym miejscu.

Twarz Jima Egana nigdy już nie będzie częścią tego filmu.

Jim wstał i skierował się do barku w kącie salonu. Cole podszedł do ojca, a Nicki została przed telewizorem. Film miał być pokazany kilkakrotnie i nie

chciała nic stracić z tego programu.

- Twoje zdrowie, tato. - Cole trącił się z ojcem. Ostatnie sześć tygodni spędzili razem, nadrabiając zaległości. Ojciec nie miał już przed sobą wiele czasu.

-

To twoja zasługa.

- Nasza zasługa - Jim poprawił go słabym głosem.

219

Przez parę minut w milczeniu sączyli szkocką. Wreszcie Cole odezwał się.

- Wszystko wskazuje na to, że to mafia jest odpowiedzialna za śmierć Kennedyego. Jak myślisz, tato? - zapytał cicho, tak żeby nie słyszała ich Nicki.

Jim przechylił szklankę i łyknął whisky.

- Nigdy nie dowiemy się prawdy, Cole. Bądź ostrożny w swoich ocenach.

- Zgoda. - Cole usłyszał w głosie ojca ostrzeżenie. - Chciałbym cię o coś zapytać.

- Pytaj, słucham.

- W jaki sposób William Seward wpadł na to, żeby mnie śledzić? Skąd mógł wiedzieć, że to ja będę miał kasetę?

- To logiczne, nie sądzisz?

- Chyba tak, ale...

- Nie tylko ty byłeś pod obserwacją. Śledzono paru innych ludzi, łącznie z Bennettem Smithem.

- Skąd Seward wiedział, kiedy to się zacznie? Bo chyba nie byłem śledzony przez całe życie?

Jim przecząco pokręcił głową.

- Nie. W DIA co pół roku wszyscy byliśmy poddawani dokładnym badaniom lekarskim. Jestem przekonany, że zaczęli cię śledzić, kiedy dowiedzieli się, że mam raka.

Cole rzucił okiem na ekran telewizora. Pokazywano film czwarty raz. Nicki była wciąż pod wrażeniem tego, co oglądała.

- Cole?

- Tak, tato. - Cole oderwał się od oglądania programu. Teraz na filmie zaznaczono strzelbę wystającą nad płotem, a ekspert wyjaśniał, kto mógłby posługiwać się bronią tego typu.

- Chciałbym, żebyś mi wybaczył - powiedział Jim.



- Co miałbym ci wybaczyć?
- Po pierwsze to, że cię zostawiłem.
- W porządku. Obydwaj wiemy...
- Po drugie - ojciec nie dał mu dokończyć - śmierć twojej matki. Powinienem być przy Andrei i chronić ją. A ja ciągle wyjeżdżałem. Nie mogę pogodzić się z myślą że była bezbronna, kiedy ktoś ją zaatakował. Nie doszłoby do tego, gdybym tam wtedy był.

Cole wbił wzrok w podłogę.

- Czy widziałeś jej ciało, kiedy wróciłeś?
- Nie. - Zmrużył oczy. Domyślał się, o czym myśli Cole.
- Czy znaleziono zabójcę?
- Nie - odpowiedział Jim. - Gdybym wiedział, kto to zrobił... - Słowa uwięzły mu w gardle.

Cole łyknął ze szklanki. Zastanawiał się, czy podzielić się z ojcem swoimi podejrzeniami.

- Tato, nie wiem, czy to ci poprawi nastrój, czy nie...
- Co?
- Czy mama nie chorowała?

220

Jim zastanawiał się przez chwilę.

- Kilka razy mówiła mi, że bardzo źle się czuje. Zawsze, kiedy wyjeżdżałem, coś się z nią działo. Wydawało mi się, że jest coraz gorzej. Tuż przed tym napadem czuła się fatalnie.
- Nie sądzę, żeby ktoś ją w ogóle napadł, tato - powiedział Cole, ściszej głoś. - Myślę, że ta historia z długowłosą bandą naćpanych hipisów została wyssana z palca.
- Dlaczego tak mówisz?
- Myślę, że mama została otruta. Kiedy zmarła, w jej ciele znajdowały się ogromne ilości arszeniku.
- Skąd to wiesz?

- Przed wyjazdem do Wisconsin odwiedziłem państwa Thomasów. Pokazali mi jej pokój i jej srebrną szczotkę do włosów. Była wśród rzeczy, które odesłałeś im po jej śmierci. Z Montany zadzwoniłem do zaprzyjaźnionej recepcjonistki w Gilchrist z prośbą żeby zaniósła szczotkę do analizy laboratoryjnej. W laboratorium przeprowadzono analizę...

-.. .włosów ze szczotki. - Jim dokończył zdanie. Kawałki lodu w jego szklance zaczęły stukać. Trzęsły mu się ręce.

- Tak. Musieli dorzucać jej coś do jedzenia. Na pewno przeszukali dom.

- Wszystko z powodu tego, co zabrałem jej na placu Dealey - Ojciec zamknął oczy.

- Mam zamiar przedstawić wyniki tej analizy komuś w Waszyngtonie.

- Nie rób tego - zaproponował Jim.

- Ale tato...

- Cole, zostaw to. Nikomu już nie pomoże otwieranie starych ran.

Cole wahał się przez chwilę.

- Zgoda.

Jim wskazał na telewizor.

- Wracajmy do oglądania.

Cole złapał ojca za ramię.

- Jeszcze jedna rzecz, tato.

- Co, synu?

- Dlaczego to w ogóle zrobiłeś?

- Co zrobiłem?

- Dlaczego przekazałeś mi tę kasetę? Dlaczego sam jej nie sprzedałeś? Po co zadałeś sobie tyle trudu, łącznie ze sfingowaniem własnej śmierci? A jeszcze przy

okazji dostarczyłeś mi takich mocnych wrażeń.

- Wiedziałem, że sobie poradzisz. - Roześmiał się i napił się jeszcze. - Wiedziałem, że muszę w jakimś momencie ujawnić prawdę. Nie mógłbym żyć z my-

ślą że stałoby się inaczej. Wiedziałem też, że w DIA zdają sobie sprawę, że szan-

se na to, iż sam zaprowadzę ich do kasety, są nikłe, szczególnie wtedy, kiedy dowiedzieli się, że jestem chory. Zdawałem sobie sprawę, że nie spuszcza mnie z oczu. Nawet gdyby udało mi się dostać do jakiejś telewizji i sprzedać kasetę, szybko by mnie zlikwidowano. - Przełknął głośno ślinę i wskazał głową na telewizor.

- I nigdy nie dożyłbym tej chwili, kiedy mogę siedzieć z moim synem przed telewizorem i spokojnie oglądać ten film.

Obydwaj patrzyli w podłogę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Wreszcie Jim przerwał tę niezręczną ciszę.

- Poza tym, gdybym to ja sprzedał kasetę, większość spadku zabrałby urząd podatkowy.

Cole spojrzał zdziwiony.

- Tak?

- Sprzedałeś film za piętnaście milionów dolarów?

- Tak.

- Po opodatkowaniu zostało ci jakieś osiem - dziewięć milionów?

- Tak.

- Gdybym ja go sprzedał, urząd podatkowy ściągnąłby zwykły podatek, a po mojej śmierci musiałbyś zapłacić ogromny podatek spadkowy. Dostałbyś do ręki cztery miliony. A w ten sposób ominęliśmy ten problem i zaoszczędziliśmy pięć milionów dolarów. Myślę, że te pięć milionów warte były tego, co doświadczyłeś.

- Być może.

Ojciec uśmiechnął się.

- Aż dziw, że sam na to nie wpadłeś. To ty jesteś geniuszem finansowym w rodzinie.

Cole pokręcił głową. Obydwaj wybuchli śmiechem.

- Dobrze, idę do łóżka - powiedział wreszcie Jim. - Jestem zmęczony. - Cole wynajął ojcu oddzielny pokój w hotelu. - Dobranoc, Nicki - powiedział głośnie.

Nicki podniosła się z kanapy i podeszła do Jima i Cole'a, stojących w drzwiach.

- Dobranoc, panie Egan. - Delikatnie cmoknęła Jima w policzek.

Jim uśmiechnął się do niej.

- Do zobaczenia przy śniadaniu, synu.

- Tak.

Uścisknęli sobie dłonie i ojciec wyszedł.

Kiedy Cole zamknął za nim drzwi, Nicki zarzuciła Cole'owi ramiona na szyję i przywarła ustami do jego ust.

- To było bardzo miłe - mruknął, kiedy ich usta się oderwały.

- Może być jeszcze milej...

- Tak przyjemne - nie dał jej dojść do głosu - że chcę stale tego doznawać.

Nicki otworzyła szeroko oczy i cofnęła się o krok.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Cole wyciągnął z kieszeni marynarki małe, aksamitne pudełeczko. Otworzył je i uśmiechnął się: w środku leżał złoty pierścionek z brylantem.

- Czy zostaniesz moją żoną?

Nicki jeszcze raz zarzuciła mu na szyję ręce i pocałowała go.

- Powiedz mi tylko gdzie i kiedy.

"pLulziHwuuania

Dziękuję Lil, Christy i Ashley.

Oraz Cynthii Manson, Stephenowi i Julie Watsonom, Michaelowi Pocalyko, drowi Teo Dagi, Walterowi Freya III, Chrisowi i Christine Tesoriero, Barbarze Fertig, Lori Lipsky, Kimberly Perdue, Barbarze Hall, Judy Hansen, Gordonowi Eadonowi, Lee Thompsonowi, Jeffowi Faville, Arturowi Mansonowi, Kevinowi i Nancy Erdmanom, Jimowi i Anmarie Galowskim, Brookie McDonald, Betty Saif, Jimowi McPartlana, Gerry'emu Bartonowi, Pat i Terrie Lynchom, Mike'owi Lynchowi, drowi Tomowi Lynchowi, Nity Mathur i Dileep Bhattacharya, Bobowi Geistowi, Markowi Randlesowi, Robertowi Wieczorkowi Juniorowi, Johnowi Paulowi Garbera, Richel Simon, Jimowi O'Connorowi, Brianowi La Londe i Davidowi Tashjiana.

